

ROBERT F.
BARKOWSKI

ODSIECZ

Powieść historyczna
z czasów piastowskich



ROBERTT F.
BARKOWSKI

ODSIECZ

Powieść historyczna
z czasów piastowskich



NOVA RES

W cyklu
Powieść historyczna z czasów piastowskich
ukazały się:

Włócznia
Odsiecz

POSTACIE HISTORYCZNE
(W PORZĄDKU ALFABETYCZNYM)

Anatrog	krewny Mścislawa, z jego nadania zarządzał Liubicami
Arnulf	biskup Halberstadt
Bazyli	katepano bizantyjski w południowych Włoszech
Boioannes	
Bazyli II	cesarz Bizancjum
Bułgarobójca	
Bernhard II	książę Saksonii
Bolesław Chrobry	książę z dynastii Piastów, władca Polski
Dietrich I (spolszczone Dytryk)	graf saski: od 1015 roku w Szwabengau, od 1017 roku w Eilenburg, Brehna, Hassegau i Gau Siusili. Od 1032 roku margrabia Marchii Łużyckiej
Fryderyk	komornik cesarski, najwybitniejszy mąż zaufania cesarza Henryka II
Gero	arcybiskup Magdeburga (1012-1023)
Gniew/Gneus	krewny Mścislawa, z którego nadania zarządzał Łączynem
Gotszalk	syn Przybygniewa-Uto
Herman I	margrabia Miśni (1009-1038), ożeniony z córką Bolesława Chrobrego, Regelindą
Kazimierz Karol	(później z przydomkiem Odnowiciel) – syn Mieszka II Lamberta, wnuk Bolesława Chrobrego
Lotar Udo I	graf ze Stade
Meles z Bari	longobardzki możnowładca, przywódca powstań przeciwko Bizancjum
Mieszko II Lambert	syn Bolesława Chrobrego, następca polskiego tronu
Mścisław	z dynastii Nakonidów, władca zwierzchni Księstwa Obodrytów, tytularnie król według rodzimej tradycji
Oda Miśnieńska	czwarta i ostatnia żona Bolesława Chrobrego, siostra margrabiego miśnieńskiego Hermana I

Przybygniew- Uto	syn Mścislawa, następca obodryckiego tronu
Racibor	książę z dynastii połabskiej (plemienia Połabian właściwych) z grodem stołecznym w Raciborzu, winny posłuszeństwo Mścislawowi
Rainulf Drengot	normański najemnik we Włoszech
Sederyk	książę z dynastii węgryjskiej z grodem stołecznym Starigard, winny posłuszeństwo Mścislawowi
Ulf Torgilsson	szwagier Kanuta Wielkiego. Po śmierci brata Kanuta, Haralda II w 1019 roku, zarządzał Danią w czasie pobytu Kanuta w Anglii
Zygfyrd	syn margrabiego Hodona, wierny lennik Bolesław Chrobrego od 1015 roku (po bitwie w Lesie Dziadoszan) aż do śmierci około 1028- 1030 roku. Namiestnik Łużyc z nadania Chrobrego

POSTACIE FIKCYJNE
(W PORZĄDKU ALFABETYCZNYM)

Adelajda	siostrzenica margrabiego miśnieńskiego Hermana, przebywająca w klasztorze w Mechlinie
Bernard (Benno)	saski rycerz pochodzący z możnowładczego rodu Saksonii, siostrzeniec margrabiego Gerona II poległego w 1015 roku w bitwie w lesie Dziadoszan. Lennik Polski, komes grodu Dobry Ług
Budzisław	syn Gromosława i Matyldy
Burzysław	połabski książę z dynastii stodorańskiej, władca Kopanika, lennik Polski
Cedrog	obodrycki rycerz z drużyny Radzigasta
Czambor	polski rycerz z Gdańska, syn Stęgniewa
Dunmar	obodrycki rycerz z drużyny Radzigasta
Enzicho	mnich misyjny z Bawarii
Fryderuna	bratanica biskupa Miśni, przebywająca w klasztorze w Mechlinie
Glabunka	siostra Czambora
Gniewosz	młodszy brat Czambora
Gromosław (Gromo)	polski rycerz z Lubusza, syn komesa Wodzisława
Gran	z dynastii obodryckiej, krewny Mścisława, pretendent do obodryckiego tronu
Grut	obodrycki rycerz, lennik Mścisława, zwierzchnik grodu Graby nad Ładą
Halldórr	jarl na wyspie Møn, szwagier Czambora
Miklon	obodrycki kapłan, opiekun bóstwa Prowe
Matylda	połabska księżniczka z Kopanika, żona Gromosława
Nikrot	z dynastii obodryckiej, krewny Mścisława, pretendent do obodryckiego tronu
Przemir	polski rycerz z Krakowa
Radzigast	obodrycki namiestnik grodu Czarnotin
Randulf	longobardzki książę na czasowym wygnaniu, syn księcia Pandulfa II

z Benewentu

Rościmir	polSKI rycerz z Sandomierza
Sławigost	połabski książę z dynastii stodorańskiej, niezależny władca Brenny (Braniboru)
Stęgniew	ojciec Czambora, wojskowy zarządca gdańskiego podgrodzia
Stodomira	córka Gromosława i Matyldy
Suanhilda	córka Zygryda, namiestnika Łużyc i lennika Polski, przebywająca w klasztorze w Mechlinie
Ścietobor	doradca Mścisława
Unibor	połabski książę z dynastii stodorańskiej, władca Hobolina
Wojomir	połabski wojownik, naczelnik wkrzańskiego grodu, lennik Polski
Wszędobór	polSKI rycerz z Wrocławia
Zwodziława	siostra Gromosława
Żdaniec	polSKI rycerz z Kalisza

OBECNE NIEMIECKIE NAZWY MIEJSC SŁOWIAŃSKICH NA POŁABIU:

Barta – Barth

Borzów – Börzow

Budziszyn – Bautzen

Chociebuż – Cottbus

Ciani – Zützen in Luckau

Czarna Elstera – Schwarze Elster, rzeka

Czarnotin – Zarrentin am Schaalsee

Czerwiszcze – Zerbst/Anhalt

Dębowa – Dahme, rzeka

Dobry Ług – Doberlug-Kirchhain

Dosza – Dosse, rzeka

Dubin – Dobbin am See

Dymin – Demmin

Graby – Grabow (Elde)

Gryfia – Greifswald

Kalawa – Calau

Koniowo (*Connoburg*) – Göhlen

Kopanik – Köpenick, dzielnica Berlina

Kosowiki – Koßwig

Krępowo – Krembz

Lasy Szprewy, Błota – Spreewald, obszar geograficzny
Łączyn – Lenzen
Liubice – Lubeka
Lubin – Lübben/Spreewald
Lubusz – Lebus
Łaba – Elbe, rzeka
Łada – Elde, rzeka
Łużyce (Dolne Łużyce) – Niederlausitz
Mechlin – Mecklenburg
Milsko (Górne Łużyce) – Oberlausitz
Morze Słowiańskie – południowo-zachodnie Morze Bałtyckie
Parchim – Parchim
Piana – Peene, rzeka
Racibórz – Ratzeburg
Radusz – Raddusch
Rochelinzi – Rochlitz nad rzeką Muldą
Roztocze/Roztoka – Rostock
Rugia – Rügen, wyspa
Soława – Saale, rzeka
Starigard – Oldenburg in Holstein
Strzała – Strehla
Strzałów – Stralsund
Trawa – Trawe, rzeka
Trzebotowo nad Dołężą – Altentreptow
Warnawa – Warnow, rzeka
Wietoszów – Vetschau/Spreewald
Wołogoszcz – Wolgast

Wyszomir – Wismar

Zwierzyn – Schwerin

Żwirowo – Kremmin

Budziszyn

Słowiańskie plemię Milczan zasiedlało południowo-wschodni zakątek Połabia, u źródeł Szprewy. Od południa sąsiedowali z Czechami, od zachodu z Głomaczami, od północy z Łużyczanami, od wschodu z plemionami polskimi. Mową i obyczajami najbardziej z plemionami czeskimi spokrewnieni. Ich głównym ośrodkiem grodowym był Budziszyn, rozłożony na skalistym płaskowyżu urozmaiconym falistymi wzniesieniami. Płaskowyż od zachodu i północy graniczył z wartką wodą Szprewy. Mury miasta schodziły tam bezpośrednio nad brzeg rzeki. Miasto składało się z obszernego grodu chronionego wysokimi wałami obronnymi i położonego wewnątrz kompleksu zamkowego otoczonego własnym murem. Na zewnątrz wałów obronnych, po wschodniej i południowej stronie, rozciągały się zabudowania kilku podgrodzi. Od niedawna powstawały także nowe podgrodzia na zachodzie, po drugiej stronie Szprewy, dla których wybudowano kilka mostów ułatwiających codzienny ruch.

Na terenie zamkowym dominował wielki kasztel określany przez Milczan mianem *Hród*, z wysoką, narożną wieżą zwaną Wieżą Rzeczną, z racji tego, że wbudowana była w mur obronny wcinający się w tym miejscu w nurt Szprewy oblewającej wieżę z trzech stron. Na dziedzińcu,

naprzeciwko kasztelu, wznosiła się niewielka, ale pojemna rotunda kościelna pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny.

Podgrodzie pokryte było licznymi ciasno pobudowanymi domami, poprzecinane krętymi uliczkami wijącymi się w górę i w dół pagórkowatym terenem. Na najwyższym wzniesieniu podgrodzia, zwanym Górą Pomyłek, znajdował się targ mięsny i kościół pod wezwaniem świętego Piotra, wybudowany z inicjatywy miśnieńskiego biskupa Idziego. Za kościołem rozłożony był kolejny plac targowy, największy w Budziszynie, stąd zwany Głównym. Place targowe, kościoły i mnogość domostw świadczyły o dobrobycie i zamożności mieszkańców, które brały się bez wątpienia z sąsiedztwa z największym traktem kupieckim ówczesnej Europy, którego początki sięgają drogi budowanej w starożytnych czasach przez legiony rzymskie. Trakt ów, zwany przez Rzymian Via Regia, ciągnął się od Hiszpanii, poprzez królestwa Franków Zachodnich, cesarstwo niemieckie i tutejsze Połabie, dalej przez polskie: Zgorzelec, Wrocław i Kraków aż do Kijowa u Rusów. Niedaleko na zachód od Budziszyna Via Regia przecinał inny prastary trakt kupiecki, sięgający od Szczecina do Rzymu, zwany Via Imperii.

Nie dziwi zatem, skąd brało się bogactwo mieszkańców Budziszyna. Nie dziwi również, dlaczego sąsiedzi uparcie dążyli do zapanowania nad ziemią Milczan i Budziszynem. Któż by zrezygnował z kontroli ośrodka przynoszącego niebagatelne dochody?

Przed kilkoma wiekami Milczanie znosili cierpliwie wędrujące po ich ziemi rozmaite plemiona germańskie, które kierowane niezrozumiałymi emocjami i dążeniami przesuwały się raz tu, raz tam, po czym znikwały i życie Milczan toczyło się dalej utartym trybem. Znosili czas jakiś również wojownicze armie Węgrów, przechodzących przez ich ziemie w trakcie licznych najazdów na tereny niemieckie. Ba, zaprzyjaźnili się nawet

z Węgrami, użyczając im gościny. Przed stu laty na Połabie wkroczył król niemiecki Henryk Ptasznik i wolność Milczan poszła w zapomnienie. Później do podbojowych zapędów Niemców dołączyły najazdy Czechów i Polaków. Ostatni udzielny władca Milczan panujący na Budziszynie, Dobromir, nie był nawet rodowitym Milczaninem – pochodził ze stodorańskiej dynastii w Brennie. Dobromir, pan szlachetny i czcigodny, jak o nim mawiano, zapewnił sobie spokój, wydając córki za ościennych władców: Emnildę za polskiego Bolesława, inną za niemieckiego Guncelina, margrabiego Miśni.

W Budziszynie wszystko się zaczęło, w Budziszynie wszystko się zakończy. Siedemnaście lat trwającej z przerwami wojny pomiędzy Bolesławem a Henrykiem, pomiędzy władcą Polski a niemieckim władcą cesarstwa. Działania zbrojne rozpoczął Bolesław, zajmując miasto w 1002 roku. Wojnę zakończy pokój, którego podpisanie pomiędzy Bolesławem a najwyższymi rangą przedstawicielami cesarstwa zaplanowano na piątek trzydziestego stycznia 1018 roku w Budziszynie. Jak zapisał przysłany z Merseburga mnich, mający dla potrzeb kroniki tamtejszego biskupa Thietmara zanotować przebieg zawierania układów: *In civitas Budusin: Ad initium belli – Finis belli*. Koniec wojny między Polską i Niemcami. Koniec wojny zwycięskiej dla Polski.

Budziszyn przygotowywał się na wielkie uroczystości i przyjęcie wspaniałych gości. Bolesław pojawił się w mieście przed kilkoma dniami wraz z synami Mieszkiem i Ottonem, półtorarocznym wnukiem Kazimierzem Karolem oraz elitą świeckich i duchownych możnych państwa. Wśród nich znajdował się arcybiskup Gniezna Radzim, brat przyrodni świętego Wojciecha.

Miasto pękało w szwach od przybyłych gości. Wielu przyjezdnych rycerzy opłacało kwatery u mieszkańców. Sam Bolesław z rodziną

i najważniejsi znaczeniem możni rozgościli się w zamku. Przedpoła miasta usiały liczne namioty pocztów, giermków i służących. Dodatkowo pod Budziszynem obozowały niewielkie kontyngenty oddziałów reprezentujących plemiona Połabia włączone w granice Polski: Łużycanie, Milczanie, Szprewianie, południowi Wkrzanie. Nie zabrakło również skromnego oddziału jazdy sojusznika Polski na Połabiu – Stodoranii. Bolesław zamierzał ich wszystkich, razem z oddziałami polskimi, ustawić w paradzie wojskowej przed wjazdem do miasta – dla zaimponowania cesarskiej delegacji.

Dwa dni przed terminem podpisywania pokoju, środowego poranka dwudziestego ósmego stycznia roku Pańskiego 1018, na podgrodzium w Budziszynie wybuchła wielka bijatyka pomiędzy piastowskimi tarczownikami a miejscowymi wietnikami, czyli wywodzącymi się z połabskich kmieci wojownikami zawodowymi, rekrutującymi się z podgrodzia i okolicznych osad. Na szczęście nie sięgnięto po oręż, ale i tak krwi mnóstwo upłynęło z połamanych nosów i wybitych zębów. Jak do tego doszło? Bolesław rozdzielił pomiędzy zebrane wojska jeńców wojennych – ale jedynie lutyckich wojowników – których nazbierało się w Budziszynie przez tyle lat wojny. Każdy, od rycerza do zwykłego tarczownika, otrzymał jeńca. Wtorkowego wieczora wyszynki i karczmy miasta pękały od nadmiaru ucztujących. Nie inaczej działo się w największej karczmie Budziszyna, położonej po zachodniej stronie podgrodzia, którą przepelniali wymieszani nawzajem tarczownicy i wietnicy. Przyśpiewki, hulanki, świętowanie. Braterstwo między plemionami, Polacy i Połabianie, nadzwyczaj przyjazna atmosfera.

Przy którejś ławie dwaj młodzieńcy, tarczownik i wietnik, gdy już im na dobre zamąciło w głowach od trunków, prowokowali się nawzajem przechwałkami. Poszło o spór, że niby który z lutyckich jeńców, w których

posiadanie weszli, lepszy, ten od wietnika, czy ten od tarczownika. Od słowa do słowa, coraz buńczuczniej się przekomarzając, postanowili zmierzyć jeńców w pojedynku. Wnet do zakładu dołączyli kolejni kompani. Postanowiono ostatecznie, że dziesięciu jeńców od wietników zmierzy się z dziesięcioma jeńcami od tarczowników. Głupota udzieliła się wszystkim i w całej karczmie zawierano zakłady, kto wygra. Tym sposobem, pomimo uprzedniego bratania się nawzajem, tarczownicy i wietnicy podzieli się na dwa obozy. O pojedynku na oręż nie było mowy, chociaż wszyscy porządnie trunkami spojeni, żaden nie poważyłby się pogwałcić rozporządzenia Bolesława, że podczas uroczystości pokojowych w Budziszynie burdy z bronią w ręku śmiercią będą karane. Postanowili, że jeńcy będą się ścigać po chodniku za blankami na zwieńczeniu murów łączących dwie baszty po zachodniej stronie. Szerokim na dziesięć kroków i długim na ponad sto pięćdziesiąt kroków. Biegać mieli parami, każdorazowo jeden od wietników i jeden od tarczowników. Chodnik na zwieńczeniu muru wysoko, stąd mniemano, że jeńcy nie mają możliwości ucieczki. Zresztą wyjść z baszt strzegli strażnicy.

Prosto z karczmy, przehulawszy całą noc i poranek, udali się wszyscy tłumnie w kierunku murów. Zebrali się u podnóża, od strony placu targowego. Szczęście mieli, że w kościele po drugiej stronie placu rozpoczęło się już nabożeństwo i nikt z możliwych, łącznie z Bolesławem, nie dojrzał ich zamiarów. Jedyne otaczający kościół gwardziści Bolesława zwani Krwawymi Skrzydłami spozierali na ich krzątaninę, ale bez większego zainteresowania. Przyprawdzono wybranych jeńców i rozpoczął się pojedynek. Pierwsza para – wygrał jeniec wietnika. Druga para – ponowna wygrana wietnikowego jeńca. To samo w trzeciej, czwartej, piątej i szóstej parze. Wtedy mocno niezadowoleni tarczownicy nabrali nieokreślonych podejrzeń. Doszło do pierwszych sprzeczek. Któryś

z basztowych strażników, zanosząc się śmiechem, zakrzyknął, że tarczownicy dali się nabrać jak stare, ślepe osły, bo im wietnicy do ścigania Biegaczy wystawili.

Od słowa do słowa, usłudni strażnicy wyjaśnili tarczownikom, kim są Biegacze. Biegacz to specjalność niektórych plemion Połabia. Zostać Biegaczem to marzenie wielu młodzieńców, ale niewielu przechodzi z powodzeniem okres szkolenia. Gdy już któryś spełni wszystkie próby, zostaje Biegaczem. Wtedy zajmuje szczególne, znaczące stanowisko w obrębie osady, grodu, plemienia. Na obszarach środkowego Połabia, tam gdzie bagienne lasy Szprewy, gęste puszcze Wkrzanów, Redarów, Tolęzan, Morzyczan, topieliska nad Odrą – tam nie ma gońców czy posłańców na koniach, są za to Biegacze. Tamtędy nie przedrze się żaden jeździec, w przeciwieństwie do Biegacza. Ten bardzo szybko dotrze do punktu docelowego, pokona wszystkie przeszkody terenu. Ominie zasięki, przeciąśnie się przez leśne gęstwiny, po tajemnych groblach przebędzie bagna i trzęsawiska, przepłynie rzeki i jeziora. Cały czas w biegu. W czasach pokoju Biegacze utrzymują łączność między osadami, w czasie wojennym roznoszą meldunki między oddziałami.

Milczanie w Budziszynie służący w oddziałach wietników, jako rodowici Połabianie, wiedzieli doskonale, kim są Biegacze, a polscy tarczownicy nie mieli o tym żadnego pojęcia. Poczuli się oszukani. W zmieszonym tłumie zebranych tarczowników i wietników wybuchły pierwsze przepychanki i wyzwiska. W międzyczasie pobiegły ostatnie pary, do dziesiątej. Wygrali oczywiście Biegacze. Tarczownicy zarzucili wietnikom oszustwo, tu i ówdzie dochodziło do wzajemnej szarpaniny. Wtedy stało się najgorsze. Zgromadzeni na murze przy baszcie jeńcy biorący udział w wyścigu wykorzystali powstały zamęt i nieuwagę strażników i powyskakiwali przez otwory między blankami na drugą stronę

mur, na zewnątrz miasta. Lutycy zauważyli, że na zewnątrz do podnóża murów przylegają zbite w długi szereg chałupy pokryte grubą warstwą słomianych dachów, więc zaryzykowali skoki na miękką słomę. Strażnicy podnieśli alarm. Tymczasem okazało się, że chaty pod murem skrywały domy nierządnic. Lutycy spadli na dachy, lądując na słomie i wpadając do środka. Z chat wyskoczyły gołe dziewczuchy i chłopcy, wrzeszcząc z przestachu. Między rozbieganą grupą gołych nierządnic i ich klientów Lutycy przedzierali się w kierunku rzeki, po czym wskoczyli do wody, przepłynęli na drugą stronę Szprawy i umknęli z szybkością chyżych jeleni w stronę lasów.

Niektórzy wietnicy i tarczownicy zaprzestali chwilowo szarpania się nawzajem i rzucili się do bramy, by wyłapać uciekinierów. Wszystko na nic. Kłótnia na placu przemieniła się w masową bójkę, tarczowników ogarnął szal i rzucili się gromadnie na wietników. Postawiony w stan alarmu garnizon grodu trudził się z przywracaniem porządku, z mozołem rozszczępiając skłębione w zacierzewieniu ciała. Na którejś z baszt wbudowanych w okalające Budziszyn mury puściły strażnikom nerwy. Uwiesili się wszyscy na sznurze ostrzegawczego dzwonu, wprawiając go w oszalałe trzepotanie.

Wrzawa, harmider i przeraźliwe bicie basztowego dzwonu dotarły do pobliskiego kościoła stojącego na wzniesieniu we wschodnim rogu rozległego placu targowego podgrodzia i wypełnionego po ostatni zakątek uczestnikami mszy. Wśród nich księżę Bolesław z rodziną, świecka i duchowna elita państwa, przedstawiciele ważnych rodów, najmożniejsi wasale, kilku gości z zagranicy. Natychmiast przerwano poranne nabożeństwo, drzwi kościoła rozwarły się gwałtownie, wypuszczając na zewnątrz zdezorientowany tłum wiernych. To nie żarty! W kościele wszyscy bezbronni, prawo nakazywało broń przed kościołem składować.

A tu na alarm biją, zdradziecki najazd, zamach na władcę! Jak najszybciej za miecze chwycić! Gdzieś ktoś zakrzyknął, że pokój zerwany, cesarz na czele potężnej armii pod miasto podchodzi. Podobno widziano też nieprzeliczone zastępy Lutyków z powiewającymi pogańskimi sztandarami. Zauważono również czeską jazdę...

Krwawe Skrzydła, osławiona gwardia Bolesława będąca niejako elitarną drużyną księcia, otoczyli wysypujących się z kościoła ludzi szczelnym, głębokim na trzy szeregi ochronnym kordonem szcepionych tarcz i obnażonych mieczy.

– Na placu wielka bijatyka – meldował Bolesławowi nadbiegły gwardzista, łapiąc haustami powietrze. – Rzucili się na siebie niczym opętane złym miodem niedźwiedzie, zwykłe woje, połabskie i nasze. Wojownicy garnizonowi usiłują opanować sytuację.

Jednak nic nie wskazywało na rychłe zakończenie bójki, pomimo ofiarnego trudu garnizonowej straży. Na szczęście wśród zebranych pod kościołem opadła początkowa panika. Żaden najazd, żadna zdrada. Tu i ówdzie pobrzmiwały już pierwsze żartobliwe przycinki.

W bezpośrednim otoczeniu władcy Polski panowało poważne milczenie. Nikt nie śmiał pofolgować odprężeniu. Czekali na reakcję Bolesława, chociaż niektórym pobłyskiwały w oczach ogniki wesołości. Już z samego rana mieli sporo uciechy po nieudanym polowaniu władcy.

Bolesław tymczasem objął ramionami stojących po jego bokach synów, Mieszka i Ottona.

– Pojutrze zjedzie cesarska delegacja – wyrzekł, obserwując nadal w skupieniu rozgardiasz na placu. – Najznamienitsi niemieccy możnowładcy, arcybiskupi i książęta, palatyni i margrabiowie, nie wspominając już pomniejszych w znaczeniu. I jak myślicie... – przerwał i spojrzał kolejno na Mieszka i Ottona, po czym zwiększając siłę głosu,

kontynuował: –

...co oni sobie pomyślą o waszym ojcu, gdy się o tym dowiedzą? Pomyślą: Bolesław, wielki władca Słowian, Połabia mu się zachciewa, a zwykły połabski lud wojenny łby polskim tarczownikom rozbija. W czasie pokoju? A może ten Bolesław niezdolny do władania Połabiami? – Rozejrzał się wokół po zebranych. Głos jego zabrzmiał tubalnie. – Jak mnie zwiecie? Chrobry? Wielki? Wspaniały? To kim ja jestem dla tych warchołów tam? – Wskazał prawicą w stronę bijatyki.

Na te słowa nikt nie ważył się odezwać. Zdrętwieli w oczekiwaniu. Boże najłaskawszy, spraw, przeleciało przez głowę opatowi Tuniemu, żeby on rzezi na tych prostych wojownikach nie nakazał.

– Są zabici? – spytał gwardzistę Bolesław, przerywając ciszę.

– Nie ma, za broń nie chwycili, ale wielu poharatanych na ciele, medyków w Budziszynie zabraknie...

– Dość. – Przerwał mu książę, po czym wydał rozkaz dowódcy Krwawych Skrzydeł: Mają natychmiast przywrócić porządek, wyłuskać sprawców i przyprowadzić ich przed jego oblicze.

– Zostajemy tutaj? – wtrącił Stoigniew. – Co rozkazujecie, książę?

– Moja gwardia rozprawi się szybko z tumulsem, palatynie – odparł Bolesław. – Pytasz zniechęca, jakbyś ich nie znał. Przecież niejednokrotnie do boju ich prowadziłeś.

– Pytam, bo przecież pojutrze delegacja cesarska zjedzie...

– Na przyjęcie delegacji wszystko przygotowane – odrzekł Bolesław i, wskazując ręką na zajęte bijatyką tłumy, ciągnął: – A ci tam, mieli szpaler długi na dwie mile wzdłuż drogi na przedpolach Budziszyna ustawić. Dla przywitania cesarskich gości. Połabianie po lewej stronie, tarczownicy po prawej. Odświętnie w wypolerowane zbroje przywdziani, tarcze świeżą farbą pokryte. I co teraz? Posiniaczeni i pokrwawieni mają stawać? Gęby

im miodem ciemnym smarować i mąką przysypać? A może tarczami twarze zasłaniać? Nie dość im wczorajszych krotochwil z malowaniem tarcz? Teraz jeszcze to. – Bolesław uśmiechnął się, po raz pierwszy od momentu opuszczenia kościoła. – Znieść tutaj stoły i ławy, popatrzymy na moich gwardzistów. I przesłuchamy prowodyrów zajścia. Wywarów grzanych przynieść, ta zima dziwna ponad miarę, niby koniec stycznia, a śniegu brak i wody nie przymarzły, niby słońce przygrzewa, ale zięb po kościach się rozchodzi.

Weterani Krwawych Skrzydeł ruszyli spełnić rozkaz. Przeklinali między sobą siarczyście, że ledwo wojna się skończyła, to teraz przyjdzie im pospółstwo nadzorować. Tymczasem Bolesław wraz z otoczeniem rozsiedli się na zestawionych naprędce ławach, przyglądając się z zainteresowaniem rozgrywanym na placu scenom. Interwencja Krwawych Skrzydeł nie potrwała długo. Niebawem rozpędzono skłębione w bijatyce gromady. Przed oblicze Bolesława przyprowadzono dwóch winnych całego zamieszania. Tak przynajmniej twierdzili gwardziści.

Dwóch młodzieńców. Zwykły połabski wojownik z budziszyńskiego podgrodzia, wietnik, i szeregowy polski tarczownik. Obaj mocno posiniaczeni na twarzach. Polak ze zwisającą na brodzie płachtą naderwanej wargi, Połabianin z prawym okiem całkowicie skrytym za napuchniętym nabrzmieniem. Medyk nałożył im opatrunki.

– Możesz mówić? – zapytał Polaka Bolesław.

– Mo... he, panie, władco potężny i chrobry. Ale rana piecze okrutnie i przeszkadza – dodał, wskazując ręką opatrunek owinięty wokół brody i szyi.

– Skąd jesteś?

– On spod Krakowa, księżę – wtrącił siedzący wśród zebranych gości Przemir. – To jeden z moich tarczowników.

- A ty? – Bolesław skierował pytanie do Połabianina.
 - Ja tutejszy, Milczanin. W Budziszynie urodzony.
 - On mnie okrutnie oszukał. – Tarczownik wskazał z wyrzutem na wietnika.
 - Nie oszukałem, tylko przechytryłem – odparł wietnik.
- Bolesław splótł ręce na piersiach.
- Teraz opowiedzcie nam, jakie szaleństwo wam rozum odebrało. Jak przed księdzem na spowiedzi albo przed katem na torturach, wybierajcie sami. Po kolei i prawdę.

* * *

Jak ten czas szybko minął od zakończenia ich wspólnych przygód. Cztery miesiące upłynęły od zakończenia oblężenia Niemczy i niemal dwuletnich przygód w pogoni za włóczęgą świętego Maurycego. Raz spotkali się na krótko znowu wszyscy razem w Lubuszu w październiku tamtego roku z okazji ślubu Gromosława z Matyldą. Kilkakrotnie za to odwiedził go Bernard, mający niedaleko z Dobrego Ługu. Za każdym razem wpadał na krótkie, dwudniowe odwiedziny. Z każdą kolejną wizytą Gromosław nabierał podejrzeń – czy aby Bernard nie zakochał się w jego siostrze, Zwodziszławie? Niby odwiedziny u przyjaciela, ale coraz więcej czasu Bernard i Zwodziszława spędzali we dwoje na konnych przejażdżkach. No cóż, Zwodziszławie idzie osiemnasty rok, dziewczyna piękna i mądra. Wiadomo, teraz się zacznie z wielbicielami – tak przewidywał... Zaczęło się jednak prędzej, niż się tego spodziewał.

Niebawem w Lubuszu pojawił się Wszędobór z Wrocławia, stary druh Gromosława z czasów, gdy wspólnie walczyli w drużynie Mieszka. Z przyjacielskimi odwiedzinami. Mimo że z Wrocławia do Lubusza porządny kawał drogi, Wszędobór odwiedzał go jeszcze dwa razy.

Gromosław nabrał podejrzeń, że Wszędobór też zakochał się w Zwodzisławie. Będą z tego jeszcze niemałe kłopoty, myślał Gromosław, Bernard i Wszędobór jednocześnie w zaloty do Zwodzisławy... Będą kłopoty...

Siostra wyjawiała mu niedawno, że miłuje Bernarda...

Los ponownie złączył całą kompanię w Budziszynie. Przygotowania do wielkich uroczystości trwały, Bolesław zawierał pokój z Henrykiem.

Gromosław wyszedł na werandę, oparł ręce na balustradzie i ziewnął szeroko. Tak dobrze mu się spało, głęboko, nareszcie bez ciągłego zrywania się do płaczących dzieci... a tu nagle jakieś krzyki, harmider... Budziszyn... wynajęte domostwo na wzniesieniu podgrodzia. Pojutrze przecież wielki dzień, książę układy pokojowe z cesarstwem zawiera... koniec wojny. Patrząc zmrużonymi od zaspania i oślepiającego zimowego słońca oczyma, próbował wrócić do rzeczywistości. Głowę opuszczały już senne majaki, a do świadomości przebijały się coraz bardziej trzeźwe myśli. Zaraz, to przecież już pojutrze, układy pokojowe... Dzień w pełni, a on w pieleszach jeszcze! Gdzie są jego przyjaciele? Co to za zamieszanie tam w dole na placu podgrodzia?

Przed kościołem służba zajęta uprzątnieniem terenu zabierała ławy i stoły. Po co je tam wystawiono? Wśród zgromadzonych przed kościołem Gromosław dojrzał Bolesława z rodziną, doradców, duchownych, rozpoznał kilku możnych, Stoigniewa i Przyboja. Kierowali się w stronę zamku. W przeciwległym końcu placu kręcili się drużynnicy Bolesława zmieszani z gromadami prostych wojowników. Teren sprawiał wrażenie pobożowiska. To pewnie stamtąd doleciały te hałasy, ze snu go wyrywając. Wzrok, oswojony już z jasnością dnia, odzyskiwał ostrość spojrzenia.

Lustrując teren, Gromosław dojrzał swych przyjaciół. Nadchodzili od strony kościoła. Bez wątplenia to oni, ich wyglądu i sylwetek niepodobna

pomylić z kimkolwiek innym. Z tej odległości i z wysokości domu na wzniesieniu wyglądali jak skrzaty z połabskich opowieści, no, Czambor nieco większy skrzat. Czambor niemal o głowę przewyższający pozostałych, Bernard z charakterystyczną dlań brodą, Randulf w eleganckich szatach, Wojomir w czapie obszytej bobrowym futrem... Trzech pozostałych osób idących z nimi nie potrafił początkowo rozpoznać. Pewnie to nasi druhowie z czasów, gdy wspólnie wojowaliśmy w drużynie Mieszka, zastanawiał się, może Przemir i Rościmir? Ah, ten nieco mniejszy od Czambora to przecież jego najmłodszy brat, Gniewosz.

Podążająca pnącą się w górę wzniesienia uliczką grupa dojrzała go również. Poczęli wskazywać nań rękoma, z rozbawieniem o czymś dyskutując. Do Gromosława doleciały salwy śmiechów. Znowu żarty sobie ze mnie stroją, pomyślał z rezygnacją. Od kilku dni, od czasu jak wspólnie zjechali do Budziszyna, nieustannie wystawiony był na docinki przyjaciół. Że przesypia każdy dzień, wylegując się w łóżu do południa. Tłumaczył im, każdemu z osobna, że od narodzenia dzieci, czyli od dwóch miesięcy, po raz pierwszy może się nareszcie wyspać. Dotarło do nich? Gdzie tam. Jeszcze bardziej się podśmiewali. Tacy przyjaciele. Bo żona Gromosława, Matylda, niecały miesiąc po ich ślubie, urodziła na początku grudnia tamtego roku bliźniaczki. Chłopca i dziewczynkę, którym nadali imiona Budzisław (po dziadku Gromosława) i Stodomira (po babce Matyldy). Wtedy Matylda zaczęła wprowadzać własne porządki, wprawiając Gromosława w nieme osłupienie. Między innymi nakazała cieślom wybić w ścianie przejście do niewielkiej komnaty przylegającej do ich sypialni i tam ustawiła kołyski, orzekając mu:

– Za dnia niemowlęta przeważnie pod moją opieką, bo przecież ty za wielkimi i ważnymi sprawami po Lubuszu i okolicy się uganiasz, to nocą mnie wyręczysz.

Zszokowany Gromosław próbował oponować:

– Przecież to nie w zwyczaju, przecież od tego są niańki... Ty też możesz za dnia niańkami się wyręczyć...

– Dzieci są nasze, a nie nianie. – Przerwała mu zdecydowanie Matyllda. – Twoim zadaniem dopilnować w nocy, gdyby sen miały niespokojny albo czegoś potrzebowały.

Dłużej dyskutować było niepodobna. Od tej pory Gromosław przemienił się w nocnego opiekuna. Sławetny Gromosław, bohater wielu bitew, nieustraszony wojownik, o którego czynach opowiadano w Polsce, Danii, Czechach, cesarstwie i na Połabiu. A że niemowlęta za nic nocą nie chciały spać spokojnie, ba, praktycznie jakby się uparły, żeby nie spać w ogóle, więc i Gromosław zapomniał, co znaczy spocząć snem zasłużonym po dziennych trudach. Na każdy odgłos kwilenia, płaczu, zrywał się z łóżka, odrywając od ukochanej Matylldy, i biegł do komnaty obok sypialni. Niekiedy przytulona do niego Matyllda, niby zatopiona w słodkim śnie, mamrotała za nim:

– Kochanie, nasze niemowlaczki...

Też nie spała. Kiedyś ją o to zapytał, wążąc się ostrożnie na wyrzut. Że tak naprawdę to oni oboje nie śpią. Nie odpowiedziała, ale pewnego razu, gdy pośrodku nocy siedział w komnacie niemowląt, trzymając je na obu rękach i usiłując lekkim kołysaniem uspokoić, Matyllda przyszła za nim. Usiadła obok, przytuliła się do niego czule. Gładząc go pieścotliwie po ramieniu, szeptała:

– Zobacz, jakie niewiniątka, jak się pewnie i bezpiecznie czują w twoich mocarnych ramionach...

– Zasnęły właśnie – odrzekł Gromosław wymęczonym szeptem przepełnionym rezygnacją. – Te nasze niewiniątka...

Matyllda pocałowała go w policzek.

– Gromo, mój najukochańszy – szeptała dalej. – Twoje wielkie dłonie ilu wojownikom życie odebrały? Ile razy miecz wznosiłeś do śmiertelnego uderzenia? A tu, popatrz, te dłonie mogą i powinny również opiekę i ochronę zapewnić... Naszym dzieciom, twoim dzieciom... One czują twoją bliskość, nasiąkają tobą, właśnie teraz, od początku, mimo że jeszcze nierozumne, cieszą się twoją miłością...

O tych szczegółach, rzecz jasna, nie opowiadał przyjaciółom. Jedynie, że po nocach niańczy dzieci. A oni sobie używali na nim. Ledwo zaczęli się schodzić do izby, Randulf orzekł fachowo:

– Gromo ma podkrążone oczy. Naokoło czerwone obwódki, lekko nabrzmiałe.

– Czerwone i nabrzmiałe? – Bernard podszedł do Gromosława, lustrując go uważnie. – To u dziewczyn normalne, gdy sobie popłaczą...

– Przecież Gromo to mąż dorosły. – Czambor przysiadł do długiego stołu zastawionego zimnymi przekąskami. – Może to od niewyspania?

– Ależ oczywiście, że od niewyspania – zawyrokował Wojomir. – Spanie do południa to o wiele za mało jak na komesowego syna.

Gromosław siedział u szczytu stołu, nie reagując na docinki. Na twarzy przybrał wyraz rezygnacji. Do izby weszli Przemir, Rościmir i Gniewosz. Przywitali się, zasiedli do stołu i przysłuchiwali się milcząco.

– Ale tu nie ma dzieci, Gromo przecież może spokojnie się wyspać – kontynuował Bernard.

– Akurat ty znasz się na dzieciach – pokpiwał Czambor.

– A już szczególnie ty znasz się na dzieciach – odgryzł się Sas.

– Odczep się od Czambora. – Randulf włączył się do dyskusji.

– Od kiedy ty za Czambora mówisz? – odparł Randulfowi Bernard.

– Mówiłem, że połabskie księżniczki szczególnej krwi są... – oświadczył zadziornie Wojomir.

– Czambor ma małą siostrzenicę... – kontynuował Randulf w kierunku Bernarda.

– Którą raz w życiu widział – odpowiedział mu Bernard.

– Wiedziałem, że Matylda pokaże, jak zadziorne są Połabianki... – Wojomir nie dawał za wygraną.

– Co z tego, że tylko raz widziałem? – Obruszył się na zaczepki Bernarda Czambor. – Na rękę ją trzymałem, to znam się na małych dzieciach, a ty? – zwrócił się do Wojomira. – Nie wyjeżdżaj na nowo z tym twoim Połabiem. Matylda sama twierdzi, że żadna z niej księżniczka...

– No właśnie, coś ty Czambor, z Randulfem krew naciętą wymieniałeś? – Wojomir zmienił temat. – Jacyś tacy z was przyjaciele serdeczni nagle się zrobili... od czasu jak Randulf w Gdańsku gości.

– Randulf uczy Czambora sztuki pisania i czytania... – oznajmił mu Bernard.

– Co w tym złego, Bolesław i Mieszko nieraz napominają, byśmy się uczyli – wyjaśniał Czambor. – Arcybiskup Radzim wczoraj na mszy też grzmiał na cały kościół, żeśmy wszyscy warchoły, tylko za bójkami, srebrem i uciechami się uganiamy, zamiast naukami pożytecznymi się zająć...

– I co? Potrafisz już własne imię napisać? – W głosie Bernarda pobrzmiwała ironia.

– A żebyś wiedział, że potrafi – odpowiedział za Czambora Randulf.

– Przestańcie! – Wtrącił się Gromosław. – Spójrzcie na Przemira, Rościmira i Gniewosza, siedzą, niczym ogłupiali, jakby między pierdzące na łące barany wdepnęli.

– Co nam do waszych przekomarzań – rzekł Przemir. – My się nie mieszamy, wy przecież słynna drużyna... znamienita drużyna, ulubieńcy księcia...

– Czambor wielki wojownik, bo wcześniej z domu w świat poszedł – zauważył z przekąsem Gniewosz.

– Ty na brata?... Śledziu bez... – naskoczył na Gniewosza Czambor.

– Dalej! Bierzcie się za czuby! Bracia Gdańszczanie! – Wojomir przyklasnął zamasyście, nie kryjąc zadowolenia.

Gromosław śmiał się w duchu, ważne, że odczepili się od niego. Głośno zapytał:

– Co tam się dzisiaj działo na placu targowym? Może mi w końcu opowiecie?

Opowiedzieli. Jeden przez drugiego, nawzajem sobie przerywając. O wspólnej biesiadzie wietników i tarczowników, o zakładzie na wyścigi między jeńcami, o Biegaczach, o rozpętanej bijatyce, jej zakończeniu i o reakcji Bolesława.

– Każdy z nas otrzymał jednego jeńca – zauważył Gromosław po wysłuchaniu relacji przyjaciół. – Szkoda, że nie sprawdziłem, czy mój nie jest Biegaczem, zanim go odesłałem do Lubusza. A ty? – zapytał Wojomira. – Co żeś zrobił ze swoim?

– No też odesłałem. – Wojomir wzruszył ramionami. – Przyda się na wkrzańskim grodzie, który mi Bolesław pod zarząd powierzył.

– A ja swojego na razie przytrzymałem – oświadczył Czambor.

– A ja odmówiłem – rzekł Randulf. – Na co mi jakiś lutycki wojownik?

– Budziszanie i tak pognają swoich jeńców do Pragi na sprzedaż – zauważył Wojomir.

– Nie sprzedaje się jeńców na targach niewolników – odpowiedział mu Czambor. – U nas obowiązuje surowy zakaz tych praktyk, wydany jeszcze za Mieszka, ojca Bolesława, ponieważ niezgodne to z nakazami Bożymi i nauką Kościoła. Jeńców wojennych się wymienia lub osiedla w dalekich rejonach kraju.

– Ale u Czechów w Pradze – zaprzeczył Czamborowi Przemir – niektórzy możni nadal sprzedają ludzi na targach niewolników. Wiem, bo z Krakowa mam niedaleko do Pragi i często tam gościłem.

– A czy ten zakaz sprzedawania nie dotyczy wyłącznie chrześcijan? – wtrącił zjadliwym tonem Wojomir.

– To też – odparł mu Przemir. – Tyle że na targach w Pradze tamtejsi możni sprzedają wszystkich ludzi, bez względu na wiarę. Nawet swoich poddanych, gdy im srebra zabraknie.

– I dlatego Święty Wojciech – zaperzył się Czambor – patron naszego kraju, co mnie do chrztu wodą obmywał, musiał opuścić Pragę, mimo że był tam biskupem. Bo praktyki niegodne czeskich możnych zwalczał!

– W grodach obodryckich, pomimo że oni też kościoły i klasztory pobudowali, nadal sprzedaje się jeńców – dodał Wojomir. – Na Rugii zresztą też, przecież byliśmy tam, to sami widzieliście.

– Wracając jeszcze do dzisiejszej bójki. – Gromosław usiłował zmienić temat. – Ukarano sprawców przykładowo?

– Gdzieeee tam. Bolesław po wysłuchaniu historii z Biegaczami nie mógł powstrzymać rozbawienia, śmiał się jedynie, a wraz z nim my wszyscy wokół zebrani – odparł Randulf.

– To nikogo nie ukarał? – dopytywał Gromosław.

– Tarczownikom wytknął, że sami sobie winni, bo dali się przechytryć. A wietników pochwalił. Za przebiegłość, ma się rozumieć, nie za burdę i rozbite łby. Dobry nastrój władcy udzielił się pozostałym. – Randulf odsapnął głęboko. – Aleśmy się naśmiali.

– Taka wielka miłość i przyjaźń między Milczanami a Polakami – podjął na nowo zgryźliwym tonem Wojomir. – Wzruszające całonocne bratanie się tak paskudnie w bijatykę przemienione...

– Nudzisz, Wojomirze, nieustannym narzekaniem. – Przerwał mu zaczepnie Czambor.

– Mówię, co widzę.

– Żale i zgorzknienie widzenie ci przesłania – zawyrokował Czambor.

– Doświadczenie życiowe – odrzekł Wojomir. – Połabie to nie Polska.

– Ale będzie polskie! – zawołał gorliwie Czambor. – Łużyce i Milsko już należą do Polski.

– Co tam. – Wojomir machnął ręką. – Milczanie znosili już Czechów, Węgrów, Niemców, to i do was przywykną.

– Co znaczy „przywykną”? – Zaperzał się Czambor. – Sam widziałeś, jak radośnie witali nasze wojska, tu, w Budziszynie, i na Łużycach, w Chociebużu też.

– Ślepi jesteście... witają Bolesława, a nie Polaków – odparł Wojomir. – Dla nas, Połabian, wasz Bolesław jest bohaterem, wyśpiewanym w pieśniach, wysławianym w opowieściach... niczym legendarny słowiański król, co z grobu z mieczem powstał, by wolność i świetność utraconą nam przywrócić... Ach, co wy tam wiecie...

– Uważasz, że my, Polacy, nie kochamy Bolesława? – spytał Czambor.

– Na Pomorzu też tak Polaków kochają, tak jak tutaj na Połabiu? – odpowiedział pytaniem Wojomir. – No, pytam o twoje Pomorze, Gdańskie, bo o Pomorzu w ujściach Odry to wolę nie napomykać...

– Pomorze to Polska – odparł dumnie Czambor.

– Pomorze to Pomorze – rzucił buńczucznie Gniewosz.

Czambor spojrział na brata z twarzą zachodzącą czerwienią złości.

Randulf przytrzymał siłą za ramiona zrywającego się do powstania Czambora, mówiąc:

– Książę wpadł w dobry nastrój, bo wydarzenie z Biegaczami przyćmiło niepomysłny przebieg porannego polowania.

– To jeszcze coś się wydarzyło dzisiaj? – spytał skonfundowany Gromosław.

– Gromo, najważniejsze przesypiasz. – Randulf się roześmiał.

– Bolesław postanowił wczesnym świtem – rozpoczął opowieść Bernard, powstrzymując gestem otwierającego już usta Rościmira – jeszcze przed poranną mszą, udać się na polowanie.

– Chciał na niedźwiedzia – wtrącił Czambor. – Ale Milczanie orzekli łowczemu, że przed kilkoma dniami, jak tylko Bolesław zawitał do Budziszyna, wszystkie niedźwiedzie z okolicy uciekły gromadnie do Czech, w tamtejsze zalesione wzgórza.

– Mądre niedźwiedzie – oświadczył Bernard.

– Wojomir dodałby, że mądre, bo połabskie – rzucił zgryźliwie Czambor.

– Więc Bolesław zdecydował się na żubra – kontynuował opowieść Bernard. – Tropiciele wykryli stado chadzające po dużych łąkach między lasami. Zimową porą żubry odważniej wychodzą na odkryte pola, bo w lasach ciężko o pokarm.

– A na żubra, jak zresztą sam wiesz, jest tylko jeden sposób – ciągnął Czambor. – Podczołgać się jak najbliżej i stanąć naprzeciw do boju uzbrojonym jedynie w oszczepy, topór i nóż. Myśliwemu na polowaniu łowieckim nie przystoi inaczej, każdy inny sposób sławy nie przyniesie, a żubrowi odbierze majestat. No i żubr musi być samcem, najlepiej największym w stadzie. Chyba że poluje się dla mięsa, wtedy co innego.

– Stado wykryto, w nim zauważono wielkiego byka – podjął Bernard. – I Bolesław poszedł z wybraną drużyną na polowanie. Ale wynikł problem. Książę nie jest w stanie się czolgać. Sami widzicie, jak wygląda. Wielki,

zwalisty mąż, większy chyba od niedźwiedzia, to może dlatego te tutejsze ze strachu pouciekały. Przekroczył już pięćdziesiątkę, pogrubiąły w brzuchu, koń się pod nim ugina. No siłę i wigor to on nadal posiada, ale sapie potężnie, gdy się wysili, a co tu dopiero wymagać, by się czołgał. Jak tu podejść zabójczego byka? Miejscowi pomocnicy wpadli na pomysł. Sklecono z chaszczy, chrustu, traw i siana wielkie, większe od człowieka kuliste kłęby. Wielkie i gęste, ale lekkie w wadze. Sczepiono razem w koło kilka kłębów, pośrodku Bolesław z dwoma drużynnikami i kilkoma pomocnikami. Kłęby polano jeszcze smrodami z naniesionej wiadrami gnojówki, żeby ludzki zapach nie dotarł do nozdrzy żubrów, i ruszono powoli w stronę pasącego się stada, pchając przed sobą tę masę kłębów. W odpowiedniej chwili Bolesław miał wyskoczyć spoza zasłony i zmierzyć się z bykiem. Zanim zbliżyli się do ofiary, od stada oddzieliła się żubrzyca, widocznie brzemienna. Przystanęła zaciekawiona przy kłębach, poskubała nieco trawy, poczęła węszyć smród, odwróciła się, wepchnęła dupsko w gąszcz i zaczęła srać. Strumieniem, prosto na ukrytych za kłębami Bolesława i jego ludzi. Na tym zakończyło się polowanie. Bolesław nakazał szybki odwrót, kąpieli przed mszą zażyć...

Bernard już nie dokończył, gdyż izbą targnęły salwy śmiechu.

Postanowili, że teraz każdy na resztę dnia uda się do własnych zajęć, a przed wieczorem zejdą się w wynajętym na nocleg domostwie i po wieczery pójdą wcześniej niż zwykle spać. Pojutrze wielki dzień, lepiej porządnie wypocząć.

Wyszli wszyscy na zewnątrz, gromadząc się przy balustradzie tarasu. Piękny widok na miasto roztaczał się z wysokości wzgórza. Wzniesienia poryte krętymi uliczkami, pokryte ciasno pobudowanymi domostwami, place, kościoły, w oddali mury zamku. Po południowej stronie podgrodzia wydzielone kwatery z warsztatami wszelakiego rzemiosła. Na placach

stragany z mnóstwem krzątających się ludzi. Randulf, Czambor, Bernard, Wojomir i Gniewosz, opierając się o balustradę, żywo coś sobie nawzajem objaśniali, wskazując rękoma na szczegóły miasta. Nieco na uboczu stali Przemir i Rościmir zagłębieni w ożywionej rozmowie. Gromosław podszedł do Wojomira, dając mu znak, by odszedł z nim na drugi koniec tarasu. Gdy znaleźli się sami, Gromosław zapytał:

– Druhu serdeczny, co słyhać u twoich dzieciaków, u Bożejki i Srogosza? Stary wojak nie chciał razem z tobą przybyć do Budziszyna?

– Srogosz? Gdzie tam. On już w rozleniwienie wpada. Oręż na dobre odłożył, całą uwagę wnukom poświęca albo swoim obrazkom.

– Dalej rysuje zapamiętałe?

– Oczywiście. Już mu zbrojnego przydałem, by na jego bezpieczeństwo zważał. Teść się starzeje, kilka razy polazł samotnie w lasy w poszukiwaniu odpowiedniej kory na malunki. – Podkreślił nie bez złośliwości koniec zdania Wojomir. – Strachu się wszyscy najedliśmy w poszukiwaniu za nim.

– Ale szczęśliwy jesteś? Układa ci się życie we wkrzańskim grodzie?

– Jak najbardziej! Bożejkę i dzieci kocham ponad wszystko. Dlaczego podpytujesz?

– Bo dzisiaj przyganiałeś Czamborowi o Połabiu i Polsce i w ogóle... jak za starych czasów, gdy wspólnie ganialiśmy za włóczęgą.

Wojomir objął Gromosława lewą ręką za ramiona i lekko potrząsnął nim, mówiąc:

– Gromo, to z przyzwyczajenia. Przecież tylko marudzę. Czambor przyjacielem mi najdroższym, tak jak ty, Bernard i Randulf. W ogień bym za wami wskoczył, bo wiem, że wy za mną też. – Roześmiał się lekko. – A Bolesława miłuję na równi z wami. Dobrze, że tu teraz Polska. Mam tylko nadzieję, że tak już pozostanie.

– Idziesz razem z nami do zbrojmistrzów? – zapytał Gromosław. – Musimy przecież na pojutrze się wypucować.

– Czemu nie, słyszałem, że tutejsi fachowcy od wyrobu łuków mają kilka węgierskich egzemplarzy, chętnie się przyjrzę tym cudom. Muszę tylko najpierw zajść jeszcze do szewców. Spotkajmy się u zbrojmistrzów.

Gromada, nacieszywszy się widokami i świeżym powietrzem, ruszyła w kierunku warsztatów rzemieślniczych. Jedyne Czambor nie poszedł ze wszystkimi. Zawrócił do izby, napchał w tobołek jedzenia z mis stojących na stole i poszedł na drugi koniec podgrodzia, gdzie w miejskich stajniach trzymali konie. Czambor trzymał tam również swojego jeńca, lutyckiego wojownika, jednego z tych, którymi obdarował ich przed trzema dniami Bolesław. Czambor opłacił sownie koniuszego i dwóch jego pomocników. W zamian opróżniono miejsce obok jego konia, w narożniku stajni, wymoszczono grubo słomą i przykuto tam Lutyka łańcuchem do ściany. Pomocnicy dbali, by jeniec otrzymywał regularnie wodę i dwa razy dziennie posiłek, odprowadzali go za potrzebą poza stajnię, raz dziennie prowadzili do końskiego wodopoju, by się obmył w rynnice.

Czambor wszedł do boksu, pogłaskał konia i przysiadł na odwróconym wiadrze naprzeciwko jeńca. Nieco młodszy ode mnie, dumął, około dwudziestki. Hardy jest, nawet na mnie nie spojrzał. Czambor wyjął z tobołka pęto kiełbasy, przełamał, połowę podał jeńcowi.

– Masz, zjedz coś porządnego. Tutejsza, kupiona z rana na bazarze, dobrze przyprawiona.

Czas jakiś przeżuwali obaj w milczeniu, obserwując się nawzajem.

– Jesteś Biegaczem? – Gdańszczanin przerwał ciszę niespodziewanym pytaniem.

Po raz pierwszy na twarzy jeńca pojawił się przelotny uśmiech.

– Nie jestem – odpowiedział. – Tak samo jak nie jestem Lutykiem.

– To kim jesteś? – Czambor nie krył zdziwienia.

– Chyżaninem, z Roztocza, zważ mnie Chyżon.

– Walczyłeś w szeregach Lutyków?

– Wręcz odwrotnie, walczyłem przeciwko nim. Pokonali nas w bitwie pod Dyminem, dostałem się do ich niewoli. Później Lutyacy przegrali bitwę z jazdą z Lubusza, Polacy wzięli nas wszystkich do niewoli, nie pytając, kto Lutyk, a kto nie, i odstawili do Budziszyna. – Chyżon wypowiedział to wszystko niemal jednym tchem.

– Z Roztocza powiadasz? Znad morza?

– Gdybyś wychował się nad morzem jak ja, tobyś się poznał, że mówię prawdę. Ludzie znad Morza Słowiańskiego zawsze się rozpoznają, obojętnie z jakiego krańca pochodzą.

Na uwagę Chyżona Czamborowi o mało nie utknął w gardle kęs kiełbasy. Zaczął się krztusić, oczy wyszły mu z orbit, w końcu przełknął. Wpatrywał się w zaniepokojonego Chyżona, zbierając myśli.

– Obojętnie z jakiego krańca Morza Słowiańskiego pochodzą, powiadasz?

– Żebyś wiedział – potwierdził pewnym, niemal pouczającym głosem Chyżon.

– Ty oszuście! – wrzasnął raptem Czambor. – Wcale nie jesteś znad morza, skoro rodowitego gdańszczanina nie rozpoznajesz! Co, nie obilo ci się o uszy imię Czambora, rycerza z Gdańska?

Chyżon zbladł. Spoglądał na Polaka z przestachem. W tym momencie do stajni wpadł zdyszany giermek z orszaku Bolesława. Oparł się rękoma o przegrodę i łapiąc haustami powietrze, oznajmił Czamborowi:

– Książę wzywa, Czamborze... Natychmiast masz się... stawić na zamku. Twój przyjaciele i pozostali już tam się schodzą.

* * *

Jacy pozostali? – zastanawiał się Czambor po drodze. Przed wejściem do sali obrad pojawił się jako ostatni. W grupie oprócz przyjaciół rozpoznał również Przemira, Rościmira i Żdańca. Czekali na niego, okazując lekkie zniecierpliwienie przeradzające się w podenerwowanie. Po cóż to nagłe wezwanie? Gdy weszli już do środka, po krótkim przywitaniu, Bolesław przeszedł od razu do rzeczy:

– Przygotowania do podpisania pokoju w toku, a co rusz kolejne trudności powstają. – Bolesław wstał z za stołu i począł przechadzać się po pomieszczeniu. Nagle przystanął, spojrzał uważnie na Randulfa i zapytał: – Zaraz, zaraz... Czy ty, książę, nie miałeś wracać do Włoch? Przecież po Niemczy tamtego roku przekazano ci listy z rodzinnych stron. Nie stało w nich, że czekają na ciebie w Rzymie?

– Wręcz odwrotnie, władco Polski – odparł Randulf. – W listach stało, że mam się strzec powrotu. W Benewencie zamieszki ludności przeciwko naszemu rodowi, a jednocześnie w Apulii gorzej w najlepsze powstanie Melesa z Bari przeciwko bizantyjskiemu zwierzchnictwu. Melesa wspierają papież, nasze longobardzkie księstwa i najemnicy z Normandii. Ojciec i brat nie wiedzą, jak siły dzielić, tu zamieszki, tam pomoc powstańcom.

– Rozumiem – stwierdził Bolesław. – To co ja mam z tobą zrobić, gdybyś dłużej u nas pozostać musiał? Przecież nie mogę księcia jak zwykłego poddanego traktować. A może chcesz wrócić do Magdeburga? Wkrótce oficjalny pokój między mną a Henrykiem.

– Za pozwoleniem, sławetny władco, ale wolę zostać tutaj, między przyjaciółmi.

– Środki na utrzymanie posiadasz?

– Aż w nadmiarze – oświadczył Randulf.

Bolesław przysiadł ponownie. Zastanawiał się, bębniąc palcami prawicy po stole. Lewą ręką drapał za uchem ulubionego psa rozłożonego u jego nóg – olbrzymią, ale łagodną bestię, pokrytą sierścią frędzlowatych kudłów. Bolesław lustrował uważnie twarze zebranych. W końcu oznajmił:

– Mam dla was dwa zadania do spełnienia.

Odpowiedziała mu usłużna cisza. To na pewno nic ważnego, pomyślał z nadzieją Gromosław, przecież za dwa dni musimy być przy podpisywaniu pokoju w Budziszynie. Wreszcie odważył się zapytać:

– Dla nas wszystkich tu zebranych razem?

– Starczy was – odparł Bolesław z ognikami wesołości w oczach. – Pierwsze zadanie jest dla grupy złożonej z Przemira, Rościmira i Żdańca. Podążycie do Miśni, do mojego zięcia, margrabiego Hermana. Musicie zdążyć przed dzisiejszym wieczorem. Herman wyrusza jutro rano w kierunku Budziszyna na układy i podpisanie ze mną pokoju. Postanowiliśmy wymienić jeńców. Sprawdźcie, czy wśród jeńców, których zabierze na wymianę Herman, nie znajdują się oszuści podszywający się za Polaków. Natomiast wy... – Tu Bolesław zwrócił się do Gromosława, Bernarda, Czambora, Randulfa i Wojomira – ...musicie natychmiast wyruszyć w okolice lasów Szprewy. Gromo dowódcą. Za kilka dni, co warunkiem jest ustaleń pokojowych, możni saksońscy przywiozą mi nową żonę, niejaką Odę, siostrę mojego zięcia Hermana... – Przerwał nagle Bolesław, jakby się nad czymś zadumał. Uśmiechnął się i oznajmił wszystkim niespodziewanie: – A czy wiecie, że przez ślub ze mną Oda stanie się niejako teściową Hermana, jej brata? – Rozglądał się po twarzach zebranych. Ponieważ nikt nie podjął tematu, machnął jedynie ręką i wrócił do przerwanoego uprzednio wątku. – Moja delegacja ma odebrać Odę w grodzie Ciani. Problem w tym, że raporty zwiadowców donoszą o niebezpiecznych bandach grasujących w lasach Szprewy, gdzieś na

północnym obszarze między Cianią a Chociebużem. Jak to po wojnie często bywa, na całym pograniczu potworzyły się zbójckie grupy przeróżnych uciekinierów, dezerterów i tym podobnych. Garnizony z Ciani i Chociebuża nic nie wskórały, nie wiem, może wśród bandytów mają krewnych lub rodaków, nieważne. Wytropicie zbójckie gniazda i wyteście. Zanim Oda odebrana będzie w Ciani. Nie przystoi, by nowa żona strachu się najadła, jeszcze zanim mnie ujrzy.

Słyszając to, Czambor parsknął rubasznym śmiechem. Zaniepokojony, wręcz obrażony Bolesław zmroził go wzrokiem.

– Nie, nie. – Czambor plątał się w tłumaczeniach. – Zaśmiałem się z dzisiejszych porannych opowieści, z tego polowania... – Poczzerwieniał, a stojący obok Randulf trzasnął go otwartą dłonią po plecach.

Czambor zakrztusił się, a Randulf, wykorzystując to, wskoczył mu w słowo, mówiąc:

– Czambor nie miał dzisiaj jeszcze okazji porządnie się posilić, książę, stąd myśli mu się płaczą... A śmialiśmy się dzisiaj z tych uciech na placu, no z tych Biegaczy – zakończył, po czym wstrzymał oddech.

Bolesław powstał i ruszył w kierunku Czambora, a pies podążył za nim. Książę wolnym, miarowym krokiem obchodził gdańszczanina, z wyrazem skupienia na twarzy ręce założył do tyłu. Czambor zdrętwiał, w sali zapanowała cisza przerywana jedynie sapaniem psa obwąchującego kolano gdańszczanina. Po chwili Bolesław powrócił na miejsce za stołem, przywołał gwizdem psa i orzekł:

– Śmieć się, Czamborze, śmieć... Żony jeszcze nie masz, zgadza się?

– Nie zdarzyło się, na razie, znaczy dotąd.

– A widzisz, ja już czwartą poślubię... chociaż serce rwie się do innej... do innej... – Bolesław spoważniał i dodał: – Jeszcze jedno: Gdyby wśród zbójów, których wytropicie, trafili się Niemcy lub Czesi, macie ich żywcem

dostarczyć do Budziszyna, a resztę, jak napomknąłem, wytępić, czyli ubić lub powywieszać. Wyruszacie natychmiast.

– Sami? Bez jazdy? – spytał Gromosław.

– Może całą armią chcecie ruszyć? Na kilku zbirów? Widzisz, Sierściuch? – zwrócił się do swojego psa Bolesław, klepiąc go pieszczotliwie po boku. – Na co nam przyszło? Stary, znękany wojnami władca Polski chyba sam musi na konia wsiąść, skoro poddani strachem przejęci. – Po chwili zastanowienia dodał: – Trzydziestu jeźdźców wystarczy wam. Dobierzcie sobie według uznania, każdy z was przybył tu przecież z własnym oddziałem.

Bolesław podszedł do okna i zapatrzył się w roztaczającą się na zewnątrz miejską scenerię.

Gromosław z przyjaciółmi oczekiwali w niepewności, nie bardzo wiedząc, czy mogą już odejść, czy też czekać na dalsze instrukcje. Randulf wzruszył ramionami, inni odpowiedzieli mu podobnie. Przenosili wzrok z barczystych pleców władcy na lustrujące ich uważnie spod stołu ślepiec Sierściucha. W końcu Bolesław odwrócił się od okna, pytając z udawanym zdziwieniem:

– Na co czekacie? Rozkazy wydane. Ach, pamiętajcie, jedną trzecią ze zdobyczy na wyprawie podzielicie między sobą, reszta do książęcej kasy.

Po opuszczeniu narady Czambor udał się na poszukiwania brata. Znalazłszy go, oznajmił:

– Chodź, Gniewoszu, ze mną do stajni. Potrzebuję twojej rady w ważnej sprawie. – Widząc nieme zdziwienie brata, dodał: – Zdaje się, że los obarczył nas swojakiem, musimy go przepytąć i zadecydować, co z nim zrobimy.

* * *

Wyruszyli w południe na czele niewielkiego podjazdu liczącego trzydziestu jeźdźców. Ze względu na zimową porę wszyscy z nałożonymi na kolczugi skórzanymi kaftanami, dodatkowo obleczeni ciepłymi płaszczami bez rękawów, spiętymi pod szyją klamrami. Jeden z jeźdźców dzierżył powiewający od końskiego pędu sztandar – biały orzeł na czerwonym tle. Zgodnie z rygorystycznym wymogiem Bolesława, by nad wszystkimi oddziałami powiewał znak Polski.

Zdziwienie i niepewność w drużynie wywołał Czambor, przyprowadziwszy na zbiórkę swojego jeńca, na dodatek w pełni uzbrojonego i na własnym koniu, jak się później okazało, kupionym na koszt Czambora. Gdańszczanin oświadczył, że Chyżon nie jest niewolnikiem, a jeńcem został niesłusznie. Poza tym nie jest Lutykiem, tylko Chyżaninem z Roztocza, czyli – tak jak Czambor – znad Morza Słowiańskiego. Z argumentami Czambora nie ma co dyskutować, stwierdzili przyjaciele. Skoro Chyżon znad Morza Słowiańskiego, a do tego jeszcze walczył przeciwko Lutykom... Nie pozostawało nic innego, jak się przedstawić i przyjąć go do grupy. Jedynie Wojomir wtrącił uszczypliwą uwagę, czy aby Czambor się upewnił co do wiary Chyżona, czy on nie poganin...? Sam Chyżon natomiast, na dźwięk imienia Wojomira, począł wpatrywać się we wkrzańskiego wodza z nieskrywanym podziwem i respektem, co uszło uwadze pozostałych.

Po kilku godzinach forsownej jazdy dotarli do Chociebuża. Gromosław, Bernard i Wojomir udali się do grodowego kasztelu dla zasięgnięcia informacji. Reszta podjazdu, w oczekiwaniu na ich powrót, pozostała przed wjazdem na przerzucony przez fosę most.

– Od miesięcy już grasują większe i mniejsze bandy po Łużycach – objaśniał komes grodowy Chociebuża. – Szczególnie na obszarze między Cianią a Dobrym Ługiem, w dorzeczach Dębowej i Czarnej Elstery. Kryją

się po lasach Szprewy albo w dzikich okolicach nad granicą z marchią młodego Thietmara, czy też Tiemmo, jak go zwą. Nie wyłuskam ich. W garnizonie mam tylko sześćdziesięciu ciężkozbrojnych jeźdźców, przeważnie Polacy, reszta Sasi. Natomiast piechota połabska dużo liczniejsza, ale przecież nie wyślę ich na tropienie bandytów, raz, że oni bez koni nic nie wskórają, a dwa, że do obsady grodu potrzebni.

– To co, zostawiacie drogi bez ochrony? – zapytał Gromosław.

– Po drogach krążą nasze podjazdy, nieraz udaje im się wybić jakąś hałastrę. Ale nie mają szans na zmierzenie się z większymi bandami, które bez śladu znikają w niedostępnych kryjówkach.

– Nie możecie ludzi przepytąć, miejscowych? – nalegał Gromosław. – Jeńców torturami do mówienia przymusić?

– Nic nie pomaga – tłumaczył komes. – Ta najgorsza banda ukrywa się gdzieś w lasach Szprewy. To nie są zwykłe zbiry, choć szlachetnie urodzeni, z różnych krajów, podobno Polacy, Sasi, Połabianie, Czesi. Jacyś banici, wygnańcy, dezertrzy, no nie wiem. Powiadają, że przewodzi im sam Stodor.

– Jaki Stodor!? – zapytali jednocześnie Gromosław, Bernard i Wojomir.

– No król Połabia... Tak mawiają ludziska – oznajmił komes.

– Naocznie widzieliśmy rozczłonkowane ciało Stodora nad bramą wjazdową do Radogoszczy – wyrzekł powoli Bernard. – Więc o jakim Stodorze prawicie?

– Mówię tylko, co plotka niesie – tłumaczył się niepewnie komes.

Gromosław, Bernard i Wojomir wpadli w konsternację.

– Wiedziałem, że legendy poczną się rodzić, wiedziałem. – Wojomir przerwał ciszę. – I że Połabie obrodzi w fałszywych Stodorów. Poczciwy rycerzu – zwrócił się do komesa – chyba sami w te brednie nie wierzycie?

– Skądże – odparł zapytany. – Przecież, jak sami twierdzicie, Stodora rozczłonkowano po bitwie na Ciemnych Bagnach. Chociaż po ogniskach śpiewają, że to wy go ubiliście po straszliwej walce...

– Niech dołożą nową strofę do tych pieśni, że zjedliśmy serce Stodora upieczone nad ogniskiem, przyprawione przez Randulfa włoskimi specjałami – wtrącił z przekąsem Bernard.

Chciał coś jeszcze dodać, ale Gromosław powstrzymał go gestem ręki i rzekł:

– Benno, powstrzymaj się. Jeszcze tego brakuje, żeby Wojomir ze swoimi połabskimi stworkami wyskoczył, szczekującami i waszarkami. Dość – skwitował, po czym zwrócił się do komesa: – Stodora już nie ma, a ten, o którym mówicie, to jakiś podszywający się oszust...

– Nie waszarki, tylko waszarki-straszaki. – Wojomir udawał obrażonego. – Jeszcze was dorwą, wstrętne, ohydne wraszaki...

– ...Wiedziecie coś więcej o bandzie tego niby-Stodora? – wypytał dalej Gromo, ignorując Wojomira. – Gdzie napadają? Biorą łupy? Uprawdzają ludność?

– Napadami okoliczne wsie i osady w postrachu trzymają, uprawdzają kobiety, grabią żywność, dobytek, na drogach karawany łupią i podróżników. W Tornowie spalili drewniany kościółek, zabijając duchownych i grabiąc mienie, w Kalawie uprawdzili osiem młodych kobiet... Pytajcie chłopów po wsiach – radził, a wskazując na Wojomira, dodał: – może ten Połabianin coś z nich wyciśnie.

Więcej nie zdołali się dowiedzieć. Powrócili do oczekującego przed mostem podjazdu i zdali relację pozostałym.

– Do wieczora jeszcze sporo czasu – stwierdził Gromosław. – Ruszamy natychmiast w stronę lasów Szprewy. W każdej napotkanej osadzie przepytujemy wszystkich mieszkańców – zadecydował.

– W stronę lasów Szprewy? – zapytał Wojomir. – Jak myślisz, Gromo, jak wielki jest ten teren? Chcesz na wschód, zachód, północ? Wiesz, ile tam jest osad, pomniejszych grodów, siół, wiosek? Jedyne niektóre z nich zezwalały na dotarcie obcemu podróżnikowi, większość natomiast poukrywana w niedostępnych miejscach strzeżonych tajemnymi przejściami.

Gromosław wpatrywał się w Wojomira z namysłem. Wydał wargi w geście rezygnacji, rozłożył teatralnie ręce:

– Masz rację, to twój kraj, masz rację. Zatem posłuż nam radą.

– Komes grodowy Chociebuża wspomniał o Tornowie i Kalawie – rozpoczął Wojomir po chwili – które położone są na zachód od Chociebuża, niecałe trzy mile. Tornowo to gród średniej wielkości z porządnymi wałami, Kalawa to zaledwie większa wieś otoczona prymitywnym wałem ochronnym. Taka banda operuje zazwyczaj w promieniu kilku mil od zbójckiej siedziby. Musimy podążać w tamtym kierunku. Jest tam pewna osada, Wietoszów, którą przed laty zdarzyło mi się częstokroć odwiedzać, może żyją tam jeszcze jacyś znajomkowie, u których mógłbym się czegoś wywiedzieć.

– Czyli na Wietoszów – zarządził Gromosław. – Wskazuj drogę, Wojomirze.

– Gromo, zanocujemy w Wietoszowie, czy chcesz tropić zbójów do upadłego, całą noc? – spytał rzeczowo Bernard.

– Benno, nie wiem – odparł zapytany. – Wszystko zależy od okoliczności i rozwoju sytuacji. Zima zimą, ale jak trzeba będzie, to przenocujemy w lesie, każdy pod własną płachetką.

Popędzili konie. W okolicy domniemanego Wietoszowa dotarli szybko, natomiast sporo czasu zajęło im odnalezienie osady. Wysunięty do przodu Wojomir kluczył koniem to tu, to tam. Przystawał, rozglądał się, zawracał.

Posuwali się za nim zgodnie, posłusznie i w milczeniu, niczym stadko młodych kaczuszek za matką, po raz pierwszy wypuszczonych na wodę. Bez Wojomira już dawno zatraciliby orientację. Wszędzie wokół to samo: nieprzebyte lasy, rzeki, potoki, jeziorka, bagna, trzęsawiska, od czasu do czasu polanki. Żadnych śladów ludzkiej obecności, rzadko wąskie drogi, raczej ścieżkom podobne, niespodziewanie się otwierające i jeszcze raptowniej znikające w leśnej gęstwinie lub na brzegu jakiejś rzeczki. Wojomir nieraz im opowiadał, już za poprzednich przygód, że tutejsi ludzie poruszają się głównie szlakami wodnymi, a drogi lądowe blokowane są przesiekami i sztucznymi zaporami. Jedynie miejscowi wiedzą, jak je obejść, by się nie zagubić.

Parokrotnie zauważali dymy snujące się w oddali ponad koronami lasów, znakiem czego nie brakowało tutaj ludzkich osad. Tylko jak do nich dotrzeć? Na szczęście mieli ze sobą Wojomira, który podczas postoju napomknął mimochodem, że przed laty, gdy bywał w lasach Szprewy, przez krótki czas dowodził załogą niewielkiego grodu. Tym ostatnim wynurzeniem zadziwił swych przyjaciół. Jak to? Tyle nieprzeliczonych godzin spędzili wspólnie, goniąc przez prawie dwa lata za włóczęgą świętego Maurycego, tyle sobie nawzajem naopowiadali, a o tym, że Wojomir dowodził łużyckim grodem dowiadują się dopiero teraz? Wojomir zripostował, że na samym początku ich znajomości, wtedy gdy szli na odsiecz Kopanika i wcielili go po drodze do drużyny i na służbę u Bolesława, to przecież napomknął im nieco o swojej przeszłości: że był na przemian i pod różnymi znakami wodzem, komesem grodowym, przywódcą wsi, dowódcą, banitą, uciekinierem, i to w różnych częściach wkrzańskiego, szprewiańskiego i łużyckiego Połabia. Przyjdzie czas, to im opowie dokładniej.

Po postoju ruszyli dalej. Gdy minęli kolejną polanę, Wojomir jadący na przodzie dał znak ręką, by się zatrzymali, i podjechał do nich.

– Za krańcem lasu na prawo rozłożone jest pole uprawne z niewielką osadą pośrodku. Poznają, to są Kosowiki. Kilka chałup i zagród. Podjadę i rozpytam się, tylko potrzebuję jednego z was u boku, dzierżącego polską chorągiew, żeby nas ostrożne ludziska z łuków nie ubili, myśląc z wrogami.

– Jeżeli rozpoznasz znajomą osadę, to chyba wiesz już, gdzie jesteśmy i jak dotrzeć do Wietoszowa? – zapytał Gromosław.

– Zgadza się – przyznał Wojomir. – Chcę zasięgnąć w Kosowikach języka, może dowiemy się czegoś istotnego o bandytach.

Czambor odebrał jednemu z jeźdźców chorągiew i pocwałował z Wojomirem w kierunku Kosowików. Powrócili szybko. Czambor odmachnął jedynie przecząco ręką na nieme pytanie Gromosława. Nic się nie dowiedzieli.

– Ludzie w osadzie mocno wystraszeni, czternastu zbrojnych mężów zaledwie. Spoglądali na nas ponuro – relacjonował Wojomir. – Mówią, że zbóje wpadają do nich sporadycznie, niespodziewanie, zabierają nieco żywności, nieraz kozę, i znikają. Nie ma co tracić czasu, chcecie chyba dotrzeć do Wietoszowa przed wieczorem?

Nie chcieli tracić czasu. Wojomir prowadził ich teraz prosto do celu. Minęli niewielkie zalesione wzgórze – niezbyt częsty widok w tych równinnych okolicach – sforsowali bez przeszkód cztery płytkie rzeczki, ominęli rozległe trzęsawisko porośnięte starymi bukami, zagłębili się w długą, prostą przecinkę. Po obu bokach gęsta puszcza, że nawet konia nie wprowadzisz. Na końcu przecinki prześwitywała w wieczornym słońcu polana. Okazało się, że nie była to polana, lecz większe łąki, a za nimi ponownie ciągnęły się rzeczki i las z zabudowaniami na krańcu.

Wieś chronił od strony łąki niewysoki, niższy od wzrostu człowieka wał obronny – prymitywny, sklecony z kolczastych chaszczy. Sponad chałup wiły się w niebo słupy dymów z kominów. Wojomir krzychał już, że zbliżają się do Wietoszowa, a Czambor dodał, że na prawym końcu wsi, na odosobnieniu, widać młyn nad rzeczką, gdy nagle doleciało ich szczekanie psów. Nie takie, jak u zwykłych psów, jak to przy osadach zwyczajna rzecz, ale potężne w sile ujadanie co najmniej całej sfory. Ciężkie w tonacji, chrapliwe. Pędzące konie wpadły w panikę i zatrzymały gwałtownie pęd, zrzucając jednego nieostrożnego jeźdźca na ziemię.

– Co oni tam potwory jakieś z bajek Wojomira trzymają? – zakrzyknął Bernard.

Teraz dopiero dojrzeli sylwetki około trzydziestu uzbrojonych, rozstawionych za sięgającym im do piersi wałem.

Gromosław, Randulf, Czambor, Bernard i Wojomir ruszyli powoli w stronę wsi, uspokoiwszy nieco spłoszone konie. Czambor jechał z dzierzonym w lewej ręce sztandarem z polskim orłem. Na jakieś czterdzieści kroków przed chaszczami zakrzyknięto do nich, by zsiadli z koni i podeszli pieszo. Ujadanie piekielnych bestii ustało, jak na rozkaz niewidzialnej mocy. Na kilka kroków przed chaszczami zbrojni opuścili wymierzone dotąd w nich łuki, w chaszczach rozwarła się furtka i naprzeciwko nich... wyszła kobieta odziana w prosty, rozpięty kaftan bojowy. Bez hełmu i tarczy, jedynie z mieczem zatkniętym w zwykłą pochwę. Rozrzucone, gęste jasne włosy, koszula pod kaftanem z głębokim wycięciem na dekolcie, spodnie na męską modłę, długie po kolana buty z miękkiej, rudawej skóry. Wysoka, wysportowana, mimo że nieco po trzydziestce, niezwykle powabna i czarująca kobiecą pięknnością. Zbliżyła się do nich z uśmiechem na twarzy.

– Co nam tu niebiosa i zakazane wyrocznie zesłały! – rzekła. – Niby pod polskim znakiem, a wyglądacie jak grupa wędrujących kuglarzy, każdy inny. – Raptem, dojrawszy Wojomira zakrzyknęła: – Wojomir!

– Śmiałucha... – odpowiedział głosem nasiąkniętym niepewnością Wojomir. A może podszytym strachem, jak się wydawać mogło przyjaciołom.

Śmiałucha podeszła do Wojomira, klepnęła go rękoma po ramionach, pocałowała w policzek i, śmiejąc się, rzekła:

– Wojomirek mój najmilszy, nareszcie się pokazał po tylu latach... Odważny taki, i wojsko całe przyprowadził do pomocy...

– Śmiałucha, proszę... – Usiłował oponować zmieszany Wojomir. – Stare i przeszłe czasy... Mamy ważną misję do spełnienia... Ty przewodzisz teraz wsią?

– A przewodzę! – odparła zalotnie. – Wszystkimi chłopami we wsi, oszczepami pomachują wedle mego widzimi się.

Drużyna stała jak wmurowana w ziemię, wodząc wzrokiem za przechadzającą się przed nimi powolnym krokiem Śmiałuchą. Niczym mali chłopcy złapani na niecnym uczynku, niewiedzący jak się zachować i co zrobić z rękoma.

– Żonatyś? – Śmiałucha zatrzymała się ponownie przed Wojomirem.

– Żonaty – odparł dumnie Wojomir, odzyskując powoli rezon. – Mam trójkę dzieci, wspaniałą małżonkę, Bożejkę, którą kocham ponad wszystko, teścia, który jest mi przyjacielem...

– Dobrze, dobrze. – Przerwała mu Śmiałucha. Poglaskała go lekko po ramieniu. – Nie denerwuj się, Wojomirku. Z czym przybywacie?

– Mamy do spełnienia misję w lasach. Chcemy porozmawiać z mieszkańcami wsi.

– Gdzie są te psy, które nas o mało z koni nie zwały piekielnym jazgotem? – spytał niespodziewanie Randulf.

Śmiałucha poprowadziła ich przejściem w zaporze. Uśmiechając się do Randulfa, wskazała ręką na plac przed chatami. Stało tam sześciu rozstawionych w rzędzie wojowników. Każdy ścisnął obiema dłońmi pęk pięciu krótkich smyczy, na końcu każdej uczepony był pies. Razem trzydzieści psów. Wielkich, sięgających człowiekowi powyżej pasa. Czarnych, umięśnionych, z głowami wielkości wiadra, ze ślepiami nabiegłymi krwią, z wyszczerzonymi zębiskami. Bestie. Na widok przybyszów zwierzęta poczęły warczeć, naprężyć smycze.

– Cerbery – wyszeptał Randulf.

Spozierający nań kątem oka Czambor również szeptem spytał:

– Cerbery?

– Psy piekielne strzegące dostępu do krainy umarłych... – wyjaśnił cicho Longobardczyk.

Śmiałucha wykonała ręką znak, a psy położyły się potulnie i skomlały przymilnie.

– Moje pieski – oznajmiła z dumą. – Grzeczne i posłuszne. Potwory, gdy je napuszczę na wroga. Przegryzają jeźdźca z koniem i wypluwają siodło. Ale ale, chodźcie, zaprowadzę was do wyszynku, to porozmawiamy przy stawie i napitku.

Udali się za nią zgodnie w stronę gospody. Spora ta wieś, myślał Gromosław i rozglądał się z ciekawością, skoro i karcznię, i młyn mają, a i dym z kuźni się unosi. Bernard orzekł, że sprowadzi do wsi czekający pod lasem podjazd i wtedy do nich dołączy. Ponieważ Śmiałucha oznajmiła, że musi wydać jeszcze kilka dyspozycji, przez jakiś czas pozostali sami.

– Wojomirek??? – zapytał Połabianina Gromosław.

Wojomir odsapnął głęboko, opuścił nieco głowę, spojrzał zrezygnowanym wzrokiem w polepę wyszynku, jakby szukał tam pomocy, w końcu, aczkolwiek z wyczuwalną niechęcią w głosie, rozpoczął opowieść:

– Przed kilkunastoma laty, mimo że młodym wojownikiem będąc, zostałem mianowany dowódcą pewnego niewielkiego grodu, niedaleko stąd. Wtedy nadeszły lutyckie oddziały prowadzone przez Stodora. Tak, tak, wtedy jeszcze znany nam Stodor był tylko jednym z dowódców u Lutyków. Zdobył on nasz gródek nawałą pierwszego szturmu, a mnie wrzucił do ziemnego lochu zwanego sralnicą. Ale przecież o tym już wam kiedyś opowiadałem. Wracając do mojego krótkiego, może kilkumiesięcznego dowodzenia owym grodem. Zapuściłem się kiedyś do Wietoszowa, zapoznałem tutaj Śmiałuchę, no i rzuciliśmy się oboje w wir szalonej, ale krótkotrwałej miłości. To wszystko.

Nie zdążyli go dalej wypytywać, ponieważ niemal jednocześnie powrócili Śmiałucha i Bernard.

Racząc się strawą, słuchali opowieści Śmiałuchy. Jej mąż i brat zginęli na wojnie, pełniąc służbę w polskich oddziałach, mąż przed półtora rokiem, brat przed rokiem. Została nagle sama z siedmioletnim synem. Na szczęście mieli uzbierany całkiem pokaźny majątek. Żołd męża i brata, łupy i wojenne zdobycze, nazbierało się tego. Wykupiła młyn od sąsiadki, która również straciła na wojnie wszystkich mężczyzn w rodzinie, następnie kupiła wyszynk i kuźnię. Śmiałucha awansowała na najzamożniejszego mieszkańca wsi, czym zdobyła posłuch i уваżanie wśród pozostałych. A że z natury była bojowo nastawiona do życia i obrotna w zarządzaniu, wnet stała się nieoficjalną przywódczynią wsi. Respektowano jej rady, słuchano poleceń. Ktoś musiał przejąć zarządzanie, tym bardziej że wielu mężczyzn poszło na wojnę. Wieś prosperowała pomimo toczącej się wokół wojennej

zawieruchy. Przed niecałym rokiem w okolicy pojawiła się banda. Nie jakaś tam zwykła zbójcka hałastrą, z takimi to wieś poradziłyby sobie bez trudu, ale spory, co najmniej czterdziestoosobowy, oddział ciężkozbrojnej jazdy. Zbieranina z wielu nacji, znakomicie obeznani w wojowaniu mężowie, na dodatek nie pospółstwo, lecz rycerze z możliwych rodów. Niemcy, Polacy, Połabianie różnych plemion, Czesi, a i dwóch Duńczyków zauważono.

– Tych przecież szukamy! – Wszedł jej w słowo rozgorączkowany Bernard. – Czy o oszukańczym Stodo...

– Benno, uspokójże się. – Pohamował go Randulf. – Pozwólmy pięknej kobiecie do końca wszystko opowiedzieć.

Śmiałucha obdarzyła Randulfa czarownym uśmiechem i podjęła przerwana opowieść. Przez pierwsze miesiące występki bandytów ograniczały się do napadania na okoliczne osady. Grabili żywność, dobytek, nieraz uprowadzali ludzi. Nieśmiało sobie poczynali, nie byli jeszcze zbyt liczni. Ale już wtedy moc zła narobili, nierzadko zostawiając po sobie trupy tych, co stawiali opór. Z czasem urosli w siłę i ich rozboje nabrały rozpędu, rzucili postrach na cały region między Chociebużem, Cianią i południową granicą Kopanika. Rozbijali w pył drobne patrole garnizonów grodowych. Wietoszów ograbili doszczętnie dwa razy. Zanim doszło do następnego napadu, Śmiałucha wpadła na pomysł. Udała się na targi do Chociebuża, Lubina w lasach Szprewy i Budziszyna. Zakupiła za olbrzymią sumę srebra ponad trzydzieści wielkich psów bojowej rasy w wieku nadającym się do tresury. Wychowała je, nauczyła posłuszeństwa. Traktują ją jak matkę stada, przywódczynię. Reagują bezwiednie na jej tajemne gesty i znaki. Bestie okazały się śmiertelnością i skuteczną bronią przeciwko bandzie. Gdy zbójcy pojawiły się po raz trzeci na przedpolach wsi, Śmiałucha puściła psy do ataku. Nie sposób tego opisać. Krwawa rzeź i jatka. Zanim bandyci się opamiętali, zanim wyszli z szoku, trzech z nich i cztery konie zostali

rozszarpani na strzępy. Ci, którzy zdołali podjechać pod zaporę, dostali się pod ostrzał łuków Wietoszan. Banda próbowała jeszcze napadu w nocy, z podobnym skutkiem. Od tego czasu omijają Wietoszków szerokim łukiem. We wsi wzniesiono dwie wielkie szopy, trzymane w nich psy się parzą, skutkiem czego rodzą się szczenięta. Doszło do tego, że sprzedają nieraz niektóre sztuki na targach w większych grodach. Sami mają trzydzieści osiem dorosłych bestii, z czego trzydzieści jest na zmianę na nieustannym posterunku strażniczym. Jak karmi sfore? W lasach nie brakuje zwierzyny. Psy przeważnie same znajdują sobie pokarm.

– A czy podejrzewasz, gdzie siedziba bandytów? – spytał Wojomir.

– A i owszem – odpowiedziała hardo i, wprawiając Wojomira w osłupienie, wyjaśniła: – Podejrzewam, że siedzą w twoim dawnym gródku, Wojomirku, w Raduszu, którym kiedyś dowodziłeś. Pewna nie jestem, ale po pierwsze, ich zbójckie gniazdo musi być gdzieś niedaleko w nieprzebytych głębiach błot lasów Szprewy. A po drugie, ponoć banda siedzi w niewielkim gródku o niespotykanej konstrukcji wałów, położonym w całkowicie niedostępnym dla niewtajemniczonych terenie. Powiedział mi to pewnego razu pomocnik kowala w Ciani jakiś Polak, z którym wdałam się w rozmowę. Opowiadał, że wyrwał się z niewoli u zbójów. Mówił, że te wały wokół gródka nie miały swojskiego wyglądu, jak w naszych czy polskich grodach w zwyczaju, ale posiadały dziwną konstrukcję: lico wałów nie było przykryte warstwą ziemi i darni, lecz całkowicie odkryte, złożone z poukładanych warstwami grubych belek, tyle że na przemian, raz warstwa poprzeczna, raz równoległa.

– Nie może być! – Obruszył się Wojomir. – Nie może być! Opis Śmiałuchy przywrócił mi wspomnienia – zwrócił się do przyjaciół z rozognionymi oczyma. – Jest tylko jeden gród, lub raczej gródek,

w lasach Szprewy o wspomnianej przez Śmiałuchę konstrukcji wałów, Radusz!

– Wiesz, jak tam dotrzeć? – spytali wszyscy naraz.

– Pewnie, że wiem!

– Naradzamy się! – zarządził Gromosław.

Słyszając to, Śmiałucha wstała od wspólnego stołu i opuściła wyszynk.

Wojomir jął wszystko objaśniać drużynie. Gród Radusz leżał w głębokiej, niedostępnej puszczy na wodach i bagnach. Ale od północy prowadziła doń całkiem dostępna droga. Przynajmniej kiedyś. Dlaczego od północy? Otóż Radusz należał pierwotnie do Szprewian. Wzniesli go przed wieloma pokoleniami na ich południowej granicy jako wysunięty posterunek przeciwko Łużyczanom. Stąd od północy wiodła droga, natomiast od wschodu, południa i zachodu, czyli od strony Łużyczan, swobodny dostęp utrudniały, wręcz uniemożliwiały warunki terenowe. Łużycanie jednak zdobyli gród i wcielili w ich system obronny. Ale warunki terenowe i możliwości dostępu pozostały bez zmian. Wojomir wskazał na dwie możliwości dostania się do grodu. Okrążą od zachodu lasy Szprewy, skręcają na prawo i spróbują odnaleźć wspomnianą drogę wiodącą z północy do Radusza. Stracą przy tym bardzo dużo czasu i nie zdążą z wykonaniem zadania, trzeba przecież jeszcze liczyć drogę powrotną do Budziszyna, by zdążyć wrócić na uroczystości podpisania pokoju. A poza tym Wojomir nie był pewien, czy ta droga jeszcze istnieje. Druga możliwość to podejście od południa, bezpośrednio z Wietoszowa. Szkopuł w tym, że muszą się przebić przez wspomniane warunki terenowe. Na pewno gdzieś po drodze będą musieli zostawić konie i podążać dalej pieszo. Mają jednak szczęście, że on, Wojomir, należy do ich drużyny. Bo tylko on zna tajemne przejścia. Są dwa.

Pierwsze, gdy dojdą do rozległego bagniska w środku lasów. Pozornie nie do przejścia. Pozornie tylko. Pod ciemną wodą skrywają się wielkie polne kamienie, rozstawione jeden od drugiego o niecały krok, prowadzące rzędem na drugi brzeg. Kamienie skryte są płytko pod powierzchnią wody, na szerokość dłoni. Można zatem swobodnie po nich przejść, ale dla kogoś nieobeznanego są po prostu niewidoczne. W przysłoniętej mchem dziupli stojącego na brzegu trzęsawiska starego dębu znajduje się mechanizm. Zwykły kołowrót nawijający lub odwijający ukrytą linę ze splecionych sznurów. Drugi kołowrót, podobnie ukryty, znajduje się po drugiej stronie bagna. Nawijana lina wypycha na powierzchnię bagna paliki, przy każdym kamieniu jeden. Wtedy widać przejście. Odwijanie liny skrywa paliki ponownie pod wodą.

Drugie tajemne przejście znajduje się już niecałe sto kroków od grodu. Prowadząca leśną gęstwiną ścieżka urywa się raptem przed zaporą z gęstych chaszcz. Wygląda naturalnie. Tutaj, podobnie jak przy pierwszym tajemnym przejściu, mechanizm jest również ukryty w dębowej dziupli. Zwykły hebel, który porusza ukrytą linę. Hebel na dół – lina podnosi pozornie nieprzebyte chaszcz, ukazując dalszy bieg ścieżki. Hebel do góry – lina opuszcza chaszcz na pierwotne miejsce.

– Wyruszamy bez zwłoki jutro przed świtem całym podjazdem – zarządził Gromosław. – Wszyscy natychmiast na spoczynek, przygotowano nam już kwatery w szopach.

– Chyba nie w szopach z tymi psami. – Obruszył się Czambor.

– To ja pójdę do Śmiałuchy, żeby mi pokazała, jak działają urządzenia w młynie – oznajmił Randulf.

– Młyn w zimę nieczynny – rzekł z przekąsem do Randulfa Bernard. – Co ty tam chcesz mieć?

– Pamiętaj! – zawołał za odchodzącym Randulfem Gromosław. – Jutro przed świtaniem! Wyspany!

* * *

Wyruszyli po szybkim posiłku na trzy godziny przed świtem. Księżyc w pełni oświetlał pomocnie drogę. Prowadzący przodem Wojomir przystawał często, rozglądał się, nieraz oddalał się od nich samotnie, dając znak, by czekali. Wyczuwali, że kluczy, szukając drogi. Dotarłszy do pierwszego wspomnianego przez Wojomira tajnego przejścia, zmuszeni byli pozostawić konie na polance przed bagnem. Gromosław ociągał się z decyzją. Ilu strażników zostawić dla ochrony, dwóch, trzech? Każdy miecz się liczył w nadchodzącym starciu z bandą. Dysponował trzydziestoma ciężkozbrojnymi jeźdźcami, do tego on i jego przyjaciele, czyli pięciu, oprócz tego ten Chyżon. W sumie trzydziestu sześciu. W Raduszu mogło stacjonować nawet czterdziestu zbójów, jak nie więcej. Po krótkiej naradzie Gromosław pozostawił trzech zbrojnych przy koniach.

Pokonali bagno, mocząc jedynie nieco buty na zanurzonych lekko pod wodą kamieniach. Gdyby była normalna, ostra zima, tak jak zawsze, to przeszlibyśmy po lodzie, bez pomocy sztuczek Wojomira, przemknęło Gromosławowi przez głowę. Ale z drugiej strony patrząc, sam sobie w myślach dopowiedział, bez Wojomira i jego obeznania z okolicą siedzielibyśmy nadal w Chociebużu, bez szans na znalezienie Radusza.

Posuwając się gęsiego, dotarli do drugiego tajemnego przejścia. Wojomir pogmerał w dziupli, uruchomił hebel, a skłębione w nieprzebyty gąszcz kolczaste pałaki, stwardniałe na kamień ze starości, uniosły się w górę, ukazując dalszy bieg ścieżki. Po około pięćdziesięciu krokach Wojomir zatrzymał wszystkich na niewielkiej przesiece, nakazując gestem,

by zachowali ciszę. Akurat zorza po prawej stronie zapowiadała nastanie przedświtu. Porozumiewali się szeptem. Wojomir oznajmił:

– Przed nami jeszcze dwadzieścia kroków, ściana lasu się urywa, a dalej już w odległości następnych trzydziestu kroków wały Radusza.

– Nie zdążyliśmy przed wstaniem słońca – rzekł zawiedzionym głosem Randulf. - Niedobrze, za dnia o wiele ciężiej zaatakować z zaskoczenia.

– Staralem się, jak mogłem – odparł Wojomir.

– Podejdźmy do krańca lasu i przyjrzyjmy się grodowi – zdecydował Gromosław. – Tylko my, podjazd niech tu czeka.

Nie zauważyli, że Chyżon przyłączył się do nich, zamiast zostać przy oddziale.

Na krańcu lasu wyjrzeli ostrożnie, wykorzystując osłonę bezlistnych o tej porze gałęzi. Tak jak opisał to Wojomir, Radusz z ledwością zasługiwał na miano gródka – kolisty, o niewielkiej średnicy, ale o stosunkowo wysokim wale uwieńczonym prostą drewnianą palisadą z szerokimi blankami. Faktycznie, konstrukcja wału była nietypowa, warstwy grubych belek ustawiono na przemian poprzecznie i wzdłuż, szczeliny wypełniono zaprawą. Podnóże wału okalała szeroka na ponad pięć kroków fosa bez wody. Bramę, widoczną w wale od ich strony, łączył z drugim krańcem fosy szeroki pomost, być może ruchomy. Wojomir objaśniał im dalsze szczegóły, niewidoczne dla obserwatora z zewnątrz. Wał na szczycie szeroki był na dziesięć kroków, co dawało dużo miejsca obrońcom. Powierzchnia wewnątrz grodu niewielka, średnica niecałe czterdzieści kroków. Wokół wewnętrznej podstawy wału ciągnął się pierścień zabudowań: chaty mieszkalne, pomieszczenia gospodarcze, stajnia. Po przeciwnej do nich stronie grodu w wał wbudowana była druga brama prowadząca na drogę północną. Zdziwili się. Dwie bramy? Tak, potwierdził Wojomir, dwie. Niespotykane i tajemnicze na tym terenie. Znał

około czterdzieści podobnych małych grodów w lasach Szprewy, ale ten jest jedyny z dwiema bramami. To nie wszystko. Wewnątrz na placu znajdowały się cztery studnie, co też jest nietypowe. Od kiedy pamiętał, używano wyłącznie jednej studni, trzy pozostałe zasypano śmieciami.

Zauważyli, że na koronie wałów pojawili się zbrojni. Warty. Wycofali się z miejsca obserwacji na kilka kroków, by się naradzić.

– Co ty tu robisz? – spytał Chyżona zaskoczony Gromosław. – Twoje miejsce wśród pozostałych w oddziale.

– Przecież należę do was – odpowiedział rezolutnie zapytany.

– Do nas? – Zdziwił się Bernard.

– Do waszej grupy.

– Do naszej grupy? – powtórzył Randulf. – Czambor, co ty na to?

– No, jest moim giermkim. – Gdańszczanin wzruszył ramionami. – Znaczy na próbę – dodał, spozierając groźnie na Chyżona.

– Niech tak zostanie. – Gromosław machnął ręką. – Wracaj do oddziału – rozkazał Chyżonowi.

– Sługa i jeniec... – zaczął rozbawionym głosem Wojomir. – U Czambora można szybko awansować, szybko.

– Odczep się – odparł Czambor.

– Bo co? – podjął zadziornie Wojomir. – Ile go znasz? I na ile? Może szpieg, może czeka tylko na okazję?

– Wojomirku przemiły – rzekł słodkim głosem naśladującym Śmiałuchę Randulf. – Słyszałeś, odczep się od Czambora. Ciebie też kiedyś z drogi zebraliśmy.

– Mówiłem, mówiłem – prawił Wojomir, jakby sam do siebie. – Jeden gada za drugiego. Coraz wyraźniejsze oznaki, że Randulf i Czambor zakochali się w sobie.

– Wojomir ma rację – oświadczył do Czambora Gromosław. – Z tym Chyżonem, mam na myśli. Miej większe baczenie na swojego pomocnika. Radźmy w końcu jak zaatakować Radusz.

– Najprawdopodobniej jest nas mniej od obrońców – zawyrokował Bernard. – Zanim dopadniemy wału, wystrzelają nas z łuków jak jelenie.

– Możemy zaatakować jednocześnie z dwóch stron – uzupełnił Randulf. – Jak wspomniał Wojomir, są dwie bramy. Wtedy muszą się rozdzielić.

– My też musimy się rozdzielić, żeby atakować z dwóch stron – stwierdził Gromosław.

– Zapomnijcie o szturmie – wtrącił Czambor. – Nie damy rady. Słyszeliście, to nie są zwykłe miejscowe wojaki, lecz przedni rycerze, świetnie uzbrojeni i w bitwach doświadczeni.

– Czambor ma w pełni rację – poparł go Wojomir. – Trzeba sposobem. Chytrym podstępem.

– Udamy, że transportujemy kolumnę jeńców, wpuszczą do grodu, a wtedy... – zaproponował Bernard.

– Nie podziela. – Przerwał mu Gromosław. – Skąd tu raptem regularny oddział z jeńcami? Pomyśl, przecież tam siedzą dezertyrzy, zdrajcy, banici, sam nie wiem, kto jeszcze. Tym bardziej zarzucą nas strzałami.

– Pośród nich fałszywy Stodor, nieprawdaż? – zapytał Czambor. – Trzeba ich zatem sprowokować do otwarcia bramy, obrzucając tegoż niby Stodora najgorszymi wyzwiskami... Może wyjdzie na pojedynek albo wyśle kilku swoich, ważne, że roztworzą bramę, a wtedy reszta rzuci się na nią z ukrycia.

– Świetnie, Czambor! – pochwalił go z namysłem Wojomir. – Po tym, co powiedziałaś, zaczyna mi świtać plan. Słuchajcie, najlepsze ukrywałem

na koniec. Jest podziemny tunel prowadzący stąd, pod fosą, do jednej z nieużywanych studni.

– Dopiero teraz o tym mówisz? – Zdziwił się Gromosław.

– Chciałem się trochę z wami podroczyć, za tego Wojomirka.

– Przestań, Wojomir, na żartach się nie znasz? – Skonfundował się Bernard. – A zresztą teraz mamy Randulfka, który z młynarką całą noc mechanizmy badał...

– Spokojnie, przyjaciele. – Uspokajał ich Wojomir. – Musiałem sobie wszystko poukładać w głowie. Jest tunel. Pamiętacie, jak opowiadałem o tej sralnicy, w którą mnie wrzucił Stodor przed wieloma laty? To właśnie była jedna z tych zawalonych odpadkami studni. Po czterech dniach, siedząc na jej dnie, zacząłem grzebać wokół i znalazłem zamaskowany otwór, klapę wbudowaną w drewniane lico studni. Za klapą otwierał się obszerny tunel, niemal na wysokość wyprostowanego człowieka, którym dotarłem na drugą stronę grodu. Tam – powiedział, wskazując ręką nieopodal miejsca, gdzie siedzieli – za tym wielkim głazem, jest zamaskowana przykrywa w ziemi, wyjście z tunelu.

Czambor zgłosił się na ochotnika, który podejdzie pod bramę i sprowokuje obrońców. W tym czasie większość podjazdu powinna przejść tunelem, wyjść pośrodku grodu i zaatakować bandytów. Przy Czamborze miało pozostać jedynie sześciu zbrojnych, zamaskowanych z tyłu. Na dany przez Czambora znak jeden z nich zadmie w róg bojowy, pożyczony od Gromosława, jako sygnał do ataku dla czających się przy wyjściu tunelu w grodzie. Jednocześnie Czambor i jego niewielka grupa rzucą się na otwartą bramę.

– Wszystko składnie zaplanowane – zauważył Bernard – tylko jak uchronić Czambora przed strzałami i oszczepami wrogów? Szału przecież dostaną, gdy podejdzie samotnie pod bramę i zacznie ich prowokować

z niewielkiego dystansu. Trzeba go oblec z przodu warstwami skórzanych kaftanów i pancerzy.

Zabrali się do dzieła, zwlekając z siebie nawzajem części uzbrojenia i odzieży ochronnej. Czambor, rozebrawszy się wprzód do samej koszuli, przywdziewał po kolei: kaftan z miękkiej skóry, kolczugę, grubą, bawełnianą przeszywanicę, znowu kolczugę, kaftan kolczy. Czambor był za duży na ich zbroje. Randulf odpiął swoje naramienniki, piękne w wykonaniu i masywne nakładające się nawzajem pasy grubych żelaznych kręgów sięgających od ramienia do połowy łokcia. Przypiął je Czamborowi. Bernard zdjął długą po kolana kolczugę. Przez głowę Czambora nie można już było jej przecisnąć, przymocowali ją prymitywnie na przodzie korpusu zawiązaniami. Na całość narzucili wielką Czamborową tunikę maskującą wszystko. W lewej ręce miał dzierżyć tarczę, rantem na wysokości nosa, dzięki czemu pozostawała jedynie szpara dla oczu między tarczą a brzegiem hełmu. W prawą rękę wcisnęli mu miecz.

– Możesz się w ogóle poruszać? – spytał gdańszczanina zatroskany Randulf.

– Prawdę mówiąc, mogę jedynie z ledwością – odpowiedział Czambor. – Przygniata mnie to wszystko, ale przynajmniej mogę powoli kroczyć do przodu.

– Strzała od przodu nic ci nie uczyni, ani oszczep – zawyrokował Gromosław. – Zresztą masz tarczę. Gorzej, gdy przyjdzie ci podjąć walkę, bo jak kilku z nich wyskoczy przed bramę...

– Do tego czasu musicie już zarzynać ich w środku – odparł Czambor. – A za mną wyskoczy na pomoc sześciu naszych.

– Wyglądasz jak legendarny Golem z Biblii – ocenił Randulf. – Zważaj na siebie, przyjacielu.

Gromosław, Bernard, Randulf i dwudziestu dwóch ciężkozbrojnych z podjazdu podążyło za Wojomirem w stronę ukrytego wejścia do tunelu. Pozostałych pięciu wojowników z podjazdu wraz z Chyżonem przyczaili się na skraju lasu. Roztoczanin uzbrojony jedynie w oszczep i z rogiem bojowym Gromosława zawieszonym przez szyję na łańcuchu.

Z chwilą, gdy grupa z Gromosławem zniknęła w czeluściach tunelu, Czambor odmówił w duchu trzy pacierze, po czym ruszył mozolnie, powolnym krokiem w stronę pomostu nad fosą. Mijając ukrytych na linii lasu wojowników i Chyżona, przypomniał mu: gdy zakrzyknie, mają dąć w róg i rzucić mu się do pomocy. Zwały narzuconych nań uzbrojeń ciążyły mu niepomierne. Doszedł do fosy, jeszcze go nie dojrzeli na koronie. Postawił pierwszy krok na drewnianym pomoście. Huknęło od ciężkiego kroku. Między blankami zaroilo się od wojowników z naprężonymi cięciwami łuków.

– Stój, durniu! – zakrzyknięto. W głosie krzyczącego pobrzmiwała panika.

Aha, pomyślał Czambor, saski akcent.

– Coś za jeden? – Doleciało ponownie z palisady.

– Stodor! – odkrzyknął tubalnie Czambor. – Prawdziwy Stodor! Król Połabia!

Poleciała pierwsza strzała i utknęła w grubych zwojach opancerzenia gdańszczanina. Czambor nawet nie poczuł na dobre uderzenia. Poleciała następna, zdążył ją odbić tarczą. Ktoś miotnął oszczepem. Wbił się w pierwsze warstwy osłony na wysokości pasa, zgrzytając ostrzem na żelazie, zadygotał drzewcem i zawisł. Czambor przełamał go na wysokości ostrza.

– To wszystko, na co was stać?! – krzyczał Czambor, przystając pośrodku pomostu. – Niech tu wyłazi ten wasz oszust podszywający się pod

moje imię!

Na koronie wału zbierało się coraz więcej wojowników. W głębi grodu zabrzmiały zmieszane okrzyki, nawoływania. Wystrzelono następne strzały. Czambor osłaniał tarczą twarz. Po chwili zaprzestano ostrzału. Zza bramy dobiegły odgłosy, rozwarła się, ukazując kilku ciężkozbrojnych, a na ich przodzie szedł wojownik – olbrzymi, wzrostem niemal równy Czamborowi, w hełmie z szerokim nosalem, kolczugą poniżej kolan i z wielkim dwustronnym toporem ściskany w obu dłoniach. Czambor obrócił nieco głowę na bok i zakrzyknął:

– Dmij!!!

Powietrze rozdarł ciężki, przeraźliwy ryk rogu bojowego. Olbrzym zbliżał się wolnym krokiem do Czambora, za nim podążało czterech wojowników z wystawionymi do przodu ostrzami włóczni. Niedobrze, przemknęło Czamborowi przez głowę, nie mogą się poruszać w tych worach ze skóry, bawełny i żelaza. Błyskawicznie odrzucił tarczę, wbił miecz w szparę dech pomostu i począł zdzierać z siebie ochronne warstwy. Olbrzym naprzeciwko i wojownicy za nim przystanęli, zdziwieni jego zachowaniem.

W tym samym momencie Gromosław i pozostali wynurzali się ze studni pośrodku grodu, wzniesając zamieszanie pośród obrońców, jednocześnie spod lasu wyskoczyli na pomoc Czamborowi polscy wojownicy. Zza pleców Czambora nadleciały strzały, dwóch wojowników asekurowujących olbrzyma padło śmiertelnie trafionych na ziemię. Olbrzym sunął nieugięcie w kierunku Czambora, jeszcze pięć kroków, trzy. Czambor zdążył zrzucić większość krępujących go warstw ochronnych, wyszarpywał panicznie z pomostu miecz z zamiarem odparcia ataku. Przeciwnik wznosił już topór do uderzenia. Wtem obok ucha Czambora przeleciał ze świstem oszczep, przebijając na wylot gardło olbrzyma. Oszczep Chyżona.

Zdumiony Czambor spojrział szybko do tyłu. Roześmiany Chyżon, zaciskając pięść w geście zwycięstwa, już był niemal za nim, biegnąc razem z Polakami.

Czambor znów musiał odpierać atak. Odbił klingą miecza skierowaną nań włócznię, postąpił szybko krok do przodu i zdzielił wojownika na ukos z góry, rozplatawszy mu pół szyi. Obok Czambora z lewej i prawej strony na pomost wdzierali się polscy wojownicy. Chyżon zrezygnował z wyrywania swojego oszczepu z gardła ubitego olbrzyma, uchwycił leżącą na ziemi włócznię. Czambor, siekając mieczem, doszedł już do bramy, a wraz z nim Chyżon i pozostali, jeden polski wojownik pozostał martwy na pomoście. Wtargnęli do grodu. Czambor nakazał dwóm wojownikom zawrzeć na powrót bramę i bronić dostępu, by nikt nie umknął.

Wewnątrz grodu bitwa wrzała na dobre. Pierwszy ze studni wychynął Wojomir, uskoczył na bok, robiąc miejsce następnym, napiął cięciwę łuku i zabił zdumionego rycerza, stojącego niecałe siedem kroków od niego, strzałem prosto w lewe oko. Wymierzył ponownie i zdjął kolejnym celnym strzałem wojownika z rampy prowadzącej na wał. Wbiegł na wał, napinając łuk. Tak jak ustalili przedtem, Wojomir miał z dogodnej pozycji eliminować potencjalnych łuczników przeciwnika.

Polacy wysuwali się błyskawicznie ze studni i rozsypywali po grodzie. Kilku polskich wojowników z uprzedniego rozkazu Gromosława dopadło jednej z bram, rozsiekając trzech przeciwników i zajęło pozycję, broniąc dostępu. Przez drugą bramę wtargnęła grupa Czambora i rzuciła się w wir walki.

W pierwszych momentach Polacy siali śmierć wśród obrońców gródka. Ci jednak opanowali zaskoczenie. Szerokie wały grodu i okrągły plac pośrodku przemieniły się w teatr zaciętej bitwy. Kto pokonał przeciwnika i był w stanie dalej walczyć, rzucał się na następnego wroga lub niósł

pomoc towarzyszom. Stoczono dziesiątki krwawych, brutalnych pojedynków. Polacy trafili na przedniego wroga. Nie byli to jacyś szeregowi wojownicy. Tak jak prawiono, w bandzie walczyli świetnie uzbrojeni rycerze, obeznani z wojennym rzemiosłem, wielu być może przewyższało rangą w poprzedniej służbie Gromosława i jego przyjaciół.

Randulf dał się zagnać w kąt między ścianą chałupy a ogrodzeniem stajni. Dwóch przeciwników usiłowało dźgać go z boków włóczniami, a trzeci, pośrodku, skoczył na niego z podniesionym do ciosu mieczem. Randulf uchylił się błyskawicznie, przysiadając, i ciąższy atakującego mieczem na wysokości kolan, odrąbał mu niemal prawą nogę. W tym momencie poczuł ból w lewym ręku. Ostrze włóczni rozorało mu mięsień powyżej łokcia. Impulsywnie wypuścił miecz. Nadal w przysiadzie będąc, rzucił się przez prawie ramię na ziemię, przeturlał i wystrzelił wyprostowany do góry. Wysupłany zza pasa nóż, wbił pod brodę przeciwnika z włócznią stojącego z prawej strony. Ten drugi, z lewej strony, który zdołał go dźgnąć po ramieniu, zamierzał się do zadania kolejnego ciosu. Randulf zdrętwiał na sekundę. W tym momencie przeciwnik padł martwy do przodu z rozplatanymi plecami. Za nim stał w rozkroku Bernard z zakrwawionym mieczem. Skinął tylko głową i odwrócił się w stronę nacierającego nań wojownika. Randulf pochwycił z ziemi miecz i zajął pozycję po lewej stronie Bernarda. Lewa ręka drętwiała mu z bólu, mógł tylko walczyć prawą, ale przynajmniej będzie usiłował asekurować Bernarda.

Ze stajni wyskoczyły na plac oszalałe z przerażenia konie, zwiększając bitewne zamieszanie.

Walczący na wale Gromosław ściął mieczem jednego przeciwnika, drugiego zrzucił kopnięciem na dół, a trzeciemu, który mu zastawił drogę, wbił miecz w środek piersi, przebijając kolczugę. Oczy wroga zasłyły mgłą,

opadł bezwiednie na kolana. Gromosław wyszarpnął miecz z zabitego. Usiłował przebić się do miejsca na wale przy południowej bramie, gdzie walczył zaciekle i skutecznie obleczony wspaniałą zbroją rycerz. Z przypięć u nasady hełmu spływała mu na barki siatka z drobnych kółek, mniejszych od normalnej kolczugi. Walczył bez tarczy, uzbrojony jedynie w miecz, po mistrzowsku. Wokół walały się ciała czterech zabitych Polaków. To musi być ten fałszywy Stodor, przemknęło przez myśl Gromosławowi. Parł uparcie w jego kierunku. Rycerz bił się jak opętana szalem bestia. Kolejny Polak, trafiony mieczem w bark, przykląkł z bólu i nieopatrznie spadł na dół, na plac. Gromosław doszedł rycerza już na sześć kroków, gdy ten raptem przystanął nienaturalnie, wypuścił miecz, zachwiał się, usiłując złapać się za gardło, i padł martwy twarzą do ziemi. Z karku wystawała mu drgająca jeszcze bełtem strzała. Gromosław spojrzał bezwiednie na stojącego za martwym rycerzem Wojomira.

– Dzisiaj żadnego ryzyka! – krzyknął Wojomir, napinając już cięciwę z kolejną strzałą.

Bitwa dobiegła końca. Pośrodku placu zwycięscy Polacy zebrali w klęczącą grupkę dziewięciu jeńców.

Gromosław i przyjaciele schodzili się przy studni, każdy sapiąc jeszcze, rozglądając się po poboju. Czambor nakładał Randulfowi opatrunek na rozcięte przedramię. Jako ostatni podszedł Bernard, wycierając szmatą zbroczone krwią ostrze miecza.

– Wiemy już, jakie straty? – spytał Gromosław.

– Z naszych poległo jedenastu – odpowiedział mu Bernard. – Trzeba doliczyć jeszcze jednego. Laszko z Krakowa dostał toporem przez plecy, wielka otwarta rana, uszkodzony kręgosłup, stracił czucie, kona w mękach. Ktoś musi się zlitować i go dobić.

– Czyli dwunastu – podsumował Czambor. – Bolesław się wścieknie.

– Za co? – Zdziwił się Bernard. – Przecież wiedział, na co nas wysyła. W trzydziestu przeciwko, jak się teraz okazało, ponad czterdziestu rycerzom, równym nam umiejętnościami i rangą.

– Ranni? – dopytywał Gromosław.

– Mniej lub więcej każdy nieco poraniony. – Westchnął Bernard. – Na koń wsiadą wszyscy.

– A z tych tam? – Gromosław wskazał głową na jeńców.

– Banda straciła trzydziestu siedmiu ludzi. – Wojomir włączył się do rozmowy. – Jeńców, jak sam widzisz, dziewięciu.

– Pójdźmy ich przepytać – zdecydował Gromosław. – Bernardzie, pomóż nam wyłuskać Niemców, którzy są lennikami Henryka.

Trzech było poddanymi cesarza. Jeden szlachetnie urodzony rycerz z Bawarii, jeden burgrabia z Saksonii i jeden graf z Turyngii skazany na banicję. Wśród pozostałych: dwóch Polaków, trzech Połabian i jeden Czech.

– Niemców i Czecha zabieramy do Budziszyna – zdecydował Gromosław. – Zgodnie z rozkazem Bolesława. Książę przekaze ich jutro margrabiemu Hermanowi, niech sam decyduje, co z nimi zrobić. – Widząc zdziwione spojrzenia kompanów, dodał: – Czesi są lennymi poddanymi cesarstwa. Natomiast Polaków i Połabian powiesić, natychmiast.

– Ja też jestem lennikiem cesarstwa – zaprotestował jeden z Połabian. – Nie macie prawa mnie wieszać.

– Ty? – spytał zdziwiony Wojomir. – Cesarskim poddanym?

– Jestem Budzisław z plemienia Głomaczy, lennik grafa Ekkeharda z Rochelinzi nad Muldą, który jest bratem margrabiego Miśni a zarazem lennikiem biskupa Thietmara.

– Jak tu się znalazłeś? – dopytywał Wojomir.

– Mieliśmy zatarg z biskupem, ja i Ekkehard, o sporne lasy. Powojowaliśmy z ludźmi biskupa, ale w końcu Thietmar zawarł ugodę z Ekkehardem, a ja zostałem skazany na banicję.

Gromosław się wahał.

– Gromo – wtrącił się Wojomir – spójrz na to tak: gdyby mnie złapali w bitwie wrogowie, to kim ja byłbym dla nich, jedynie Połabianinem czy może także poddanym Polski?

– Dołączyć Budzisława do Niemców i Czecha, reszta na gałęzie – zawyrokował Gromosław.

Zwycięzcy postanowili wypocząć po trudach walki, posilić się, uporządzić i za godzinę wyruszyć z powrotem. Spożywali w milczeniu naprędce przygotowany posiłek, siedząc na ziemi, nieco z dala od pozostałych. Po jakimś czasie przyłączył się do nich Chyżon, przysiadł obok Czambora i zapamiętale skrobał łychą w misce pełnej podgrzanej kaszy okraszonej mięsiwem. Spozierał bogobośnie na Wojomira.

– Czego tu chcesz? – spytał Chyżona Bernard, wydłubawszy spomiędzy zębów otręby. – Nie mówiono ci, gdzie twoje miejsce?

– Przecież należę do was – odparł spokojnie Chyżon.

– Tam należysz. – Randulf wskazał ręką na grupy rozłożonych wojowników.

– Zostaw go w spokoju, przyjacielu – upomniał Randulfa Czambor.

– Za kogo ty się uważasz? – zapytał Gromosław. – Czambor, co ty na to?

– Gromo zadał ci pytanie – zwrócił się do Chyżona Bernard. – Z jakiego ty stanu? Połabski chłop?

– Z jakiego ja stanu, Benno... – odparł Chyżon. – Nie chciałbyś wiedzieć, bo wam wszystkim by wąsy odpadły, a tobie twoja bujna saska

broda. Nawet nie wiecie, kogo pośród siebie macie. – Wskazał łychę na Wojomira, nadal nie zamierzając odejść.

– Od kiedy ja dla ciebie „Benno”?

– Dość! – Czambor przełknął ostatnią łychę strawy, obtarł rękawem wąsiska. – Uratował mi dzisiaj życie. Mocowałem się z wyrwaniem miecza z pomostu, wielgachny szalenciec słał już na mój łeb topór z góry, wtedy Chyżon przeszył mu gardło oszczepem. W ostatniej chwili. Gładko mu szyję przeszył, po mistrzowsku. A teraz idź do pozostałych – rozkazał Chyżonowi Czambor.

Zanim Chyżon zdążył się podnieść z miejsca, Wojomir przytrzymał go za ramię, pytając z zaciekawieniem:

– Kim ty byłeś w Roztoczu?

– Czcigodny Wojomirze, to nieważne, kimże ja jestem przy tobie?

– Znasz go? – spytał Wojomira skonfundowany Gromosław.

– Mnie wszystko jedno – burknął obrażony Chyżon. – Co wy tam wiecie! – Powstał i oddalił się.

– Czambor znalazł sobie zausznika – stwierdził Gromo. – Połabskiego wygadańca.

– Następny mądrała – dodał Bernard. – Jak Wojomir.

Poległych w walce bandytów pogrzebano we wspólnej mogile pod lasem na północ od grodu, stawiając na kopcu wielki krzyż. Własnych zabitych zamierzano zabrać do Budziszyna, na godny pochówek. W Raduszu zdobyto spory łup: cztery duże wory srebra, złota i nagrabionych kosztowności. Do tego broń, uzbrojenie i wyposażenie wojenne pokonanych. Oraz konie. Wnet wynikł problem z drogą powrotną. Niemożliwością było przeprowadzić zdobyczne konie objuczone łupami, jeńcami i ciałami poległych towarzyszy tą samą trasą, którą przyprowadził drużynę tutaj Wojomir. Część oddziału musi zatem podążyć drogą

prowadzącą przez północną bramę. Tyle że ta droga prowadziła naokoło lasów Szprewy, na północ, dopiero stamtąd, skręcając na wschód a następnie na południe, można dotrzeć do Budziszyna. Trzy dni jazdy.

Podzielono zatem oddział. Gromosław, Randulf, Bernard, Czambor i Chyżon, prowadzeni przez Wojomira, powrócą trasą, którą przybyli do gródka. Wezmą ze sobą jeńców i wory ze zdobyczami. Dotrą do koni, przy których zostawili trzech ludzi na straży, i pocwałużą do Budziszyna. Zdążą zdać raport przed Bolesławem jeszcze dzisiejszego popołudnia. Reszta oddziału na zdobytych w Raduszu koniach i z ciałami poległych podąży do Budziszyna okrężną drogą.

* * *

Do Budziszyna dotarli późnym popołudniem.

– Jeżeli Bolesław stoi akurat na murze... – żartował Randulf, gdy zbliżali się do miasta – ...i zobaczy powrót trzydziestu sześciu koni z jedenastoma zaledwie jeźdźcami, to mocno się zaniepokoi.

Bolesław w rzeczy samej zaniepokoił się, ale zupełnie z innego powodu. Jak to, zostawili Radusz bez załogi? Natychmiast trzeba posłańca do Chociebuża wysłać z rozkazem do naczelnika, by obsadzić Radusz garnizonem. A tymczasem przyjaciele niech idą i wypoczną, jutro podpisywanie pokoju. W całym Budziszynie i na przedpolach ucztę.

Opuszczając posłuchanie u władcy, zastanawiali się głośno, co zrobić z resztą wieczora. Przed bramą wejściową do zamku czekał na nich Chyżon. Czambor machnął tylko ręką, dając mu znak, że może dołączyć. Zeszli wspólnie na podgrodzie. Randulf zaproponował, by przeszli się po licznych ogniskach poza murami miasta, gdzie obozowały zgromadzone orszaki i drużyny. Lawirując między namiotami i grupami świętujących wojaków, zapuścili się pomiędzy kwatery wojsk połabskich. Wszędzie

wokół namioty, ogniska, namioty, ogniska... większe i mniejsze skupiska wojowników.

Co rusz od ognisk dolatywały pozdrowienia:

–Wojomir!

Któryś z wojaków powstał od ogniska, uderzył się pięścią w pierś i krzyknął:

– Wojomir!

Siedzący obok niego inny wojownik spojrzał na przechodzącą grupkę i także zakrzyknął:

– Wojomir!

Z naprzeciwka kilku zbrojnych toczyło z wysiłkiem wielką beczkę z piwem. Przechodzącą obok grupę Gromosława powitali gromkim zawołaniem:

– Sława, Wojomirze!

Szli dalej. Mijali trzech wojowników nabijających wypatroszoną sarnę na rożen. Jeden spojrzał na nich mimochodem i z szacunkiem szepnął:

– Wojomir.

Przechodzili obok większego ogniska. Rozłożeni wokół wojownicy śpiewali przyciszonymi głosami jakąś pieśń. Zauważywszy ich, przerwali śpiew, ktoś wzniosł do góry zaciśniętą prawicę i zakrzyknął:

– Wojomir!

Sam Wojomir odpowiadał na pozdrowienia jedynie lekkim skinieniem głowy lub nieznacznym gestem dłoni. Doprowadził ich do kilkunastu namiotów z zatkniętymi proporcami wkrzańskich oddziałów. Na jego znak przysiedli przy wielkim ognisku, przywitali obecnych, podano im trunki i świeżo upieczone mięsiwa. Przysłuchiwali się toczonym wokół rozmowom, samemu milcząc.

W końcu Gromosław spytał Wojomira:

– Zdziwiasz nas, Wojomirze, skąd się bierze ten posłuch wśród mijanych wojowników? Ukrywasz coś przed nami, przyjacielu?

– Ach tam – prychnął Wojomir. – Znają mnie ludzie, i tyle. Zapomniane czasy.

– Srogi zawód. – Westchnął Randulf. – Dla nas, wielkich bohaterów. Podobno to o nas śpiewają przy ogniskach. A tu proszę... wszędzie tylko słyhać „Wojomir”, „wodzu”...

Wkrzanin wpatrywał się bez słowa odpowiedzi w buchające wysoko płomienie. Po chwili zaczął się rozglądać. Gdzieś niedaleko zabrzmiała pieśń:

Nasi chłopcy z wojny jadą,

hyj! z wojny jadą,

i pańskiego konia wiodą,

hyj! konia wiodą.

Patrzaj, jak ten rycerz siedzi,

jak się jego oko świeci!...

– Łużyczenie, ha! – wtrącił Wojomir. – Śpiewają jak Niemców do niewoli brali, jak Bolesław Henryka pokonał...

...Kogo z tyłu pana wiodą?

hyj! pana wiodą?

między krwawym wojsk szeregiem?

hyj! wojsk szeregiem?

Patrz, jak on ku ziemi baczy, jak się drogą on nie raczy!

Niemców król, ty pana chwal!

*hyj! ty pana chwal!**

Nagle Wojomir powstał, oznajmił, że w grupie przy innym ognisku dojrzał starych znajomych, pójdzie się z nimi przywitać i powróci za jakiś czas.

– Hejże, Roztoczaninie! – Czambor trącił ramieniem siedzącego obok Chyżona. – Zaniemówiłeś? Nie uszło mej uwadze, że cały czas wpatrujesz się w Wojomira jak w pogańskiego bożka.... Mów, co wiesz. Szybko, zanim powróci!

Zapytany odchrząknął, rozejrzał się niepewnie:

– Jak mnie przedstawiałeś twoim druhom... – zwrócił się do Czambora – ...i wyrzekłeś imię Wojomira, to nie byłem pewien, bo on jeszcze młodo wygląda, niewiele starszy od was, i taki małowówny... Ale później rozmawiałem z kilkoma Łużyczanami... To on, ten sam Wojomir, który kiedyś czynami wojennymi się wślawił. Sami zresztą widzieliście, jak go przy ogniach witają. Za dawnych czasów, kiedy ja rok albo może dwa lata miałem, imię Wojomira wśród naszych plemion sławą się okryło. Tak mi ojciec w Roztoczu opowiadał.

– Kiedy miałeś dwa lata? – zapytał Randulf.

– Zanim jeszcze ta terażniejsza wojna między Polakami a Niemcami wybuchła...

– To nie była wojna między Polakami a Niemcami – sprostował energicznie Bernard. – Tylko między Bolesławem a Henrykiem.

– Ano – przytaknął Chyżon. – Przed tą wojną jeszcze.

Opowiedział im historię z młodości Wojomira. Chyżanie wystąpili wtedy zbrojnie przeciwko dominacji Redarów i Tolężan. Nie chcieli należeć do lutyckiej federacji. Bliżej im było do Obodrytów i dawnych układów, kiedy ich plemieniem władały rody książęce, tępione zaciekle przez

wszechwładnych kapłanów z Radogoszczy. Na Chyżan ruszyła armia Redarów i Tolężan i pokonała ich w pierwszej bitwie. Wtedy Chyżanie wezwali na pomoc Wkrzanów, którzy też opierali się lutyckiej ekspansji. Wódz Wkrzanów, ojciec Wojomira, odpowiedział na wezwanie i ruszył na pomoc od południa. Za nim z jednodniowym opóźnieniem ciągnął siedemnastoletni Wojomir na czele oddziałów rezerwowych. Najeźdźcy wzięci zostali w dwa ognie: od północy Chyżanie, od południa Wkrzanie. Do pierwszego starcia doszło pod Trzebotowem nad Dołężą, w terenie urozmaiconym zalesionymi wzniesieniami. Chyżanie dali się wpędzić w pułapkę, znęcani zajęciem jednego ze wzniesień, otoczono ich w dolinie i wycinano okrutnie w boju. Ale bronili się zaciekle, wynik bitwy nie był jeszcze rozstrzygnięty. Wtedy z pomocą nadeszli im Wkrzanie. Przeszli od razu z marszu do natarcia. Otaczające Chyżan falangi Lutyków zachwiały się, część ich musiała stawić czoła Wkrzanom, rozgorzała jeszcze większa bitwa.

Niestety, przebiegłości Lutyków nie sposób przewyciężyć. Znienacka wkrzańską armię zaatakowały z obu stron przyczajone dotąd redarskie odwody, dwa tysiące mieniającej się niepokonaną piechoty. Zmielili większość wkrzańskich oddziałów i krwawy bój począł przybierać na okrucieństwie. Wkrzanie zostali pobici, rzucili się do ucieczki. Poległ ojciec Wojomira i trzech jego starszych braci. Wydawało się, że nic już nie ochroni Chyżan przed zagładą.

I wtedy na miejsce pola bitwy doszła wkrzańską rezerwa prowadzona przez Wojomira. Niezauważona przez nikogo. Wojomir powstrzymał uciekające z pola bitwy oddziały ojca płomiennym przemówieniem, zagroził, że powróci na wkrzańską ziemię i osobiście wyrznie całą ludność plemienia, wszystkie kobiety i dzieci, że Wkrzanie nie zasługują na byt, jeżeli teraz oddadzą pola, że przyszedł czas na pomstę i zachowanie

honoru... Tak przemawiając, rozbudził we wszystkich żar dalszej walki. A co sam zrobił? Sformował na nowo falangi, nakazując im przycząić się za niewielkim pasmem wzniesień. Wszedł na jedno z tych wzniesień, niezalesionych, pokrytych jedynie bujną trawą. Samotnie. Wojsko za nim, przyczajone na leżąco w trawach. Wzniesienie dzieliło od pola bitwy, gdzie Lutycy niszczyli chyżańską armię, nieco ponad sto kroków. Wojomir napiął wielki łuk, wypuścił strzałę i trafił śmiertelnie jednego z ważniejszych kapłanów Redarów.

Od razu zwrócono na niego uwagę. Wojownicy Redarów i Tolężan odwracali głowy do tyłu, niepewni, co się dzieje. Jeden samotny wkrzański wojownik na wzniesieniu? Wojomir napiął ponownie łuk, tym razem zapalając grot strzały w niewielkim ognisku u jego stóp. Wypuścił strzałę, trafiając jedną z redarskich świętych chorągwi – stanicę, obrazującą jakąś ich boginię. Stanica zajęła się ogniem niczym wysuszony snop siana, buchając płomieniem pod niebiosa. Lutycy zawyli jak rozwścieczone wilki. Wojomir wystrzelił ponownie, następna majestatyczna chorągiew Redarów zajęła się ogniem. Lutykom zaślepiło rozumy. Odstąpili od Chyżan i rzucili się w stronę wzniesienia.

A Wojomir strzelał dalej. Słał strzałę za strzałą, jakby mu obojętnym było, że chmary wrogich przeciwników pędzą w jego kierunku. Spalił sztandar Tolężanom, zabił czterech następnych kapłanów. Pierwsze szeregi Lutyków wdzierały się już na wzniesienie. Wojomir wystrzelił jeszcze raz, trafiając jakiegoś dowódcę, po czym, zachowując nieludzki spokój, dał znak. Na całej linii grzbietu wzniesień wychynęły wkrzańskie szeregi i przeszły do kontrnatarcia.

Zaskoczenie było pełne. Lutycy zziązani od biegu, zaślepieni wściekłością, pozbawieni dyscypliny, rozbici zostali gwałtownym atakiem Wkrzańów z góry. Jednocześnie do uderzenia przeszli Chyżanie.

To było wielkie zwycięstwo dla Chyżan i Wkrzanów. Z pola bitwy umknęły jedynie żalosne resztki Redarów i Tolężan. Od tej pory Lutyce nigdy już się nie poważyli na zabór wkrzańskiej ziemi, nie licząc trwającej do dzisiaj wojny pogranicznej. Chyżanie wyzwolili się spod ich dominacji jedynie w połowie. Okręgi na południu buntują się nieraz, cierpiąc pod lutyckim panowaniem. Ale tereny nadmorskie, z Roztoczem włącznie, Bartą czy Wołogoszczą, odzyskały niezależność. O Wojomirze zaczęto śpiewać pieśni.

– A później wybuchła wojna, jak rzekł Bernard, między Bolesławem a Henrykiem i wszystko pomieszało się na nowo. Jeszcze tamtego roku spadło na Połabie powstanie Stodora... – zakończył opowieść Chyżon.

– Ukrywał przed nami takie czyny... – wyszeptał z podziwem Czambor. – Pamiętasz, Gromo? Myśmy też mieli szesnaście lat, gdy nas w wir bitew rzucono.

Powrócił Wojomir, przyprowadzając ze sobą spore grono wojowników. Milczano, jak ich przedstawił. Dosiedli się do ogniska, dwóch wyjęło gęśle.

– Posłuchajcie, jak Milczanie sławią waszego Bolesława – zapowiedział Wojomir.

Rozbrzmiała pieśń w rytm granej na gęślach melodii:

Serby na Niemców w bój ciągnęli,

Choć po niemiecku nie umieli.

Koniki swoje posiadłali,

Ostrogi sobie przypinali.

Ostre swe miecze przywiesili,

W szerokie pole wyruszyli.

Pierwszy kroć z wrogiem bój stoczyli,

*Wielkie korzyści zeń zdobyli.
Gdy się król-książę o tym dowiedział,
Wszystkich walecznych przed się wezwał.
Wszystkim darował nowe stroje,
Wszystkich policzył za swe woje.*

*Następnym razem z wrogiem bój stoczyli,
Ponownie wielkie korzyści zeń zdobyli.
Gdy się król-książę o tym dowiedział,
Wszystkich walecznych przed się wezwał.
Wszystkim przydał jako zapłaty,
Szkarłatną czerwienią mieniące szaty.*

*Trzeci raz z wrogiem bój stoczyli,
Wielkie korzyści zeń zdobyli.
Gdy się król-książę o tym dowie,
Wszystkich walecznych przed się zowie.
Jako przybyli wszyscy zaś doń,
Bułany dostał się każdemu koń.
Bułany dostał się każdemu koń
I jeszcze jasna do boku broń***

– Przednia pieśń! – zakrzyknął Randulf. – Jeszcze raz! Gromo, Benno, Czambor, śpiewajmy razem! Ty też, Chyżon!

I zaśpiewali wspólnie z Milczanami. Po zakończeniu Wojomir objaśnił przyjaciołom, że „król-książę” w pieśni to Bolesław. Zaśmiali się z jego poważnych tłumaczeń – przecież się domyślili.

* * *

Nadszedł trzydziesty styczeń 1018 roku. W południe do Budziszyna zjechali przedstawiciele cesarstwa w otoczeniu orszaków. Pięciu. Margrabia Marchii Miśnieńskiej, Herman, zięć Bolesława; arcybiskup Magdeburga Gero; komornik cesarski Fryderyk, najważniejszy mąż zaufania cesarza; biskup Halberstadt Arnulf; oraz graf saski Dietrich, wielmoża na kilku grafostwach. Ta piątka możnowładców miała w imieniu cesarza omówić z Polakami warunki układu i podpisać pokój. Za nimi ciągnął się okazały korowód towarzyszący: szereg znacznych wielmożów i duchowieństwa niemieckiego.

Delegację powitano odświętnie i pompatycznie. Na dwie mile przed miastem utworzono dla nich szpaler wjazdowy wiodący do bram Budziszyna z oddziałów połabskich i polskich złożonych z szeregowych wojowników. Przed samym Budziszynem piechotę zastąpiły oddziały konne, jazda ciężkozbrojna. Na sto kroków przed zamkiem witająca jazda polska i połabska stała już spieszona. Widząc to, delegaci zsiadli z koni, które przekazano pod opiekę, i podążyli dalej pieszo.

Na szczycie schodów prowadzących do bramy zamkowego kasztelu przywitani zostali oficjalnie przez stronę polską. Władca Polski, książę Bolesław; następca tronu Mieszko trzymający na rękach małego syna, Kazimierza Karola; arcybiskup Gniezna Radzim; palatyn Stoigniew; opat Tuni z Międzyrzecza; biskupi Krakowa, Poznania i Wrocławia. Kilka kroków od nich stał rycerz dzierżący wielki sztandar Polski: biały orzeł na czerwonym tle. Po obu stronach schodów zgromadzili się możni, rycerstwo i duchowieństwo, a wśród nich Gromosław, Bernard, Czambor, Randulf i Wojomir, wiwatujący wraz z innymi i żywo komentujący wydarzenie.

Po przywitaniu Kazimierz Karol przekazany został stojącej nieopodal Rychezie, a delegacje wraz z pisarzami i kancelistami udały się do hali audiencyjnej na kasztelu.

Pertraktacje i omówienie pokoju oraz jego podpisanie nie zajęły dużo czasu – niecałe cztery godziny, najwyraźniej większość ważniejszych punktów pokoju ustalona została wcześniej przez emisariuszy.

Na koniec delegacje wyszły z kasztelu na schody. Na przód wystąpił Bolesław z rulonem pergaminu w prawej dłoni. Wzniósł papier do góry, przywołując tym ciszę wśród zebranych, i rzekł donośnym, tubalnym głosem:

– Ogłaszam najważniejsze punkty! Na tym dokumencie stoi: Łużyce z grodem stołecznym Chociebuż i Milsko z grodem stołecznym Budziszyn włączone zostają w granice Polski. Na zawsze, bez żadnych zobowiązań lennych, roszczeń i odszkodowań wobec cesarstwa. Granica Polski z Niemcami ustalona zostaje na rzece Czarna Elstera i odcinku środkowej Łaby do wysokości grodu Czerwiszcze. Podzielone zostają strefy wpływów w Stodoranii: Polska obejmuje protekcją księstwo Brenny, Niemcy – księstwo Hobolina. Cesarz zrywa wszelkie układy i pakt z federacją Lutyków. Przeprowadzona zostanie wymiana jeńców z obu stron. Dla przypieczętowania pokoju ogłaszamy moje zaślubiny z margrabianką miśnieńską, Odą. Dodatkowo w granicach Polski pozostają Morawy, bez żadnych pretensji ze strony Czechów. Radujcie się, pokój zawarty! Koniec wojny! Polska i Niemcy są teraz sojusznikami!

Buchnęła ogłuszająca wrzawa wiwatów. Obie strony udały się do kościoła, na wspólną celebrację mszy świętej i zaprzysiężenie zawartego pokoju przed Bogiem. Po mszy Bolesław przygotował dla cesarskiej delegacji widowisko. Cały wielki plac przed kościołem zaległy zastępy rycerstwa połabskiego i tych Niemców, którzy znaleźli się w nowych granicach państwa polskiego. Wszyscy w przykłęku. Bolesław przechadzał się pomiędzy nimi z obnażonym mieczem w prawicy i krzyżem w drugiej dłoni. Odbierał od nich przysięgę wasalną.

– ...Zaprzysięgamy uroczyście przed Bogiem i wiernopoddańczo do ostatniej kropli krwi służyć naszej ojczyźnie, Polsce, bronić jej przed wrogami... Zaprzysięgamy naszemu władcy i zwierzchnikowi, czcigodnemu i szlachetnemu księciu Bolesławowi, obrońcy wiary pośród Słowian, posłuszeństwo... wypełnianie obowiązków... jak i jego następcom, władcom Polski...

Delegacja cesarska obserwowała tę scenę w milczeniu i z powagą. Bolesław triumfował. W pełni. Pośród przysięgających Niemców nie zabrakło oczywiście Bernarda, obserwowanego z dumą przez przyjaciół. Chyba wiem, dlaczego Henryk nie powążył się na osobiste przybycie do Budziszyna, rozważał w myślach Gromosław, to już nie tylko utrata tutejszych ziem, ale na dodatek całe rzesze poddanych, wyśmienitych możnych i rycerzy, nie przetrawiłyby tego upokorzenia.

A wieczorem odbyła się wielka uroczysta biesiada na zamku.

Następnego dnia delegacja cesarska miała opuścić Budziszyn. Gromosław i przyjaciele byli dobrej myśli. Nareszcie powrócą w rodzinne strony. Zapowiada się przynajmniej kilka miesięcy spokoju przed następną, planowaną na lato, wyprawą na Ruś Kijowską.

Randulf podczas biesiady na zamku, porządnie już podpity, zaczął snuć filozoficzne wywody. Oni czterej, znaczy Gromosław, Bernard, Czambor i Randulf, są jak struny na instrumencie. Cały czas obok siebie. Grają zgodnie i melodyjnie, żaden nie zafałszuje. Tyle że nigdy nie przewidzą, kto na nich zagra, jaką melodię i w jakiej tonacji. Nie mają na to wpływu. Bernard dodał jeszcze, że zapomniał o Wojomirze, on już jak piąta struna.

Tak i tym razem. Następnego dnia wielki gracz Bolesław brzęknął po strunach, wygrywając nimi nieprzewidzianą i niebezpieczną dla nich melodię przyszłości.

* Dolnołużycka pieśń wojenna sławiąca Bolesława Chrobrego, datowana przez naukowców na początek XI wieku. Oryginalny tytuł: *Naše golcy z wojny jědu* (*Nasi chłopcy jadą z wojny*), zaczerpnięte z: Derlatka Tomasz, *Sorabistyczne studia literaturoznawcze*, Seria I: prace z lat 2002-2007, str. 56-57.

** Górnołużycka (milczańska) pieśń wojenna sławiąca Bolesława Chrobrego, datowana przez naukowców na początek XI wieku. Oryginalny tytuł: *Serbow dobyća* (*Serbów korzyści*), przekład na polski z XIX wieku: Roman Zmorski.

Łaczn

Najwięcej trudności mieli z dobudzeniem Gromosława. Jakżeby inaczej. Czambor i Bernard szamotali nim wspólnie. Randulf polał go wodą po twarzy, co poskutkowało o tyle, że Gromosław zerwał się z łoża, tocząc po nich nieprzytomnym z zaspania wzrokiem. Ma się szybko oporządzić i ubrać, poganiali go jeden przez drugiego. Na werandzie czeka drużynnik od księcia Bolesława. Niezwykle pilna sprawa, mają natychmiast stawić się przed władcą. Żaden nie wypowiedział na głos myśli, która każdemu podobnie tłukła się w głowie: pewnie znowu nas wyśle na zatracenie.

Po drodze, przed wjazdem na teren zamkowy, zauważyli orszaki cesarskiej delegacji gotujące się do drogi. Zgodnie z planem mieli wraz z dworem Bolesława udać się do Chociebuza, tam poczekać na dołączenie Ody i wspólnie podążyć do Poznania, na ślub księżęcy. Randulf, dojrawszy arcybiskupa Gerona, nie powstrzymał się od ironicznej uwagi:

– Ładnie wygląda w tych wspaniałych ornatach, majestatycznie. Ciekawe, na ile pamięta, jak zmykał przed nami w lesie Dziadoszan?

– Arcybiskupa chcieliście ubić? – spytał Wojomir z podziwem.

– Wtedy był cały obleczony zbroją, kolczuga prawie do ziemi, hełm z misiurką na całą niemal twarz – objaśniał Bernard. – Wymachiwał mieczem niczym prawdziwy wojak, umiejętnie.

– Zostawcie arcybiskupa w spokoju – wtrącił Czambor. – Porządny duchowny: i do miecza, i do pastorału zdalny.

– Ale dowódca nieumiejętny, uciekał jako pierwszy – upierał się Randulf. – Nawet pomost zaczął w szale rąbać, rannego palatyna nie chciał wpuścić.

– Wszyscy już gotowi do drogi – zauważył Gromosław. – Jedyne margrabiego Hermana wśród nich nie widzę.

Już na terenie zamkowym napotkali Wszędobora, zdążającego w tym samym kierunku. Też na wezwanie do Bolesława, jak się okazało. Gromosławowi nie uszło uwagi prychnięcie Bernarda na widok krakowskiego wojaka. Gdy weszli do auli, wyjaśniło się, dlaczego nie dojrzeli Hermana na dziedzińcu. Margrabia siedział obok Bolesława przy długim stole. Obecni byli też Mieszko, Tuni, Stoigniew i jakiś rycerz odwrócony do nich plecami, pochylony nad wielką mapą rozłożoną na drugim stole w kącie pomieszczenia. Moźny i znaczny, sądząc po uzbrojeniu i bogato zdobionej obręczy na głowie, spod której rozsypywały się długie, pokryte siwizną włosy. Mężczyzna był w podeszłym wieku, może nawet starszy od Bolesława albo wiekiem mu równy.

Bolesław przeszedł bez wstępów do sedna sprawy.

– Wyruszacie na Połabie. Dzisiaj, zaraz. – Wskazał ręką Randulfa. – Ty nie musisz, ale możesz z nimi jechać, twój wybór.

– Do Radogoszczy? – wyjąkał bezradnie Gromosław.

– Gorzej – odparł Bolesław poważnie. – Do samego piekła.

Tuni zakreślił w powietrzu znak krzyża i powiedział:

– Na dno piekła. Radogoszcz to tylko zaczyn przedpiekła.

– Jezusie – szepnął Czambor.

– A żebyś wiedział – oznajmił Bolesław. – Potrzeba wam będzie Jezusa i Boskiej opatrności. Stoigniew, wyłóż im, o co chodzi.

– Zwiadowcy i szpiedzy donieśli, co poparł informacjami margrabia, że u Obodrytów szykuje się wielki dramat. Jeżeli już się nie rozpętał. W tym momencie. Chociaż prawdę mówiąc, przebąkiwano o tym od kilku tygodni. Henryk zawarł z nami pokój, zrywając jednocześnie sojusz z Lutykami. Szał ich ogarnął. Narzucano im zakończenie wojny bez żadnych łupów, korzyści, zdobyczy, jeńców. Nic. Żadnego srebra od cesarza. Straż cesarska przegnała delegację lutyckich kapłanów z Magdeburga, smagając ich batami, jak psów. Radogoszcz postanowiła się zemścić. Na najbliższej i najsłabszej ofierze. Na Obodrytach. Przygotowali perfidny plan. Od jakiegoś czasu po księstwie Obodrytów krążą lutyccy agitatorzy. Namawiają lud do powstania przeciwko chrześcijaństwu. Z dużym powodzeniem. Już teraz, w wielu miastach, osadach i wsiach obodryckich dochodzi do zamieszek. Jednocześnie Lutyccy namówili rzesze średnich obodryckich możnych do wypowiedzenia posłuszeństwa warstwie rządzącej, przede wszystkim panującej dynastii zwierzchniej w osobie księcia Mścislawa i jego rodziny. To nie wszystko. Emisariusze Radogoszczy prawdopodobnie podburzyli lokalne dynastie na Wagrii i w prowincji Raciborza, by wypowiedziały posłuszeństwo Mścislawowi. Wszystkie nieszczęścia zaszły jednocześnie w wielu miejscach. Mścislaw nie podoła rewolcie. Nawet z pomocą wiernych mu oddziałów. Kraj Obodrytów ogarnie chaos i zdziczenie. Na pastwę wzburzenia pójdą Domy Boże, kościoły, klasztory, będą liczne ofiary wśród duchowieństwa. Pożoga pogańskiej reakcji pogrąży w odmętach zniszczenia chrześcijański porządek. Dynastii zwierzchniej grozi upadek, księstwu Obodrytów zagłada. Z ostatnich doniesień wynika, że federacja Lutyków wysłała na Obodrytów kilka dużych oddziałów dla wsparcia wewnętrznej rewolty. Jedna armia ma podążyć do centrum obodryckich grodów, druga na wybrzeże Chyżan, dla przymuszenia tamtejszych miast portowych, by

uznały zwierzchnictwo Radogoszczy. Waszym zadaniem jest uratowanie kilku mniszek z obodryckich klasztorów. – Przerwał na chwilę Stoigniew.

– Mniszek? – Zdziwił się Gromosław.

– Córek i sióstr z najważniejszych rodów – wyjaśnił Stoigniew. – Niektóre z nich przebywają w klasztorach jedynie czasowo, bez święceń kanonicznych, tak jak to w zwyczaju bywa, do czasu, aż zostaną wydane za mąż.

– Dwie należą do rodziny mojego zięcia, margrabiego Hermana. – Bolesław zabrał głos, akcentując słowo „zięcia”, na co margrabia podniósł z uwagą brwi. – Jedna jest bratanicą biskupa Miśni, cztery są od nas, z Polski, w tym siostrzenica biskupa z Krakowa. Dziewczyna imieniem Suanhilda to córka naszego Zygryda, którego wczoraj mianowałem namiestnikiem Łużyc.

– Osiem mniszek czy półmniszek? – spytał Gromosław.

– Te niewyświęcone to młode dziewczyny? – Randulf również okazał zainteresowanie.

– Nie musisz z nimi jechać, książę – odparł Randulfowi z przekąsem Bolesław. – Masz wolny wybór.

– Opuścić przyjaciół? – Oburzył się Longobardczyk. – Zaniechać przygód? Kobietom na ratunek nie spieszyć?

– Nie tylko kobiety, ale również święte relikwie są do ocalenia. – Herman zabrał głos.

– I dobro kościelne – dodał Bolesław.

– Misja zwykłym podjazdem czy też wyprawa wojenna? – zauważył fachowo Bernard. – A może tak ołtarze całe wywieźć od Obodrytów? – zakończył z lekkim przekąsem.

– Jakie relikwie? – wtrącił z zainteresowaniem Czambor.

– U Obodrytów tyle kościołów i klasztorów? – Wojomir nawet nie usiłował ukryć ironii.

– Na transport ołtarzy potrzebne wozy – orzekł Randulf.

– Jesteś pewien, książę – zwrócił się z przekąsem do Bolesława Herman – że to odpowiedni ludzie?

– Przestańcie się przekomarzać – powiedział karcąco w stronę Gromosława Mieszko. – Nie przystoi przed władcą i margrabią.

Zamilkli. Stoigniew chciał zabrać głos, ale Mieszko powstrzymał go. Powstał, podszedł do ojca i tłumaczył mu coś na ucho. Bolesław począł z aprobatą kiwać głową.

– Drogi zięciu! – zwrócił się do Hermana Bolesław. – To najodpowiedniejsi ludzie do wykonania tej misji. Przecież nawet u was w Miśni opowiadają o ich wyczynach. Nie zwracaj uwagi na ich wygłupy. Czy nie pora na przygotowania do wyjazdu na Chociebuż?

– Skoro... – zauważył z namysłem Herman. – Zresztą wiesz, co robisz, Bolesławie. Spotkamy się zatem przy orszakach. – Margrabia powstał, pożegnał zebranych i opuścił aulę.

Mieszko tymczasem spojrział na ojca i tajemniczego rycerza przy mapie, nadal odwróconego do nich plecami. Po chwili, przechadzając się jednocześnie po komnacie, zabrał głos:

– Są sprawy, o których margrabia Herman nie musi wiedzieć. – Zawahał się i dodał po chwili: – Nie powinien się dowiedzieć. Nie będę was tu wgłębiał w zawiłości polityki, wystarczy pokrótce. Lutycy nie mają armii potężnych na tyle, by zawojować księstwo Obodrytów. Ale wystarczająco liczne, by wzniecić wewnętrzne rozruchy, obrócić lud obodrycki i warstwy średniego rycerstwa przeciwko dynastii panującej, nakłonić do rozłamu, namówić lokalne dynastie na Wagrii i w Połabiu do zrzucenia zwierzchnictwa rodu Mścisława. Skutkiem tego, powtórzę słowa

Stoigniewa, runie porządek chrześcijański, rozpadnie się jedność księstwa Obodrytów, może dojść do zagłady Mścislawa i jego rodziny. Popłynie wiele niewinnej krwi, przede wszystkim chrześcijańskiej, zniszczeniu ulegnie ziarno Kościoła, zapanuje pogaństwo i bezprawie, anarchia plemiennych wodzów grodowych. Upadnie biskupstwo w Starigardzie. Tak jak rzekł Stoigniew, zapanuje zdziczenie i chaos. Cesarz będzie oficjalnie zwlekał z interwencją. Dlaczego? Bo chce ukarać i upokorzyć księcia Saksonii Bernarda z dynastii Billungów. Bernard nie wspierał wojen cesarza z naszym władcą, a jeżeli już, czynił to, demonstrując niechęć i opieszałość. Bernard po kryjomu należy do saskiej opozycji niechętej Henrykowi. Z kolei książęta zwierzchni Obodrytów od pokoleń sojuszami i paktami z księstwem Saksonii związani. Mścisław i Bernard nie tylko osobistą przyjaźnią połączeni, ale i wielorakimi powiązaniem: małżeństwa dynastyczne, wspólny wysiłek chrystianizacji ziem obodryckich. Dlatego cesarz zezwoli bezgłośnie na wykrawanie się Mścislawa, godząc tym w interesy Bernarda. – Mieszko zamilkł i przystanął.

Spoglądał z namysłem na Gromosława i jego przyjaciół. Po chwili przysiadł na krześle i podjął na nowo wywód.

– Pojmujecie? Teraz kwestia naszych stosunków z Obodrytami. Ojciec mój, Bolesław, zawarł przyjaźń z Mścislawem w dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku. Z inspiracji cesarza Ottona Trzeciego, podczas wspólnej wizyty w Mechlinie, stołecznym grodzie Obodrytów. Więcej wiedzieć nie musicie, w głowach wam się pomiesza. Ojciec czuje się zobowiązany dopomóc Mścislawowi, na tyle, na ile go teraz stać. Udacie się w kilkaset koni. Oprócz uratowania wspomnianych niewiast, macie dołożyć wszelkich starań, by Mścisław i jego rodzina uratowali się z pogromu. Ojciec nie może im udzielić oficjalnego azylu w Polsce, wyklucza to aktualny stosunek prawno-polityczny z cesarstwem. Jeden

z tajnych punktów zawartego wczoraj układu pokojowego mówi o tym wyraźnie. Ale, w miarę możliwości, doprowadźcie ich bezpiecznie albo do Bernarda w Saksonii, albo pod opiekę Duńczyków. Bo dynastia Mścisława również z Danią w zażyłym sojuszu. – Mieszko przerwał, jakby dając im czas na przetrwanie zasłyszanych wieści, po czym kontynuował: – Pamiętajcie, że obok samego Mścisława ważne jest też życie jego syna, Przybygniewa, ochrzczonego przez Niemców jako Uto, następcy obodryckiego tronu. On zdaje się mniej więcej w waszym wieku, ożeniony jest z duńską księżniczką. Mają syna imieniem Gotszalk. Ważne, by ocalić członków dynastii! Rozumiecie teraz zadanie? Aha, co do margrabiego Hermana, dlaczego ojciec nie chciał, by margrabia usłyszał, co wam teraz wyjawiam. Są dwa najpotężniejsze rody Saksonii, nieustannie między sobą konkurujące: Billungowie i Ekkehardowie. Księżę Bernard reprezentuje Billungów, natomiast margrabia Herman Ekkehardów. Oba rody są w opozycji do cesarza Henryka, różnie się objawiającej, ale niezależnie od tego zwalczają się nawzajem. Dlatego Herman nie może się dowiedzieć o pomocy mojego ojca dla Mścisława. Przynajmniej nie teraz i nie oficjalnie. – Mieszko zamilkł po tych słowach.

Ciszę przerwał Gromosław, mówiąc:

– To znaczy, że jednak wyprawa wojenna, tak? Bo w kilka koni to na pewno nie uratujemy Mścisława w środku obodryckiej rewolty spotęgowanej wmieszczeniem się pogańskich Lutyków.

– I tak, i nie – odparł Mieszko. – Nazwijmy to interwencją. Nieoficjalną. Albo jeszcze lepiej: odsieczą. Pójdziecie w sile jednej trzeciej legionu jazdy, ponad dwieście koni. Raz, że na więcej nas teraz nie stać, w całym kraju mobilizacja i przygotowania do letniej wyprawy na Ruś Kijowską. Dwa, że każda większa ilość wojska oznaczałaby oficjalne opowiedzenie się Bolesława po stronie Mścisława. Na dwustu jeźdźców

możemy sobie pozwolić, pod płaszczykiem przebiegłych zabiegów dyplomatycznych, między innymi dla uratowania niewiast z obodryckich klasztorów, na wysłanie większej armii nie możemy sobie pozwolić, z wymienionych powodów.

– Dwustu jeźdźców, do tego juczne konie, zimową porą. A pasza, prowiant? Zimą? – zaprotestował ostrożnie Gromosław. – Na nieznanym terenie ogarnięty wojennym szaleństwem.

– Mam was uczyć, jak prowiant zdobywać? – odrzekł mu Bolesław.

– Jakbyście nam, władco – wtrącił się Bernard – przydali twoich trzystu Krwawych Skrzydeł, to zaoralibyśmy ziemie Obodrytów wszczepić i wzdłuż.

– Na wybrzeżu obodryckim zatknijemy polskie sztandary – oznajmił Czambor.

– W drodze powrotnej spalimy Radogoszcz – dodał Randulf. – Jak nam użyżycie, książę, Krwawych Skrzydeł.

– I poćwiartujemy Pakosza – uzupełnił Wojomir. – Tak jak on swego wnuka Stodora poćwiartował.

Nie zauważyli, że tajemniczemu rycerzowi przy stole z mapami dygoczą plecy od tłumionego śmiechu. Bolesław milczał.

– Szkoda, że opat razem z nami nie ruszy – oznajmił z udawanym rozmarzeniem w głosie Wojomir. – Taki zgrabny wojak z niego, w piękną kolczugę byśmy oblekli...

Tuni wypuścił z wrażenia trzymany w ręku psalterz na ziemię, rozdziawił usta w niemym proteście.

– Odczep się od opata Tuniego – naskoczył na Wojomira Czambor.

– No czego? – Obruszył się Wojomir. – Sami opowiadaliście o niemieckim arcybiskupie Geronie, jak sławetny bój w lesie Dziadoszan toczył. Nie ma w Polsce walecznych duchownych? U Lutyków nawet sam Pakosz z kijem dębowym bitwą dowodził...

– Twój ród, Benno – spytał Bernarda Randulf – po której stronie stoi, Billungów czy Ekkehardów?

– Mój ród swoje wie – odpowiedział Randulfowi Bernard. – Ale twój w Benewencie chwiejny jakiś: to z Arabami, to z Bizancjum, to z papieżem, to z cesarstwem...

– Dlaczego Wszędobór musi do nas dołączyć? – Gromosław odważył się wypowiedzieć nurtującą go wątpliwość.

– Czego chcesz od Wszędobora, Gromo? – Zdziwił się Mieszko. – Przecież druhami jesteście, nie raz pod moim rozkazem wspólnie krew w bojach przelewaliście.

– Bo Wszędobór i Bernard zakochali się obaj w mojej siostrze Zwodzisławie – wypowiedział jednym tchem Gromosław. – Obaj nieustannie skaczą ku sobie jak koguty, docinają sobie. Potrzebne nam to na wyprawie, dwie strzykające jadem rozdęte ropuszki?

Wszędobór zbladł, Bernard poczerwieniał. Obaj spoglądali na Gromosława z wściekłością.

– Wszędobór przyprowadził do Budziszyna jeden z większych oddziałów – orzekł Bolesław. – Czterdziestu ciężkozbrojnych z Wrocławia. A wy? Ilu macie tutaj pod rozkazem? Ty, Gromosławie, dwudziestu, Czambor szesnastu, Bernard trzydziestu, Wojomir dziewięciu.

Zamilkli.

– To może jeszcze Wszędobór ma nami dowodzić? – Bernard nie krył zjadliwości.

– Wolę wrócić do Gdańska z Czamborem niż służyć pod Wszędoborem – wtrącił Randulf.

– Do Gdańska?! – zagrzemiał Bolesław. – Mało wam tego, coście tam obaj nabroili? Z Gdańska skargi na was wpłynęły i sądem grożono! Wiecie, ile srebra mój komornik w Gdańsku musiał wypłacić rodowi Hanisza dla

złagodzenia wzburzenia? A i Gromosław dał się wciągnąć w wasze nieczne uczynki! Zresztą Czambor ma rozkaz do wykonania, a tobie, książe, niczego nie nakazuję.

Czambor i Randulf zwiesili potulnie głowy. Bernard z Wojomirem spoglądali na nich w zdumieniu, zaś Gromosław z nieskrywanym niedowierzaniem.

W tym momencie tajemniczy rycerz przy stole z mapą obrócił się do nich przodem. Zdrętwieli wszyscy z wrażenia. Żelenta.

– Ja dowodzę wyprawą – oznajmił spokojnie.

Żelenta, żywa legenda. Owiany nieprawdopodobnymi opowieściami rycerz, serdeczny przyjaciel Bolesława. Dwa lata starszy od władcy, nadal sprawiał wrażenie mocarnego wojownika, w pełni sił. Jakby nienadkruszony przez nieubłagane prawo natury. Tajemniczy i wyniosły. Należał do najściślejszego grona doradców władcy Polski. Spotykano go bardzo często w otoczeniu Bolesława. Kilka razy mieli okazję widywać go w bitwach. Każdy z nich tak naprawdę niewiele o nim wiedział. Znali jedynie niesamowite historie, w których prawda mieszała się z fantazją.

– Podejdźcie do stołu – rozkazał Żelenta. – Plan naszej wyprawy. – Począł wodzić palcem po mapie. – Z Budziszyna musimy jak najszybciej dotrzeć do Łączyna nad Łabą. Dlatego podążymy najpierw na zachód przez Strzałę do Merseburga. Stamtąd na północ przez Czerwiszcze i Hobolin do Łączyna. W Czerwiszczach oczekuje na nas jazda przydana nam przez Sławigosta z Brenny. Mijamy Brennę po zachodniej stronie, bez postoju w grodzie, podobnie żadnego zatrzymania w Merseburgu. Posłowie do Niemców już z samego rana wysłani, Bolesław da nam pisma i glejty, poza tym margrabia Herman wystawił również dokument, zatem bez trudności przejdziemy niemieckimi terenami. W Łączynie dołączą do nas posiłki jazdy przyprowadzone przez twojego szwagra, Gromosławie, władcę

Kopanika, Burzysława. Z Kopanika do Łączyna o wiele krótsza droga jak z Budziszyna, także powinni być przed nami.

– To dlaczego nie podążymy trasą przez Chociebuż, Kopanik, Brennę i Hobolin do Łączyna? – zapytał Gromosław.

– Bo jest dla nas, z Budziszyna, dłuższa od wyśmienitego traktu na Merseburg i stamtąd na północ do Łączyna – wyjaśniał Żelenta. – Słuchajcie dalej. Terytorium grodowe Łączyna podlega zwierzchnictwu Obodrytów, tam zorientujemy się w aktualnej sytuacji i podejmiemy dalsze decyzje. Co do pobytu mniszek i Mścisława z rodziną. Tutaj... – mówiąc, wskazywał kolejne punkty na mapie. – Tutaj znajdują się najważniejsze grody właściwych ziem Obodrytów, od rzeki Trawa na zachodzie do rzeki Warnawa na wschodzie: Mechlin, Zwierzyn, Dubin, Wyszomir, Lubów, Liubice. Tu na Wagrii Starigard, stolica Wagrów, którymi włada lokalna dynastia z księciem Sederykiem. Tu wokół Raciborza na ziemi właściwej Połabian rządzi lokalna dynastia z księciem Raciborem. We wszystkich tych grodach pobudowane są kościoły i klasztory. W Starigardzie mieści się siedziba biskupstwa na wszystkie ziemie Obodrytów. Nie wiemy, jak zachowają się Sederyk i Racibor, dochowają posłuszeństwa księciu zwierzchniemu Mścisławowi, czy też wykorzystają okazję do zrzucenia władzy Obodrytów właściwych. Na wschód od Warnawy zaczynają się ziemie Chyżan i Czrezipienian. Należeli kiedyś do Księstwa Obodrytów. Po powstaniu w dziewięćset osiemdziesiątym trzecim roku zwierzchność zrzucili. Południowe, położone w głębi lądu tereny Chyżan i Czrezipienian przyłączono do Związku Lutyckiego, natomiast ziemie pasa nadmorskiego tych plemion, przede wszystkim ich warownie portowe, zachowały chwiejną niezależność, tak jak na przykład chyżańskie: Roztoka, Barta i Strzałów czy czrezipieniańskie Gryfia, Dymin i Wołogoszcz. Nie wiemy, jak się zachowają.

– Wiadomo, w jakich klasztorach przebywają te mniszki? – zapytał Bernard.

– Z informacji wynika, że na pewno w Mechlinie – odpowiedział Żelenta. – Wracając do Mścisława, jest w sojuszu z Duńczykami, może stamtąd nadejdzie wsparcie dla niego. Co do naszej armii. Wasze połączone siły i odwody, które doda książę Bolesław, około stu...

– I mój Chyżon – wtrącił Czambor.

– Ja dysponuję własną drużyną czterdziestu ciężkozbrojnych – wyliczał dalej Żelenta. – Burzysław przyprowadzi nam w Łączynie około stu dwudziestu kopanickich jeźdźców, a może więcej. Wysłani przez księcia Bolesława posłańcy mają wyprosić u Sławigosta w Brennie dodatkowe wsparcie. Nie wiadomo, ilu nam użyczy. Również książę Hobolina przyda nam jeźdźców, jego matka Hodica jest siostrą Mścisława.

– W Brennie niewielu zapewne – skwitował Bernard. – Są wykrwawieni po powstaniu Stodora.

Żelenta zastanawiał się przez chwilę, po czym rzekł:

– W sumie zgromadzimy pod Łączynem jakieś niecałe trzy setki ciężkozbrojnej jazdy. Wliczając w to odwody z Kopanika. Niewielka, ale bitna armia.

– Pamiętajcie o tym, że latem ruszamy na Rusów. – Wtrącił się Bolesław. – W całym kraju już trwają przygotowania do wyprawy. Z wiosną zjadę do Gdańska, na Wielkanoc do Poznania i Gniezna. Wykonajcie jak najszybciej zadanie i wracajcie.

– Słyszeliście? – zwrócił się do nich Żelenta. – Na kwatery, pakować oporządzenie, zbieramy się za mostem, po drugiej stronie Szprewy.

Bolesław powstał od stołu, zbliżył się do Żelenty. Stali naprzeciwko siebie, bez słowa, obserwując się nawzajem. Dwa zaprzyjaźnione niedźwiedzie, niczym rodzeństwo od jednej matki.

– Żegnaj, druhu najdroższy – powiedział Żelenta. – Nasz przyjaciel nie zostanie bez pomocy.

– Żegnaj, bracie – odparł Bolesław. Wysupłał z sakiewki u pasa coś połyskującego złotem i podał Żelencie. – Przekaż Mścisławowi.

Pozostali zbierali się do wyjścia. Do Wojomira podszedł Tuni. Zdjął zwisający mu na piersiach bogato zdobiony szlachetnymi kamieniami złoty krzyż i zawiesił na szyi zdumionego Wkrzanina.

– Obcokrajowcem jestem w tym kraju i pokochałem go jak własny – rzekł uroczyście opat. – Wiem, że pod twoimi zgryźliwymi uwagami kryje się szlachetna dusza. Służ, Połabianinie, wiernie Bogu i Polsce. I wspomnij nieraz grubego opata, co kolczugi nie nosi. Niech cię ten krzyż chroni.

Nie tylko Wojomirowi, ale wszystkim obecnym odebrało mowę. Mijali ich, przechodząc w stronę wyjścia z auli. Gromosław i Bernard poklepalili Wojomira po ramieniu.

– Ależ opacie... ja wcale nie... – jękał z niechęcią Wojomir.

– Służ wiernie – powtórzył Tuni.

Opuścili naradę. Żelenta skierował się bocznym korytarzem do swojej komnaty na zamku. Kompani schodzili długimi schodami na dziedziniec. Wojomir niezdecydowanie to wsuwał krzyż od Tuniego pod kaftan, to wykladał na pierś w kolczudze. Jak ja nienawidzę patosu, wielkich słów, mrucał do siebie pod nosem, stary klecha, co ja teraz z tym krzyżem...

– Porozmawiamy jeszcze – rzucił nagle do Czambora i Randulfa Gromosław. – O tych waszych tajemniczych wybrykach w Gdańsku, porozmawiamy.

– Ależ Gromo, druhu serdeczny – zaczął Czambor. – Nic wielkiego się nie stało.

– Chyba wiem, dlaczego Bolesław nie podniósł Lubusza do rangi prowincji – zastanawiał się Gromosław. – Chyba się domyślam.

– Gromo, tyś niewiniątko. – Uspokajał przyjaciela Randulf. – To my głupot narobiliśmy.

– Skargi... sądy... w Gdańsku – wyliczał Gromosław. – Tych ludzi, co wam w październiku do Gdańska podesłałem, boście tak prosili... niby pomocników... rozmówimy się.

Gdy byli już niemal u dołu schodów, zbiegł za nimi zdyszany Mieszko.

– Wszędoborze, masz natychmiast powrócić do auli... Ojciec, ksiązę, chce się z tobą rozmówić – powiedział.

Zdziwiony Wszędobór zawrócił.

Na dziedzińcu Mieszko wsunął się pomiędzy Gromosława i Czambora, zarzucił im ręce na ramiona i, krocząc pośrodku, objaśniał:

– Bolesław cofa Wszędobora z wyprawy. Jego ludzie zostają pod waszymi, znaczy Żelenty, rozkazami. Wszędobór dostanie zadanie organizowania zaciągów, ojciec sownie go wynagrodzi, żeby się nie obraził.

– Może i dobrze – oświadczył Randulf.

– Właśnie, że niedobrze – zaprotestował Bernard. – Ja na wyprawie, a Wszędobór w kraju, na pewno do Lubusza zaraz wyskoczy.

– Uspokój się, Benno. – Gromosław silił się na kojący ton. – Zwodziśława miłuje tylko ciebie. Jak wrócimy, to zdążysz jeszcze się z nią ożenić, zanim ruszymy na Rusów.

– Zaskoczył nas władca z tym Żelentą – zauważył Czambor. – Nogi mi się ugięły z wrażenia, jak go ujrzałem.

– Żelenta to zacny mąż, wierzcie mi – odparł Mieszko. – Na wyprawie będzie dużo okazji, zapoznacie się lepiej.

– Ile w tym prawdy, co o nim prawią? – Zaciekawiał się Czambor.

– Znam niektóre opowieści z nim związane, gdy przebywał na dworze cesarskim – wtrącił Bernard.

– Wydaje mi się – dodał Randulf – ale nie jestem pewien, że to chyba on jest bohaterem niektórych historii we Włoszech, za dawniejszych czasów jeszcze...

– Powiem wam tylko tyle – objaśniał im Mieszko. – Żelenta jest niczym brat przyrodni dla mojego ojca. Razem się wychowywali w dziecięcym wieku. O bitwie pod Cedynią w dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku nie muszę wam chyba opowiadać? To było wielkie zwycięstwo mojego dziadka nad Niemcami. Przebywający wtedy w Rzymie cesarz Otto zareagował jednoznacznie na wieść o bitwie. Opowiedział się zdecydowanie po stronie Mieszka, mego dziada, pomimo że klęski doznał cesarski podwładny, margrabia Hodo. Dla Ottona Mieszko był ważnym sojusznikiem na połabskim froncie we wspólnej walce przeciwko Redarom, cieszył się statusem cesarskiego przyjaciela. Natomiast Hodo przeciwstawił się cesarskim rozkazom, poprowadził armię na prywatną wojnę, kierując się własnymi interesami, sprzecznymi z założeniami polityki Ottona. Otto wściekł się wręcz, że Hodo stracił armię na walkę z sojusznikiem, zamiast poprowadzić ją przeciwko największemu wrogowi cesarstwa – Redarom. Rok później na zjeździe w Quedlinburgu Otto doprowadził do pojednania między Mieszkiem i Hodonem. Jednocześnie cesarz postanowił umocnić stosunki cesarstwa z tak ważnym sojusznikiem, wspólnie z Mieszkiem uradzili, by następca polskiego tronu, czyli mój ojciec, Bolesław, i kilku synów z naszych najznamienitszych rodów dostąpili wstępnych arkanów wykształcenia, niezbędnych warstwie rządzącej. Sześciolatniego Bolesława i kilku jego rówieśników umieszczono w szkole przyklasztornej w Magdeburgu. Wśród nich znalazł się również ośmioletni wówczas Żelenta czy obecny palatyn Stoigniew.

– Wybacz, Mieszko, że przerwę. – Wtrącił się Bernard. – Ale w pergaminach magdeburskiej biblioteki nieco odmiennie opisano przebieg wydarzeń. Otto w ramach nałożonej na twego dziada kary nakazał przekazanie mu zakładników, stąd Bolesław znalazł się w Magdeburgu...

– Wiem, Benno – odparł Mieszko. – Osobiście przecież czytałem te zapiski. To nic, jeno złośliwa, antypolska propaganda. Później Bolesław i pozostali powrócili do Polski, oprócz Żelenty. Z czasem Żelenta stał się stałym przedstawicielem Polski na cesarskim dworze. Jednocześnie zyskiwał sobie zaufanie rodziny cesarskiej, rósł w znaczeniu i zamożności. Wszedł do wąskiego kręgu cesarskiego otoczenia, został osobistym drużynnikiem cesarza Ottona zwanego Drugim. Wszedł w przyjazne i zażyłe stosunki nie tylko z saskimi rodami, ale również nawiązał osobiste przyjaźnie z władcami Połabia, szczególnie z obodryckim Mściśławem. Gdy w 1002 roku wybuchła wojna, Żelenta powrócił do Polski, nie odstępując od tej pory na krok mojego ojca, Bolesława. To w skrócie na razie tyle, byście nieco rozeznaną mieli. Reszty dowiedziecie się od samego Żelenty, jeżeli zyskacie jego zaufanie.

– A ty, Mieszko? – zapytał na pożegnanie Gromosław. – Jakie są twoje plany?

– Najpierw na Morawy, uregulować tamtejsze sprawy przed nadchodzącą wyprawą na Kijów, a potem do Poznania. Ojciec zostawia mi Polskę pod nadzorem, gdy wy wszyscy latem na Rusów ruszycie.

* * *

Gdy już wszystkie oddziały, zebrały się w wyznaczonym miejscu, Żelenta podzielił całość, z wyłączeniem własnej drużyny, na trzy hufce. Dowództwo nad nimi objęli Gromosław, Bernard i Czambor. Wojomir i Randulf zostali pominięci. Gdy otrzymają wsparcie z Kopanika, Brenny

i Hobolina, utworzy się dodatkowy hufiec lub dwa, wtedy przyjdzie czas na Wojomira. Podział – jak się wyraził Żelenta – obowiązuje tylko na wypadek działań wojennych i operacji taktycznych. Sam zachował przy boku swoją drużynę, obejmując jednocześnie komendę nad całością. Na koniec wygłosił do wojska krótkie i zwięzłe przemówienie.

W końcu ruszyli, szlakiem na Merseburg. Prawie trzystu ciężkozbrojnych jeźdźców i sto pięćdziesiąt jucznych koni obładowanych głównie trokami z prowiantem i paszą.

Minęło późne popołudnie, do zmierzchu pozostały niecałe dwie godziny, jak to zimową porą. Na dwa staje przed Strzałą szlak prowadził przez rozległy otwarty teren, lasy widniały w oddali na widnokręgu. Pola uprawne rozciągały się jak sięgnąć okiem, po północnej stronie leżała niewielka wieś. W oddali, na zachodzie, majaczyły wieże Strzały. Zatrzymali się na krótki postój, jedynie dla odsapnięcia. Pod Strzałą przekroczyli Łabę i przed zmrokiem dotarli w okolice Wurzen. Przekroczyli Muldę na południe od grodu. Wtedy dopiero Żelenta zarządził rozbięcie obozu na nocleg, pod lasem niedaleko brzegów rzeki. Wszyscy bez wyjątku umęczeni byli forsowną jazdą. Bez większych dysput i zwyczajowego gawędzenia przy ogniskach wojsko zaległo w namiotach na odpoczynek.

W środku nocy rozstawione warty podniosły alarm. Do obozu przybył goniec od Bolesława. Musiał widocznie pędzić bez zatrzymania, skoro ich dognał. Żelenta zwołał natychmiast naradę. Zmiana planu. Z Hobolina nie podążą bezpośrednio do Łączyna, lecz udadzą się najpierw do grodu Graby nad rzeką Ładą. W grodzie schronili się księża zbiegli z kościołów z okolicznych osad, Żwirowa i Koniowa. W samych Grabach również stał kościół z niewielkim zastępem duchownych. Tamtejszy garnizon, wierny Mścisławowi, zabarykadował się w kasztelu wraz z uciekinierami. Wśród miejscowej ludności, podburzonej przez wysłanników Radogoszczy,

narastało wrzenie. Na obrzeżach grodu i kasztelu gromadziły się tłumy uzbrojonego chłopstwa. Rozkaz Bolesława: „Uratować duchownych w Grabach i odstawić do Łączyna, dopiero po tym przystąpić do realizacji pierwotnego planu”.

O poranku, po szybkim oporządzeniu się, ruszyli w dalszą podróż. W połowie drogi między Wurzen a Merseburgiem skręcili w odnogę traktu wiodącą na północ. Przed południem dotarli do miejsca, w którym Mulda wpada do Łaby. Na wysokości niewielkiej, ale silnie obwarowanej saskiej strażnicy granicznej sforsowali Łabę. Opuścili tereny niemieckich marchii i wkroczyli na południowe obszary Stodoranii.

Bernard zauważył, że wbrew obawom jazda przez niemieckie Połabie odbyła się bez przeszkód. Widocznie załogi mijanych grodów uprzedzone zostały zawczasu przez gońców. Jedynie w osadach i wsiach mieszkańcy spojowali na nich nieufnie. Żelenta skomentował z przekąsem, że strach miejscowych na widok polskich znaków obleciał. Pamiętają jeszcze wypadki polskich podjazdów z poprzednich lat. Pamiętają, jak kiedyś Bolesław wbijał słupy graniczne w Soławę. Tacy z nich Słowianie, perorował złośliwie, którzy już dawno pokochali niemiecką zwierzchność.

Po godzinie dalszej jazdy dotarli pod Czerwiszcze. A właściwie zgliszcza i ruiny grodu, zniszczonego przez Bolesława w 1007 roku. Zgodnie z zapowiedzią oczekiwał tam na nich oddział stodorańskiej jazdy – wsparcie z Brenny. Ku ich zaskoczeniu całkiem pokaźne wsparcie, trzydziestu jeźdźców. Stodorański goniec przekazał im konnicę oraz list od księcia Sławigosta do Żelenty. Gromosław zapytał, czy przez Brennę przejeżdżała już jazda z Kopanika, na co zdziwiony goniec odparł, że nic mu nie wiadomo. Ale przecież z Kopanika jest niedaleko do Brenny, powinni najpóźniej wczoraj pojawić się w Brennie w drodze na Łączyn, denerwował się Gromosław. Na co goniec kręcił przecząco głową, wyraźnie

wystraszony jego gwałtowną reakcją. Poruszenie Gromosława zaniepokoiło jego przyjaciół. Odparł, że martwi się o Burzysława, młody jeszcze, dopiero niedawno objął panowanie nad Kopanikiem, nietypowym i podejrzanym brak wieści o przemarszu jego wojska przez Brennę.

Popędzili konie w dalszą drogę. Przed wieczorem dotarli do Hobolina. Wielki gród z wysokimi wałami usadowiony był na wyspach w widłach Haweli i Łaby. Rozłożyli się obozem naprzeciwko grodu, po północnej stronie Haweli. Wnet zawitał do nich książę Unibor z poczem. Zasiadli do rozmów. Nie, oddział z Kopanika nie przechodził tędy, oznajmił Unibor. Również wieści o sytuacji u Obodrytów nie napawały optymizmem. Hobolin graniczył od północy z ziemiami Glinian, plemienia uzależnionego od Obodrytów. A właśnie Łączyn, do którego zmierzali, na zachodzie, niedaleko brzegów Łaby, był głównym grodem Glinian. Na wschód od ziemi Glinian, aż po rzekę Doszę na wschodzie i Ładę na północy, znajdowały się tereny pomniejszych plemion takich jak Smolińcy, Bytyńcy czy Doszanie, również częściowo uzależnione od Obodrytów. Dochodziły stamtąd bardzo niepokojące raporty zwiadowców. Zaobserwowano ruchy wojsk obodryckich i kolumny maszerujących oddziałów lutyckich. Obraz grozy potęgowały łuny pożarów na horyzoncie oraz zgłiszcza mijanych po drodze spalonych wiosek.

Przed kilkoma dniami do Hobolina wpadł na spienionym koniu obodrycki rycerz, ciężko poraniony. Zanim skonał, zdołał przekazać jedynie strzępy informacji. W poszczególnych ośrodkach dochodziło do pierwszych zamieszek. Wszędzie działali pogańscy agitatorzy z Radogoszczy. Podobno od południowego wschodu nadchodziły lutyckie armie, nie wiadomo, w jakiej sile. Narastało zarzewie buntu. Mściśław zwołał do Zwierzyna zjazd i mobilizację całej obodryckiej arystokracji, wodzów z niższych szczebli z zaciągami drużyn, oddziałów. Nie, Mściśława nie ma

w Mechlinie, przebywał akurat w Lüneburgu u księcia Bernarda, gdy dotarły doń wieści z kraju. Na pewno ruszył już w drogę powrotną, przecież w Mechlinie albo Zwierzynie przebywa cała rodzina dynastii. Dlatego zwołał zjazd i mobilizację do Zwierzyna. Unibor podejrzewał początek wielkiej zawieruchy u Obodrytów, ale nic więcej nie potrafił dodać. Przyznał, że sam nie wie, jak ocenić sytuację u Obodrytów: rebelia, bunty, wojna? W kwestii przyobiecane go wsparcia potwierdził, że – oczywiście – przyda im posiłków, trzydziestu jeźdźców. To dużo, zauważył z nieskrywaną wdzięcznością Żelenta. Mścisław jest jego wujem od strony matki, odparł dumnie Unibor, gdyby mógł, oddałby więcej zbrojnych do dyspozycji.

Z brenneńskiej i hobolińskiej jazdy Żelenta uformował hufiec, wyznaczając nad nim komendę Wojomirowi.

– Jesteś Połabianinem, to prowadź swoich – rzekł mu.

Wojomir chciał już zauważyć, że jego Połabie tyle ma wspólnego z Połabiem Obodrytów co... ale przemilczał.

Jak dotrzeć najszybciej na Graby nad Ładą? Prosta droga, poinformował ich Unibor, przejezdny trakt, właściwie jak na Łączyn, niecałe siedemdziesiąt mil stąd, ale na wysokości rzeki Doszy muszą odbić na północny wschód, stamtąd niecałe czterdzieści mil na Graby. To już u Obodrytów, dodał Unibor.

Żelenta wydał dyspozycje. Następnego dnia podąży z własną drużyną do Łączyna. Musi koniecznie spotkać Mścislawa, założywszy, że obodrycki książę pojawi się w Łączynie. Poza tym należy nadal liczyć się z nadejściem do Łączyna posiłków z Kopanika. Natomiast oni, znaczy Gromosław i jego przyjaciele, na czele reszty wojska podążą na Graby, wypełnić rozkaz Bolesława – zapewnić ochronę tamtejszym duchownym i sprowadzić ich do Łączyna.

Postanowili porządnie wypocząć pod Hobolinem, zanim następnego dnia wyruszą w dalszą drogę. Rozłożyli się przy ogniskach pootulani w płaszczce i futrzane narzuty, mięsiwa na roznach, bukłaki z trunkami, być może był to ostatni spokojny obóz, nie wiadomo, co ich czeka w najbliższym czasie. Żelenta przebywał pośród swych drużynników, nieco dalej od grupy Gromosława.

– Teraz mi grzecznie opowiecie, co się działo w Gdańsku – zwrócił się do Czambora i Randulfa Gromosław.

Randulf otwierał już usta, lecz raptem zastygł w niepewności. Do ich ogniska dosiadł się nagle Żelenta. Zapanowała konsternacja. Dowódca przejechał wzrokiem po ich twarzach i rzekł:

– Ptaszeta zamilkły? Podchodząc do was, dosłyszałem, że zanosi się na ciekawe opowieści. Śmiało, opowiadajcie, starego wojaka już nic nie zdziwi.

Zaczęli opowiadać.

Randulf, goszcząc w Gdańsku u Czambora, zadurzył się w powabnej, tryskającej ognistą energią Milunie. Z wzajemnością, za to ku wielkiemu niezadowoleniu jej ojca, Hanisza, zarządcy portu. Randulf i Miluna trzykrotnie wyprawili się na konne wycieczki, szukając okazji do pofolgowania namiętnościom, lecz bezskutecznie. Za każdym razem towarzyszył im przydzielony przez Hanisza oddziałek złożony z czterech zbrojnych. Nie odstępowali naszej parki na krok, ani przez chwilę, nie zezwalając im na spełnienie zamiarów.

Pewnego razu Randulf uzalał się Czamborowi na niesprawiedliwy los, na złośliwego Hanisza, na powaby Miluny, których nie może skosztować. Po naradzie obaj obmyślili przebiegły plan. W ich mniemaniu. Wysłali do Gromosława gońca z listem z prośbą o przyjacielską przysługę: żeby im przysłał dwudziestu wojowników. Zwykłych, szeregowych, najlepiej

prostych kmieci z jakiejś lubuszańskiej wioski. Ale obeznanych z wojaczką, roślących, silnych, groźnych z wyglądu. Potrzebują ich do wykonania ważnego zadania, w prywatnej sprawie. Gwarantują ich bezpieczeństwo, powrócą bez szwanku na zdrowiu. Wraz z listem goniec przekazał Gromosławowi okazały, pękaty trzos srebra oferowany przez Randulfa jako zapłata. Dla każdego najemnika pięć dukatów, reszta dla Gromosława za spełnienie prośby przyjaciół. Gromosław wysłał najemników.

Zgodnie z instrukcją zawartą w liście najemnicy przybyli nie do Gdańska, lecz do wsi służebnej pod Gdańskiem, którą Bolesław przekazał w lenno Czamborowi jako nagrodę za zasługi w poszukiwaniach włóczni świętego Maurycego. Czambor przebrał ich za pruskich wojowników. W gdańskiej zbrojowni rodu Czambora było pod dostatkiem pruskiego uzbrojenia, broni i odzieży. Randulf wybrał się ponownie na wycieczkę z Miluną, w otoczeniu czterech nadzorców Hanisza. Randulf pokierował końmi na wschodnie rozlewiska Wisły, zagłębili się w pograniczne puszcze. Nadzorcy narzekali, że niebezpiecznie, że to już tereny Prusów, lepiej zawrócić. Randulf uparł się, żeby jednak zatrzymali się na krótki biwak na skraju lasu nad rwącym potokiem. Zaledwie zsiadli z koni, ze wszystkich stron wypadł na nich oddział Prusów, znaczy wypożyczonych od Gromosława najemników przebranych za pruskich wojowników. Włócznie przystawione niemal do piersi zaskoczonych, strzały na napiętych łukach. Napastnikami dowodził wielki niczym niedźwiedź wódz z głową ukrytą pod maską łba jelenia. Czambor. Nadzorcy Hanisza struchleli ze strachu, rzucili broń na ziemię, błagając o darowanie życia. Wódz Prusów, czyli Czambor, orzekł, że nic im nie grozi, natomiast Randulf i Miluna wzięci zostają do niewoli. Czambor jeszcze kopnął przyjaciela w ramię, rzuciwszy go na ziemię, co mu później Randulf z wyrzutem wypominał. To dla

niepoznaki, tłumaczył się Czambor, dla zwiększenia grozy sytuacji w oczach nadzorców.

Puszczeni wolno nadzorcy pomknęli do Gdańska. Randulf, Miluna i rzekomi Prusowie z Czamborem na czele podążyli mieliznami rzecznych koryt w stronę pruskiego terytorium. Cały czas przebijali się wąskimi drogami przez nieprzebytą puszcę, podążając dalej w stronę zaszytego na wysepce w głębi lasu przejrzystego gaju. Na jego obrzeżu wznosiła się samotna, opuszczona sadyba. Gaj i sadyba mijane były od lat zarówno przez Pomorzan, jak i Prusów. Intruzów odstraszały stare, owiane groźbą tajemnice. Dla zamiarów spiskowców ważne było, że nikt nie odważy się tam zapuścić.

Czambor powrócił po kryjomu do Gdańska. Randulf i Miluna rozgościli się w sadybie, najemnicy rozłożyli się obozem nieopodal. Przez dwa tygodnie Randulf i Miluna rozkoszowali się owocami wzajemnego uniesienia miłosnego. Posiłki spędzali przy ognisku wspólnie z najemnikami. Przez nikogo nie byli nękanii.

Tymczasem w Gdańsku Haniszem miotały na zmianę rozpacz i gniew. Jedyna córka porwana przez Prusów! Relacja nadzorców nie pozostawiała wątpliwości. Hanisz wysłał dwa razy oddział na penetrację pogranicza. Bez rezultatu. Od samych Prusów też żadnych wysłanników, zwyczajowych w takim przypadku, z żądaniami okupu. Panował pokój, do Gdańska zjeżdżali z Prus kupcy i handlarze, skąd zatem wrogi napad?

Po dwóch tygodniach Czambor, manifestujący wszem i wobec głęboką troskę o los przyjaciela, ogłosił oficjalnie, że wyrusza na poszukiwania Randulfa. Na czele pokażnej drużyny czterdziestu ciężkozbrojnych. Prowadzeni przez Czambora dotarli, niby przypadkowo, w okolice gaju i sadyby. Ostrzeżeni zawczasu i poinstruowani odpowiednio najemnicy na

widok jazdy pomorskiej uciekli, znikając bez śladu, nie wdając się w walkę. W sadybie zaś odnaleziono związanych Randulfa i Milunę.

Powrót do Gdańska, wielki triumf odważnego Czambora, powitania. Wieczorem wydana przez Hanisza wystawna biesiada dla uczczenia odzyskania córki. Wiwaty, toasty, śpiewy, przemówienia, szczęśliwy Hanisz, aczkolwiek z nieufnością spoglądający nieustannie w kierunku biesiadującego Randulfa. Wysławianie czynu Czambora. Miluna obok Hanisza, pilnowana jak oczko w głowie. Czambor i Randulf w otoczeniu ludzi z rodu Czambora, przy ławach po drugiej stronie hali. Stało się jednak to, co za nic w świecie stać się nie miało. Podchmielona Miluna zaczęła się kłócić z ojcem z niewyjaśnionych przyczyn i chcąc mu dopiec, wyjawiała prawdę.

Hanisz wpadł w amok. Na czele ze swymi ludźmi rzucił się z obnażonym orężem w stronę Czambora i Randulfa. Ludzie Czambora również chwycili za broń. Biesiadne ławy przewrócono na ziemię niczym ściany tarcz. Zgiełk, zamieszanie. Ktoś pchnął włócznią w stronę Randulfa, raniąc go lekko w ramię, ten odbił ostrze włóczni mieczem i dźgnął przeciwnika w bok.

Na to wszystko wpadli wojownicy garnizonu. Rozszczępili i rozegnali skłócone towarzystwo. Pchnięty przez Randulfa mieczem wojownik przeżył na szczęście, skończyło się jedynie na ciężkim zranieniu.

Co tu dalej opowiadać? Hanisz skierował bezpośrednio do Bolesława oficjalną skargę. Zwyczajowo to rozstrzyganie takich spraw leżało w gestii Stęgniewa, od roku mianowanego namiestnikiem podatkowym i sędzią w Gdańsku, ale jak ojciec Czambora miał bezstronnie wyrokować wobec zarzutów na własnego syna? Bolesław oficjalnie okazał wielki gniew. Bardzo wielki. Czamborowi odebrano przyznaną mu wieś, co produkowała ostrogi. Randulf musiał z własnych zasobów pokryć Bolesławowi pokaźne

wydatki związane ze złagodzeniem gniewu Hanisza. W rzeczywistości, o czym Hanisz nie wiedział, Bolesław nie odebrał Czamborowi przyznanych wraz ze wsią zwiększonych apanaży służebnych, a Randulfa nadal traktował jak czcigodnego gościa z zagranicy. Tyle że w Gdańsku Czambor i Randulf narobili sobie niepotrzebnie wrogów. Przestali się szwendać beztrosko po wszystkich wyszynkach i biesiadach. Randulf zaczął uczyć Czambora sztuki pisania i czytania. To tyle, ot i cała opowieść.

Oprócz Czambora i Randulfa wszyscy pozostali przy ognisku kulili się ze śmiechu. Nawet Żelenta nie potrafił opanować rozbawienia.

* * *

Rankiem Żelenta zaskoczył ich zmianą planów. Postanowił, że wspólnie z nimi podąży na Graby. Do Łączyna wysłał jedynie połowę swojej drużyny. Dziwowali się, ale powstrzymali się od komentarzy. Będąc już w drodze, Czambor wyraził przypuszczenie, że stary wyga chyba im nie dowierza. Nikt z pozostałych nie podjął tematu.

Początek lutego, a zima nadal niezwykle łagodna. Randulf prychał na ich narzekania. Po co im ostra zima? Z rozrzewnieniem zapewniał, że we Włoszech o tej porze to w najlepsze zbiór dojrzałych pomarańczy.

W połowie drogi na Graby od głównej kolumny odłączył się oddział dwudziestu zbrojnych z drużyny Żelenty, skręcając na zachód, w kierunku Łączyna. Oni zaś popędzili dalej na północ. Mijane okolice utraciły monotony, płaski charakter, przechodząc w teren urozmaicony niewysokimi zalesionymi wzniesieniami, stokami opadającymi łagodnie w szerokie doliny poryte korytami rzek. Wszystko przykrywała cienko warstwa bieli śniegu.

Od przodu przycwałowali zwiadowcy. Przed nimi, tam, gdzie droga skręca nieco na lewo, za załomem lasów na wzniesieniu znajdowało się

duże jezioro z grodem na wyspie. Żwirowo. Zasięgnęli języka z wartami na wałach. Przyjaźnie nastawieni, ale do środka nie wpuszczą. Przed czterema dniami gościli u nich kapłani Lutyków. Dzień po tym dwóch duchownych z kościółka uciekło na Graby. Były wśród nich jakieś ofiary? Nie, uciekli przez nikogo nie nękani. A dobro kościelne? Rozdali wśród mieszkańców. Mijamy Żwirowo, bez wdawania się w dalsze dyskusje, zdecydował Żelenta, by jak najszybciej dotrzeć na Graby.

Nie upłynęła godzina, gdy dotarli w pobliże dużego, podłużnego jeziora po ich lewej stronie. Brzegi porastał gęsty pas lasów. Po prawej stronie teren przechodził w zachodnim kierunku stopniowo w łagodny płaskowyż. W przodzie droga, cały czas wzdłuż jeziora, ginęła gwałtownie w leśnej gęstwinie. Zwiadowcy zameldowali, że za załomem las się kończy, trakt opada w dolinę, wiedzie do brzegu dużej, szerokiej rzeki płynącej z zachodu na wschód. Łada, stwierdził Żelenta. Pośrodku niej na dużej, rozczłonkowanej wyspie widać gród z wysokimi wałami, meldowali dalej zwiadowcy. Na wałach zamiast drewnianej palisady kamienny mur z blankami. To muszą być owe Graby. Znaki jakieś na murach dojrżeli? Sztandary z głową jakiegoś żubra, tura albo byka, z daleka nie sposób dokładnie rozpoznać. Znak dynastii Mściwoja, oznajmił Żelenta, głowa tura. Czyli gród nadal w rękach Obodrytów. Tylko których Obodrytów, zauważył z przekąsem Gromosław, tych, co pozostali w wierności Mścislawowi, czy też rebeliantów?

Popędzili dalej. Jak zapowiedzieli zwiadowcy, mocno zwężona przy załomie lasu droga schodziła w stosunkowo szeroką dolinę, i dalej, za mniej więcej dwie mile dochodziła do rzeki. Faktycznie rzeka rozlewała się szeroko, a na niej dojrżeli duży kompleks wysp i potężne wały oddalonego grodu. Po lewej stronie dolina stykała się z jeziorem porośłym wzdłuż brzegu głębokim na około dwadzieścia kroków, rzadkim lasem. Stąd

niewidoczne było połączenie jeziora z rzeką, pewnie zmieniało się w trzęsawiska. W połowie drogi, ale już bliżej lasu, zauważyli niewielki pagórek. Również prawą stroną doliny, około stu kroków od drogi, biegł nieustannie pas lekkich, pofalowanych wzniesień, dochodzących do rzeki, pokrytych kępami lasów z przerwami na rozległe łąki, pastwiska i pola uprawne.

– Kierujemy się w stronę wyspy, tam przy końcu drogi muszą być jakieś pomosty – rozkazywał Żelenta. – Spokojnym kłusem, żeby nas w grodzie nie wzięto za wrogów. Hufce rozstawić na szerokie rzędy. Ja z moim oddziałem przodem, za mną Gromosław i Bernard równoległe do siebie, za nimi Czambor prowadzący juczne i zapasowe konie, kolumnę zamyka Wojomir.

– Nie podoba mi się zaczernienie nieba za wzniesieniami po prawej stronie – zauważył Wojomir.

– To chmury, śniegiem zaczyna lekko prószyć. – Żelenta wzruszył ramionami.

– Nie chmury, tylko setki wron i kruków. – Upierał się Wojomir.

Stary wojak wpatrywał się przez chwilę we wskazanym kierunku.

– Może i kruki, padlinę znalazły, to ucztują.

– Tyle kraczydeł naraz? – Zdziwił się Wojomir. – Chyba że całe stado żubrów naraz zdechło.

Żelenta machnął lekceważąco ręką.

– No to zdechło. Z głodu, wycieńczenia. Zima. W drogę. Aha. – Coś sobie przypomniał. – Nakażcie tym z Hobolina i Brenny pozwijać sztandary bojowe. Jeszcze w Grabach pomyślą, że Stodorania ich najeżdża. Tylko polskie znaki.

– Rozwinąć naszą chorągiew bojową? – spytał go rycerz od chorągwi.

– A czemu nie, rozwijaj – odparł Żelenta.

– Przecież w grodzie wiedzą, że nadchodzimy z pomocą – zauważył Gromosław. – Któż jak nie oni wysłali gońca do naszego władcy? Bo skąd niby Bolesław nakazał nam tu przybyć?

– Tak jakby u Obodrytów znano polskie znaki. – Obruszył się Bernard.

– To poznają – odpowiedział mu Czambor.

– Zaśpiewajmy coś po polsku – zaproponował Randulf.

– A może po włosku? – Wpadł mu w słowo Wojomir.

– Wznieście krzyże. – Chyżon wyskoczył z pomysłem.

– A ty tu czego? Do szeregu wracaj! – zrugął go Czambor. – Gdzie masz oszczep?

– No czego? – Chyżon udawał obrażonego. – Oszczep zawieszony z drugiej strony konia.

– Mam złe przeczucie – zauważył Wojomir.

– Dość tych waszych uciążliwych przekomarzań! – Żelenta najwyraźniej tracił cierpliwość.

Wreszcie ruszyli.

W połowie drogi jadący na samym przodzie Żelenta wzniósł do góry prawicę – to znak, by się zatrzymać. Teraz dopiero zauważono, że pomostów nie ma. Zniknęły, pozostały po nich jedynie pale wystające ponad powierzchnię wody. Nie było połączenia z wyspą. Wojownicy na murach grodu krzyczeli coś do nich zapamiętale, ale odległość nie zezwalała na zrozumienie. Powstało lekkie zamieszanie. Hufce Gromosława i Bernarda wymieszały się z drużyną Żelenty. Po chwili dobił do nich Czambor. W tym momencie z tyłu, od strony Wojomira, dobiegły ostrzegawcze okrzyki zmieszane z hukami dziesiątków toporów.

Jak się okazało, wąskie przejście, którym wjechali w dolinę, zawałały opadające gwałtownie na ziemię drzewa. Tworzył się coraz wyższy stos blokujący powrotną drogę. Po chwili na szczytach zwałonych pni pojawili

się wojownicy – mnóstwo wojowników. Dziesiątki Lutyków kłębiło się w przesmyku. Mogła być ich nawet setka, lecz wśród gałęzi niełatwo było rozpoznać. Jak na komendę poczęli strzelać z łuków w stronę zdezorientowanych jeźdźców hufca Wojomira. Salwa za salwą. Chmury strzał wbijały się w kłębowisko koni i ludzi. Wojomir porwał zastęp do uderzenia. Nie przebyli nawet kilkudziesięciu kroków. Padające trupy, oszalałe konie. Jeźdźcy plątali się pośród zabitych i poranionych. Na barykadzie gromadziło się coraz więcej lutyckich wojowników. Teraz, ponieważ odległość się zmniejszyła, na hufiec Wojomira poleciały dodatkowo włócznie i oszczepy. Wojomir nawet nie musiał nakazywać odwrotu, cała jazda rzuciła się do ucieczki w stronę zgromadzonego pośrodku drogi wojska. Panika, nawoływania, komendy. Oddział Wojomira został brutalnie przetrzebiony, zginęło ponad trzydziestu stodorańskich jeźdźców.

– Zdziętkowali nas! – krzyczał Wojomir do Żelenty. – Odcięli odwrot, setki diabelskich Lutyków!

– Formacje bojowe! – grzmiał Żelenta. – Ustawiać piesze szyki! Konie do lasu przy jeziorze!

Nim zdążyli się na dobre przegrupować, od wzniesień doleciał jazgot piszczał, trąb i rogów bojowych. Na całej długości grani, spomiędzy drzew, na pola wyłaniały się zastępy wojowników. Setki. Piechota Redarów i Tolężan. Kroczące bloki falang, głębokie na kilka szeregów, z powiewającymi nad nimi sztandarami bogiń i bogów. Pomiędzy blokami kilku wojowników dosiadało koni.

– Zagnali nas w pułapkę. – Żelenta siedzący nadal na koniu lustrował sytuację. – W pułapkę bez wyjścia. Przed nami lutycka armia, przewyższająca nas parokrotnie liczebnie, na dogodnych dla nich pozycjach wzniesienia terenu. Droga z lasu zablokowana barykadami obsadzonymi

łucznicami i oszczepnikami. Ucieczka do grodu niemożliwa, pomosty zniszczone. Za nami wąski pas rzadkiego lasu i jezioro, woda pobłyskuje spomiędzy drzew. Nie mamy wyboru, jak walczyć do upadłego.

– Może układami? – zapytał ktoś.

– Lutycy nie układają się z Polakami – odparł Żelenta. – A tych tam uważają za zdrajców. – Wskazał ręką na resztki stodorańskiego oddziału. – Wojomirze – zwrócił się do Połabianina – ilu ludzi straciłeś?

– Ponad trzydziestu. Zmasakrowali nas ostrzałem.

– Czyli mamy niecałe dwieście wojowników przeciwko kilkunastu setkom wrogów. Nie jest tak tragicznie – stwierdził pocieszająco Żelenta. – W gorszych opałach się bywało.

Pewność siebie Żelenty jakoś nie udzielała się zebranych wokół niego dowódcom. Wręcz przeciwnie, spotęgowała jeszcze bardziej poczucie beznadziejności sytuacji.

– To jest piechota Redarów – wyrokował Gromosław. – Będą nacierać do skutku, aż nas zmielą i wdepczą w ten zabłocony śnieg.

– Kto chce – odpowiedział mu Żelenta – niech zdziera uzbrojenie, rzuca broń i wskakuje do jeziora za nami.

Wśród zebranych powiało grozą. Ten i ów spozierał ponuro na dowodzącego.

Szeregi wojowników na szczycie wzniesienia ruszyły powoli w ich kierunku. Sprawnie i zdyscyplinowanie. Po chwili się zatrzymały.

– Tarcze! Tarcze w górę! – nawoływano energicznie wzdłuż ściśniętych w dolinie linii obronnych.

W sam czas. Powietrze rozdarł przeraźliwy świst setek strzał. Na wzniesione tarcze opadła pierwsza salwa. Za nią druga i kolejne. Ostrzał zbierał śmiertelne żniwo. Co najmniej kilku obrońców padło trupem, wielu zostało zranionych. Nie czekając na rozkaz Żelenty, wycofali się pod ścianę

lasu i sformowali ponownie szeregi. Pod osłoną drzew skuteczniej się chronić przed ostrzałem. Piechota Lutyków ruszyła do natarcia. Pierwszy uderzeniowy blok lutycki składał się z trzech szeregów, wzdłuż całej linii natarcia. Za nimi w odległości czterdziestu kroków maszerował drugi blok. Za nimi następny, również w odległości czterdziestu kroków. Trzy bloki. Każdy po około dwustu wojowników. Razem sześciuset. Na stokach wzniesień czekały rezerwy, prawie tysiąc. Teraz przyszedł czas na Wojomira. Zebrał wokół siebie około trzydziestu łuczników i powitali pierwszy blok nadchodzących salwami z łuków. Pierwszy rząd rozproszył się w kłębowisku trafionych strzałami. Za nimi parły jednak kolejne szeregi falangi. Wojomir strzelał jak opętany, do ostatniej chwili, do momentu aż w końcu pierwsze ściany tarcz zderzyły się z grzmiącym hukiem. Oparł łuk o drzewo, wyjął miecz i rzucił się w wir walczących.

Pomimo przygniatającej przewagi lutyckiej piechoty broniono się mężnie. Czambor naparł wszystkimi siłami własną tarczą na tarczę przeciwnika, przesuwając go skutecznie o pół kroku w tył. W mgnieniu oka, wykorzystując powstałą wąską lukę, pchnął mieczem w lewo, wbijając ostrze w bok zaskoczonego wojownika, aż zatrzymało się na jakiejś kości. Wyszarpnął błyskawicznie broń i ciął na ukos z góry w szyję wojownika po prawej stronie. Tymczasem pchany tarczą przeciwnik z przodu potknął się i przyklęknął odruchowo. Czambor wbił mu pod brodę obręb własnej tarczy. W powstałą przerwę w lutyckim szeregu wcisnęli się dwaj polscy rycerze, dźgając i siekając mieczami. Czambor wycofał się do własnej linii, krzyżując do pozostałych, by uczynili to samo. Za późno. Obaj polscy wojowie zginęli pod mieczami napierającego wroga. Za mało nas, kołatało w głowie Czambora, za mało, zgniotą nas, prędzej czy później. Jakiś topór zahaczył z góry o jego tarczę. Czambor wypuścił ją, czując, że przeciwnik wyciąga go wraz z tarczą z szeregu. Chwycił miecz oburącz i ciął potężnie

z góry. Z rozplątanej wraz z hełmem głowy przeciwnika trysnęła fontanna krwi zmieszanej z mózgiem. Czambor usiłował uwolnić utkwiony w czaszce miecz, drugą ręką obcierał z własnej twarzy krew przesłaniającą mu widok. Poczul uderzenie w ramię, tępy ból sparaliżował mu na moment lewą rękę. W panice wysupłał prawą ręką topór zza pleców i trzasnął na oślep przed siebie. Dosłyszał potworny krzyk konającego, w końcu przejrzał na oczy. Przed nim leżał trup wojownika z toporem zagłębionym w bark. Ledwo zdążył wyszarpnąć obuch, ktoś na siłę odciągnął go do tyłu, poza pierwszy szereg walczących. Obejrzał się. Chyżon krzyczał coś do niego, ale Czambor początkowo w ogłuszającej wrzawie nic nie rozumiał. Lewe ramię piekło od bólu, na szczęście powracało czucie w ręce, mógł nią już poruszać. Pewnie ostrze jedynie zadrasnęło skórę pod pancerzem. Teraz dosłyszał.

– Gromosław i Bernard w potrzebie! – wrzasnął Chyżon, wskazując ręką na lewo od nich.

Dadzą tu sobie radę beze mnie, pomyślał Czambor i przeciskał się we wskazaną przez Roztoczanina ciżbę skłębionych w boju wojowników.

Bernard i Gromosław oparci o siebie plecami walczyli zaciekle z otaczającymi ich wrogami. Dali się w bitewnym zamęcie otoczyć, wokół wały się same trupy polskich wojowników. Lutycka włócznia dźgnęła Gromosława po ramieniu, zrywając zapięcia naramiennika, inny Lutyk złapał za jego tarczę i próbował ją okręcić wokół osi. Gromosław zawył z bólu, w ostatniej chwili uwalniając lewą rękę z obręczy po wewnętrznej stronie tarczy. Uderzył z głowy, nasadą hełmu w twarz Lutyka, oszałamiając go na moment, kopnął w pierś, rzucając na kolana i wbił miecz pod gardło. Wyszarpnął ostrze, odparował uderzenie kolejnego przeciwnika, zamarkował ruch ramionami na lewo, ale wykonał zamach od prawej strony i niemal odciął mu całą głowę przy nasadzie szyi. Obejrzał

się szybko na stojącego za nim Bernarda, który utracił miecz i bronił się swym rodowym saksem. Gromosław wyskoczył przed Bernarda, ściał mieczem najbliższego przeciwnika, odparował cios kolejnego atakującego. Pochylił się szybko ku ziemi, podniósł jakiś miecz i podrzucił w stronę Bernarda.

– Chwytaj miecz, Benno! – krzyknął. – Tym twoim nożykiem niewiele zdziałasz!

Bernard uchwycił broń i natychmiast trzasnął w tarczę napierającego nań wojownika. Rozpłatał ją i następnym uderzeniem odrąbał Lutykowi rękę z wzniesionym toporem. W tym momencie dopadł do nich Czambor z Chyżonem. W czwórkę odparli napierających wojowników. Czambor krzyczał, żeby przebijać się w stronę własnych szeregów. Gromosław rozejrzał się.

– Zobaczcie! – Bernard wskazywał przed siebie. – Drugi blok lutyckiej falangi szykuje się do uderzenia, niebawem ruszą!

Przebili się z trudem do własnych linii, na wysokości hufca Żelenty. Toczono tutaj bój z podobnym zacięciem jak na innych odcinkach. Akurat drugi lutycki blok włączył się do walki.

– Tam! – zakrzyknął Bernard. – Tam na prawo! Randulf w opałach!

Longobardzki książę walczył w hufcu Wojomira. Nie wiadomo, jak tam się znalazł, był przecież cały czas przy boku Czambora. Randulf w przykłęku oganiał się włócznią od napierających zewsząd wojowników, niemal osamotniony, pośród sterty poległych i drących się z bólu poranionych. Zamaszystym półkolem włóczni przejechał po tarczach otaczających go wrogów. Trzasnął z góry w łeb najbliższego przeciwnika, ten padł otumaniony uderzeniem, ale włócznia roztrzaskała się w połowie. Randulf podniósł leżący na ziemi miecz, skoczył do przodu i potężnym uderzeniem rozpłatał gardło najbliższego przeciwnika. Siła zamaszystego

rozpędu miecza dosięgła ramienia wojownika obok, ale ostrze utkwilo w grubym skórzanym kaftanie. Inny Lutyk wybił mu miecz z ręki, uderzył z góry toporem w głowę. Obuch nie przebił hełmu, ale Randulf opadł bezwiednie na kolana, na twarz spłynęły mu strugi krwi. Otoczyli go. Któryś podniósł już miecz do uderzenia. Nagle zamarł, z oczyma rozwartymi w niedowierzaniu, wpatrując się ostatnim konającym spojrzeniem w wystający mu z szyi drgający bełt strzały. Wojownik obok niego zacharczał coś niezrozumiale i padł do tyłu z utkwioną pośrodku piersi strzałą. Trzeciemu strzała utkwiała w oku.

Przestrzeń wokół zmagającego się z niemocą Randulfa opustoszała nieco. W odległości trzydziestu kroków Wojomir wyciągał z kołczana strzałę za strzałą i słał niczym w transie w Lutyków napierających na Randulfa. Sięgnąwszy po kolejną, wyczuł pustkę w kołczanie. Przerzucił łuk przez plecy, chwycił miecz i pobiegł w kierunku Randulfa. Po drodze, przepychając się między walczącymi, potknął się o jakiegoś trupa. Zanim upadł, ktoś podchwycił go pod łokieć, pomagając zachować równowagę. Gromosław. Za chwilę zauważył pozostałych przyjaciół, również spieszących Randulfowi z pomocą. Zdążyli w ostatniej chwili. Randulf stracił przytomność, a na nim siedziało dwóch wojowników. Jeden ścigał mu z głowy hełm, znęcony oryginalnym kształtem i złoceniami nakrycia. Drugi szykował się do poderżnięcia Randulfowi gardła nożem. Nadbiegły Bernard przejechał mu mieczem w poprzek nasady pleców przerabując kręgosłup. Wojownik opadł martwy na bok w skrwawiony śnieg, z dłonią zaciśniętą na nożu. Czambor pochwycony gdzieś po drodze oszczep wbił w oko drugiemu wojownikowi. Otoczyli Randulfa, odpierając ataki.

Natężenie pierwszego natarcia Lutyków poczęło zamierać. Znad wzniesień dobiegły sygnały rogów i trąb. Na całej linii Lutyicy odstępowali od zwarcia, cofając się i ciągnąc ze sobą rannych.

– Biegniemy do Żelenty – zarządził Gromosław. – Ty, Wojomir, weź do pomocy Chyżona, zanieście Randulfa na ten niewielki pagórek po naszej stronie. Chyżon, zbieraj po drodze tyle strzał i kołczanów, ile zdołasz, znajdź dla siebie łuk. Brońcie na wzniesieniu dostępu do Randulfa!

Po chwili dotarli do Żelenty.

– Cofają się – orzekł stary wódz. – Przegrupują się i przejdą do drugiego natarcia.

– Którego pewnie już nie przeżyjemy. – Bernard nie skrywał sarkazmu.

– Pewnie nie – odparł spokojnie Żelenta. – Macie rozeznanie, ilu ludzi straciliśmy?

– Co najmniej jedną trzecią – zameldował Gromosław. – W zabitych – dodał. – Nakazałem, by ciała trupów i ciężko poranionych, niezdolnych do dalszej walki, odciągnąć między drzewa w lasek za nami.

– Żelenta – zaczął pytającym tonem Bernard – skąd raptem znalazła się tutaj armia Lutyków? Zapytam inaczej, dlaczego Lutyce w tak przeważającej sile czekali tu na nas? Przecież zostaliśmy wpędzeni w przemyślną pułapkę. Co, Gromo, nie widzisz tego?

– Zgadza się – potwierdził Gromosław. – Czekali na nas w przyczajeniu.

– Macie w pełni rację – odparł Żelenta. – Nie czas teraz jednak na rozpatrywanie.

– Ale przecież rozkaz księcia Bolesława był wyraźny, znaczy zmiana rozkazu pod Wurzen. – Nie dawał za wygraną Gromosław. – Gонец też był od księcia...

– Znaczy to, że w naszych szeregach jest zdrajca. – Przerwał mu Żelenta. – I co nam z tego odkrycia teraz? Najważniejsze, byśmy końca dnia dożyli.

Lutycy tymczasem wycofywali oba bloki z pierwszego natarcia na stoki wzniesień. Nie okazywali pośpiechu.

* * *

Na murach grodu obserwowano z przejęciem przebieg bitwy. Grut, pan na Grabach i okolicznych włościach, zaciskał z przejęcia dłoń na kamiennej krawędzi, nieświadom, że palce zaszły z natężenia bielą. Odwrócił się do zgromadzonej wokół drużyny.

– Lutyki się przegrupowują, niebawem ponownie zaatakują – stwierdził. Nabrał głęboko mroźnego powietrza w płuca i odetchnął powoli, zanim orzekł: – Spuszczaj tratwy na rzekę z drugiej strony grodu. Ładować konie. Idziemy Polakom na pomoc. Szybko, zanim rozpocznie się drugi atak!

– Pójdziemy na stracenie – zaproponował ktoś z drużyny. – Poza tym co tu robią Polacy?

– Nie wiem, co tu robią Polacy – wyrzekł podniesionym głosem Grut. – Ale widzę tak jak i wy, że biją się z naszymi wrogami.

– Pomiędzy Polakami dojrzałem zbroje Stodoran – wtrącił inny drużynnik.

– Ale walczą pod jednym, polskim sztandarem – odparł Grut. – Koniec dyskusji, wykonać polecenie! Na dół do tratw, w pełnym uzbrojeniu!

– Ja nie idę – rzucił ktoś zdecydowanym głosem.

– My też nie – zawtórowało mu jeszcze kilkunastu z zebranych zbrojnych.

Grut zatrzymał się w połowie drogi do schodów rampy.

– Co z wami?! – Nie krył wzburzenia.

– Nie pójdę przeciwko Lutykom – odparł któryś z rycerzy. – W podległej mi wsi sami poganie, jedynie mój ród przyjął chrześcijaństwo

i jeszcze dwie kmiece zagrody. Grut, nasz porządek się wali, Lutycy podburzyli cały lud, mam wrócić do wsi po ciała moich najbliższych?

– Jesteś moim lennikiem – uciął Grut. – Tak jak wy wszyscy tutaj.

– Spróbuj odebrać mi wieś. Koniec z systemem, co od Sasów przyszedł, koniec z narzuconym przez Mścisława porządkiem, koniec z podatkami na Kościół.

Grut rozglądał się zaskoczony po zebranych. Na chwilę odebrało mu mowę.

– Ilu pójdzie ze mną? – zapytał, gdy już opanował narastającą wściekłość.

Zgłosiło się trzydziestu pięciu, siedemnastu postanowiło zostać w grodzie.

* * *

Do Żelenty podbiegł rycerz z jego drużyny, meldując, że zauważono wielkie poruszenie na murach grodu. Zbyt daleko, by rozpoznać dokładnie, w czym rzecz, ale coś tam się dzieje.

W tym czasie Randulf odzyskał przytomność na tyle, że wraz z Wojomirem i Chyżonem dołączyli do przyjaciół skupionych wokół Żelenty.

Nagle od strony wzniesień dobiegło głębokie, pojedyncze buczenie rogu bojowego. Czyżby Lutycy już szli do natarcia? Nie, dopiero się przegrupowują, co tam się dzieje? Na wzniesieniu pojawiło się trzech konnych. Na czele jechał jakiś starzec, sądząc z daleka po długich siwych włosach spływających spod hełmu niemal do pasa, odziany w połyskującą kolczugę z narzuconym na ramiona białym płaszczem. Po bokach towarzyszyło mu dwóch ciężkozbrojnych, co jest wielką rzadkością u Lutyków. Trójka skierowała konie pomiędzy szeregi piechoty.

Gromosław i jego przyjaciele zdrętwieli na widok starca. Rozpoznali go natychmiast. Pakosz. Pośród Lutyków zamarło wrzenie i szczęk broni. Pakosz wysunął konia jeszcze bardziej do przodu i zagrzmiał donośnym głosem:

– Czambor!!! Ty niewierny gdański skundlony obsrańcu! Przybyłem po ciebie i twoją prześmierdziałą strachem zgraję! Swarozyc na was czeka!

– Jezu błogosławiony w niebiosach! – wyjąkał Randulf. – Odegnaj od nas nieczyste pogańskie zaklęcia!

– Twój znajomy? – zwrócił się do Czambora Żelenta.

Czambor przysiadł z wrażenia na ziemi, nie odpowiedziawszy. Niczym sparaliżowany wpatrywał się w odległą sylwetkę Pakosza.

Randulf opadł na kolana, mamrocząc:

– To po nas, to po nas...

Bernard obserwował Pakosza z rozdziawionymi ustami. Trącił ramieniem stojącego obok Gromosława.

– Powiedz mi, że to sen, zjawą nienaturalna.

– To nie zjawą – cedził powoli słowa Gromosław. – To Pakosz, osobiście.

– Wydajcie nam Czambora i jego bandę! – grzmiał Pakosz. – Gromosława, Randulfa i Bernarda, tego saskiego zaprzedańca! To puścimy was żywcem!

Przez skupione szeregi obrońców przebiegły pomruki zdziwienia, niepokoju, niepewności.

Gromosław, Bernard i Randulf otoczyli Czambora.

– Czambor, czy ty znowu ukrywasz przed nami jakąś tajemnicę? Tak jak z uwolnieniem Stodora? – spytał niemal rozkazująco Gromosław.

– Jak uciekaliśmy ze świątyni w Radogoszczy – odparł z nieskrywaną niechęcią Czambor. – To ja zawróciłem, pamiętacie? Niby po zapomniany tobołek... coś mnie naszło, narąbałem toporem po posągu Swaróżyca i wyryłem na nim znaki nożem.

– Znaki? – Randulf nie krył zdumienia.

– Symbol Gdańska i krzyż obok – wyjaśnił Czambor. – A pod spodem moje imię. Tyle tylko umiałem wtedy napisać.

– Dowiem się, o co tu chodzi? – Żelenta nie krył poirytowania.

– Przywiązano cię kiedyś do słupa śmierci w Radogoszczy, parę kroków od straszliwego posągu Swaróżyca? – odpowiedział mu pytaniem Randulf.

Gromosław zdołał zebrać skołatane myśli.

– Nie czas na wyjaśnienia, Żelento. Pakosz to najważniejszy rangą kapłan Swaróżyca w Radogoszczy. Jednego bądź pewien, ktoś nas faktycznie zdradził i wpędził umiejętnie w tę matnię. Skąd Pakosz wiedział, że znajdzie nas tu i teraz?

Żelenta wzruszył ramionami. Zwrócił się do Wojomira:

– Dosięgniesz go na tę odległość z łuku?

Wojomir zastanawiał się, po chwili odparł:

– Niewielkie szanse. Na ponad sto pięćdziesiąt kroków, śnieg mocno prószy, wiatr zaciąga, Pakosz cały czas koniem płąsa... Mogę spróbować... ach, żebym miał taki węgierski łuk, co w Budziszynie widziałem, podobno nosi celnie na ponad dwieście kroków... ale nie zdołałem go napiąć...

– Dosięgniesz czy nie? – nalegał Żelenta.

– Spróbuję.

Wojomir nałożył strzałę, naciągnął cięciwę. Mierzył długo, w skupieniu. Wystrzelił. Strzała przeleciała obok głowy będącego cały czas w ruchu Pakosza i trafiła jeźdźca za nim, prosto w nasadę nosa, przebijając głowę.

Jeździec spadł martwy z konia na ziemię. Pakosz spoglądał przez moment na trupa, po czym, nie okazując strachu, skierował konia paręnaście kroków do tyłu i zagrział ponownie tubalnym głosem przepełnionym śmiechem:

– No tak, zapomniałem, to musi być Wojomir, przeklęty zdrajca naszego ludu co przystał do bandy Czambora! Ciebie też chcemy, odszczepieńcu!

– Wojomir! – zawołał zdecydowanym głosem Żelenta. – Zbieraj szybko wszystkich, którzy mają jeszcze łuki i strzały. Gdy podniosę prawicę, wyślijcie salwę w ich kierunku. – Odczekał, aż Wojomir, zebrawszy łuczników, skinął mu głową, wyszedł przed szereg i zawołał: – Stary, stęchły dziadzie, masz naszą odpowiedź! – Podniósł w górę prawą rękę.

Na zbierający się u podnóża wzniesienia do walki lutycki blok poszybowała chmara strzał. Pakosz wydał rozkazy i przedni blok piechoty ruszył powolnym krokiem do boju. Wojomir z kilkoma łucznikami pozostał na pagórku. Za pierwszą falą lutyckiej piechoty, tak jak przy pierwszym natarciu, kroczył w odległości nieco ponad czterdziestu kroków drugi blok.

Gromosław rzekł do stojącego obok Czambora, nie odwracając głowy od zbliżającej się falangi wrogich tarcz:

– Zobacz, co nam zesłałeś, durniu. Bożki drewniane toporem naznaczać...

Pierwszy blok doszedł do linii obrońców i zawrzał bitewny zgiełk.

Do walczącego w pierwszym szeregu Żelenty przepchał się wysłany przez Wojomira łucznik. Nad brzegiem rzeki, przy zniszczonych pomostach, jakieś poruszenie, meldował. Żelenta sparował uderzenie, pchnął mieczem pod tarczą przeciwnika i wycofał się. Wbiegł na pagórek, przystanął przy Wojomirze, skąd miał lepszy widok. Do lądu dobijały tratwy i łodzie. Kilkanaście. Wyładowywano konie i ludzi obleczonych w zbroje. Rycerze Obodrytów, jazda ciężkozbrojna. Żelenta obserwował

jeszcze przez moment. Podjął decyzję. Powrócił czym prędzej w szeregi walczących, szukając Gromosława.

– Gromosław! – Uchwycił go za ramię. – Gromosław! Natychmiast zbieraj swoich i zajmijcie stanowisko mojej drużyny. Natychmiast, o nic nie pytaj! Utrzymajcie za wszelką cenę pozycje! – Zniknął pomiędzy swoimi, wydając rozkazy.

Cała drużyna Żelenty, czyli resztki tego, co z niej zostało, przerwała walkę, udając się jego śladem w kierunku lasu, w którym przed rozpoczęciem bitwy ukryto konie. Dosiadali koni, szykowali broń. Żelenta wysłał jednego rycerza w kierunku rzeki. Ma przekazać Obodrytom, by ruszyli do natarcia wzdłuż drogi, prosto na bok drugiego lutyckiego bloku, wtedy oni wychyną z lasu i dołączą do szarży.

Jazda Obodrytów przeszła w galop, nabierając tempa. Powiewające w pędzie długie, ciemnozielone płaszcze podszyte wewnątrz czerwonym sukmem, narzucone na długie, sięgające kolan kolczugi z rozcięciami do pasa, hełmy z misiurkami ozdobione na czubach czerwonymi piórami, wzniesione nad głowami włócznie, małe okrągłe tarcze, przy bokach miecze i niewielkie toporki bojowe. Przepyszny widok. W połowie drogi, rozpędzając się wzdłuż linii drzew, jazda polska z Żelentą na czele przyłączyła się do Obodrytów i wymieszała we wspólnym galopie.

Zaskoczenie było pełne, zarówno dla Lutyków, jak i dla broniących się pod naporem ich natarcia Polaków. Stojący w odwodzie drugi lutycki blok, cztery szeregi po pięćdziesięciu wojowników w każdym, wpatrywał się w napięciu w ich towarzyszy z pierwszego bloku, ścierających się w boju z obrońcami. Z za zakrętu drogi doszedł ich tętent koni, obracając głowy, dojrzeli zdążającą w ich kierunku wielką chmurę śnieżnej kurzawy. Nie mieli czasu do namysłu. Z kurzawy nadleciała chmara włóczni, wbijając się w zbite masy zaskoczonych wojowników. Po kilku sekundach w ślad za

włóczykami spadła na nich masa żelaza nacierającej jazdy. Lutyccy wojownicy nie zdążyli obrócić tarcz do obrony, nie zdołali podnieść oręża. Rozpędzeni ciężkozbrojni jeźdźcy parli wzdłuż bloku piechoty, siekając na boki mieczami. Lutyccy zostali dosłownie zmieceni z powierzchni.

Zanim impet uderzenia jazdy stracił na szybkości, zanim doszli do prawego końca lutyckiego bloku, do kontruderzenia przeszli obrońcy walczący z pierwszym lutyckim blokiem. Pomimo że ustępowali liczebnie. Uderzyli z werwą, nie bacząc na straty, rozbili ściany tarcz przeciwników i poczęli ich spychać do tyłu, w kierunku rozszalałej jazdy. Niebawem pole bitwy zamieniło się w krwawą jatkę. Resztki lutyckich wojowników pomykały w kierunku wznieść.

Drugie natarcie zostało odparte.

Żelenta i Grut podjechali z resztkami jazdy ocalałej z natarcia pod linie obronne. Konie odprowadzono do lasu, zarządzono krótką naradę. Cieszono się ze zwycięstwa, poklepywano po ramionach, Żelenta przedstawiał wszystkim Gruta.

Jedynie Randulf nie podzielał ogólnej radości.

– Ilu jeźdźców straciliście w wyniku szarży? – zapytał Żelentę.

– Ja siedmiu, Grut dziewięciu. Ważne, że Lutykom zadaliśmy duże straty.

– Lutyccy mają na wznieśieniu nadal około tysiąca wojowników. – Randulf ostudził zapał. – A nas? Ilu nas pozostało, łącznie z tymi Obodrytami? Nieco ponad setka?

Powoli zebrany markotniały miny.

– Gdy oni ruszą do kolejnego natarcia – powiedział Longobardczyk i wskazał ręką w stronę lutyckich pozycji – to już żaden cud nam nie pomoże.

– Będziemy się bić do końca – oznajmił rozkazująco Żelenta.

– Wielkie mi pocieszenie – prychnął Randulf. – Ja nie dam się zaciągnąć do Radogoszczy. Jeżeli mnie prędzej nie ubiją, to w ostatniej chwili zrzucam uzbrojenie i wskakuję do jeziora. Zima zimą, pływać umiem.

– Nie zarzucam ci tchórzostwa – odpowiedział mu Żelenta. – Bo i dzielnie tutaj walczysz, a i niejedno dobre o tobie opowiadają... ale... przecież taki los wojownika.

– Los taki – odparł Randulf – żeby wygrać albo umiejętnie uniknąć klęski. Na co nam ten krótki sukces? Nie lepiej było od razu, zanim jeszcze doszło do bitwy, uciec do grodu? Przecież nagle się okazało, że Obodrycy mają i tratwy, i łodzie... a teraz to już nawet drogę do rzeki Lutycy zablokowali.

Nikt nie zdążył mu odpowiedzieć. Z przednich szeregów zakrzyknięto, że Lutycy szykują się do natarcia.

Zanim udali się na pozycje, Randulf zatrzymał przyjaciół, mówiąc:

– Pamiętajcie, trzymamy się razem, w pobliżu siebie. I ja nie żartowałem, w ostateczności skaczymy do jeziora.

Tym razem do natarcia ruszyły trzy linie piechoty, na całej długości obrony. Ponad trzystu wojowników. Na stokach i szczycie wzniesień zebrała się cała pozostała lutycka armia. Będą teraz atakować falą za falą, bez wytchnienia.

Obrońcy zacieśnili szeregi. Gromosław, Czambor, Bernard i Randulf stali obok siebie. Za ich plecami na pagórku pod lasem czekali Wojomir z Chyżonem i kilkoma łucznikami. Lutycy doszli i bitwa rozgorzała na nowo. Przewaga liczebna nacierających dawała się wyraźnie odczuć, obrońcy tym razem powoli ustępowali pola. Dochodziło już późne popołudnie, walczyli od samego rana, wielu pomimo odniesionych dotychczas ran. W niektórych miejscach pękała na dobre ściana tarcz,

brakowało odwodów, które mogłyby wejść w powstałe luki. Na dodatek niebo pokryły ciemne chmury, coraz gęściejszy opad śniegu utrudniał widoczność. Prawy bok obrońców uległ całkowitej rozsypce. Walczyli teraz pojedynczo, przeciwko dwóm, trzem wrogom naraz. Beznadziejna walka. Co rusz któryś z obrońców padał trupem. Pośrodku też już wymieszały się formacje. Bój powoli dobiegał końca, a zakończyć się mógł jedynie całkowitym wybiciem obrońców.

Stojący za Bernardem rycerz dzierżył w lewej ręce wbity w ziemię polski sztandar. Mieczem w prawej ręce usiłował dźgać spoza ramienia Bernarda w luki napierających na nich tarcz. Długi oszczep z lutyckiego szeregu przeszedł o grubość dłoni od ucha Bernarda i przebił na wylot gardło rycerza ze sztandarem. Drzewie poczęło opadać ku ziemi, uwolnione z dłoni konającego. Widząc to, Bernard porwał za upadający sztandar, odbiegł do tyłu. Rozejrzał się szybko po poboju, na tyle, na ile zezwalała zamieć. To koniec, pomyślał, po nas.

Wszędzie wokół pojedyncze grupki obrońców zmagaly się z naporem atakujących. Rozbite formacje, żadnej dyscypliny, żadnej taktyki, każdy walczył o przeżycie. Bernard dojrzał przyjaciół, niedaleko pagórka z Wojomirem i Chyżonem na szczycie, ślących zapamiętałe strzałę za strzałę. Bernard pobiegł w ich kierunku ze sztandarem w lewej ręce. Droge zastawił mu wojownik bez tarczy z zakrwawionym mieczem. Bernard odruchowo zasłonił się lewą ręką, w której zwyczajowo trzymał tarczę. Miecz uderzył o drzewie sztandaru, na szczęście na płask, nie czyniąc szkody. Bernard wyprowadził prawą ręką proste pchnięcie, przebijając wojownika poniżej krótkiego kaftana bojowego. Pobiegł dalej, wbiegł na pagórek. Jeszcze raz rozejrzał się szybko wokół. Wbił na chwilę miecz obok, po czym całą siłą obu rąk umocował drzewie w rozmiękłym od śniegu gruncie. Chwycił ponownie broń. Płachta sztandaru rozwiała się na

całą szerokość, biały orzeł na czerwonym tle. Bernard wznosił rękę z mieczem do góry i począł wrzeszczeć ze wszystkich sił w płucach:

– Poolska!!! Do mnie! Polska!!! Pod sztandar!!!

Wojomir obejrzał się szybko na niego:

– Oszalałeś?! Wszystkie Lutyki tu się rzuca!

Chyżon odrzucił bezużyteczny łuk i pusty kołczan, pochwycił czyjś miecz z ziemi.

Nie zwracając uwagi na Wojomira, Bernard krzyczał potężnym głosem:

– Poolskaaa!!! Do mnie!!!

Poskutkowało. Walczący obrońcy wyrywali się z bitewnego uścisku i przebijali w stronę wołającego. Po chwili wokół pagórka utworzono pierścień tarcz, gęstniejący od zbierających się obrońców.

Gromosław klepnął Bernarda po ramieniu.

– Dobrze zrobiłeś! Bronimy tu się do końca, jak w baszcie.

Lutycy mieli teraz utrudnione zadanie. Cały pagórek wokół i aż po górę oblepiony był tarczami. Mimo to rzucili się do natarcia, zachęceni sygnałami rogów z wzniesień, gdzie górujący na koniu Pakosz zamierzał akurat rzucić do ataku kolejną falangę. Wokół pagórka ciżba, gęstniejący pierścień napierających Lutyków. Obrońcy tracili nie tylko ludzi, ale i siły. Walka trwała cały dzień. Co chwila któryś wycofywał się z przedniego kręgu do tyłu, dla złapania tchu. W jednym miejscu Lutycy przytargali wielkie, świeżo ścięte drzewo, obciosane z gałęzi. Postawili jednym końcem na ziemi, rozbujali i pchnęli do przodu na tarcze obrońców. Kto zdążył, przepchał się w ścisku na bok, kto nie, padł zmiażdżony pod ciężarem masywnego drzewa. W wolną przestrzeń wciskali się atakujący, zdobywając coraz więcej przestrzeni na pagórku.

Gromosław uskoczył przed drzewem w ostatniej chwili, mając szczęście o tyle, że akurat nikt za nim nie stał. Potknął się o coś, zerwał

szybko na nogi. Stojąc obok dyszącego z wysiłku Czambora, spoglądał z niedowierzaniem na rozprutą na piersiach kolczugę. Raptem Czambor uchwycił go energicznie za ramię, wołając w podnieceniu:

– Tam, zobacz!

– Gdzie? – dopytywał zdezorientowany Gromosław.

– No tam! – krzyczał Czambor, wskazując ponad głowami walczących w kierunku wzniesień. W tej chwili dobiegły stamtąd dźwięki huczących rogów bojowych. Nie Lutyckich. Teraz już wszyscy patrzyli we wskazanym kierunku. Również Lutycki zaprzestali walki.

Odgłosy rogów dolatywały z prawej strony pasma wzniesień, od ściany mających tam w oddali lasów. Wreszcie ujrzeli. Spomiędzy drzew wypadała w pełnym pędzie jazda ciężkozbrojna. W promieniach chylącego się ku zachodowi słońca setkami światełek połyskiwało żelazo kolczug, hełmów, stali mieczy i ostrzy włóczy. Parli galopem na zgromadzone wzdłuż płaskowyzu lutyckie oddziały. Szeroka ława ciężkozbrojnej jazdy, dziesiątki, setki, może cały legion. Z wysokości pagórka w dolinie można już teraz było rozróżnić szczegóły. Na przodzie, nad masą atakującej jazdy, powiewał wielki sztandar. Biała czapla na intensywnie zielonym tle. Sztandar Kopanika.

– Kopanik!!! – Wyrwało się z gardeł stłoczonych na pagórku obrońców. – Kopanik nadchodzi!!! – Niektórzy rzucili się z na nowo odzyskaną werwą na ściśniętych wokół pagórka, zdezorientowanych Lutyków. Ci zaś, zamiast podjąć walkę, rzucili się tłumnie w górę wzniesień, na pomoc swym towarzyszom.

Jazda kopanicka dochodziła już niemal pierwszych linii formujących w panice w szyki bojowe Lutyków. Wtedy Gromosław zdrętwiał, nie mógł wydusić z siebie słowa. Również pozostałych ogarnęło chwilowe zdziwienie. Natarcie prowadził rycerz... kobieta. Długie jasne włosy

wylewały się spod miszurki hełmu, przeświecna zbroja opinała szczupłe kształty niepodobne do rozrosłych niczym ociosane kłocę dorosłych męskich rycerzy. Wojowniczką pędziła bez tarczy, jedynie z długim mieczem w zgiętej w łokciu prawej ręce podniesionej do uderzenia.

– Matylda?! – Przerazenie zmieszane ze zdumieniem zadrgało w głosie Gromosława.

– Matylda! – powtórzyli jego przyjaciele.

– Jezuu, dlaczego Matylda tutaj?! Gdzie Burzysław?! – wył niemal z rozpaczny Gromosław. – Przecież Kopanik miał nadejść pod Łączyn!

Matylda zatoczyła ręką koło i rąbnęła z góry pierwszego, wysuniętego przed innych Lutyka, kładąc go trupem. Kolejny zamach mieczem, kolejny wojownik padł z rozplataną głową. Wpadła na spienionym koniu pomiędzy wrogą piechotę, siekając zapamiętałe mieczem na lewo i prawo. Bojowy koń parł dalej do przodu, tratując kopytami ludzkie mięso. Wraz z Matyldą na Lutyków spadło żelazo jazdy.

Gromosław biegł już w stronę lasu, do koni. Zauważywszy to, przyjaciele podążyli za nim.

– Co za Matylda? – rozpytywał Żelenta.

– Małżonka Gromosława. – Przebiegający obok Czambor klepnął go po ramieniu.

– Nasza przyjaciółka – dodał Randulf i również klepnął Żelentę po ramieniu.

– Kobieta Połabia! – Wojomir trącił Żelentę w przelocie łokciem.

– Najwaleczniejsza księżniczka w całej Europie. – Bernard trzasnął Żelentę z rozmachem po plecach.

– Ja cię nie klepnę. – Chyżon biegł na końcu. – Bo jej nie znam. Ale dumny jestem jak oni.

– Dokąd pędzicie?! – zawołał za nimi Żelenta.

– Na koń! – odkrzyknął Bernard. – Do boju!

– Do koni! – Żelenta pojął natychmiast. – Do koni! – krzyczał. – Atakujemy od strony doliny. Po karkach tych, co nas napierali tutaj, a teraz pędzą do swoich! Do koni! – W zamieszaniu zderzył się z Grutem. – Zbieraj swoją jazdę! Teraz ich wybijemy!

Gromosław dosiadał już konia, nie bacząc na nic, wyrwał się samotnie do przodu. Bernard i pozostali zdołali wskoczyć na konie i podążali za nim, nawołując się nawzajem.

– Na Gromosława! Zważajcie na Gromosława! – pokrzykiwał Czambor. – On jest zaślepiiony!

– Na Matyldę musimy zważać! – wtórował mu Randulf.

Na płaskowyżu rozgorzała okrutna bitwa. Pobojuwisko zamieniło się w setki pulsujących własną dramaturgią pojedynczych zmagania. Lutyce, nie zdoławszy opanować przestrachu, nie zdążyli sformować zwyczajowych formacji obronnych. Padali gęsto pod orężem rozszalałej jazdy. Jedynie po lewej stronie, od strony rzeki, piechota Redarów dowodzona osobiście przez Pakosza ustawiła sprawny czworobok złożony z czterech rzędów po każdym boku. Czworobok oblepiony wielkimi redarskimi tarczami z wystawionymi włóczniami, maszerował na wschód powoli, ale w pełni zdyscyplinowanie. Ataki jazdy rozбивały się tam beznadziejnie za każdym natarciem. Niektórzy jeźdźcy schodzili z koni i atakowali pieszo, także bez skutku.

Bernard, Wojomir i Czambor w pogoni za pojedynczymi lutyckimi wojownikami znaleźli się niedaleko czworoboku. Bernard przyglądał się sytuacji. Po chwili zastanowienia szarpnął Czambora za rękę.

– Mam pomysł.

– Jaki pomysł? – Myśli Czambora krążyły gdzie indziej. Rozglądał się za pozostałymi przyjaciółmi.

- Na czworobok Redarów. Trzeba ich podstępem.
- Podstępem, aha. Widzisz gdzieś Gromosława i Randulfa?
- No przecież tam są, przy Matyldzie. – Wojomir wskazał mu kierunek. – Twój Chyżon też. Pilnują jej.
- Podstępem, jak moi przodkowie – ciągnął Bernard.
- Jakim? – spytał wreszcie Czambor.
- Nie ma czasu. – Gorączkował się Bernard. – Słuchajcie uważnie. Trzydzieści kroków od lewego boku Redarów niewielkie wzniesienie. Wy zbierajcie pośpiesznie oddział, zaatakujecie ich od przeciwnego, prawego boku. Podjedźcie na koniach jak najbliżej i zacznijcie zasypywać ich włóczniami, oszczepami, strzałami...
- Łuk straciłem – oznajmił Wojomir.
- ...każdym możliwym pociskiem, co wam się pod rękę nawinie. – Wydawał instrukcje Bernard. – Ale nie miotajcie w linie od waszej strony, tylko ponad ich głowami na drugą stronę, w szeregi na lewym boku. Ja zbieram jazdę i wyskoczę na nich od tamtej, lewej strony, z wysokości wzniesienia.

Czambor i Wojomir przytaknęli głowami i pocwałowali. Bernard zebrał trzydziestu jeźdźców. Szerokim łukiem ominęli czworobok, zniknęli za wzniesieniem. Tymczasem Czambor i Wojomir, zgodnie z planem zebrali możliwie jak najwięcej jeźdźców, dołączył do nich Żelenta z resztkami swojej drużyny i mnóstwo innych, podjechali jak najbliżej formacji Redarów i rozpoczęli masywny ostrzał przeciwległego krańca czworoboku. Powstało tam zamieszanie, wojownicy odwracali się w ich stronę, chroniąc się tarczami przed spadającymi pociskami. W tym momencie od strony pasma wzniesienia wypadł w pełnym galopie oddział Bernarda. Jeźdźcy pokonali w mgnieniu oka trzydzieści kroków i wbili się w odkryty lewy bok, prąc nieubłaganie do centrum czworoboku. Redarzy wpadli w panikę,

szyki poczęły się mieszać. Wtedy natarła na nich jazda od strony Czambora i Wojomira.

Czworobok rozsypał się, a walka przemieniła w bezładny bój. Czambor i Wojomir kierowali uparcie konie w stronę Pakosza. Redarski wojownik pchnął z boku włócznią w podbrzusze konia Czambora. Koń zarył z bólu tylnymi kopytami w ziemi, wyrzucił Czambora z siodła. Wojownik trzasnął upadłego Czambora pięścią po twarzy, rozejrzał się za bronią, padł raptem na plecy z rozciętym gardłem. Jakiś polski rycerz z zakrwawionym mieczem w ręku spoglądał pytająco na Czambora z wysokości konia.

– W porządku, w porządku – odkrzyknął mu Czambor, trzymając się obiema dłońmi za pulsującą od bólu głowę. Rozglądał się za Wojomirem, próbował powstać, zaćmiło mu się w oczach. W końcu dźwignął się na nogi, podniósł miecz.

Wojomir skierował konia prosto na Pakosza. Wpadł na niego, konie się zderzyły, obaj upadli na ziemię, Wojomirowi wyleciał z dłoni miecz. Przysiadł okrakiem na Pakoszu, zaczęli się mocować. W prawej dłoni kapłan trzymał szeroki sztylet. Wojomir uchwycił go za nadgarstek i w panice rozglądał się za jakąś bronią. W zabłoconym śniegu dojrzał ułamaną strzałę. Uderzył głową Pakosza w nos, chwycił strzałę i wbił kapłanowi w gardło, wierząc nią parokrotnie. Pakosz zamarł, z rany trysnęła krew, na usta wyszły różowe bąble, wpatrywał się w twarz Wojomira.

– Kim jesteś? – zapytał Pakosz ostatkiem sił, charcząc niemiłosiernie.

– Wojomir, od Wkrzanów.

– Ten Wojomir...?

– Ten.

– A mogłeś... być...

Oczy Pakosza zamarły w bezruchu. Skonał.

Wojomir powstał powoli, z namysłem spoglądając na trupa. Odwrócił się, chcąc odejść, lecz obok przystanął Żelenta z mieczem.

– Odrąbię gadowi łeb i nabiję na oszczep. – Żelenta wzniósł oburącz miecz do góry.

Wojomir chwycił go za rękę, zaczęli się mocować.

– Co ty...?

– Nic nie odrąbiesz, on już martwy.

Żelenta opuścił miecz.

– Ja tu dowodzę.

– Dowodzisz, bo tacy jak ja zezwalają wam na to. – Głos Wojomira brzmiał głucho, monotannie. – To mój kraj. Uszanuj wroga, gdy go pokonasz, tam, gdzie się wszyscy spotkamy po śmierci, nie jesteśmy już wrogami – rzekł i odszedł.

Żelenta wpatrywał się z namysłem w odchodzącego Wojomira.

Przechodząc obok nadal nieco otumanionego Czambora, Wojomir zapatrzony przed siebie rzekł poważnym głosem:

– Teraz możesz łązić po świątyniach i malować bazgroły na posągach bogów.

Czambor obserwował scenę między Wojomirem a Żelentą z pewnej odległości. Zrelacjonował ją później pozostałym. Randulf skomentował:

– W zapomnianej przeszłości we Włoszech był jeden taki największy z wszystkich wodzów, polityków i wojennych geniuszy. Rzekł on pewnego razu: „Nie miej litości dla wroga z zewnątrz, okazuj łaskę wrogom wewnętrznym”.

– Co stało się z tym geniuszem? – zainteresował się Gromosław.

– Marnie skończył, niechlubnie, zadźgany nożami przez najbliższych – dokończył z nieskrywanym smutkiem Randulf.

Bitwa zakończyła się całkowitym rozbiem armii Lutyków.

Zwycięzcy zbierali się na wzniesieniu, rozrzuconymi grupami. Wielu chodziło po polu walki, zbierano broń, dobijano beznadziejnie rannych, zwyczajowe porządki, jak po każdej bitwie.

Gromosław przytulił Matyldę, zaczęli się całować, namiętnie, nie zwracając uwagi na otoczenie.

Wokół przysiadali w milczeniu przyjaciele. Doszedł do nich także Żelenta i Grut.

– Najukochańsza, jak tu się znalazłaś? – spytał czule Gromosław. – Na Boga, co się stało, co z dziećmi, gdzie Burzysław?

– Gromo, serce ty moje, jak ty wyglądasz? Kolczuga rozszarpana, siniaki na twarzy, opatrunek na dłoni, tak wyglądają twoje wyprawy? Dzieci pod opieką twojej siostry.

– Matyldo...

Matylda odetchnęła głęboko. Rozejrzała się po zebranych. Bernard... Randulf... Wojomir, Czambor.

– Wszyscy są? Ze starej gromady?

– Żelenta, nasz dowódca, Grut, obodrycki wielmoża, pan na Grabach, Chyżon z Roztocza, giermek Czambora – przedstawił pozostałych Gromosław.

Matylda szepnęła mu coś na ucho. Gromosław powstał, podszedł do Bernarda, Czambora i Randulfa, również coś im kolejno szepnął cicho. Powrócił, przysiadł obok Matyldy, przytulając ją za ramiona do siebie.

– Przynoszę straszliwe, okrutne wieści – rozpoczęła z namysłem i powagą Matylda. – Dla niektórych z nas boleśniejsze od niewysłowionego cierpienia. Od czego zacząć? – Zawahała się. Zdjęła rękę Gromosława z ramienia, oparła się łokciami na kolanach i przez dłuższy moment wpatrywała się w płomień rozpalonego ogniska.

– Pod koniec stycznia oddziały Lutyków najechały północne obrzeża Lubusza, Kopanika i grody na południu Wkrzanów będące pod naszą kontrolą.

Wojomir spojrział na nią, zbladł. Czambor wpatrywał się w niego z uwagą.

– Najechali i zniszczyli wszystkie wkrzańskie grody uznające zwierzchność Polski – kontynuowała Matylda. – Wszystkie, w tym również twój, Wojomirze.

Czambor uchwycił Wojomira całą mocą za ramiona, Bernard uczynił to samo z drugiej strony.

– Srogosz bronił się wraz z innymi do końca. Rozplatali mu pierś toporem. Zabili dwójkę twoich dzieci, Wojomirze. Twoja małżonka Bożejka broniła domostwa w grodzie z oszczepem w ręku. Strzała utknęła jej w prawej piersi. Zdołała uchwycić na ręce waszą najmłodszą córkę i wyrwała się z piekła walki. Wraz z innymi uciekinierami dotarli do Lubusza.

– Co z Bożejką?! – Wojomir próbował się miotać. Czambor i Bernard trzymali go w silnym uścisku. Randulf przytrzymał go za nogi.

– Ranna ciężko, ale zdrowieje. Najmłodsza córka bez szwanku.

Wojomir zbladł, poprosił druhów, by przestali go przytrzymywać.

Matylda podjęła na nowo opowieść. Do Lubusza zaczęli napływać uciekinierzy ze zniszczonych grodów i osad. Stało się to dzień po tym, jak Gromosław wyjechał do Budziszyna. Na przedpolach Lubusza natrafiono na samotnie pałętającego się konia. Na nim leżała, trzymając się kurczowo wędzideł, Bożejka, prawie nieprzytomna od otrzymanej rany. W przytroczonej do kulbaki koszu kuliła się najmłodsza, trzyletnia córka Bożejki i Wojomira imieniem Przemiała.

Podobna fala uciekinierów trafiła w tym czasie do Kopanika. Władający grodem brat Matyldy, Burzysław, postanowił poprowadzić wyprawę odwetową na Redarów. Już po wyjeździe Burzysława na czele konnicy od Bolesława przyszedł rozkaz, że Kopanik ma wysłać do Łączyna oddziały posiłkowe. Burzysław rozbił dwa większe oddziały Redarów, zniszczył jeden z ich pomniejszych grodów i, nabrawszy jeńców, powracał do Kopanika. Zatrzymali się na postój nad brzegiem rwącego potoku. Postanowili, jak to zimą, zahartować ciała. Rozebrani do pasa skakali do potoku nieopodal, obsypywali się śniegiem. Wtedy spomiędzy drzew po drugiej stronie potoku sypnęło zniecka strzałami. Nim się obejrżeli, kilku z nich leżało martwych. W tym brat Matyldy, Burzysław, z przebitym strzałą sercem. Wojsko rzuciło się do broni i na konie, pognali między drzewa w pogoni za wrogiem. Dorwali ich na przedpolach jakiejś małej osady Redarów, wybili niemal wszystkich, jedynie trzech wzięto do niewoli. A wieś spalili, zabijając tych mieszkańców, którzy nie zdołali puciekać do kryjówek. Wracając z ciałem Burzysława i jeńcami do Kopanika, wysłali gońca z tragicznymi wieściami do Matyldy, do Lubusza. Bez namysłu zostawiła dzieci oraz córkę Bożejki pod opieką siostry Gromosława, Zwodzisławy, i niańki karmiącej i co koń wyskoczy pognęła do Kopanika.

Matylda działała jak w transie, wydając rozkazy i zarządzenia, przejęła praktycznie dowodzenie Kopanikiem. Do Lubusza wysłała pilnego posłańca, by u ojca Gromosława, Wodzysława, wyprosił natychmiastowe wsparcie zbrojne. Nim oddział lubuszańskiej jazdy w sile trzydziestu ciężkozbrojnych dotarł do Kopanika, Matylda przesłuchiwała jeńców, osobiście, jednym tylko kierowana pragnieniem – pomścić śmierć brata i Srogosza, jak i innych poległych w wyniku lutyckiego napadu.

Jeden z przesłuchiwanym Redarów, wojownik znacznej rangi, licząc, że uratuje tym życie, wyjawiał wielką tajemnicę. Doszło do potajemnego spotkania margrabiego Tiemmo z Pakoszem. Pod wpływem rozwoju sytuacji obu połączyły wspólne interesy. Tiemmo wiedział od szpiega w Budziszynie, najpewniej któregoś z rycerzy w orszakach cesarskiej delegacji pokojowej, o planowanej wyprawie Żelenty do Obodrytów. I o udziale w niej Bernarda, Gromosława i pozostałych. Tiemmo postanowił wykorzystać nadarzącą się okazję do zgładzenia Bernarda, jakby nie było, jego kuzyna. Pakosza nie musiał dwa razy namawiać do współudziału w spisku. Najwyższy rangą kapłan pragnął śmierci wszystkich przyjaciół Gromosława, z Czamborem na czele. Wysłali pod Wurzen fałszywego posłańca udającego wysłannika od Bolesława. Że mają z Hobolina, zamiast na Łączyn, natychmiast podążyć w kierunku na Graby dla uratowania księży z okolicznych osad. Pakosz doskonale wybrał miejsce zasadzki, znał te okolice.

Matylda chciała początkowo wysłać gońców po marchiach i stodorańsko-obodryckim pograniczu dla uprzedzenia ich. Nie była jednak przekonana o skuteczności takowego działania. Postanowiła wziąć we własne ręce kwestię ratunku męża. Zebrała naprędce całą dostępną jazdę Kopanika, ile w tak krótkim czasie można było zmobilizować. Trzystu sześćdziesięciu ciężkozbrojnych jeźdźców. Pieczę nad Kopanikiem przekazała czasowo Drąbalowi, podeszłemu już wiekiem, ale nadal sprawnemu byłemu dowódcy drużyny jej ojca, Tęgobira, który – jak pamiętają – zmarł przed dwoma laty od rany zadanej lutycką strzałą. Do pomocy zostawiła Drąbalowi trzydziestu z lubuszańskiej jazdy. Sama zaś, przybrawszy zbroję i oręż, wyruszyła na czele kopanickiej jazdy w drogę na Graby. Dlatego bezskutecznie oczekiwali przybycia posiłków Kopanika pod Brenną. Jak widać, zdążyła w ostatniej chwili.

Matylda skończyła opowiadać. Wokół ogniska zapadła cisza.

– Tragiczne to wieści. – Bernard przerwał milczenie. – Straszne... nasz przyjaciel Srogosz nie żyje, dzieci Wojomira, Burzysław, taki młody, świetnie się zapowiadający władca... a wszystko przez to, że Tiemmo nastawa na moje życie.

– Przestań czynić sobie wyrzuty! – pocieszył go Czambor. – Pakosz nastawał głównie na moje życie.

– Pokochałem te dzieci niczym własne... – szeptał Wojomir. – A Srogosza jak własnego ojca...

– Co będzie teraz z Kopanikiem, kochanie? – zwrócił się do Matyldy Gromosław.

– Nie wiem jeszcze – odpowiedziała mu z namysłem. – Zostałam ostatnim żywym przedstawicielem kopanickiego rodu... nie wiem... Pewnie sama obejmę panowanie, dopóki nasz syn, Budzisław, nie dorośnie...

– Słuchajcie – zwrócił się do nich Żelenta. – Spotkał was okrutny cios, straciliście najbliższych. Podzielam wasz smutek, sam nieraz przed wielu laty walczyłem ramię przy ramieniu obok Srogosza... Radźmy teraz, proszę, nad dalszymi krokami.

– Dla was tu wszystkich i jeszcze kilku rycerzy znajdzie się miejsce zacnego noclegu w grodzie – zaproponował Grut. – Rannych też przetransportujemy, mam dobrego medyka.

– Ja muszę natychmiast wracać z powrotem – oświadczyła Matylda. – Kopanik bez osłony, dzieci w Lubuszu.

– Po nocy? – Gromosław nie krył wzburzenia.

– Tak, po nocy, mój miły. Zostawiam wam do dyspozycji stu zbrojnych. Reszta, ponad dwustu dwudziestu, wystarczy mi za ochronę.

– Poczekaj, poczekaj, czcigodna Matylde – zwrócił się do niej Żelenta. – Pozwól, że najpierw uradzimy nasz plan na najbliższy czas.

– Nie idziemy do Łączyna? – Zdziwił się Bernard. – Mścisław ma tam przybyć.

– Najpierw do Konina... Zaraz, Grut, ilu duchownych schroniło się w twoim grodzie? Musimy ich zabrać.

– Trzech ze Żwirowa i dwóch ode mnie. Mój kapelan postanowił zostać w Grabach bez względu na rozwój sytuacji.

– A z Konina nie przybyli jacyś uciekinierzy?

– Nie – odparł Grut. – W Koninie to chyba nie macie już czego szukać. Ludzie z wioski na zachód mówili, że w Koninie spalono kościół i wygnano garnizon wierny Mścisławowi. Wysłałem przed dwoma dniami zwiadowcę, lecz nie powrócił, może zginął.

– Jak daleko stąd do Konina? – spytał go Żelenta.

– Szesnaście mil, prosto na zachód. Z Konina macie trzydzieści mil na południe do Łączyna.

– Mimo to musimy się upewnić – oświadczył Żelenta. – Nawet gdybyśmy uratowali tylko jednego sługę Kościoła, musimy się upewnić.

Matylde powstała.

– A ty, najpiękniejsza i najdzielniejsza pani z wszystkich rycerzy – zwrócił się do Matylde Żelenta – nigdzie po nocy nie ruszysz. Miej przynajmniej litość nad twoimi wojownikami, daj im wypocząć. Rano wyruszyście.

Matylde spoglądała na niego niepewnie.

– Zawsze byłaś narwana – perorował dalej Żelenta. – Nie pamiętasz, bo skąd masz pamiętać, trzymałem cię jako dziecię do chrztu w Merseburgu...

– Jesteś ojcem chrzestnym Matylde? – Gromosław nie krył zdumienia.

– ...gdzie tam... młody cesarz Otto patronował wtedy nad kilkunastoma dzieciątkami wielmożów Połabia, a każdy z nas trzymał po jednym na rękę... – Żelenta chciał się uśmiechnąć, lecz powstrzymał się. – Matylda już wtedy miotła się na rękach niczym rozbrykana, dzika łasica... Zostań do jutra, Matyldo, wypocznij po bitwie, spędź z mężem noc w grodzie.

Matylda usiadła na powrót obok Gromosława, pogładziła go po włosach, mówiąc:

– Ma rację Żelenta.

– Otóż to. – Żelenta ukontentowany nie krył zadowolenia. – Raport z bitwy. – Skinął ręką przysiadłemu nieopodal drużynnikowi, nakazując mu, by się zbliżył. – Jakie straty?

– Bardzo duże – podsumowywał drużynnik. – Z naszej ekspedycji poległo stu dwunastu. Ponad trzydziestu ciężko rannych, przeżyją pewnie, ale niezdatni do dalszej drogi. Pozostało nas, łącznie z wami tu zgromadzonymi, około sześćdziesięciu ciężkozbrojnych Polaków i mniej niż dwudziestu Stodoran.

Żelenta długo się zastanawiał. Bardzo długo. Pomyślałby kto, że może sterany wiekiem i bojem przysnął. Nic bardziej mylnego. Powstał i podszedł do Matyldy, pytając:

– Ilu pozostało ci po bitwie?

– Straciłam trzydziestu ośmiu jeźdźców, dwóch nie dożyje jutra, pozostało zatem trzystu dwudziestu.

– Taak... – Żelenta przechadzał się wokół ogniska zatopiony w myślach. W końcu przysiadł i oznajmił: – Plan jest następujący. Zanim uratowaliśmy mniszki i zapewniłszy bezpieczeństwo Mścisławowi, przetrzebiono nas do stanu jednego hufca. Nawet gdyby Matylda odstąpiła nam stu czterdziestu wojowników, nie zmienia to sytuacji. Tu trzeba paru tysięcy, by zdusić zarzewie. Dlatego, Matyldo, jutro wracasz ze wszystkimi

twoimi siłami. Zabierzesz też nasze stodorańskie niedobitki. Dla twojego bezpieczeństwa. Żadnych dyskusji! – Podniósł nieco głos, widząc protest na twarzy Matyldy. – My natomiast z naszym hufcem popędzimy jutro do Konina, zorientujemy się w sytuacji i podążymy do Łączyna na spotkanie z Mćcisławem. Zgromadzonych w Grabach duchownych zabierze Matylda. Ona też zabierze trzy czwarte zebranego na Lutykach sprzętu, zbroi i uzbrojenia, zaś ćwiartkę otrzyma Grut. My nie możemy się obciążać takimi zdobyczami. Natomiast srebro, kosztowności i cenne ozdoby dzielimy po równo na trzy części. Jeńców lutyckich powywieszać. A teraz na wypoczynek. – Już się podnosił, lecz nagle coś sobie przypomniał. – Co z poległymi?

– Znieśliśmy na kupę, trzeba ich do wspólnej mogiły złożyć.

– Po drugiej stronie rzeki chowamy naszych zmarłych, pod lasem z kapliczką. – Wtrącił się Grut. – Ziemia poświęcona przez księży. Jutro z rana przetransportujcie ciała tratwami i łodziami, mój kapłan odprawi mszę.

– A trupy Redarów? – dopytywał drużynnik Żelenta.

– Po bitwie nadjechały od wschodu wozy z lutycką eskortą na koniach, pod białą flagą. Zebrali poległych i odjechali.

– Kto na to zezwolił? – Uniósł się Żelenta.

– On. – Drużynnik wskazał ręką na pogrążonego we własnych myślach Wojomira.

Żelenta wahał się przez moment.

– Niech będzie. Rozstawiajcie namioty na brzegu rzeki przed grodem na nocleg. Niektórzy pójdą z nami do grodu, zobaczymy, ilu da się umieścić.

Podążali konno w stronę grodu. Żelenta zapytał jadącego obok Gruta:

– Co zamierzasz?

– Pośpieszę jutro do Zwierzyna, jak król nakazał.

– Niewielu masz rycerzy.

– Wezmę tylko dwunastu, więcej nie mogę. Część zaufanych muszę pozostawić w grodzie.

– Czyli najpóźniej za kilka dni spotkamy się w Zwierzynie – stwierdził Żelenta.

Podążając do łodzi nad brzegiem rzeki, Gromosław zapytał Żelentę:

– Czy nam się wydawało, czy też Grut nazwał księcia Mścisława królem?

– Bo on jest królem. – Żelenta wzruszył ramionami. – Nie wiedzieliście? Wojomir, nie mówiłeś im wcześniej? Przecież to twój kraj, jak powiadasz.

– Nie przyszło mi do głowy. – Wojomir wyrwany z wewnętrznego letargu zareagował zdziwieniem. – Przecież to oczywista rzecz.

– Dwie dynastie królewskie istniały na Połabiu, zanim tu nadeszli Frankowie i chrześcijaństwo. – Począł im wyjaśniać Żelenta. – Obodrycka i wielecka. Nie tacy królowie, jakich my znamy według praw chrześcijańskich, koronacje w kościołach i tym podobne rytuały, lecz uświęcona pradawną tradycją i obyczajem dynastia. Stojąca ponad prawem i religią, ale uznająca wolę ludu. Nie będę się zagłębiał, wystarczy wam wiedzieć, że Mścisław dla Obodrytów, jak i zawojowanych przez nich plemion i lokalnych dynastii jest królem.

– Słyszeliście? – zwrócił się do przyjaciół Gromosław. – Mścisław jest królem. Nasz Bolesław, władca Słowian, jest tylko księciem, a ten tutaj królem.

– Zważaj na sarkazm i ironię w słowach, gdy będziesz plótł głupoty w obecności Obodrytów – doradził mu Żelenta. – Ich król jest dla nich świętością.

– Ale teraz nastają na jego życie, tak? – zauważył sarkastycznie Randulf. – Gdzie tu logika?

– Nigdy żaden Obodryta nie podniesie osobiście ręki na króla i jego rodzinę – wyjaśniał dalej stary wojak. – Mogą go wolą całego ludu uznać za niegodnego tronu, wtedy muszą uszanować następcę z królewskiego rodu. Mogą go wygnać, przegnać, do naga rozebrać i batami poza granicę kraju wypędzić, ale nigdy żaden z nich nie poważy się na mord. To tkwi głęboko utkwione w ich tradycji, ważniejsze od wszelkich praw i nakazów, od wszystkich pogańskich bożków czy naszego Chrystusa. W historii Obodrytów zdarzały się zamachy na władców, jednak zawsze rękoma najemników: duńskich, saskich czy chociażby wieleckich.

* * *

Następnego dnia, przy pożegnaniu, Matylda szeptała Gromosławowi na ucho:

– Nie powiedziałam wam całej prawdy. Nie powiedziałam Wojomirowi całej prawdy. Bożejka już nie żyje. Jak opuszczałam Lubusz, konała od zadanej rany. Zanim wyruszyłam z Kopanika wam na pomoc, goniec z Lubusza przyniósł smutną wieść, że Bożejka zmarła. Nie miałam ani siły, ani odwagi powiedzieć o tym wczoraj Wojomirowi. Zważajcie na niego, proszę. On już wczoraj wieczorem sprawiał wrażenie szaleńca.

Grut przygotował im na pożegnanie ogromną niespodziankę i podarował piętnaście płaszczy bojowych obodryckiej jazdy ciężkozbrojnej. Wełna najlepszej jakości, z zewnątrz zabarwiona ciemną zielenią, podszyta od wewnątrz czerwonym suknem, bogato zdobiona klamra spinająca pod szyję. Będą teraz wyglądać jak na ciężkozbrojną jazdę przystało, prawdziwa elita obodryckiego rycerstwa, rzekł Grut, a nie jakaś

zbieranina. Gromosław i przyjaciele przyjęli ochoczo podarunek, pozostałe płaszcze rozdzielili. Jedynie Żelenta odmówił.

Po godzinie jazdy, już niedaleko Konina, dotarli do niewielkiej osady. Zasięgnęli języka – co w Koninie? Mieszkańcy to niemal wyłącznie kobiety i kilku starców, złękli się widoku oddziałów ciężkozbrojnych, w tym kilkunastu w obodryckich płaszczach rycerskich. Niewiasty plątały się w relacjach. Nie, w Koninie nie ma już panów rycerzy, puciekali razem z rodzinami. A duchowni, księża? Miejscowi się zacieli, nic z nich więcej nie można było wydobyć.

Po kolejnych kilkunastu minutach jazdy mijali większą wieś. Tym razem pomiędzy ciekawskimi mieszkańcami dojrzeli kilkunastu zwykłych wojowników. Jedna z kobiet przewieszoną miała przez szyję fioletową szarfę z żółtymi krzyżami na zwisających niemal do ziemi końcach. Żelenta poprosił zniżonym głosem Wojomira, by dowiedział się, jak weszła w posiadanie kapłańskiej stuły.

– Skąd masz ten piękny szal? – Zaciekawiał się Wojomir.

– Ksiądz z Konina podążał tędy na Zwierzyn przed parunastoma dniami – odparła zapytana. – Pieszko przybył, w pośpiechu. Nie miał srebra na jądło i konia, to zapłacił srebrnym kielichem mojemu mężowi, a ja dostałam ten szal.

W następnej osadzie, już niemal na przedpolach Konina, wywieździeli się dalszych szczegółów. Kościół w Koninie spalony, dobro rozgrabione. Księża? My nic nie wiemy, zacięło się paru podstarzałych już wiekiem chłopów. Dziwne, zauważył Żelenta, niemal całkowicie brak dorosłych mężczyzn w napotkanych osadach.

Wspólnie zadecydowali, by nie pojawiać się przed wałami Konina całą jazdą, najpierw muszą wysłać zwiad. Poszli Czambor i Randulf z trzema zbrojnymi. Na horyzoncie zamajaczyły wały grodu z górującą nad nimi

kamienną wieżą. Przyczaili się na skraju lasu, lustrując teren. Droga schodziła nieco w dół, w stronę dużego jeziora.

– Więcej tu kamiennych budowli niż na południowym czy wschodnim Połabiu – zauważył Czambor.– Zobacz tę basztę nad bramą, w głębi grodu też dwie kamienne budowle wystające nad wysokość wałów. Nawet mostek nad fosą kamienny.

– Spójrz lepiej uważniej, co oni wbili przy wjeździe – zasugerował z przejęciem Randulf.

Na uboczu wjazdu na most tkwiły dwa duże drewniane krzyże, z masywnych belek. Na nich zwisały bezwładnie dwa ukrzyżowane ciała, najwyraźniej już trupy. Czambor i Randulf pod osłoną niewielkiego nasypu podkradli się na czworakach jak najbliżej. Teraz rozpoznali szczegóły. Dwa zastygłe od mrozu ciała, odziane w strzępy zakrwawionych koszul. Nie wiadomo, rycerze czy duchowni, na czołach mieli wyryte krwiste krzyże. Przyjaciele wycofali się ostrożnie pod las, popędzili czym prędzej do oczekującego oddziału. Czyli Konino w rękach buntowników, stwierdził Żelenta, nic tu po nich, jadą na Łączyn.

– A może w grodzie trzymają w niewoli jeszcze innych? – zastanawiał się Bernard.

– Jak chcesz ich uwolnić? – spytał Żelenta. – Naszą garstką wały szturmować? Może od razu sami się ukrzyżujemy?

– Może chytrym sposobem? – zaproponował Randulf.

– Jakim?

– Na koronie wałów zauważyliśmy z Czamborem samych pospolitych wojowników – orzekł Randulf.

– Najwyraźniej zwykłe kmiecie z wiosek i osad, które mijaliśmy – dodał Czambor.

– To by tłumaczyło, dlaczego w wioskach nie ma prawie żadnych wojowników – uzupełnił Gromosław.

– Wybili i przegnali obodryckich rycerzy, zniszczyli kościół i zajęli gród – stwierdził Wojomir.

– To nic nie zmienia. – Żelenta nie krył podenerwowania. – Kmiecie czy rycerze, wybiją nas, zanim w ogóle dotrzemy do podstawy wału.

– Tam jest fosa – zauważył Czambor. – Z kamiennym mostem. To jedyny dostęp do bramy.

– Jeszcze gorzej – odparł Żelenta.

– Sposób by się znalazł – oznajmił Randulf. – Ryzykowny, ale z dużą nadzieją na sukces. Wykorzystamy głupotę tych prostaków i zaskoczenie...

– Wyłuszczaj – uciął mu Żelenta.

– Niezbędna jest pomoc Wojomira i Chyżona, a już szczególnie Chyżona, bo on mówi bez zająknięcia tutejszą gwarą...

– Wyłuszczaj! – zakrzyknęli jednocześnie Żelenta i Gromosław.

– Najpierw ktoś musi zawrócić do najbliższej wsi i zakupić u mieszkańców ubrania...

Zgromadzeni na murze wałów wojownicy dojrżeli zbliżające się od kępy lasów dwie postacie. Pieszo. Dwie stare kobiety.

Wojomir i Chyżon narzucili na kolczugi kobiecie łąchmany. Długie, zgrzebne zimowe szaty, wystrzępione i brudne. Głowy opatulone w grube zwoje szmat i chusty. Obaj przygarbieni mocno ku ziemi, podtrzymując się nawzajem i każdy z sękatym kijem do podpórki, zmierzali wolnym krokiem w kierunku mostu przed bramą. Wojomir pokasywał nieustannie i popluwał na bok. Wojownicy zdębieli w pierwszym odruchu, wkrótce wybuchnęli śmiechem. Poleciały sprośne okrzyki.

– Czego, staruchy?

– Wiedzmy śmierdzące!

– Obrzydliwe wy!

Wojomir i Chyżon przystanęli pośrodku mostku.

– My do grodu! – zaczął skrzekliwym głosem Chyżon. – Cały dzień w drodze!

– Wskoczcie do fosy i utopcie się! Ha, ha!

– Nie chcemy was!

– Teraz my tu pany! Wracajcie, skądście przyszły!

– Z Grabów, szczeniaku, przyszłyśmy! – odparował Wojomir.

– Wyrzucili was!

– Cały dzień maszerujemy, od ranka – rzekł Chyżon. – Złe rzeczy po drodze napotykałiśmy.

– Przerażające rzeczy! – zawtórował mu Wojomir. – W każdej mijanej wsi mord i gwałty!

– Jakie gwałty! Gdzie? – Na wałach zebrali się chyba wszyscy wojownicy z grodu.

– W każdej wsi! – Chyżon podniósł głos. – Rycerze gwałcą kobiety, wielokrotnie, na koniec podrzynają im gardła!

– Rycerze przegnani...

– Skąd rycerze...

– Ilu ich....?

– Niewielu – oznajmił Chyżon. – W każdej wsi widzieliśmy po kilku, trzech, pięciu...

Brama rozwarła się. Na zewnątrz wyskoczyło kilku wojowników. Podbiegli do Wojomira i Chyżona, ale zaraz odskoczyli na kilka kroków z nieskrywaną odrazą.

– W jakich wsiach....!? Mówcie, obrzydliwe łajna!

– Po drodze – zaskrzeczał spod zwałów szmat na głowie Wojomir, wskazując na wschód. – Od Grabów idąc...

Nikt już na nich nie zwracał uwagi. Z bramy wyskakiwało coraz więcej wojowników. Wracali do środka, biegali tu i tam, nawoływali się nawzajem, niektórzy usiłowali się przecisnąć przez tłum na koniach. Zbierali się za mostem, na drodze, pokrzykiwali. Dwudziestu, trzydziestu, prawie czterdziestu. Lekko uzbrojeni, tylko parę mieczy, przeważnie oszczepy, toporki, prawie żadnych tarcz. W końcu pognali bezładną chmarą w kierunku lasu, drogą prowadzącą do najbliższej wsi.

Wojomir i Chyżon doskoczyli do otwartej bramy, zrzucili przybrania. Wojomir wbił miecz najbliższemu wartownikowi w pierś. Drugi zasłonił się tarczą, Chyżon przejechał mu mieczem po odsłoniętym boku i ciął z góry upadającego przez głowę. Trzeci wartownik uciekał rampą na wały. Wojomir chwycił oparty o ścianę oszczep i miotnął, przyklekając do przodu na zgiętej w kolanie prawej nodze. Oszczep poszybował zamasyście, rozdzierając powietrze świstem, i trafił w plecy uciekającego. Wojomir i Chyżon wbiegli na wał, rozglądając się po dziedzińcu. Pusto.

Rozciągnięci w gromady wojownicy popędzali konie drogą w stronę lasu. Niespodziewanie spomiędzy drzew wypadła na nich jazda z Żelentą na czele. Uderzeni z zaskoczenia Obodryci nie zdążyli ani wyjąć broni, ani na dobre się wystraszyć. Po przejściu jazdy ciężkozbrojnej większość prostych, nieprzygotowanych wojowników z grodu zaległa trupem pole, spanikowane konie biegały we wszystkie strony. Jazda zawróciła sprawnie i natarła ponownie. Oprócz kilku rycerzy, którzy pognali dalej, w stronę rozchylonej bramy grodu, na pomoc Wojomirowi i Chyżonowi. Na polu dobiegała końca krótka walka.

– Tam! – Chyżon wskazał ręką Wojomirowi.

Jeden z uciekających poganiał konia wzdłuż brzegu jeziora. O nasady blank opierały się łuki i kołczany. Jak na komendę Wojomir i Chyżon uchwycili każdy po łuku, napięli strzały i wystrzelili. Uciekający spadł z konia trafiony dwiema strzałami, jedną w kark, drugą w plecy.

Chyżon trącił Wojomira ramieniem.

– Zdobyliśmy gród!

Gród był opustoszały. Nie wiadomo, gdzie zniknęli mieszkańcy. Zaczęto przeszukiwać niecałe trzydzieści domostw, warsztaty i magazyny, kwadratową wieżę pośrodku dziedzińca, bez wątpienia siedzibę zarządcy, zniszczone ogniem wnętrze kościoła. Nic. Nie znaleziono żadnych poukrywanych wojowników, nikogo. Wszędzie jedynie oznaki spustoszenia, zniszczenia, rabunku. Dopiero w piwnicach wieży odkryto loch. Za kratą przebywało jedenastu rycerzy w opłakanym stanie, przykutych łańcuchami do ścian. Wyprowadzono uwolnionych nieszczęśników na dziedziniec, na światło dnia i świeże powietrze. Byli to obodryccy rycerze z drużyny namiestnika Konina. Gdzie namiestnik? Ukrzyżowany przed bramą, razem ze swym bratem. Co tu się stało? Przed ósmioma dniami przyszła armia Lutyków, od południowego wschodu, niezbyt liczna, ale z wieloma kapłanami w szeregach. Podeszli pod gród, wtedy jak na umówiony znak prości wojownicy z garnizonu rzucili się zbrojnie na rycerzy, znienacka, otworzyli bramę, do grodu wpadły masy lutyckiej piechoty. Z rzezi uratowali się oni i tych dwóch na krzyżach. Wtrącono ich do lochu. Kapłani zapowiedzieli, że idą pod Liubice, a jak będą wracać, to zabiorą ich do Radogoszczy. A mieszkańcy? Pouciekali w lasy, do swoich krewnych po okolicznych wsiach. Ksiądz z kościoła? Uciekł już przed dwoma tygodniami, nie wiedzą dokąd, pewnie za Łabę, on z Saksonii.

Co zamierzają teraz uczynić, udać się wraz z nimi do Łączyna na spotkanie z ich królem, czy pozostać w Koninie? Nie zamierzają bronić grodu. Jedenastu przeciwko mającej tędy wracać armii Lutyków? Do Łączyna też nie, każdy woli na własną rękę podążyć w rodzinne strony. Ukryć się, aż opadnie fala rewolty, poczekać na wynik zamieszek. Mściśław sam sobie winien, że do tego doszło, zauważył śmiało jeden z nich. Lawirował między starą a nową wiarą, podatki srogie na biskupa w Starigardzie i parafie w okręgach ściągał, deptając ustalone prawa, Niemców i Duńczyków, nie własne otoczenie, za przyjaciół mając... Przed rokiem wykrwawili się, śląc wsparcie temu samozwańczemu Stodorowi, teraz Lutyki mszczą się...

Żelenta nie miał prawa ani ochoty do czegokolwiek ich przymuszać. Ale wrażenie zastanej sytuacji odcisnęło się przygnębieniem pośród jazdy. Idą na odsiecz Mściśławowi, kiedy własny lud i poddani go opuszczają... i jeszcze mniszki ratować...

Do Łączyna trzydzieści mil, zdążą swobodnie przed wieczorem, nawet jak wyruszą popołudniem. Żelenta zarządził dwugodzinny postój. W grodzie, na dziedzińcu miejsca w bród, niech się rozgoszczą i wypoczną.

Grupa Gromosława rozsiadła się niedaleko studni na dziedzińcu, rozpalili ognisko, ponabijali na rożen zakupione w Grabach mięsiwa. Żelenta przysiadł nieopodal spalonego kościoła, w otoczeniu własnych drużynników.

Delektowali się jedzeniem, chwilą wytchnienia. Pierwszy zagaił rozmowę Gromosław:

– To kto z nas walczył wczoraj najmężniej pod Grabami?

– Daj spokój. – Obruszył się Randulf. – Jeszcze mi w głowie wszystko kołacze po tej bitwie.

– No kto? – nagabywał Gromosław.

– A Matylda – odparł Randulf. – Jak tak koniecznie chcesz wiedzieć.

– Uważam, że Bernard – oświadczył Czambor.

Bernard spojrział na niego zdziwiony.

– Jak on wbił ten nasz sztandar w pagórek – wyjaśniał Czambor. – Kiedy już w całkowitą rozsypkę nas rozbito. Jak potężnie zakrzyknął, nawołując szeregi. Jak w powiewach biały orzeł rozwarł skrzydła na rozwijającej się z wiatrem czerwieni, nadziei nam przydał i odwagi...

– Poetą zostaniesz – zauważył Randulf.

– Pisać już mnie nauczyłeś – odparł Czambor.

– Ha, ha, ha – Randulf się roześmiał. – Czambor, arkana sztuki pisania a ledwo ich liźnięcie...

– Sztandar sztandarem – wtrącił Wojomir. – Co Bernard zrobił z czworobokiem Redarów, godne najwyższego podziwu.

– Eee tam. – Prychnął skromnie Bernard. – Zrobiłem to, co moi przodkowie, o czym w księgach w Magdeburgu wyczytałem.

– Opowiedz nam – nagabywał z wielkim zainteresowaniem Randulf. – Co wyczytałeś?

Bernard się opierał, ale zaczęli go usilnie namawiać. Obliznął zatłuszczone palce, sięgnął po bukłak i rozpoczął opowieść:

– Kiedyś, przed prawie stu laty, niedaleko stąd, no właśnie pod Łączynem, do którego zdążamy, stoczono okrutną bitwę. Niemcy stawali przeciwko Połabianom. Po stronie Połabian: piechota Redarów, po stronie moich rodaków: wielu szlachetnych rycerzy i kilku grafów. Ale czy ja wam już o tym nie opowiadałem kiedyś? Wtedy jak przyszliśmy z pomocą Kopanikowi przed dwoma laty? Nie? Dobrze więc. W bitwie pod Łączynem walczyli też przedstawiciele mojego rodu. Redarowie szli na pomoc okrażonemu przez nas grodowi. Na przedpolach wydaliśmy im bitwę. Wrześnie słoty roztopiły teren, nasza jazda natarła i utknęła

w błotach przed linią piechoty przeciwnika. Ciężkozbrojni spadali z koni, Redarzy dobijali ich bezlitośnie. Wtedy nasi zaatakowali pieszo. Trzy razy szli do natarcia, wycofując się każdorazowo z wielkimi stratami. Zginął wtedy między innymi mój dziadek oraz dwaj inni grafowie, dziadkowie znanego znanego kronikarza, merseburskiego biskupa Thietmara.

Zasłuchani przyjaciele pokiwali głowami na znak uhonorowania rycerskiej śmierci przodka Bernarda.

Sas ponownie pociągnął z bukłaka, by zwilżyć nieco wyschnięte gardło, i kontynuował:

– Za nic nie mogliśmy nadkruszyć walecznych, zdyscyplinowanych szeregów falangi Redarów. Wtedy jeden z naszych dowódców, ojciec przyszłego margrabiego Marchii Wschodniej Gerona, wpadł na genialny pomysł. Wyprowadził szerokim łukiem oddział pięćdziesięciu ciężkozbrojnych jeźdźców poza zasięg widoczności i rozpędził jazdę do pełnego galopu na bok czworoboku Redarów. Jednocześnie nasi spieszeni ciężkozbrojni z bezpośredniej odległości zaczęli zasypywać boki nieprzyjaciół włóczniami. Bok Redarów poluźnił szyk pod naciskiem opadających nań pocisków, wtedy uderzyła na nich rozpędzona jazda owych pięćdziesięciu. Szeregi nieprzyjaciół poszły w rozsypkę, nasi otoczyli ich i dobijali bezlitośnie. Resztę Redarów wycięto, gdy w trakcie ucieczki utknęli na pobliskich trzęsawiskach. Na widok klęski ich pobratymców Słowianie natychmiast poddali nam Łączyn.

Randulf notował zapamiętałe słowa Bernarda na pergaminach. Spisywał nieustannie wszystkie ich wspólne przygody. Nie wiadomo, jakim cudem zawsze miał w tobołkach przygotowane strzepy pergaminów. Gdy Bernard skończył opowiadać, Longobardczyk orzekł:

– Wszystko jasne, Bernard bohaterem bitwy.

– Wojomir zabił Pakosza – zauważył nieśmiało Bernard, próbując jeszcze bronić się przed tytułem najwaleczniejszego w bitwie, jednak drużyna nie zmieniła zdania.

* * *

Ruszyli w drogę po dwóch godzinach. Poganiali konie niemal prosto na południe, z lekkim odchyleniem na zachód. Wzdłuż szlaku po jednej stronie biegła rzeka, a po drugiej las wił się meandrami niczym powyginana żmija.

Randulf począł marudzić:

– Łeb konia w lewo, moja głowa w prawo, moja głowa w prawo, łeb w lewo. Albo ja pijany, albo koń, albo my obaj.

– Przestań narzekać – rzucił cwałujący obok Czambor.

– Lepiej w górę i w dół, w górę i w dół – oznajmił Randulf.

– Najlepiej to na wprost – rzucił Bernard.

– Na wprost to tylko na morzu – stwierdził Gromosław.

– Na morzu? – rzekł Czambor. – Zapomnieliście już, jak wami kołysało przed rokiem? Wokół Rugii i duńskich wysp? Rzygaliście we wszystkich kierunkach.

Przed nimi otworzyła się rozległa równina, pośrodku lasów. W zakolu rzeki wznosił się duży, okrągły gród z potężnymi wałami. Łączyn. Dotarli.

Na przedpolach grodu rozłożone dwa stykające się ze sobą obozowiska, kilkadziesiąt namiotów. Przed dwoma największymi zatknięte drzewce ze sztandarami, nierozpoznawalne z tej odległości. Wokół obozowisk rozstawione straże.

Podążyli lekkim kłusem, z rozwianą na przodzie polską chorągwią, żeby ich nie wzięto za nieprzyjaciół.

Okazało się, że na przedpolu obozują Mścisław i księżę Saksonii, Bernhard. Przed namiotem Mścisława zatknięto dwa proporce. Na jednym

widoczna była głowa tura z obręczą w nosie i złotą koroną na łbie, godło dynastii Mścislawa. Na drugim biały koń na zielonym tle, sztandar obodryckiej jazdy ciężkozbrojnej. W obozie Sasów naliczyli około trzydziestu ciężkozbrojnych, w obozie Mścislawa czterdziestu. Sama jazda.

Żelentę i pozostałych zdziwiło, że Mścisław i Bernhard obozują pod grodem.

Stary wódz przedstawił ich krótko Mścislawowi i Bernhardowi, nakazał rozłożyć namioty po lewej stronie obozu Obodrytów i udał się na naradę.

Powrócił po dwóch godzinach. Z zaskakującymi wieściami.

Mścisław i Bernhard nie zostali wpuszczeni do grodu. Łączynem władał daleki kuzyn Mścislawa imieniem Gniew, który wypowiedział posłuszeństwo królowi. Z Niemcami też nie chciał mieć do czynienia. Ani Bernhard, ani Mścisław ze swymi skromnymi drużynami nie byli w stanie zaatakować grodu. Brat Gniewa imieniem Anatrog zarządzał Liubicami i, jak się dowiedziano, również wypowiedział posłuszeństwo królowi. Niejasnym było tylko, czy Anatrog dąży do niezależnych rządów, czy też działa w porozumieniu z księciem Wagrii, Sederykiem. Podobnie Gniewo, jakie miał zamiary?

– To deprymujące, poniżające! – komentował Żelenta.

– Co dalej? – dopytywał Gromosław. – Niech książę Bernhard zabiera Mścislawa do Saksonii, jeden problem rozwiązany, pozostanie nam tylko odnaleźć i uwolnić mniszki.

– Mścisław nie wróci do Saksonii – odparł Żelenta. – Przynajmniej dopóty, dopóki nie zapewni bezpieczeństwa rodzinie znajdującej się w Zwierzynie i nie odnajdzie się Przybygniew.

– Gdzie jest Przybygniew? – zapytał Bernard. – Nie w Zwierzynie?

– Przybygniew na pierwsze oznaki narastającej rebelii uciekł do Danii dla sprowadzenia posiłków – wyjaśniał Żelenta. – I od tej pory ślad po nim

zaginał. Mścisław nie spocznie, dopóki nie odnajdzie Przybygniewa lub nie będzie pewien jego bezpieczeństwa. Co mam wam więcej tłumaczyć?

– To znaczy, że teraz udamy się wszyscy, razem z drużyną Mścisława, do Zwierzyna? – zapytał Czambor.

– Nie – odparł Żelenta. – Mścisław i Bernhard, a ja wraz z nimi, idziemy pod Racibórz na wiec książąt. – Widząc ich pytające spojrzenia, począł wyjaśniać: – Książę Sederyk z Wagrii i książę Racibor z ziemi Połabian zażądali wiecu z królem.

– Jakiego wiecu? – Przerwał mu Gromosław. – Przecież to pogańska praktyka. Wiec to u Lutyków może, ale nie... A poza tym, przecież jest zwołany zjazd obodryckiej arystokracji do Zwierzyna.

– Mówię wiec, mając na myśli coś na wzór zjazdu książąt i możnych w Rzeszy, u Niemców – objaśnił Żelenta. – Tylko król, czyli Mścisław, książęta udzielnych prowincji i książę Saksonii, który – było nie było – nadal z ramienia cesarstwa sprawuje nadzór nad Obodrytami. Uświęcona regułami praktyka. Każdy ma prawo przyprowadzić maksymalnie stu zbrojnych. Na wiecu zabronionym jest pod karą śmierci wyciągnięcie broni. Będą radzić, nie wiem nad czym, widzicie przecież sami, jak wokół wszystko się wali i rozpada. Wiecu zażądali Sederyk i Racibor, Mścisław i Bernhard nie mogą odmówić spotkania. Dopiero po wiecu zamierzamy udać się do Zwierzyna po członków rodziny Mścisława.

– A gdy już Mścisław spotka rodzinę, to co dalej? – spytał Gromosław.

– To wtedy przeprowadzi ich bezpiecznie do Saksonii, a nasze zadanie zlecone przez księcia Bolesława będzie wykonane. Znaczy po części, bo jeszcze musimy uratować kobiety z klasztoru w Mechlinie.

Bernard rozejrzał się po zgromadzonych wokół przyjaciółach.

– Kiedy ruszamy na Racibórz? – zapytał. – Już dzisiaj?

– Wy nie ruszacie z nami do Raciborza, najprzód macie inne zadanie do spełnienia – odparł spokojnie Żelenta. – Dodatkowe zadanie.

Wpatrywali się w niego z nieskrywanym zaskoczeniem.

– Udacie się do grodu Czarnotin, stąd na północ dziewięćdziesiąt mil. To niewielki gród, a w tamtejszym kościółku ukryte są dwie księgi *Kroniki Obodrytów*. Macie je odnaleźć, po czym dołączycie do nas pod Raciborzem. Z Czarnotina do Raciborza niecałe trzydzieści mil.

– Więcej szczegółów? – dopytywał Randulf.

– Kto, my? – Nie dowierzał Gromosław.

– Wy – rzekł mu Żelenta. – Ty i twoja zgrabna drużyna. Pójdziecie całą piątką.

– Chyżon pójdzie z nami – oznajmił Czambor.

– Szóstką – poprawił się bez namysłu Żelenta. – Chyżon pójdzie z wami.

– Czarnotin – rozważał Gromosław. – Coś więcej? Przez kogo zajęty? Gdzie dokładnie ukryte są te księgi?

– Na początku rozruchów kapelan Mścislawa opuścił w panice Wyszomir, kierując się w stronę Saksonii. Starając się uratować co ważniejsze dokumenty ze zbiorów kancelarii, zapakował w toból między innymi *Kronikę Obodrytów*. Dotarł do Czarnotina. Gród wydawał się w miarę bezpiecznie strzeżony pod namiestnictwem wiernego Mścislawowi Radzigasta, szlachetnie urodzonego rycerza ze starego obodryckiego rodu – wyjaśniał Żelenta. – W tym czasie narastająca fala niepokoju dotarła już do Czarnotina. Poruszenia pośród mieszkańców grodu, wzburzenia w okolicznych wsiach, pierwsze owoce agitacji wysłanników z Radogoszczy. Krążyły najróżniejsze wieści: że zbliżają się oddziały lutyckie, że pogańscy kapłanie, wypruwając brzuchy chrześcijańskim duchownym, okrutnie ich męczą i mordują. Kapelana opuściła odwaga,

zostawił uratowane dokumenty wraz z *Kroniką* pod opieką Radzigasta i uciekł do Lüneburga. Nie wiemy, jaka jest aktualna sytuacja w Czarnotynie, różne słuchy docierają od uciekinierów ze wschodu. Podobno teraz nie ma tam żadnej załogi, ludzie słuchają się jakiegoś pogańskiego kapłana. Miejscowego, nie lutyckiego. Z kolei inni twierdzą, że w grodzie nadal broni się Radzigast z wierną mu drużyną.

Racibórz

Nakaz Żelenty, by ruszać natychmiast, rozeźlił ich nieco. Jak to? Bez odpoczynku? Po całym dniu trudów? Przenocują po drodze pod namiotami, gdy zapadnie noc uniemożliwiająca dalszą jazdę – perorował Żelenta. To jednak dziewięćdziesiąt mil stąd, kawał drogi. Do wieczora pokonają już część trasy, wyśpią się nocą, a rano ruszą dalej. Chodzi o to, by jak najszybciej wykonali zadanie i zjechali pod Racibórz.

Wyruszyli, zostawiwszy większość osobistych pakunków i bagaży pod opieką Żelenty. W tym podarowane im przez Gruta płaszcz obodryckiej jazdy. Lepiej, by udawali zwykłych obcokrajowców, co zapuścili się w kraj Obodrytów w poszukiwaniu miejsc na zakup koni. Przejezdni handlarze, bez towarów na sprzedaż, za to w ich poszukiwaniu. Mało to karawan kupieckich krąży po obodryckiej ziemi? Żelenta wręczył każdemu po okazałej sakiewce wypełnionej srebrnymi monetami. To ze środków przydzielonych przez Bolesława na wyprawę. Kupcy bez srebra wzbudziliby od razu podejrzenia, tłumaczył. A większość broni powinni zostawić, kupcy nie jeżdżą uzbrojeni jak ciężkozbrojna jazda. Natychmiast zaprotestowali. Wojomir nie rozłączy się ze swym łukiem, Chyżon z oszczepem, a Czambor z wielgachnym toporem. Zaczęli się sprzeczać. Randulf wpadł na pomysł, że jak mają udawać handlarzy, to najlepiej z jak

najdalszych, nieznanych tutaj krajów. Na przykład z Hiszpanii albo Włoch. On będzie odgrywał rolę głównego kupca, a oni są jego zbrojną świtą. Wtedy mogą zatrzymać broń. Na tym stanęło. Na koniec Żelenta opisał im drogę.

Popędzali konie. Po niecałych dwóch godzinach zapadający mrok otulał okolicę czernią, uniemożliwiając dalszą jazdę. Zatrzymali się na nocleg pod lasem, nieopodal wąskiej rzeczki o szerokim po ich stronie brzegu pokrytym żwirem i drobnymi kamieniami, dochodzącym do stromej piaszczystej skarpy.

Wczesnym świtem następnego dnia Czambor, pełniący wartę jako ostatni, obudził Chyżona, nakazując mu od razu milczenie. Pozostali spali jeszcze. Poszli razem nad rzeczkę, przystanęli u podnóża zbocza skarpy. W oddali, jakieś dwieście kroków wzdłuż rzeczki, przebiegło stado saren.

– Daj mi swój oszczep – polecił Czambor.

– Na polowanie? – Chyżon już wcześniej dziwił się, po co Czambor kazał mu zabrać ze sobą broń.

– Do pisania – wyjaśnił Czambor. – Pierwsza lekcja.

Oszczepem w obu dłoniach zaczął kreślić w twardym od mrozu piachu litery. Powoli, z namysłem.

Odszedł na dwa kroki, przyglądał się z ukontentowaniem.

– Wiesz, co tu stoi, Chyżon?

Chyżon nie odpowiedział.

– „Czambor, szlachetny rycerz z Gdańska”. – Czambor podał Chyżonowi oszczep. – Teraz ty.

– Co: ja?

– Powtarzaj obok... albo nie, pod spodem, powoli, patrz na wzór.

– Jak się pisze „Chyżon”?

Czambor zastanawiał się przez chwilę.

– Pierwsza litera tak jak w „Czambor”. – Wskazał palcem.

– Chyżon, tak jak Czambor?

– Co masz na myśli? – spytał podejrzliwie Czambor.

Z pobliza dobiegł stłumiony chichot. Zawtórował mu wybuch niepowstrzymanego śmiechu. Ze skarpy sturlał się Bernard, po nim Randulf. Za nimi zeskoczyli Gromosław i Wojomir. Podeszli do zmieszanych Czambora i Chyżona.

– Nie pisze się: „na Gdańsku” – orzekł fachowo Randulf – tylko „z Gdańska”. – Podszedł do napisu i naniósł poprawkę.

– Prześmiewajcie się, prześmiewajcie – zaproponował Czambor. – Kiedyś trzeba chłopaka nauczyć.

– Odezwał się starszy. – Bernard nie skrywał ironi. – Ledwie pięć lat.

– Czambor pojętny uczeń – pochwalił gdańszczanina Randulf, poklepując po plecach. – Ale dużo jeszcze muszę mu przekazać, zanim sam zacznie pouczać.

– Czambor dorobi się zawołania. – Po raz pierwszy od czasu bitwy pod Grabami na twarzy Wojomira pojawił się lekki uśmiech. – Łazi po Połabiu i kreśli bazgroły: po świątyniach, po dzikich skarpach... Czambor Pisarz.

Pożartowali jeszcze wspólnie, ale bez kpin. Gromosław nakazał, by spożyli naprędce posiłek, czas im było ruszać w dalszą drogę.

– Gromo zaczyna dowodzić – bąknął Bernard.

W południe zbliżyli się na przedpola Czarnotina. Gród jak gród, ani duży, ani mały, mieścił się na nasypie płaskowyżu schodzącego z trzech stron do jeziora. Brama stała otwarta, na wałach nie widzieli żadnych wartowników, za to na przedpolu zebrał się spory tłum.

Podjechali ostrożnie, rozglądając się po gromadach ludności. Wozy, konie, pełno gawiedzi, kilku zbrojnych, zwykłych wojowników. Nikt nie zwracał na nich uwagi. Dopiero będąc już bliżej bramy, zauważyli rozstawione łąwy i stragany – karawana kupiecka.

– Tośmy trafili na swoich – rzekł z przekąsem do pozostałych Randulf.

– Lepiej ich omijajmy – ostrzegł Gromosław. – Rozpoznają, że podszywamy się pod ich profesję.

– Wątpię, by nabrali podejrzeń – sprzeciwił mu się Randulf. – Po szatach sędzę, że to kupcy żydowscy z Hiszpanii. Przyciągnęli tu przez pół Europy, odwiedzają grody, wsie. My udajemy handlarzy z Włoch, jak było ustalone, w poszukiwaniu rynków zakupu koni. Kto mi zarzuci fałszywe pochodzenie? A wy należycie do mojej zbrojnej świty.

Oparty o masywną framugę bramy wartownik nawet nie zwrócił na nich uwagi, gdy przejeżdżali obok. Z zaciekawieniem za to przyglądał się zbiorowisku i zamieszanu przy straganach. Dopiero, gdy Randulf zapytał go o opłatę wjazdową, przyjrzał im się uważniej. Na co im tyle broni, dziwił się. Czasy niespokojne, wojna wokół, wyjaśniał Randulf, to i sprawnych najemników musiał opłacić. Jaka tam wojna, obruszał się wartownik, księży z kościółka przegoniono, drużyna namiestnika rozsypała się, teraz już spokój.

– To kto tutaj teraz rządzi? – zapytał Randulf.

– Nikt... znaczy my sami, ludzie z grodu, z wiosek.

– Sami? Przecież musi ktoś grodu bronić, zarządzenia wydawać...

– Zmieniamy się na garnizonie, a kieruje wszystkim Miklon.

– Miklon?

– Nasz kapłan bóstwa Prowe. Jak Lutycy tędy przechodzili, to wyciągnęli go z gajów za jeziorem, posadzili na grodzie i kazali na wszystko mieć baczenie.

– Czyli w grodzie nie ma żadnych rycerzy?

– Rycerzy? W siedzibie został namiestnik i dwóch z jego drużyny, ale oni od tygodnia między ludzi nie wychodzą. Karczmarz zanoszą im regularnie jadło i mocne trunki. Pewnie chcą się na śmierć zapisać.

Kręcili głowami ze zdziwienia, ale nie komentowali. Uścili wartownikowi opłatę i wjechali do grodu. Zatrzymali się obok karczmy. Przy strawie i napitku głowy lepiej pracują. Trzeba się naradzić. A poza tym w karczmie najszybciej zasięgną języka.

Wojomir przystanął przy szynkwasiu, wdając się w rozmowę z karczmarzem. Umiejętnie go wypytał, a wróciwszy do wspólnej ławy, zdał relację.

Miklon to pogański kapłan w podeszłym wieku, wszyscy go tu szanują i poważają. Miejscowy? Nie, z Wagrii, aż spod Płoni za Starigardem. Opiekował się tam gajem bóstwa Prowe. Przed trzydziestu laty, przegnany przez tamtejszego biskupa, zawędrował tutaj i przyłączył się do miejscowych kapłanów. Poprzedni król, Mściwoj, zezwolił mu na pobyt i nie czynił wstrętów. Również Mścisław i grodowy namiestnik zostawili go w spokoju. A teraz pozostał już sam z wszystkich kapłanów, ma jedynie dwóch pomocników, pielęgnują gajkę, odprawiają modły, czynią posługi. Lutycy maszerowali na Wagrię podburzać, przechodzili tędy, kazali mu zarządzać grodem. Podobno Miklon wdał się w jakieś sprzeczki z kapłanami Redarów, tak między ludźmi plotka niesie.

– Ale co najważniejsze dla nas – zakończył Wojomir – Lutycy mają tędy niebawem przechodzić, w drodze powrotnej do Radogoszczy.

– Musimy się pośpieszyć ze znalezieniem księgi – stwierdził Gromosław.

– Książ, dwóch – uzupełnił Randulf.

– Zauważyliście po drugiej stronie placu? – Zwrócił ich uwagę Bernard. – Po kościółku zostały zgliszcza, za to chatka zakrystii stoi jeszcze, mocno podniszczona, ale stoi. Siedziba namiestnika obok zakrystii sprawia wrażenie nienaruszonej. Przed wejściem, u szczytu schodów, siedzi na ławach dwóch prostych wojowników, poziewających z nudności albo zmęczenia.

– W chatce zakrystii karczmarz trzyma owce i zapasy siana – zauważył Wojomir.

– Ja proponuję położyć się przespać, do wieczora – rzekł Czambor. – Za dnia nic nie zdziałyśmy. – Poszedł do karczmarza rozeznaczyć się w wynajęciu izby na krótki spoczynek.

– Pójdę jednak przejść się między straganami, kusi mnie – oznajmił Gromosław. – Więcej wiadomości zasięgnąć. A potem do siedziby namiestnika.

– Idę z tobą – zdecydował Bernard.

Zanim wyszli, do stołu zdążył wrócić Czambor.

– Karczmarz zdziwił się, że pytam o izbę – relacjonował. – Mówi, że niektóre domostwa opuszczone, mamy sobie sami poszukać kwatery.

– Co do namiestnika – wtrącił Wojomir. – Wywiedziałem się nieco u karczmarza. Oczekajcie chwilę, zanim pójdziecie na rynek, to wam opowiem.

Zamówili napitki.

– Na imię mu Radzigast, szlachetnie urodzony rycerz. – Rozpoczął opowieść Wojomir. – Lata całe służył w obodryckiej jeździe ciężkozbrojnej, dorobił się dowodzenia hufcem. Należy do grona zaufanych Mścislawa. Dwóch drużynników przebywających z nim w siedzibie to równie wysoko urodzeni Obodrycy z rycerskiej warstwy, Cedrog i Dunmar. Gdy pod gród podeszły oddziały Redarów, Radzigast zamierzał się bronić. Podburzona

wcześniej przez lutyckich szpiegów ludność wewnątrz grodu odmówiła mu posłuszeństwa. Doszło do bijatyk, szarpaniny, sięgnięto po oręż, padły pierwsze trupy. Radzigast usiłował przywrócić porządek. Wtedy z zewnątrz, spod wałów, zawołano, by on i wierna mu załoga wyjrżeli poza palisadę. Wojownicy Redarów ustawili szeregiem wzdłuż wałów zakładników, przede wszystkim członków rodzin rycerzy z drużyny Radzigasta, których zebrali po osadach, ale również rodziny zwykłych wojowników pełniących służbę w grodzie. Dramat. Zażądali poddania grodu, złożenia broni i wyparcia się chrześcijaństwa. W przeciwnym razie rozpoczną egzekucje na zakładnikach.

Przerwał, by zaczerpnąć oddech. Pozostali milczeli ponuro.

– Reszty możecie się domyślić. Radzigast poddał gród. On i wszyscy rycerze z jego drużyny musieli publicznie na dziedzińcu, każdy z osobna, przed zebranymi tłumami wyrzec się religii chrześcijańskiej. To nie wszystko. Kapłani Radogoszczy przytargali ze zniszczonego kościoła drewniany krzyż z ołtarza. Radzigast i pozostali musieli napluć na ukrzyżowanego Chrystusa. Po wszystkim oddziały lutyckie odeszły, przekazując zwierzchnictwo w ręce Miklona. Drużyna Radzigasta rozpadła się, oprócz Cedroga i Dunmara, co przy nim zostali, reszta podążyła do osad i wsi, w których mieli rodziny. Rodzina samego Radzigasta również go opuściła, załadowali się na wozy i uciekli. Od tego czasu siedzą w trójkę, Radzigast, Cedrog i Dunmar, w głównej hali siedziby. Zapijają się na umór, na okrągło, stracili kontakt z resztą świata. Karczmarz dostarcza im regularnie trunki i strawę. Można się domyślić, że został słono przez Radzigasta opłacony, albo... nie wiem? Za darmo ich przecież nie dożywia. Ci dwaj prości wojownicy na schodach przed siedzibą to nie wartownicy, ale ludzie opłacani przez karczmarza. Doglądają, by tej trójce niczego nie brakowało.

– Idziemy natychmiast do siedziby rozmówić się z Radzigastem – zdecydował Gromosław.

Ostatecznie poszli wszyscy oprócz Chyżona, któremu Czambor nakazał pilnować bagaży i wyglądać przez okno, czy konie nadal uwiązane do werandy.

Przechodzili obok zgliszcz kościoła, gdy z zewnątrz poczęły się wlewać na dziedziniec tłumy. Nie żeby w panice, ale z widocznym pośpiechem. Ktoś zapytany rzekł, że na północy zamajaczyły szeregi Lutyckich oddziałów wracających do Radogoszczy. Potrwa jeszcze z półtorej godziny, zanim przejdą przed grodem, muszą najpierw ominąć szerokim łukiem jezioro i trzęsawiska. Na pewno zażądatają, jak poprzednio, prowiantu i paszy. Lepiej nie wchodzić im w drogę. Do grodu zjeżdżali też kupcy z wozami i służbą. Gdy już przedpole opustoszało, grupa kilku wojowników, kierowana rozkazami starca w długim futrzanym płaszczu, poczęła wynosić na zewnątrz grodu w miejsce rozstawionych przedtem straganów worki z jedzeniem dla Lutyków.

– Ten stary to pewnie ów Miklon – rzekł do pozostałych zniżonym głosem Bernard. – Czapę ma podobną jak Wojomir, tyle że z drewnianą obręczą wokół głowy.

– Odłóżmy na razie odwiedzinę u Radzigasta, chodźmy rampą na palisadę, z wysokości lepiej widać – zaproponował Gromosław.

– Ścisk robi się na wałach – zauważył Czambor. – Mieszkańcy zbierają się przyciągani ciekawością.

Lutycy nadciągnęli kolumną rozciągniętą na pół mili. Piechota, kilku konnych, kilkanaście wozów. Do oczekującego przy podarkach Miklona podeszło trzech redarskich kapłanów, wdali się w rozmowę. W tym czasie wojownicy Redarów ładowali przygotowane dla nich pakunki na przejeżdżające wozy. Raptem szeregiem zebranych na wałach gapiów

targnęło poruszenie, fala pomruków przechodziła w ożywione okrzyki. Narastały dyskusje, pobrzmiwały komentarze, pogwizdywania. Na jednym z odkrytych wozów siedziało sześć postaci ze skrępowanymi z tyłu rękoma. Spod narzuconych na plecy ciepłych pledów wystawały habity i szaty liturgiczne – podniszczone, zszargane, wybrudzone. Sześciu duchownych: dwóch mnichów i czterech księży. Na ich obliczach malował się ból i cierpienie, niektórzy siedzieli z zamkniętymi oczyma, inni rozglądali się wokół z przerażeniem. To, co wzbudziło owacje i okrzyki na wałach, to to, co duchowni mieli na głowach. W miejsce wygolonych tonsur wycięto im nożami krzyże, głęboko w skórze, do czaszek. Nie wiadomo, przed ilu już dniami, ścieżki spływającej twarzami krwi sprawiały wrażenie zakrzepłych od mrozu.

Ludzie na wałach wiwatowali, pokrzykiwali, radowali się. Wojomir, udając zainteresowanie, zagadnął stojącego obok niego mężczyznę, co to za duchowni. Chrześcijańscy kapłani, padła odpowiedź. Redarowie wraz z Wagrami najechali Liubice, zdobyli miasto i zniszczyli wszelkie objawy chrześcijaństwa. Niektórych duchownych, co nie zginęli na miejscu, załadowano na wóz, wyrżnięto im krzyże na głowach i pokazywano w każdej mijanej osadzie, wsi i grodzie. Ciągną ich niewątpliwie do Radogoszczy, przed oblicze samego Swarożyca, dla złożenia w ofierze.

– A nie mogą ich tutaj poświęcić waszemu Prowe? – nagabywał nieznajomego Wojomir.

– Prowe? – Zdziwił się nieznajomy. – Prowe nie ma posągu, nie ma oblicza. Prowe to bóg niewidoczny, czczony w świętych miejscach, gajach.

Przysłuchujący się obok Gromosław nie krył zaskoczenia. Jak to, Wojomir nie zna swojego Połabia? Nie wie, jacy bogowie gdzie i jakimi rytuałami otoczeni?

Makabryczna karawana zniknęła już z ich pola widzenia.

Opuścili wały, kierując się do siedziby namiestnika. Mijając karczmę, Czambor zakrzyknął, że dołączy do nich, tylko najpierw sprawdzi, jak Chyżon wywiązuje się z obowiązku pilnowania bagaży.

Wartownicy na schodach wystraszyli się, widząc nadciągającą grupę zbrojnych.

– My za zezwoleniem karczmarza – oznajmił Gromosław.

– Tam już nic nie ma – odparł jeden ze stróżów. – Co cenne rozgrabione. My tylko mięsiwa i piwo za drzwiami kładziemy.

– Chcemy porozmawiać z Radzigastem.

Usunęli się bez słowa, wpuszczając ich do środka.

* * *

Wewnątrz panował mrok jak za nocy, niczym w piwnicznych lochach, na wpół domknięte drewniane klapy okien w mijanych pomieszczeniach wpuszczały jedynie promyki dziennego światła. W nozdrza uderzył niesamowity smród. Wszędzie naokoło oznaki zniszczenia i plądrowania, porozbijane meble, stosy walających się przedmiotów. Z pomieszczeń dolatywał odór niczym z latryny. Na końcu korytarza wyłamana połowa drzwi zwisała na jednym zawiasie. Biła stamtąd łuna nieregularnie drgającego światła. Doszli do hali audiencyjnej. Niemal połowę przeciwległej do okien ściany zajmował kamienny kominek z wielkim, otwartym paleniskiem. Ze spiętrzonej sterty buchały w górę wylotu komina płomienne jęzory ognia. Przed kominem przygotowane do spalania porąbane części mebli i innych nierozpoznawalnych przedmiotów, strzępy materiałów. Wnętrze hali przypominało pobojuwisko. Walające się wokół spiętrzone na kupy ławy, stoły, regały, drewniane części uzbrojenia, tarcze, oszczepy, włócznie, kupy przeróżnych szmat, ubrań. Pod oknem kolejny stos włóczni, obok oparty o ścianę topór bojowy. Porozstawiane na

podłodze misy i naczynia z jedzeniem lub jego resztkami, niezliczona ilość rozmaitych gąsiorów, baryłek i dzbanów z trunkami. Naprzeciwko kominka rozłożone trzy zwały futer i skór. Na nich na wpół siedzieli, na wpół leżeli rozciągnięci Radzigast, Cedrog i Dunmar, w rozchełstanych koszulach pod rozpiętymi kaftanami. Sprawiali wrażenie nieprzytomnych, pewnie z upojenia, bo nie okazali najmniejszego zainteresowania wkraczającą do hali drużyną Gromosława. Dopiero po chwili doleciała z końca sali cicha, powolna, smętna melodia. Któryś brzdękał na instrumencie.

A jednak byli mocno podpici. Nie zareagowali, gdy ujrzeli wchodzących. Nadal wpatrywali się zmętniałymi oczyma w buzujące płomienie kominka. Trzech podstarzałych, zapewne około pięćdziesiątki, sądząc po wyglądzie, rycerzy. Jeden odłożył instrument, przyłożył gąsior do ust, pociągnął sążnięcie. Ten usadowiony pośrodku, Radzigast, jak się po chwili okazało, podniósł brwi do góry, spojrzął na przybyłych, łyknął z glinianego dzbana, beknął hucznie i rzekł do swoich towarzyszy:

– Widzicie to, co ja? Zjawy się pojawiły.

– Duchy – rzekł Cedrog.

– Diabły z piekła – zaprzeczył mu Dunmar. – W końcu przyszły po nas.

– My nie duchy ani zjawy – zaoponował Gromosław.

– Ani diabły – uzupełnił oburzony Czambor.

– Do piekła nas zaciągną – rzekł bełkotliwie Cedrog. – Za nasze zbrodnie. Nareszcie.

– Wy od karczmarza czy od Miklona? – Po raz pierwszy od ich wkroczenia na twarzy Radzigasta pojawił się cień zainteresowania.

– My od księcia Bolesława, z Polski – odparł Gromosław.

– Czyli jednak już jesteśmy w piekle – stwierdził Dunmar.

– Od tego księcia Bolesława? – zapytał Radzigast.

– Nie ma innego księcia Bolesława – Czambor nie krył wzburzenia. Randulf położył mu rękę na ramieniu i ścisnął w uspokajającym geście.

– Tak jak nie ma innego księcia Mścislawa! – wykrzyknął niemal Radzigast. – Niech ich wszystkich zaraza dopadnie!

Gromosław rozłożył obie ręce, potrząsając nimi na znak ułagodzenia, w obawie, by któregoś z jego przyjaciół nie poniosły emocje. Nakazał półgłosem, by znieśli dwie ławy. Przysiedli z boku, z dala od żaru bijącego od kominka. Następnie przedstawił siebie i swych towarzyszy. Radzigast wzruszył ramionami.

– I co z tego? Czego chcecie?

– Szukamy czegoś – odpowiedział Gromosław.

– Tu nic nie ma – odparł Radzigast.

– Dwóch ksiąg szukamy – włączył się Bernard. – W podłużnej drewnianej szkatule przechowywanych. Kapelan księcia Mścislawa zdał je pod twoją opiekę.

Na dźwięk imienia Mścislawa trzej Obodrycy ożywili się.

– Nie ma Mścislawa – rzekł Dunmar.

– Nie ma króla – oświadczył Radzigast.

– Królestwo upadło, my upadliśmy – dodał Cedrog. Powstał chwiejnie, z trudem utrzymując równowagę, i wyszedł z hali.

Dunmar uchwycił kilka leżących obok niego połamanych włóczni i rzucił w palenisko.

– Wszystko zginęło, po Obodrytach. – Rozejrzał się. – Ty! – zwrócił się do stojącego najbliżej Wojomira. – Tam pod oknem oparty topór, porąb kilka drewnianych na ogień. – Wskazał w kierunku stosu włóczni i oszczepów.

Do hali powrócił Cedrog, wlokąc jedną ręką ciągnący się po ziemi zielony płaszcz bojowy obodryckiej jazdy. Podeszedł do kominka, rzucił

niedbale płaszczył w płomienie, legnął na skórach.

Randulf podszedł bliżej do ognia, intensywnie czegoś wypatrując. Uchwycił za żelazny pogrzebacz, począł mieszać na obrzeżu paleniska, coś wydłubał z płomieni, wypychając na rozłożoną na ziemi żelazną kratę. Obrys niedopalonej drewnianej klapki z nadtopionymi żelaznymi okuciami. Pozostałość przykrycia szkatuły, skrzyni?

Gromosław, obserwując poczynania przyjaciela, podszedł do znaleziska i przyjrzał mu się uważnie.

– Radzigast? – zapytał Gromosław, wskazując na resztki wygrzebane przez Randulfa. – Wrzuciliście szkatułę od królewskiego kapelana do ognia?

Radzigast potoczył zamglonym wzrokiem we wskazanym kierunku. Wzruszył ramionami, prychnął, odmachnął ręką.

– Wszystko spalimy, śladu po nas nie zostanie, po tym królestwie przeklętym, po wielkich Obodrytach...

– Spaliliście szkatułę? – Ponowił pytanie Gromosław. – W środku były dwie księgi.

– Na co nam szkatuły i księgi! – Radzigast rozłożył ręce w teatralnym geście. – Nic po nas nie pozostanie!

– Spaliliście? – nalegał Gromosław.

– Spaliliśmy – odpowiedział mu Dunmar. – Piękny, niebieskawy płomień wystrzelił z nich w górę...

– Książę Mścisław kazał wam... – odezwał się, nie kryjąc wzburzenia, Bernard.

– Nie ma króla! – odkrzyknął Radzigast.

– W szkatule nie było żadnej księgi – wybełkotał Dunmar.

– Kapelan Mścislawa? – odparł po zastanowieniu Radzigast. – Był tu i uciekł. Nie pamiętam, by miał jakieś księgi przy sobie.

– Jest król – zapewnił ich Bernard. – Do Zwierzyna podąża.

– Na własną zgubę – odparł Cedrog. – Powinien w Saksonii zostać.

– Na Chrystusa napluliśmy – dodał Radzigast.

– I nasikaliśmy – uzupełnił Dunmar. – Przed pogańskimi psami, ze strachu skuleni.

– Własnych poddanych wymordowaliśmy – ciągnął Cedrog.

– Jakich poddanych? – Gromosław tracił już głowę.

– Tych tam. – Radzigast wskazał niedbale ręką w stronę okna. – W jeziorze. Durnych, prostych wieśniaków.

– Spotkamy się w piekle – odparł zobojętniałym tonem Cedrog.

* * *

W pośpiechu opuścili siedzibę namiestnika, niemal wybiegając. Zatrzymali się dopiero u podnóża schodów, nie zwracając uwagi na wartowników. Z ulgą zdążali w kierunku karczmy. Świeże powietrze uderzyło do głów niczym kojące lekarstwo, orzeźwiająco. Przysiedli przy studni na dziedzińcu.

– Uciekajmy z tego Połabia, od tych Obodrytów, Redarów i jak ich tam jeszcze zwą – zaproponował Bernard.

– Mieszkasz na Połabiu – zripostował Gromosław. – Łużyckim grodem zarządzasz.

– Do Polski się sprowadź – dogryzł Bernardowi Czambor.

– Mój gród należy do Polski – odparł Bernard.

– Ale jest na Połabiu – zauważył Wojomir.

– Deprymujące, deprymujące... – rzekł Randulf. –
Ponizające...

– Przez ostatnie dwa lata Wojomir zatruwał nam głowy zrządzeniem o upadku Połabia – zastanawiał się Gromosław. – O zdradach, sprzedawczykach, braku jedności, łaszeniu się do obcych władców, upadku obyczajów, zaniku tradycji, nienawiści między plemionami... Ale to tutaj... Nie wiem, czy może być coś gorszego.

– Może – odpowiedział Wojomir. – Wyobraźcie sobie siebie za trzydzieści lat, w waszym kraju, znaczy w Polsce. Siedzicie gdzieś razem tak jak ci obodryccy weterani tutaj i szukacie śmierci w zapiciu, bo wszystko wokół się zawaliło: religia, państwo, wszystko...

– U nas nawet nie ma tylu kościołów, co u Obodrytów – stwierdził Gromosław. – Było tyle kościołów – poprawił się po namyśle. – Strach naprawdę pomyśleć, gdyby Radogoszcz pogańską agitację u nas rozpętała.

– Gdyby możni odwrócili się od władcy. – Rozwinął myśl Czambor. – I kraj zdradzili.

– No Polacy, niepewność zaczyna was ogarniać? – Wojomir nie krył uszczypliwej ironii.

– Może Bernard ma rację – zauważył Randulf. – Uciekajmy stąd.

– A misja? – zapytał Gromosław.

– Misja? – podjął podenerwowanym głosem Bernard. – Czy prywatna wyprawa Żelenty? Żelenta serdeczny kolega Mścisława, Żelenta serdeczny przyjaciel Bolesława, niczym brat rodzony, Bolesław spiskujący za plecami cesarza dzień po podpisaniu pokoju. Co nam z ratowania Mścisława, co nas obchodzi los Obodrytów?

– Bolesław wydał rozkaz – oznajmił Gromosław. – Chcecie, by nas za banitów uznano? Za wyjętych spod prawa?

– Możemy ukryć się w Raduszu – zaproponował Wojomir. – Gródek do wzięcia, gniazdo zbójckie założymy.

– Ha, ha... – rzekł Gromosław do Wojomira. – Żebyś chociaż raz twój sarkazm przytłumił.

– *Kroniki Obodrytów* nie było w szkatule – zauważył Randulf.

– Honor stracimy, jeżeli uciekniemy – orzekł Gromosław.

– Nie wiem, jak wy – oświadczył Czambor – ale ja pójdę choćby w pojedynkę do Mechlina, na pomoc mniszkom w klasztorze.

– Ma rację – przytaknął mu Randulf. – Idziemy ratować kobiety. Ale księgi też musimy odnaleźć. Tajemnicza sprawa z tą kroniką. Gdzieś przecież musi być, skoro nie spalona.

– Może tam już nie ma żadnego klasztoru? – zastanawiał się Bernard. – Gromo, ty zawsze tak chętnie przejmujesz dowodzenie, co decydujesz?

Gromosław namyślał się. Ostrzem miecza wiercił w ziemi.

– Idziemy pod Racibórz – rzekł w końcu. – Tak jak było ustalone. Żelenta i Mścisław zjawią się tam dopiero jutro późnym popołudniem. My mamy stąd jakieś trzydzieści mil, zatem dużo czasu na odpoczynek. Trzeba się wyspać, trzeba każdą okazję do spania wykorzystać, nie wiadomo, jakie nas znowu bitwy i przygody czekają. Ale jakoś nieskoro mi tutaj na nocleg zostawać. Chodźmy do karczmy, zwijajmy bagaże, zabieramy Chyżona, przenocujemy gdzieś po drodze w lasach.

Przysiedli wokół Chyżona, rozpytując, jak mu zleciał czas. Wynudził się? Jak miał się nie wynudzić, siedząc tu od kilku godzin? Ale wiele ciekawych rzeczy posłyszał z rozmów toczonych przy sąsiednich ławach. Szczególnie przydatnym, bo otwarcie rozmownym, okazał się młody wojownik z niewielkiej wsi, odległej zaledwie o pół mili na południe od Czarnotina. Przysiadł się do Chyżona, wdali się w pogawędkę. Chyżon zamówił mu jadło i grzane piwo. Od słowa do słowa ostrożnie go

wypytywał. Lud się wzburzył namowami wysłanników z Radogoszczy. Gdy wybuchły zamieszki, podburzone gromady prostych wojowników po zaciętej walce opanowały gród. Nadeszli Lutyce, wojsko i kapłani. Zabarykadowany w siedzibie z garstką wiernych mu rycerzy Radzigast poddał się. Zmuszono ich do plucia i sikania na przywleczony z kościoła krzyż. Lutyce przyciągnęli z gaju Miklona i nakazali mu mieć baczenie na całość spraw w grodzie, po czym poszli dalej, w kierunku na Wagrię, zapowiadając, że będą wracać tą samą trasą. Dzień po ich odejściu z grodu uciekli rycerze Radzigasta wraz z rodzinami lub w rodzinne strony. Pozostał on sam i dwóch jego drużynników. Do tej pory relacja Chyżona potwierdzała to, czego dowiedzieli się od Radzigasta i kompanów.

– Drugiego dnia po odejściu Lutyków przywódcy zbuntowanej ludności, siedemnastu wojowników, otrzymali tajemnicze zaproszenie na ważną naradę. – Kończył relację Chyżon. – Do teraz wszyscy gubią się w domysłach, od kogo przyszło to zaproszenie, gdzie mieli się udać wojacy, nie wiadomo, nic nie wiadomo. Sami przywódcy zachowali całość w tajemnicy. Uzbroili się, dosiedli koni i podążyli w niewiadomym kierunku. Do dzisiaj nie powrócili. Zniknął po nich ślad. Całkowicie.

– Jak rzekłeś? – Gromosław uchwycił Chyżona za ramię. – Prości wojownicy? Przywódcy buntu? Zniknęli?

– Siedemnastu – potwierdził Chyżon.

– Pamiętacie, co ci trzej tam w siedzibie bredzili? – zwrócił się do pozostałych Gromosław.

– O wymordowaniu własnych poddanych. – Skinął głową Czambor.

– No, a gdy przysnąłem na chwilę... – Usiłował się tłumaczyć Chyżon.

– Przysnąłeś?! – zawołał z oburzeniem Czambor.

– Na chwilę! – bronił się Chyżon.

– Zostaw go w spokoju! – rzekł do Czambora Gromosław.

– Głowę złożyłem na skrzyżowanych na stole rękach. Przy ławie obok przysiadł karczmarz ze swoim pomocnikiem i wdali się w przyciszoną pogawędkę. Dosłyszałem strzępy rozmowy.

– I...? – zapytał Bernard.

– Rozprawiali o czymś groźnym, okrutnym. Jakiś mord na wojownikach, łodzie, jezioro, zatarcie śladów... O szaleństwie Radzigasta, Cedroga i Dunmara... O dochowaniu tajemnicy, o przygotowaniach do ucieczki.

– Ten tutejszy karczmarz, tak? – upewnił się Gromosław.

– Tak.

Wszyscy jak na komendę spojrzeli w kierunku szynkwasu. Stojący za nim karczmarz obcierał szmatą naczynia, rzucając przy tym czujne spojrzenia po gościach.

– Bierzemy karczmarza na przesłuchanie – szepnął Gromosław.

Wojomir podszedł do szynkwasu. Zapytał, czy mogą gdzieś złożyć bagaże na bezpieczne przechowanie, zapłacą, oczywiście. Karczmarz wzruszył obojętnie ramionami, oczywiście, z tyłu, naprzeciwko kuchni, ma kilka małych komórek, czemu nie. Wzięli bagaże i podążyli za nim. Tłocząc się w ciasnym korytarzu, czekali, aż karczmarz otworzy komórkę. Gdy mężczyzna uporał się wreszcie z zamkiem i uchylił drzwi, Czambor wepchnął go gwałtownie do środka, rzucił na ziemię i odwrócił na wznak. Randulf, skoczywszy nań, przysiadał, wyjął rodowy sztylet, rozerwał koszulę i przyłożył ostrze pośrodku klatki piersiowej. Drugą dłonią zatkał mu usta. Pozostali trzymali miotającego się karczmarza za ręce i nogi, a Chyżon zajął pozycję na korytarzu, przed wejściem do komórki.

– Odetkam ci usta, ale wydasz jeden odgłos i wbijam sztylet – zagroził Randulf. – Zrozumiałeś?

Karczmarz potwierdził ruchem głowy, na ile mu pozwalały skrępowania. Przerazenie widoczne w jego oczach mieszało się ze łzami. Randulf odetkał mu usta.

– Mów, co wiesz o mordzie na wojownikach – rozkazał Gromosław.

– Nie mamy czasu na przekomarzenie się. Wbiję ci sztylet w szczególne miejsce. – Nakłuł lekko punkt przystawienia ostrza. – Umrzesz, ale nie od razu, będziesz długo konał, w męczarniach. Chyba że natychmiast wyjawisz nam tajemnice przedziwnego zaginięcia wojowników. Wtedy darujemy ci życie. No jak?

– Powiem wszystko.

Randulf odłożył sztylet. Pozwolili mu usiąść na ziemi, otoczyli go. Opowiedział niemal jednym tchem. Radzigast przywołał go do siedziby. Wręczył worek pełen srebra i drobniejszych klejnotów, jakieś pierścienie. Duży worek, ciężki. Majątek. W zamian zażądał, by karczmarz przekazał przywódcom wojowników wiadomość: mają natychmiast podążyć konno wzdłuż brzegów jeziora we wschodnim kierunku. Nikomu ani słowa. Karczmarz razem z nimi. Mają jechać na bardzo ważne spotkanie z przedstawicielami Radogoszczy, należy powziąć rozstrzygnięcia dla przyszłości grodu i okolicznych wsi. Mniej więcej po siedmiu milach jazdy dotarli na miejsce. Nad brzegiem jeziora oczekiwali Radzigast, Cedrog i Dunmar. Siedzieli na pniu zwalonego drzewa, konie stały uwiązane pod lasem. Początkowe zamieszanie i zaskoczenie wojowników opadło, gdy stwierdzili, że rycerze są jedynie w trójkę, miecze mieli przy pasach. Pozsiadali więc z koni, przywitali się, co prawda z wielką nieufnością, ale i zaciekawieniem. Przemówił Radzigast. On i jego drużynnicy opuszczają Czarnotin, na zawsze. Proszą tylko ich, wojowników, by mądrze i sprawiedliwie zarządzali grodem. Przekazują im srebro. Cedrog otworzył wieko wielkiej skrzyni, błysnęły monety. Musieli tu się spotkać, dlatego że

skrzynia była zakopana w skrytce. Na koniec powinni wznieść toast, najlepszym winem z piwnic Radzigasta. Każdy wojownik otrzymał srebrny pucharek, Dunmar przechodził wokół kręgu, nalewając wina z glinianego dzbana. Wypili. To jeszcze jeden, zakrzyknął Radzigast, na pożegnanie. Dunmar rozlał resztkę wina do ich kielichów, sięgnął po nowy dzban i napełnił winem pucharki wojowników. Wypili, do dna. Karczmarz nie pił, tak uprzednio zostało ustalone, trzymał się na uboczu. Po chwili Radzigast i jego ludzie wskoczyli na pień, wyszarpnęli miecze, przyjąwszy wyczekujące pozycje. Wojownicy padali w konwulsjach na ziemię, konając w krótkich boleściach. Wszyscy, siedemnastu. Radzigast zatrzał wino w drugim dzbanie silną trucizną z ampułki, którą kiedyś przywiózł z Włoch. Z gąszczu krzaków wytaszczyli ukrytą łódź, posunęli ją do brzegu jeziora. Ładowali trupy obciążone kilkoma wielkimi kamieniami. Cztery razy musieli obracać, na środek jeziora i z powrotem. Ciała powrzucali na dno jeziora. Karczmarz spętał razem konie po wojownikach i popędził stado kilkanaście mil na południe, już na tereny innych plemion. Rozpuścił konie w pobliżu jakiejś wsi i powrócił do Czarnotina.

Radzigast, Cedrog i Dunmar dokonali zemsty. Zamknęli się w siedzibie i pogrążyli w pijatyce. Karczmarz dostarczał im jedzenie i trunki. Wartowników postawił przed bramą wejściową po to, by pilnowali, aby rycerze nie wyłazili na zewnątrz. Co on sam zamierza teraz zrobić? Ma wielki wór srebra i klejnotów, za dwa dni zamierza opuścić Czarnotin, podąży do miast nadmorskich. Tam otworzy jakiś interes. Do tego czasu trzech rycerze lepiej, by nie wyłazili na zewnątrz, nie wiadomo, co komu w pijackiej malignie rozpowiedzą. Oni i tak długo nie pożyją. Radzigast od miesięcy skarżył się na bóle po lewej stronie brzucha. Medyk, zanim uciekł przed tygodniem, zapowiedział, że to śmiertelna choroba. Dunmar od roku już kaszle intensywnie, plując krwią, wielokrotnie padał na ziemię, tracąc

przytomność. Nie, oni już długo nie pożyją. Do tego czasu on, karczmarz, chce być jak najdalej stąd. Na tym zakończył opowiadanie.

– Zważajcie. – Dobiegło ich ostrzeżenie Chyżona. – W karczmie ucichły odgłosy, jakby nagle wszystkich wymiotło.

Karczmarz, powstając z trudem na nogi, rzekł:

– A tak, zapomniałem wam powiedzieć, dzisiaj sądzą mnicha i radzą nad rodzajem kary śmierci.

– Jakiego mnicha? – Bernard nie krył zdumienia.

– W lasach chłopci go złapali przed dwoma dniami – wyjaśniał karczmarz. – Wybiedzony, wygłodniały, na padającej ze zmęczenia szkapinie błąkał się między drzewami. Złapali, przyprowadzili przed oblicze Miklona i żądają sądu i wyroku. Pewnie teraz wszyscy zebrali się na placu przed grodem.

– Gdzie więzicie tego mnicha? – spytał Czambor.

– W komórcie przy nadpalonym kościele, uwięzowanego do kraty, komórka bez drzwi i straży, ale po co straż? Gdzie ten biedaczyna ma uciec i jak uwolnić się ze sznurów? Dwa razy dziennie mój pomocnik zanosí mu posiłek. No a teraz przyszedł na niego koniec.

– Idziemy na plac – oświadczył zdecydowanie Gromosław.

– I tak niczemu nie możemy zapobiec – sprzeciwił się Randulf. – Sami przeciwko uzbrojonym tłumom.

– Wyrok ma wydać Miklon? – zwrócił się do karczmarza Bernard.

– Miklon przewodzi sądowi, on wyda wyrok i ustali rodzaj kary – odpowiedział karczmarz. – Ale musi się usłuchać woli zebranego ludu. Dlatego najpierw publiczny sąd.

– Idziemy mimo to – zdecydował Gromosław.

– A nie lepiej natychmiast stąd uciekać, jak najdalej? – zaproponował Randulf. – Od tego przeklętego miejsca i ludu?

– Chodź Randulf. – Czambor pociągnął przyjaciela za ramię. – Gromo ma rację, najpierw przyjrzymy się sądowi.

– Idę z wami! – zawołał Chyżon – Tym razem nie zmusicie mnie do pilnowania bagaży.

– Bagaże przypilnuje on. – Gromosław wskazał ręką na karczmarza. – W jego interesie, by nic nie zniknęło.

Przed grodem zebrali się chyba wszyscy mieszkańcy i przyjezdni z okolicznych osad i wsi. Tłum, wielu uzbrojonych. Na obrzeżu kręgu siedzący na przytасzczonej ławie Miklon. Naprzeciwko niego, w odległości niecałych dziesięciu kroków, stał mnich. W poszarpanym, zabrudzonym habicie, z narzuconym na plecy skórzanym kaftanem.

Wmieszali się w tłum, przepchali do przodu, do pierwszego szeregu gapiów zabranych wokół Miklona i mnicha. Dotarli bez trudności, nikt nie zamierzał zadzierać z grupą srodze uzbrojonych nieznajomych. Wrażenie robił zwłaszcza Czambor z prawicą odchylonej do tyłu ręki, na stylisku topora.

Otwarto sąd. Po obu stronach między Miklonem a mnichem zgromadziła się grupa kilku ludzi wybranych przez lud do roli oskarżycieli. Wśród nich dojrzeć można było grodowego kołodzieja, kowala, młynarza ze wsi na południe od grodu, handlarkę kozami i dowódcę prostych wojowników z podgrodzia.

– O co go oskarżacie? – rozpoczął Miklon.

Z grupy oskarżycieli wypchnięto na mówcę kowala, najwyraźniej ich przywódcę.

– O obrazę naszych bogów, zwyczajów, tradycji, wierzeń – wyliczał zarzuty kowal. – O znieważenie Prowe!

Tłum wznosił okrzyki.

– Jak sądzicie – pytał Miklon – co jest dla naszej pomyślności ważniejsze? Wymierzenie kary za obrazę naszych bogów saskiemu mnichowi biegającemu po naszych lasach czy uniknięcie zemsty Sasów? Z jednej strony nie możemy tolerować deptania naszej wiary, z drugiej: czy warto narazić się na wojenną ekspedycję okrutnej saskiej jazdy z powodu ukarania tego nieznacznego człowieka? – Wskazał przy tym dębową laską na mnicha. – Chcecie, by nieznający litości książę Bernhard wkroczył tu z zastępami żelaznej jazdy? Chcecie, by zrównał gród z ziemią, wymordował nas wszystkich i zniewolił?

– Prawo naszej ziemi i cześć bogom ważniejsze od strachu przed Sasami – sprzeciwił mu się młynarz. Tak nam rzekli przyjaciele z Radogoszczy, co tu gościli. I przyrzekli zbrojne wsparcie, gdyby Sasi poważyli się tu wkroczyć albo gdyby zausznicy Mścisława pomsty szukali.

Tłum wiwatował.

– Wyplenimy chrześcijaństwo! – zakrzyknęła handlarka.

Tłum, niemal w ekstazie, szalał z aprobaty.

Miklon uniósł rękę, by wrzawa opadła nieco, i zwrócił się do mnicha:

– Jak ci na imię? Rozumiesz naszą mowę?

– Enzicho – odparł mnich. – Nie jestem z Saksonii, przybyłem z Bawarii, z klasztoru w Augsburgu nad rzeką Lech. Przed podjęciem misji niesienia nauki Chrystusa nauczyłem się waszej mowy od Słowian w biskupstwie augsburskim.

Z tłumu poleciały okrzyki:

– Nikt cię tutaj nie zapraszał!

– Mamy własnych bogów!

– Zaprosił mnie wasz biskup ze Starigardu. – Mnich próbował się bronić. – A król Mścisław zapewnił opiekę i ochronę...

Wycie i okrzyki tłumu nie pozwoliły Miklonowi zabrać głosu. W końcu kapłan powstał i trzasnął dębową laską w ławę. Nie wiadomo, czy gwałtowne ruchy kapłana, czy też potężny huk wywołany uderzeniem wpłynął na zgromadzenie, ale wrzawa opadła, a wszyscy wpatrywali się wyczekująco w Miklona.

– Wygnaliście albo zabiliście rycerzy, namiestnika grodu wpędziliście w obłąd, nikt teraz tu nie rządzi! – krzyczał Miklon. – Nikt grodu nie broni, nikt na straży praw nie stoi, ale wam koniecznie pilno do zasądzenia i zgładzenia tego nieszczęśnika! – Wskazywał na mnicha. – To ja powinienem go oskarżać, a na moim miejscu powinien siedzieć namiestnik czy naczelnik, jak się zwał, tak się zwał, władający tym grodem. I on powinien wydać wyrok, a nie ja! W takim razie milczeć i nie czynić wrzawy, bo zerwę sądenie i wypuszczę go na wolność!

Miklon toczył wzrokiem po gawiedzi, oceniając skutek własnej tyrady. Poskutkowało.

– To teraz przytoczyć dowody – zażądał Miklon. – Nie wystarczy zarzucić obrazę bogów czy znieważanie Prowe, należy podać przykłady.

– Samo to wystarczy, że jest chrześcijaninem – odparł kowal. – Ich religia przeciwko naszym wierzeniom.

– A czy ty, kowalu – pytał Miklon – tak jak zresztą wszyscy tu zebrani, jeszcze do niedawna nie byłeś chrześcijaninem? Do czasu, aż przed kilkunastoma dniami nie zawitali w okolicę podróżnicy z Radogoszczy?

– Kapłani Radogoszczy otwarli nam oczy – rzekł kowal.

– To za mało – stwierdził Miklon. – Chcę przykładu na obrazę naszych bogów. Chcę przykładu, że imiennie obraził którąś z naszych bogiń lub boga.

Wtedy z tłumu wystąpił mężczyzna.

– Ja dam przykład! – rzekł. – Przybyłem tutaj z Borzowa w odwiedziny do krewnych. Ten mnich kręcił się przed niecałym miesiącem po mojej wsi i okolicy, wtedy towarzyszyło mu jeszcze dwóch innych. Pewnego dnia przystanął na głównym placu Borzowa i zaczął głośno prawić kazania. U nas w jednym kącie placu kościół chrześcijan, a w drugim końcu świątynia bogini Siwy. Nikomu to nie przeszkadzało, dozwolone i tolerowane było przez władców Borzowa, a tym samym przez króla Mścislawa. Ten mnich, wskazując ręką w kierunku świątyni Siwy, darł się na całe gardło, że nie ma innych bogów poza Bogiem chrześcijan. Tak krzyczał i cały czas machał ręką na świątynię, gdzie Siwa w pięknym posągu uwieczniona. I co, kapłanie? Czy nie obraził naszej bogini?

Miklon milczał, a zebrani czekali w napięciu.

Czambor pochylił się do ucha Gromosława, szepcząc:

– Teraz go skazą, niewątpliwie na śmierć. Co robimy?

– Nic nie robimy – wysyczał niemal bezgłośnie Gromosław.

Miklon przymknął oczy, złożył twarz w dłoniach i trwał tak przez dłuższy czas. Powstał z siedzenia, przeszedł się trzy kroki w kierunku skulonego ze strachu mnicha. Położył laskę na ziemi. Zrobił dwa kroki wzdłuż laski, jakby odmierzał jej długość, zawrócił. Podniósł laskę do góry na wysokość obu wyciągniętych do nieba rąk, przymknął oczy. Tłum milczał, ustały nawet szemrania. W końcu otworzył oczy i wpatrywał się intensywnie w błękit mroźnego, lutowego nieba.

– Prowe jest zagniewany – oświadczył uroczyście. – Mocno zagniewany. Najbardziej tym, że w Czarnotynie nieład zapanował, nie ma nadzoru nad prawem i porządkami. Również ten mnich wzburzył okrutnie Prowe. Dlatego postanawiam, co następuje: Nie opuście tego placu, dopóki nie wybieriecie spośród siebie naczelnika i rady wiecowej, którzy przywrócą ład i porządek. Co do mnicha, należy go ukarać. Problem w tym,

że niebo dnia nie zezwala mi na dokładne zrozumienie intencji Prowe co do rodzaju kary, to znaczy, jak zgładzimy bezczelnego mnicha. Muszę koniecznie dzisiejszej nocy udać się do gaju. Noc będzie gwiazdzista, a księżyc w najmniejszym skrojeniu, najbardziej dla mnie sprzyjająca okoliczność doznania objawienia Prowe.

Strażnicy szarpnęli mnicha z klęczek i pociągnęli go w kierunku grodu, Miklon podążył za nimi. Lud pozostał na placu. Gromosław z przyjaciółmi odczekali jeszcze chwilę i opuścili zebranie.

Upewniwszy się, że nikt ich nie podsłucha, Czambor stwierdził stanowczo:

– Uwalniamy mnicha, dzisiaj, zaraz po nadejściu nocy, i uciekamy z nim pod Racibórz.

– Przeczekamy w karczmie do wieczora, przygotować wszystko do drogi – przytaknął mu Gromosław.

* * *

Zapadał zmierzch. Chyżon i Randulf podprowadzili konie w kierunku studni, w połowie drogi między ruiną kościoła a bramą wyjazdową. Reszta podążyła uwolnić mnicha. Poruszali się gęsiego, Wojomir na przodzie oświetlał drogę niewielką świeczką w kaganku. Przeszli zniszczone wnętrze kościoła, pełne nadal unoszącej się wokół woni spalenizny. Na lewo od resztek ołtarza znajdowało się wejście w korytarzyk prowadzący do zakrystii. Ledwo się weń zagłębili, Wojomir zatrzymał się, odwrócił do Czambora idącego za nim i dał znak, by podał do tyłu pozostałym sygnał ostrzegawczy. Sam zaś położył kaganek na ziemi i przykrył z góry płaszczem, na tyle by nie zagasić świeczki, ale jednocześnie przytłumić bijące od niej wątle światło. Czekali w napięciu, trzymając ręce na rękojeściach mieczy. Po jakimś czasie Wojomir odchylił połę płaszcza,

podniósł kaganek i ruszyli dalej. Po drodze minęli niską niszę w ścianie, nie wiadomo, wnęka tylko, czy może jakaś odnoga korytarza. Doszli do opisanej komórki. Wojomir zawiesił kaganek na haku w ścianie.

Komórka była pusta. Na ziemi leżały zrzucone na kupę szaty mnicha. Habit, kaftan, koszula, spodnie, nawet buty. Obok ubrań zauważyli poprzerzynane części rzemieni, które krępowały mnicha, a gruby, przecięty u pętli sznur wił się podłogą do kraty w ścianie. Enzicho zniknął, wszystko przemawiało za tym, że został uwolniony i uciekł.

Wojomir zastygł w nasłuchiowaniu. Bez słowa machał ręką, by przestali się poruszać. Wyjął ostrożnie, bezgłośnie, miecz z pochwy i, stąpając niemal na palcach, zawrócił korytarzem do miniętej po drodze niszy. Sunęli rządkiem za nim, równie cicho jak on, z wyciągniętą bronią. Gromosław niósł zdjęty z haka kaganek. Wojomir wskoczył do niszy, posłyszeli szamotaninę, jęki. Po chwili z niszy wypadły rzucone na ziemię pod ich nogi dwie postacie. Za nimi wyskoczył Wojomir.

– Kryli się skuleni – rzekł.

Miklon i mnich Enzicho przebrany w miejscowe chłopskie ubranie wciąż leżeli na podłodze i patrzyli z przestachem na drużynę.

Gromosław przystawił Miklonowi miecz do szyi i rzucił krótkie:

– Wyjaśnij.

– Uwolniłem go i chciałem wyprowadzić z grodu, niby jako mojego pomocnika w drodze do gaju.

– Dla ubicia w ofierze dla Prowe? – pytał Czambor.

– Przestań! – rzekł do Czambora Wojomir. – Powiedział przecież, że go uwolnił.

– Po drodze Enzicho pognałby w swoim kierunku, a ja, zgodnie z tym, co zapowiedziałem na placu, spędziłbym noc w gaju.

Stali w skupieniu wokół leżących.

– W takim razie zrobimy to lepiej – orzekł Gromosław. – Ty udasz się teraz do twojego gaju – zwrócił się do Miklona – tak żeby cię wartownik na bramie zobaczył i zapamiętał. My zabierzemy Enzicho ze sobą. Opuścimy gród pół godziny po tobie, mnicha przebierzemy za jednego z naszych.

– Może zrobimy z Miklona bohatera? – zauważył Bernard. – Zwiążmy go w celi, gdzie siedział mnich, objmy nieco. Miejscowi pomyślą, że ich kapłan walczył ofiarnie z napastnikami, co przyszli uwolnić mnicha.

– Nie będziemy robić z Miklona bohatera – zaprzeczył stanowczo Gromosław.

– Uwolniłeś go, bo dość masz rozlewu krwi? – zapytał Miklona Wojomir.

– Bo Prowe by sobie tego nie życzył – odparł kapłan. – Nie jesteśmy w Radogoszczy, lecz w kraju Obodrytów.

Wrócili do Chyżona i Randulfa pilnujących koni. Longobardczyk oznajmił im, że niedawno kapłan Miklon przejechał na koniu w kierunku bramy i opuścił gród. Dopiero po chwili zauważył, że przyjaciele wrócili z kimś zakutym w kaftan z kapturem i zamilkł.

– Później wyjaśnienia – orzekł Gromosław. – Niesamowite rzeczy dzieją się w tym grodzie. Nic tu po nas, na koń i do Raciborza!

Rozbudzony wartownik nie omieszkał zamarudzić pod nosem sam do siebie, zanim otworzył bramę. Że ledwo przedtem kapłan wyciągnął go z leża, bo mu pilno po nocy do gaju, a teraz obcych nosi.

– Zaraz, zaraz, poczekaj. – Gromosław wręczył wartownikowi niewielką srebrną monetę. – Miklon udał się do gaju?

– Tak.

– Jesteś pewien?

– A z kim miałbym pomylić naszego kapłana?

Bernard odciągnął przyjaciół na bok.

– Przypadków nie ma. Miklon uwolnił mnicha z komórki. A teraz my wyprowadzimy mnicha z grodu.

– Pytanie tylko – szepnął Czambor – czy chciał go złożyć Prowe w ofierze, czy też faktycznie puścić wolno?

– Walnij ty łbem w mur – oznajmił Czamborowi Wojomir. – Prowe nie składa się żadnych ofiar, słyszałeś, to nie Radogoszcz z Swarozycem.

– Eh, Czambor... – Westchnął z udawanym rozczarowaniem Bernard.

Pognali szlakiem na północny zachód. Niebo usiane milionami skrzących gwiazd zezwalało na szybką jazdę. Enzicho podążał z nimi. Chyżon wskazywał drogę, jak się przedtem chwalił, zna te okolice.

* * *

Na przedpolu Raciborza zbierały się drużyny zbrojne. Rozległe pole na równinie między lasami było wystarczająco obszerne na zgromadzenie setek ludu. Na obrzeżach wielkiego kręgu wyznaczono cztery kwatery. W regularnych odstępach, na przeciwległych krańcach dwóch średnic przecinających się prostopadle. Cztery kwatery dla czterech drużyn towarzyszących przybyłym na wiec władcom. Król Mścislaw, książę Saksonii Bernhard, książę Wagrii Sederyk i książę Połabian właściwych Racibor. Pośrodku kręgu zakreślono niewielkie koło o średnicy dziesięciu kroków, na którego obrębie wyznaczono cztery stanowiska. Na każdym stanowisku stała ławeczka umieszczona na dwóch pniakach. Na nich zasiąść mieli do pertraktacji władcy, każdy w towarzystwie jednego doradcy.

W południe rozpoczął się wiec. Obok króla Mścislawa zasiadł Żelenta, obok księcia Bernharda – graf Lotar Udo ze Stade, obok księcia Sederyka – jego jedyny syn Grin, obok księcia Racibora – jego najstarszy syn Mścidrog.

Pierwszy przemówił Bernhard:

– Król Mściśław powraca do państwa zaniepokojony rozruchami i rebelią. Oszczędzę nam zbędnych wywodów i zadam tylko jedno pytanie: jakie jest wasze stanowisko? – zwrócił się do Sederyka i Racibora.

– Pytasz mocą jakiego prawa? – spytał Sederyk.

– Prosiłem, oszczędźcie mi gołosłownego lawirowania – podjął Bernhard. – Jestem przedstawicielem cesarstwa na całe północne Połabie. Co, zapomnieliście?! Zapomnieliście, że wszystkie wasze ziemie, od Wagrii po ujście Piany, określa się mianem Marchii Billungów! Billungów, mojego rodu! Prawnie należycie do cesarstwa, nieważne, czy władacie księstwami, czy królestwem, należycie do cesarstwa!

– Co to za zwierzchnictwo? – odparł lekceważąco Sederyk. – Gdzie twój cesarz, książę? Gdzie twoja saksońska armia? Patrząc na zebrane na okręgu drużyny i co widzę? Książę Bernhard przyprowadził trzydziestu rycerzy. Zaprawdę, wielki strach mnie ogarnia.

– Przybyłem jedynie z pocztą kurtuazyjną... – zaczął Bernhard.

– Bo na więcej cię nie stać. – Przerwał mu Racibor. – Myślisz, książę, że nie wiemy, jaka jest sytuacja w cesarstwie? Cesarz Henryk pokonany został przez polskiego księcia Bolesława, oddał mu połowę południowego Połabia, a teraz wdał się w konflikt z Bizancjum o południowe Włochy. Ty natomiast wpadłeś w niełaskę u cesarza, między innymi dlatego, że prowadzisz otwarty zatarg z saskimi biskupami. Henryk palcem nie ruszy, by ci pomóc, zabronił ci interweniować w nasz wewnętrzny konflikt, miłym mu upadek Mściśława. Czym ty nas straszysz?

– Stałaś po stronie antycesarskiej opozycji, a w Saksonii sam walczysz przeciwko wrogim ci kręgom możnych i duchowieństwa – wytknął Bernhardowi Sederyk. – Broń lepiej własnych granic, zamiast mieszać się w sprawy naszego kraju.

Bernhard milczał. Doskonale sobie zdawał sprawę z tego, że obaj słowiańscy władcy mówią prawdę. Prawdę, której nie mógł przeciwstawić żadnych kontrargumentów. Przeklęty Sederyk, puszy się arogancko, od kilkunastu dni najeżdża północno-wschodnią Saksonię, szczepy Nordalbingii do składania trybutów zmusza, jego własnych poddanych zniewala! A Racibor? Odmówił rocznego trybutu należnego cesarstwu, wstrzymał wszystkie dziesięciny przypisane biskupowi Starigardu, do własnego skarbcza je odprowadził... Nie ma czym ich nastraszyć, nie stać go na wyprawę wojenną, na ekspedycję karną. Skłóceni możni i duchowieństwo Saksonii odmówią mu lennego wsparcia, raz, że w opozycji wobec niego, dwa, że ich buntom sprzyja po cichu cesarz...

– Saksonia może wystawić w pole ponad trzy tysiące ciężkozbrojnej jazdy – rzekł pewnym głosem Bernhard. – Cesarz dodatkowych kilkanaście. Nie macie szans.

– I co z tego? Polski Bolesław dał wam radę – odparł buńczucznie Sederyk. – Mimo że słabszy od nas.

Na te słowa twarz Żelenty zaszła widoczną czerwienią wzburzenia.

– Macie króla, jemu winniście posłuszeństwo. – Próbował jeszcze argumentować Bernhard.

– Jakiego króla? – Zaśmiał się Sederyk. – Tego starucha bez korony? – Wskazał ręką na Mścislawa. – Mścislaw, gdzie twoja korona? – zapytał bezpośrednio króla Obodrytów siedzącego ze wzrokiem utkwionym we własne dłonie złożone na kolanach. – Gdzie twoja armia, twoja słynna jazda? Gdzie twój syn, Przybygniew?

– Odmawiacie posłuszeństwa zwierzchniemu władcy państwa Obodrytów? – spytał Bernhard.

– Odmawiam – oznajmił Racibor.

– Odmawiam – oznajmił Sederyk.

- Chcecie wojny? – Mścisław po raz pierwszy zabrał głos.
- Wojna – odparli jednocześnie Sederyk i Racibor.
- Masz dwa dni, Mścisławie, na opuszczenie moich ziem – oświadczył dumnie Racibor. – Wracaj do Saksonii albo próbuj szczęścia w twoich grodach centralnych.
- Sam przejmę władzę nad całym państwem – chełpił się Sederyk.
- Ty? – zapytał wyzywająco Racibor. – Pomarzyć możesz. Ja mam ośmiu synów i bitny lud...
- Mój jedyny syn rozprawi się z twoimi ośmioma w pojedynkę – odparł mu Sederyk.
- Taksowali się nawzajem wzrokiem z nieskrywaną wrogością.
- Czas Nakonidów się skończył – rzekł po namyśle Sederyk. – Nadszedł czas Wagrii i mojej dynastii.
- W pogaństwie się zanurzyłeś – zarzucił mu Bernhard. – Jedyne twoje dokonanie.
- I dlatego mam cały lud za sobą! – zawołał Sederyk. – Nie tylko możnych.
- A ty? – zwrócił się do Racibora Bernhard. – Też chrześcijaństwa się wypierasz.
- Zaraz „wypierasz”! – odparł Racibor. – Czy ja tak głupi jak Sederyk? Ale biskupa sprowadzę sobie z Magdeburga, po swoim będę wprowadzał porządk.
- Za co mnie tak nienawidzisz? – spytał Sederyka Mścisław.
- Za hańbę nieodkupioną, jaką Nakonidzi zadali mojemu rodowi – wyrzucił z siebie Sederyk. – Przed laty twój ojciec wspólnie z ojcem Bernharda odebrali honor i godność mojemu ojcu, Żeliborowi. W obliczu

całego świata i poddanych rzucili go na kolana, jarzmo niewolniczej zwierzchności narzucając, poniżyli na wieczność.

– Zostawiono twojej dynastii wszystkie przywileje. – Próbował oponować Mścisław.

– Ja sam ustalam teraz przywileje! – zaryczał niemal Sederyk.

– A ty? – zwrócił się do Racibora Mścisław. – Czego wam brakowało?

– Ot, chociażby uznania należnego mojemu rodowi – odparł Racibor. – Od zarania wchodzicie w koligacje dynastyczne wyłącznie z Niemcami albo Duńczykami, nigdy z rodami słowiańskimi...

– Moja siostra wyszła za księcia stodorańskiego z Hobolina... – Mścisław usiłował stłumić gniew.

– Przez pomyłkę! – wykrzyknął Racibor. – Nawet teraz obcymi się otaczasz. Zabrakło ci własnych doradców? Na co polski siepacz Bolesława u twojego boku? I po co Bernhard tutaj?

– Ja w imieniu cesarstwa – odrzekł Bernhard.

– Ale jak kontyngentów potrzeba na wojny, to wtedy wiedziałeś, gdzie nas szukać – dalej wypominał Mścisławowi Racibor. – Po co wysłaliśmy wojska Stodorowi na pomoc?

– Nie było przymusu – odparł Mścisław. – Każdy mógł pójść dobrowolnie.

– Po co nam było mieszać się w zawieruchę Stodora, wojnę domową w lutyckiej federacji? Prawie nikt żywy z tej wojny nie wrócił, za to Radogoszcz dyszy teraz zemstą.

– Właśnie – zawtórował Raciborowi Sederyk. – Szukasz pomocy coraz dalej, chcesz nas plemionami zza Odry nastraszyć?

– Bolesław cesarza pokonał – wtrącił Bernhard.

– Bolesław to królik! – krzyknął Sederyk.

– Jagnię strachem podszyte! – zawołał Racibor.

Żelenta zerwał się, zrobił krok do przodu i zakrzyknął tubalnym głosem:

– Obsrańcy! Bolesław jednym kłapięciem szczęki odgryzie wasze łby, jednocześnie, i zmielone w brzuchu mózgi wysra rzadkim gównem na gnojówkę, tam gdzieście się urodzili!

– Złamał obyczaj! – Sederyk miotał się, trzymany w żelaznym uścisku przez syna. – Doradca nie ma prawa zabierać głosu!

– Sikam na wasz wiec – odparł Żelenta. – Obu naraz na pojedynek wyzywam. Możecie mi zasłonić oczy przepaską i lewą rękę przewiązać na plecach.

Teraz również syn Racibora trzymał twardo wyrywającego się ojca za ramiona.

Mścisław powstał, skinął na Żelentę głową.

– Idziemy, nic tu po nas. – Przechodząc obok Bernharda, rzekł: – Uprzedzałem cię, książę, ten wiec to tylko farsa.

– Pamiętaj, Mścisławie! – krzyknął za nim Racibor. – Dwa dni!

W obozie Żelenta natknął się na Gromosława.

– Wypaliście się? – zapytał.

– Nareszcie – odparł zadowolony Gromosław. – Prawie całą noc od naszego wczorajszego powrotu przed północą aż do południa teraz. O! – wykrzyknął i wysunął do przodu rękę z rozczapierzonymi palcami dłoni. – Przestały się trząść ze zmęczenia. Teraz możemy znowu cały dzień w boju miecze ścisnąć.

– Pozbieraj swoich i przyjdźcie pod namiot Mścisława na rozmowę.

– A posiłek?

– Dostaniecie strawę.

Mścisław i Żelenta oczekiwali ich przed namiotem, siedząc na obozowych zydlach. Gromosław i przyjaciele przysiedli naprzeciwko. Wręczono im duże misy wypełnione parującą zupą i drewniane łychy. Rycerska strawa obozowa, oznajmił Żelenta, według obodryckiego przepisu.

Randulf lustrował uważnie zawartość michy. Kawały mięsa, kasza, ponętny zapach. Zakosztował, pokręcił z ukontentowaniem głową.

Mścisław, wpatrując się w Randulfa, zapytał:

– Księciem longobardzkim jesteś, słyszałem. W Benewencie? Zatem jesteś bratem Landulfa, który teraz tam włada.

– Jestem – odparł miło zaskoczony Randulf.

– Czyli twoim pradziadkiem jest legendarny Pandulf Żelazna Głowa? Pogromca Saracenów i Bizantyjczyków?

– Jest, znaczy był.

– Walczyłem kiedyś ramię w ramię obok twego wuja, tak jak twój brat imieniem Landulf, w zaciętej bitwie przeciwko Saracenom, na końcu południowych Włoch. Największej bitwie tamtych czasów... – Mścisław rozmarzył się na chwilę. – Eh, cóż to był za bój... Pamiętasz Żelenta? Ty, ja, między nami Landulf i cesarz Otto... Krew się lała, trup padał, a my walczyliśmy... Twój wuj zginął w tej bitwie, był jednym z najwaleczniejszych, tak jak wielu, wielu innych prześwieatnych rycerzy...

Randulf wpatrywał się w Mścisława niczym zaczarowany, z łychą zawieszoną nad miską. Zapomniał o zupie.

– Każde pokolenie ma swoich bohaterów, Mścisławie – zauważył Żelenta. – Ci młodzieńcy też już rzeczy niebywałych dokonali.

– Nie marzniesz u nas na północy, Randulfie? – spytał z lekkim uśmiechem Mścisław.

– Bywało już o wiele, wiele gorzej – odparł Randulf. – Miesiące na duńskiej wyspie w siarczystych mrozach. Nawet jak nasz Srogosz palucha duńskiemu zbójowi odrąbał, to żadna krew nie popłynęła, ranę od razu ścięło mrozem.

– Jaki wynik wiecu? – Gromosław zmienił temat.

– Zły. – Mścisław spoważniał. – Bardzo zły. Dla mnie, dla mojego państwa, dla tej krainy i ludzi... – Zaciął się, z głosu przebijała niechęć. – Żelenta, możesz im zrelacjonować?

– Państwo Obodrytów rozpadło się – podjął Żelenta. – Rozpadła się jedność scalająca poszczególne prowincje...

– Nie po raz pierwszy w naszej historii – skomentował Mścisław.

– ...Sederyk i Racibor wypowiedzieli oficjalnie posłuszeństwo zwierzchniej władzy króla Mścisława. Te dwa drapieżne wilki będą teraz nawzajem na siebie nastawać, a jednocześnie najeżdżać ziemię Obodrytów właściwych. Wrócili do pogaństwa, chociaż w przypadku Racibora nie jestem taki pewny, szuka dla siebie profitu w lawirowaniu między chrześcijaństwem a... no nieważne. Po drodze sami byliście świadkami, pod Łączynem, nawet krewny króla Mścisława, Gniew, zrzucił posłuszeństwo. Tak więc król pozostał sam. Bo nie wierzę, by w centralnych grodach Obodrytów sytuacja przedstawiała się lepiej. Braлиśmy wspólnie udział w bitwie pod Grabami, widzieliście, co dzieje się w tamtejszym grodzie. Państwo Obodrytów, złożone ze związku udzielnych prowincji i księstw, przestało praktycznie istnieć.

– A nasza misja? – nalegał Bernard. – Jeszcze aktualna, w tej sytuacji? Nie lepiej gdyby... – I tu zaciął się, szukając sformułowania. – ...Gdyby... no ten, władca Mścisław powrócił do Saksonii, a my szybko do Mechlina po te zakonnice, mniszki, czy jak one tam, no kobiety z klasztoru wyciągnąć?

Mścisław spojrział na Bernarda z rozbawieniem.

– Męczysz się, nie wiedząc, jak mnie tytułować, a obrazić nie chcesz? Słowo „król” nie przechodzi ci przez gardło? Nie przejmuj się, nazywaj mnie po imieniu, zresztą twoi przyjaciele tak samo.

Niespodziewanie Gromosław zapytał Mścisława:

– Nam już całkowicie w głowach się pomieszało. Jak przez ostatnie dwa lata ganialiśmy po Połabiu za włóczęgą naszego władcy, to wszędzie mawiano, że król Obodrytów Mściwoj wysłał syna Mścisława na pomoc Stodorowi. A teraz się okazuje, że Mściwoj już od dawna nie żyje, natomiast wy, władco, od dawna jesteście królem Obodrytów.

– Ludzie wiele rzeczy mieszają i głupoty dalej przekazują – odparł Mścisław.

– Towarzyszemy Mścisławowi do Zwierzyna – oświadczył Żelenta. – Zabierze rodzinę, skarbiec i wtedy dopiero powróci do Saksonii.

– Czyli żadnej mobilizacji rycerstwa w Mechlinie i Zwierzynie nie będzie? – pytał Gromosław. – Żadnego przeciwuderzenia na agresję Lutyków i zbuntowanych Obodrytów?

– Nie. – Mścisław zabrał ponownie głos. – Zwiadowcy i szpiedzy donieśli, że jedynie znikoma część arystokracji pozostała mi wierna. W Zwierzynie zbierze się może, w najlepszym razie, kilka setek wiernego mi wojska. To za mało. Na Zwierzyn maszeruje od południowego wschodu duża, kilkutyśięczna armia z Radogoszczy. Wokół Zwierzyna zbierają się zbuntowane, wrogie mi oddziały Obodrytów. Czas nagli. Muszę uratować rodzinę, zabezpieczyć skarbiec i dokumenty kancelarii, musi się odnaleźć mój syn, Przybygniew. Zanim nas zgniotą nieprzyjaciele.

– Gdzie jest twój syn, Przybygniew? – spytał go Bernard.

– Wysłałem go do Danii, po pomoc. I od tej pory żadnego znaku, nic.

– Dlaczego Dania ma wam pomóc? – Zdziwił się Czambor.

– Moja ciotka, Towe, była żoną króla duńskiego, Haralda Sinozębego. Przybygniew ożeniony jest z córką Haralda z innego małżeństwa zawartego po śmierci Towe. Mój wnuk, Gotszalk, siedemnastego roku właśnie dochodzący, zaręczony z siostrą królów duńskich, Kanuta i Haralda. Wystarczy?

– Ale Dania sama w kłopotach – podjął Żelenta. – Kanut w zacięte walki w Anglii o utrwalenie panowania nad wyspą uwikłany. Zaś Harald z niemal całym pozostałym wojskiem na Skanii w ciężkich bojach tłumiał powstanie tamtejszego chłopstwa wspieranego przez Szwedów. Powiedziałem „tłumił”, bo podobno Harald zmarł i jego szwagier zarządza państwem do czasu powrotu Kanuta. Nie stać ich teraz na pójście w odsiecz Mścisławowi. O ile znam Kanuta, jak tylko ustatkuje sytuację w Anglii, wkroczy tu z armią i zmieli wszelki opór. Ale nie teraz, nie natychmiast.

– To po co Przybygniew udał się do Danii? – Czambor usiłował więcej się wywiedzieć.

– Zebrać, co się da – odparł Mścisław. – U jarłów strzegących południowych wysp przed słowiańskimi napadami. Choćby flotę lendingową, kilkanaście okrętów z załogami, dotrzeć do miast nadmorskich naszego wybrzeża, wspomóc mnie w ratowaniu rodziny, majątku.

– Żadnej wieści od Przybygniewa albo o nim? – pytał dalej Czambor.

– Żadnej – rzekł Mścisław, nie kryjąc żalości w głosie. – I to mnie najbardziej niepokoi. Przybygniew jest następcą tronu, Gotszalk niestety jeszcze za młody, niedoświadczony.

– Mam szwagra na duńskich wyspach – oświadczył z dumą Czambor. – Halldórr, na wyspie Møn.

– Tyś Czambor, nieprawdaż? – spytał go Mścisław. – Ten słynny wielkolud z Gdańska? Poznać po twojej mowie, żeś znad Morza Słowiańskiego.

Czambor zrobił wielkie, zdziwione oczy. Opanował się, odkaszlnął i rzekł:

– U nas mówi się „znad Bałtyku”.

– Czamborze – rzekł Mścisław – my wszyscy znad morza z jednego pnia, uwierz mi.

– Bo tak po prawdzie... zdziwiło mnie, gdy usłyszałem, że twój krewny, królu, na imię ma Gniew – odparł Czambor. – Prawie tak jak mój najmłodszy brat.

– Kiedyś byliśmy jedną wielką rodziną – podjął wyjaśnienia Mścisław. – Od Wagrii po ujścia Wisły, gdzie twój Gdańsk. Kiedyś, znaczy dawno, dawno temu. Stąd i gwara, obyczaje i imiona podobne. Później nastąpiły podziały, na plemiona, księstwa i tak dalej. Ale o tym wszystkim zapisane w naszych księgach, przede wszystkim w *Kronice Obodrytów* i w *Spisie Dynastii*... A właśnie, co z moją kroniką, przywieźliście?

Wymieniali między sobą spojrzenia, popychali się nawzajem łokciami, w końcu Gromosław wystękał:

– Nie. Nieee... ale wiemy, gdzie jest, prawdopodobnie.

– Gdzie? – nalegał Mścisław.

– W Mechlinie, w klasztorze żeńskim przy kościele świętego Piotra. Twój kapelan oszukał cię, gdy uciekał przez Czarnotin, nie miał przy sobie żadnych dokumentów i ksiąg...

– Ten przechera! – zakrzyknął Mścisław. – Dlatego tak szybko pomknął do Lotaryngii!

– Nic nie znaleźliście? – dopytywał Żelenta. – Żadnych pism?

– Nic – odpowiedział szybko Randulf, uprzedzając pozostałych. – Nic, co należałoby do króla Obodrytów.

Żelenta nalegał na wyjaśnienia. Teraz dopiero zdali sprawozdanie z pobytu w Czarnotinie. Opowieść wprowadziła Mścisława i Żelentę w jeszcze

gorszy nastrój przygnębienia. Bezprawie, chaos, brak struktur zarządzania, zapijający się na śmierć rycerze, mordy, upadek. Nie dawało to nadziei, że w centralnych grodach obodryckich sytuacja mogłaby się lepiej przedstawiać. Mścisław pamiętał Miklona, spotkali się kilkakrotnie. Dobry człek, pogodny i dobroduszny, przyjazny, nikomu niewadzający, zawsze skory do pomocy, z księdzem w Czarnotynie zaprzyjaźniony, obaj nawzajem się szanowali...

– Do czego to doszło, żeby pogański kapłan więcej człowieczeństwa zachował od tej całej bandy fałszywych chrześcijan... – mamrotał do siebie Mścisław, ale na tyle głośno, że wszyscy wokół posłyszeli.

– Może na tym polega zrozumienie sensu naszego Połabia? – Wojomir po raz pierwszy zabrał głos.

Mścisław wpatrywał się w niego.

– Należysz do nich, do grupy Gromosława? – zapytał Wojomira Mścisław. – Żelenta opowiadał mi o Gromosławie, Bernardzie, Czamborze i Randulfie, ale ty? Kim jesteś?

– Połabianinem – odparł dumnie Wojomir. – Tak jak ty – zakończył, wypowiadając „ty” bez żadnej dozy grzeczności czy uznania.

– Masz imię? – dopytywał dalej Mścisław.

– Można go nazywać Człkiem i... – Zaczął mówić Randulf, ale szybko zamilkł, widząc poważne twarze przyjaciół.

– Jestem Wojomir, od Wkrzanów.

– Ten Wojomir? – zapytał po dłuższej chwili milczenia Mścisław, nie kryjąc zaskoczenia. – Ten Wojomir, o którym tyle prawiono przed laty, a później słuch o nim zaginął?

– Ten – odpowiedział za przyjaciela Bernard.

– Tyś pewnie Bernhard, lennik Bolesława i bratanek saskich margrabiów?

– Bernard – odparł zapytany. – Bez „h”, które mi Polacy w wymowie odebrali.

W krąg siedzących wstąpił książę Saksonii. Rozejrzał się i odezwał się pogodnie:

– Usłyszałem moje imię. Spiskujecie coś za moimi plecami?

– Przysiądź książę – Żelenta wskazał zapraszająco na wolne miejsce między nimi. – Mowa o naszym Bernardzie, bez h.

Bernhard przykucnął przy saganie, napełnił micę zupą i dosiadł się do nich. Po trzeciej łyżce rzekł:

– Smakowita. – Pochłonał jeszcze dwie łychy. – Znam cię, Bernardzie, znam. Jak jeszcze dzieckiem byłeś, widziałem cię na spotkaniach w Merseburgu i Magdeburgu... ale mów, jak ci się wiedzie u Polaków. Zadowolony ze służby u Bolesława?

– Lenno mam. Pokażne – odparł Bernard. – Nie uskarżam się.

– Skoro tak uważasz... i dobrze. – Bernhard zjadł zupę. – To co uradziliście?

– Idziemy do Zwierzyna, zgodnie z planem – oznajmił Mścisław. – A ty, książę?

– Jeszcze dzisiaj ruszam w drogę powrotną. Przydaję ci piętnastu z mojej świty, weterani.

– Nie obawiasz się z uszczuploną drużyną powracać? – spytał Mścisław.

– Nie, przyjacielu. Włos mi z głowy nie spadnie – odparł Bernhard. – Te psy mogą czekać i kły szczyrzyć niczym bestie przegrodzone siatką, ale nigdy nie poważą się na moją osobę. Wierz mi. Zresztą jak popędzę koni, to przed wieczorem przekroczę Łabę.

– Mimo to zabierz ze sobą cały oddział – oznajmił zdecydowanie Mścisław. – Na dotarcie do Zwierzyna wystarczy mi moja drużyna i jazda

przyprawiona przez Żelentę. Twojej pomocy będę potrzebował w drodze powrotnej. Czy masz już jakieś wieści od cesarza?

– Niedobre wieści, dla nas niepomyślne. Przed dniami przebywający u mnie na wygnaniu biskup Starigardu wysłał do cesarza bawiaącego w Nimwegen posłańców z pilną prośbą o pomoc wobec lutyckiego najazdu na Obodrytów i rozpętanej reakcji pogańskiej. Cesarz odmówił natychmiastowej pomocy, zasłaniając się powikłaniem stosunków niemiecko-burgundzkich i koniecznością koncentracji sił na granicy z Burgundią. Postanowił odłożyć zajęcie się sprawami obodryckimi do czasu zjazdu wielkanocnego, który w tym roku przypada na siódmego kwietnia. Dla nas, to znaczy dla ciebie, Mścislawie, oznacza to skazanie na polityczną zagładę, do początków kwietnia nie utrzymasz się w kraju.

– Muszę zapewnić ochronę rodzinie. Żonie, synowej i wnukowi – oświadczył dobitnie Mścislaw.

– Wiem – przyznał mu Bernhard. – Skazani jesteśmy na własne siły. Ja mam akurat mocno uwiązane ręce z opozycją w Saksonii. Arcybiskup Bremy, Unwan, oszańcował miasto i siedzibę, nie wpuszcza moich ludzi. Ale udało mi się przeciągnąć na moją stronę grafa Lotara Udo ze Stade. To ważny i cenny sojusznik, ród Lotara jednym z najmożniejszych i najpotężniejszych w Saksonii. Znasz Lotara dobrze, Mścislawie, jest przecież ojcem chrzestnym twojego syna i następcy tronu, Uto, którego wy nadal nazywacie Przybygniewem. Przybygniew wychował się na dworze Lotara, wespół z jego dwoma synami. Lotar zaprzysiągł, że zrobi wszystko, co w jego mocy, by wyciągnąć Przybygniewa z opresji, tym samym udzieli pomocy również tobie. Przed przyjazdem tutaj ogłosiłem w północnej Saksonii dodatkową mobilizację. Najpóźniej za kilka dni pod Bardowick powinna się zebrać mała armia, która wyruszy ci na pomoc. Około tysiąca przedniej saskiej jazdy ciężkozbrojnej, to pokaźna siła na panującą tutaj

sytuację. Poprowadzi ich właśnie Lotar osobiście, podążą pod Zwierzyn. To oznacza, że musisz utrzymać się w Zwierzynie do czasu nadejścia Lotara.

– Utrzymamy się – zapewnił go Mścisław. – Liczę na wsparcie przynajmniej części obodryckiego rycerstwa. Przecież niemożliwym jest, by wszyscy mnie porzucili!

– Wiesz, co z Przybygniewem? – zapytał Bernhard.

– Niestety, nie.

– Miejmy nadzieję, że dotrze do wybrzeża z duńską flotą. Na mnie czas. Zabieram ze sobą tego bawarskiego mnicha, którego przyprowadziliście z Czarnotina. Podsumujmy: Dzisiaj mamy szósty lutego. Lotar z jazdą dotrze do Łaby pod grodem Boizenburg około dziesiątego lutego. Od Łaby do Zwierzyna około osiemdziesięciu mil. To oznacza, że nasza odsiecz nadejdzie pod Zwierzyn dwunastego, najpóźniej trzynastego lutego. Do tego czasu musicie się utrzymać. – Bernhard powstał, pożegnał się ze wszystkimi i oddalił się do swojej drużyny.

Po odejściu Bernharda grupa Gromosława udała się do ustawionego dla nich przez Obodrytów pojemnego namiotu, Żelenta szedł wraz z nimi. Po drodze dyskutowali jeszcze o zasłyszanych wieściach, dzielili się wrażeniami. Żelenta przypomniał im na koniec o jutrzejszym wymarszu wczesnym świtem, po czym zniknął pośród namiotów swej drużyny. Do wieczora pozostało jeszcze nieco czasu. Rozpalili przed namiotem niewielkie ognisko, Chyżon poszedł oporządzić konie. Randulf zniknął na chwilę w namiocie, wyniósł jakiś pakunek owinięty w szmaty. Przysiadł do ogniska, rozwinął zawiniątko i pokazał oprawioną w skórę niewielką i niezbyt grubą księgę:

– Bo zapomniałem wam powiedzieć, że w siedzibie Radzigasta nieco pobuszowałem i znalazłem ten tomik.

– *Kronika Obodrytów?* – Zaciekawiał się Bernard.

– Nie, skąd, nic, co by należało do Mścislawa lub jego dworu – zaprzeczył Randulf. – Napisane przez kogoś pochodzącego z południa Niemiec, sądząc po żargonie łaciny. Tytuł to: *Opowieści z ziemi Słowian*, tak z grubsza tłumacząc. Kilkanaście opowiadań, dopiero zaczynam czytać.

– Stare? – Zainteresował się Gromosław.

– W krótkim wstępie, po zwyczajowym wychwaleniu Boga i Kościoła wymienieni są również władcy niemieccy, od Henryka Ptasznika do Ottona Drugiego i cesarzowej Theophanu. O Ottonie Trzecim jedynie, że objął samodzielne rządy. Sądząc po tym, autor skończył pisanie gdzieś najpóźniej w połowie lat dziewięćdziesiątych poprzedniego stulecia. Wstęp kończy zdanie, z którego wynika, że opowiadania dotyczą naszych Słowian na Połabiu.

– Ciekawe te opowiadania? – Teraz i Czambor okazał zainteresowanie.

– Zacząłem dopiero czytać pierwsze i przyznaję, że bardzo ciekawe. Jak się zagłębię, to będę wam przy nadarzających się okazjach streszczał.

– O moim Połabiu, tak? – odezwał się Wojomir. – Pisał kto?

– Mówiłem, najpewniej ktoś pochodzący z południa Niemiec.

Wojomir odmachnął lekceważąco ręką:

– Najpewniej kolejny klecha, obcy na dodatek.

– Niekoniecznie duchowny – sprzeciwił się Randulf. – Mógł to być ktoś taki jak ja, osoba świecka, szeroko wykształcona, znakomicie obeznana w literaturze, świetnie wyszkolona w pisaniu...

Wojomir lustrował Randulfa z otwartymi ustami i szeroko rozwartymi oczyma, udając głupawe zdziwienie. W końcu obaj się roześmiali.

Mechlin

Siódmy lutego, zima dopiero zaczynała dawać o sobie znać. Prószaący całą noc śnieg przykrył wszystko świeżym, białym całunem, jedynie wody rzek nadal falowały, pomimo że ścisnął coraz sroższy przymrozek. Chyżon zauważył, że Bałtyk już niedaleko, i o tej porze w taką zimę nadal zdalny do żeglugi. Pobudka, szybki posiłek i w drogę. Do przebycia mają niecałe pięćdziesiąt mil, zapowiedział Mścisław, szlakiem cały czas na wschód. Popołudniem na pewno dotrą w pobliże Zwierzyna, jeżeli po drodze nie zatrzymają ich nieprzewidziane okoliczności. W okolicach osady Krępowo, nad brzegiem niewielkiej rzeczki, zatrzymali się na postój. Jedyny i ostatni przed Zwierzynem, jak zapowiedział Mścisław.

Żelenta podjechał na koniu do Gromosława.

– Po postoju ruszacie bezpośrednio do Mechlina. Ty i twoja drużyna.

– Jaka drużyna? – Gromosław nie krył zaskoczenia. – Cała nasza polska jazda?

– Nie, miałem na myśli tylko waszą grupę, Chyżon was poprowadzi, zna przecież okolice. W Mechlinie odbierzecie zakonnice oraz żonę Mścisława i sprowadzicie je do Zwierzyna.

– Przecież Mścisław mówił, że jego żona już w Zwierzynie – zwrócił mu uwagę Gromosław.

– Pomylił się – odparł Żelenta. – Wczoraj w nocy przybył goniec pod Racibórz, informując, że żona Mścislawa nadal w Mechlinie, bo zaniemogła, jakąś chorobą trawiona, i nie była w stanie jechać do Zwierzyna z pierwszą falą rycerstwa.

– Jak rozkaz, to rozkaz. – Gromosław wzruszył ramionami i zawrócił poinformować przyjaciół o zmianie planu.

– Rozdzielimy się dopiero dwie mile za Krępowem – zawołał za nim Żelenta.

Gdy dojechali do wskazanej osady, wszystkich nieco zdziwiła pustka panująca w niej. Na niewysokim oszańcowaniu kilku prostych wojowników wiwatowało na ich widok, lecz w głębi osady nie zauważono prawie żadnego ruchu.

Pół mili za Krępowem zagadka nieco się wyjaśniła. W poprzek drogi rozstawiła się w bitewnym szyku piechota – trzy rzędy oblepione od przodu wielkimi tarczami. Piechota Redarów, około sześćdziesięciu wojowników, może nieco więcej. Mścisław wstrzymał jazdę, Żelenta i Gromosław podjechali do niego, by się naradzić.

– Schodzimy z koni i nacieramy? – spytał od razu Gromosław. – Czy omijamy ich i pędzimy dalej na Zwierzyn?

– Z koni schodzić? – Zdziwił się Mścisław. – Gdzieś ty się tego nauczył?

Ze zdumienia Gromosławowi zabrakło słów na odpowiedź. Zająknąwszy się, wystękał:

– Ale przecież, jazdą na potrójną ścianę tarcz?

– Pokażemy młodzieży obodrycką taktykę, Żelenta? – Mścisław zatańczył kółko na koniu. – My, stare dziady?

– Co wybierasz? – zapytał rzeczowo Żelenta.

– Jest nas nieco więcej od nich, tym lepiej – analizował Mścisław. – Wachlarz półksiężycy z rozchodzącymi się ramionami, formacja dwurzędowa w szachownicę, za nim uderzeniowy łeb tura.

Żelenta uśmiechnął się.

– Jak pod Rossano we Włoszech? – Przyjrzał się uważnie oddalonej piechocie Redarów. – Powinno zadziałać, tym bardziej, że nie widzę wśród nich łuczników. – Odwrócił się do oczekującego Gromosława i rzekł: – Objaśnię ci naprędce plan natarcia.

Jazda przyprohwadzona przez Żelentę ruszyła do ataku dwoma rzędami w formacji szachownicy. Trzydziestu jeźdźców w pierwszym rzędzie z Żelentą dowodzącym na lewym skrzydle. Za nimi drugi rząd, pozostałych trzydziestu, dowodzony przez Gromosława na prawym skrzydle, w odległości konia od pierwszego rzędu. Za nimi, w odległości dwudziestu koni, czekała cała czterdziestoosobowa jazda obodrycka z Mścisławem na czele, w zbitej, gęstej kupie. Niewidoczna dla przeciwników, ponieważ zasłonięta dwoma rzędami z przodu.

Formacja szachownicy nabierała tempa, ale nie przechodziła w najszybszy galop. Oddział Mścisława ruszył za nimi z pewnym odmierzonym opóźnieniem i od razu rozpędzał się do najszybszego galopu.

Na pół drogi przed falangą piechoty przeciwnika Żelenta i Gromosław, każdy na swoim skrzydle, rozpoczęli manewr. Zamiast bezpośrednio do przodu konie poczęły pędzić na ukos, pierwszy rząd na lewo, drugi na prawo, nadal nie tracąc odległości między jeźdźcami. Przypominało to rozwijające się na dwie strony płachty wachlarza. Oba boki zataczały półkola wokół skrzydeł piechoty. Nacierający poczęli miotać włóczniami. Szeregi Redarów zachwiały się w niepewności. Wszystko rozgrywało się zbyt szybko. Nadlatujące z boków włócznie, groźba, że oba skrzydła jazdy wypadną na ich tyły i otoczą piechotę, pierwsi wojownicy, którzy

nieopatrznie obracali się na wszystkie strony, zostali trafieni śmiertelnie pociskami. Zwarte ściany tarcz utraciły spójność. A wtedy, gdyż już oba rzędy jazdy rozchyliły się, spoza nich wypadła w pełnym pędzie zwarta jazda obodryckiego rycerstwa.

Obodrycy nie sięgnęli mieczy, każdy z nich nisko pochylony w siodle dzierżył w ręku na wysokości kolana wysuniętą do przodu włócznię. Nie pozostawiając Redarom czasu na podjęcie jakiegokolwiek manewru, masa żelaza wbiła się w rozprężone ściany tarcz niczym w łany zboża. Obodrycy dźgali włóczniami zdezorientowanych wojowników, siejąc śmierć pośród wrogów szybciej niż gdyby tracili czas na machanie mieczami z góry. Walka nie potrwała długo, zanim Żelenta i Gromosław zagięli i zawrócili dowodzone przez nich skrzydła w kierunku pola walki, było już praktycznie po bitwie. Kilku Redarów zdołało wyrwać się z kotła, szukali ratunku, biegnąc przez śnieg w różne strony. Bez trudu dognano ich konno i dobito. To była masakra, wybito całą wrogą piechotę. Polacy z oddziału Żelenty i Gromosława w osłupieniu przeglądali pole walki, przeważająca większość z nich po raz pierwszy miała okazję zobaczyć na własne oczy okrutną szarżę legendarnej obodryckiej jazdy ciężkozbrojnej.

Buchający parami potu Mścisław zdjął hełm i obcierał z twarzy plamy krwi. Podjechał do Żelenty i spytał:

– I co, było jak pod Rossano?

– Było – odparł Żelenta. – Z tą różnicą, że wtedy natarliśmy na trzy tysiące elitarniej muzułmańskiej piechoty z Medyny.

– Nie odmawiaj waleczności Redarom. – Obruszył się Mścisław. – Wzdłuż i wszerek Połabia nie znajdziesz lepszej od nich piechoty. – Zauważył stojących w pobliżu Czambora i Bernarda i zakrzyknął do nich: – A wy chcieliście jazdę spieszać, tak?

– Niesamowite – zdołał jedynie wycedzić Czambor. – Niczym walec i ta taktyka... Włócznie okazały się skuteczniejsze od mieczy!

– Gdyby Obodryci mieli państwo tak wielkie i ludne jak moja ojczyźniana Saksonia i dysponowali kilkunastoma tysiącami tej jazdy – powiedział do Czambora Bernard – to kto inny rządziłby w tej części Europy, kto inny...

Ruszyli dalej.

Droga rozwidliła się. Szeroki trakt prowadził prosto na wschód, o wiele węższy odbijał na północ. Mścisław zatrzymał jazdę.

– Tutaj nasze drogi się rozchodzą – zwrócił się do Gromosława. – Na dwa, trzy dni – dodał. – Pędźcie do Mechlina i sprowadźcie do Zwierzyna moją małżonkę, Gudrun, i zakonnice.

– To nie są zakonnice... – oponował Bernard.

– Córy możnych rodów – poprawił się Mścisław. I pognął wojsko dalej, w kierunku Zwierzyna.

Zostali sami na rozwidleniu, w szóstkę.

– No, Chyżon – zagadnął Czambor. – Wybiła twoja wielka chwila. Prowadź nas do Mechlina.

Po godzinie dotarli nad brzeg wielkiego jeziora po lewej stronie. Ciągnęło się wzdłuż drogi bez końca, z południa na północ. Po następnej półgodzinie dotarli do północnych brzegów akwenu, droga zwężała się tutaj, prowadząc teraz na północny wschód. Chyżon zakomunikował, że niebawem osiągną przedpoła Mechlina.

Obrzeża miasta ujrzeli z oddali. Mieszane fortyfikacje, w większości ziemno-drewniane wały, ale miejscami ułożone na podstawie z kamiennych bloków. Wysokie, z wieżami, sądząc po długości mieszczące wielki areal miejski. Obserwując z niewielkiego pagórka roztaczający się widok, nie mogli się nadziwić. Tak wielkie miasto? Tak silnie obwarowane? W głębi,

po wschodniej stronie, wznosił się wyższy od wałów kasztel i postawiona w obrębie miasta samotna wysoka wieża, do połowy zbudowana z polnych kamieni, zakończona dwiema kondygnacjami z drewna. Na pytania Chyżon jedynie wzruszał ramionami, przecież Mechlin to starodawny gród, stolica Obodrytów. Nie Zwierzyn? – zdziwił się Randulf. Zwierzyn to siedziba dynastii. Poza tym miejscowi nadal używają pradawnej nazwy *Wielki Gród*, a nazwa Mechlin utarła się dopiero od czasów, gdy na Połabie wkroczyli Frankowie, a po nich Sasi.

Miasto o kształcie wydłużonej elipsy rozłożone było na rozległej otwartej przestrzeni, otoczone wokół wałów fosą. Do bramy wiodła szeroka droga z mostem przerzuconym nad fosą. Od wschodu i południa do fosy dochodziły ciągnące się aż po krańce lasów trzęsawiska i bagna, prześwitujące widocznymi nawet z ich punktu obserwacyjnego miejscami niezamarzniętej wody. Na przedpolach od strony wolnej od mokradeł zalegały liczne namioty. Na wałach miasta powiewały pogańskie znaki na podłużnych sztandarach. Jedynie na kasztelu, oddzielonym od miasta własnym murem, tkwił krzyż.

– Spóźniliśmy się – stwierdził Gromosław. – Lutycy albo buntownicy zdobyli miasto. Klasztor żeński znajduje się na terenie miasta.

– Może uratowały się do kasztelu? – podsunął Bernard.

Chyżon odsapnął i rzucił mimochodem:

– Znam przejścia od strony bagien. Prosto do kasztelu.

Czambor klepnął go zamaszyście po plecach.

– Chyżon, no proszę!

Objechali od południa przedpola Mechlina, zataczając duże półkole, pod osłoną pagórków i lasów, byle jak najdalej od rozstawionych namiotów i poza zasięgiem widoczności z wysokości murów. Dotarli na obrzeża bagien, teraz dopiero czekała ich żmudna i niebezpieczna przeprawa.

Lawirowanie pomiędzy zdradzieckimi głębiami topieliska, niemożliwymi do rozpoznania gołym okiem, jako że wszystko przykrywała cienka warstwa śniegu i przemarzliny. Nie pozostawało nic innego, jak zdać się na Chyżona i jego znajomość terenu. Około dwustu kroków przed zamkiem trafili na szerszą suchą groblę usianą gęsto kamieniami i porośniętą po bokach wysokimi i gęstymi krzakami.

Z ukrycia wyszło kilkunastu zbrojnych z wystawionymi włóczyniami, między prostymi wojownikami prześwitywały broje rycerzy. Dotarli do placówki strzeżonej przez obrońców na kasztelu. Z gąszczów wyłaniało ich się coraz więcej. W sumie osiemnastu. Pilnowali jedynej dostępnej drogi przez bagna, umożliwiającej wyjście z oblężonej placówki.

Oblężonej? Trzy dni temu rebelianci obodryccy zaatakowali miasto i zabudowania podgrodzia. To tu nie ma Lutyków? Nie, wyłącznie Obodryci. Po całodniowej walce oddziały wierne Mścisławowi, w tym głównie możni i rycerstwo, zostały zmuszone do wycofania się na kasztel. Samego kasztelu zbuntowane masy nie zdobędą. Przynajmniej nie od razu. Nie mają na to środków technicznych, nie pokonają naturalnych przeszkód otaczających mury kasztelu. Jedynie głodem mogą zmusić obrońców do poddania się. I tu sytuacja przedstawia się niekorzystnie dla obrońców. Nie zdążono zgromadzić zapasów żywności i paszy dla koni. Właściwie to już teraz, po kilku dniach, brakuje jedzenia. Dlatego jutro opuszczą kasztel, możliwie po kryjomu, i udadzą się dzięki tej tutaj drodze poza mury, na wschodni obszar, a dalej na południe do Zwierzyna. Ilu ich jeszcze zostało? Niewielu, trzech przedstawicieli arystokracji, jeden książdz, czterdziestu trzech rycerzy z obodryckiej jazdy i trzydziestu dwóch prostych wojowników. A żona Mścisława? Wysłano ją już przedwczoraj, bo poczuła się lepiej, w eskorcie niewielkiego oddziałku do Zwierzyna. A co z zakonnkami i córkami możnych z klasztoru? Już dawno wysłane do

Wyszomira, skąd zabrały je duńskie okręty. Wszystkie kobiety? Chyba tak, czternaście zakonnice, trzy nowicjuszki i pięć młodych kobiet bez święceń, czyli te z możliwych rodzin. Ksieni zginęła zaraz na samym początku rozruchów, przebita na wylot oszczepem. Pięć? A nie osiem? Nie, pięć.

Po drodze do kasztelu Chyżon zapytał strażnika, czy port w Wyszomirze nadal dostępny dla uciekinierów.

– Już nie – odparł wojownik. – Przedwczoraj popołudniem nadpłynęła duża flota węgryjskich okrętów, zaatakowali i zniszczyli trzy duńskie jednostki i zablokowali port.

– Wyszomir w rękach buntowników? – dopytywał Chyżon.

– Niestety tak.

– A porty na wschód od Wyszomira, chyżańskie i czrezipieniańskie, słyszałeś coś?

– Najważniejsze z nich: Roztocze, Barta i czrezipieniańska Wołogoszcz, odparły z powodzeniem ataki Lutyków. Pod Wołogoszczą podobno nadal oblężenie. Natomiast czy ich porty są wolne, czy też zablokowane przez buntowników, tak jak Wyszomir, to nie wiem.

Rozmawiając i słuchając wyjaśnień strażnika, dotarli do wejścia na kasztel.

Oporządzili konie. Rozglądali się po rozgardiaszu panującym na dziedzińcu. Trwały przygotowania do jutrzejszego wymarszu.

– Wiem, wiem, patrzycie na mnie, czekacie – Gromosław zareagował na ich spojrzenia. – Chcecie powiedzieć, że zawsze wyrywam się do dowodzenia, a przecież nie zawsze...

– Masz plan czy nie? – zapytał Czambor.

– Co nam pozostało? – odparł Gromosław. – Przenocujemy na kasztelu, a jutro wyruszymy z wszystkimi do Zwierzyna. Co tu dużo planować. Chyba że chcecie już teraz w drogę?

– Strażnik wspominał o pięciu córkach możliwych rodów, brakuje trzech – zauważył Czambor.

– Strażnik nie musi wszystkiego wiedzieć – konkludował Bernard. – Może prędzej uciekły? Może zginęły w rozruchach? A teraz buntownicy się nimi zabawiają w namiotach.

– Przenocujemy na kasztelu – zdecydował Gromosław.

Halę audiencyjną zamieniono na tymczasową karczmę. Zapytany ksiądz wyjaśnił, że dzisiejszego wieczora zasiądą wszyscy do ostatniego posiłku, zjedzą i wypiją wszystko, co mają w zapasach. Po co oszczędzać? Jutro i tak ruszają w drogę, do Zwierzyna niecałe dwadzieścia sześć mil, no powiedzmy trzydzieści, bo będą musieli nieco drogi nadrobić dla omińnięcia nieprzyjacielskich stanowisk.

Rozgościli się przy samotnym stole w kącie pomieszczenia, popijali, podjadali, przyglądając się panującej wokół krzątaninie i przygotowaniom. Gdy w hali pojawił się ponownie ksiądz, Gromosław poprosił go, by przysiadł do nich na chwilę.

– Mieliśmy tu uratować osiem panien z możliwych rodów przebywających w klasztorze – rozpoczął Gromosław.

– Uratowane przecież, wszystkie kobiety z klasztoru zdołano przetransportować do Wyszomira, gdzie wsiadły na duński okręt.

– Ale z tych panien tylko pięć poszło do Wyszomira – nalegał Gromosław. – Tak nam przedstawił strażnik przy przejściu na bagnach.

– Nie wiem... – Ksiądz się zastanawiał. – Zginęła tylko jedna z mieszkanek klasztoru, biedna ksieni...

Gromosław rozłożył bezradnie ręce.

– Masz, wielebny ojczy, może listę z imionami? – zapytał Randulf.

– W dokumentach spakowanych do podróży powinna być...

– Poświęć mi, proszę, parę chwil twojego cennego czasu, pójdźmy razem rzucić okiem na tę listę – poprosił Randulf.

– Przygotowań jeszcze tyle... – Ksiądz rozglądał się, będąc myślami przy ważniejszych sprawach.

– Moi przyjaciele pomogą ci w pakowaniu, ale pokaż mi ten dokument. – Randulf nie ustępował.

Ksiądz zgodził się, powstał i opuścił halę w towarzystwie Randulfa.

Longobardczyk powrócił po godzinie z triumfującą miną.

– Mam! – Przysiadł do stołu, rozglądając się z zadowoleniem po twarzach przyjaciół. Oni najwyraźniej nie podzielali jego entuzjazmu. Dopiero co skończyli pomagać pakować bagaże księdza. Niezrażony Randulf położył na stole skrawek pergaminu i powiedział:

– Zrobiłem odpis. Imiona ośmiu panien, które mieliśmy uratować. – Popukał kilkakrotnie palcem po pergaminie.

– Wiele to nam teraz nie pomoże. – Bernard zagłębił się w treść listy. – Mamy przywieźć Bolesławowi pergamin? Wylewnie nas za to pochwali, z wdzięcznością.

Randulf zastanawiał się chwilę i rzekł:

– Przecież ksiądz wskazał nam rycerza, który czuwał nad ewakuacją klasztoru. Chodźmy go przepytac, zauważyłem go przy stole po drugiej stronie hali, przynajmniej dowiemy się na podstawie listy, których panien brakuje.

Zgodzili się. Obsiedli rzeczonoego rycerza wokół, prosząc grzecznie innych o ustąpienie miejsca. Gromosław przeszedł bez ogródek do tematu:

– Dopilnowałeś ewakuacji klasztoru?

– Taaak. – Na twarzy rycerza malowała się niepewność i zdziwienie z domieszką strachu. – Odprowadziłem cały tabor do Wyszomira.

– Znałeś trochę te panny z klasztoru, co nie były mniszkami? – dopytywał Randulf.

Rycerz zerwał się niczym do ucieczki, lecz Czambor uchwycił go za ramiona silnym uściskiem, wgniatając na powrót w ławę.

– Nie szarp się, bo ręce w płuca wgniotę.

– Dlaczego się miotasz? – Obruszył się Gromosław. – Uczyniłeś coś niecnego?

Wystraszony rycerz wystękał:

– Wy z rodzin tych panien?

– Nie – odparł Randulf. – Żaden z nas.

Rycerz odetchnął. Głęboko, z ulgą.

– Puść mnie – rzekł do Czambora. – Wszystko wam powiem, po dobroci.

Czambor rozluźnił uścisk, ale nadal trzymał lewą dłoń opartą o ramię rycerza, tyle że już swobodnie.

– Te panny... – rozpoczął rycerz. – Z najlepszych rodów możnowładczych, a bardzo swawolnie sobie poczynają w mieście. Po wyszynkach czas spędzały, wszystkim wokół w głowach zawracały...

– Mniszki...? – Zdziwił się Czambor.

– Jakie tam mniszki! – Obruszył się rycerz. – Trzymano je w klasztorze do czasu znalezienia odpowiednich małżonków, taki już zwyczaj, wszędzie przecież. Pobierały nauki w pisaniu, czytaniu, zarządzaniu siedzibą na czas, gdy mąż na wojnach, i takie tam różne rzeczy. Nie miały prawie żadnych ograniczeń i po zajęciach robiły, co chciały z wolnym czasem.

– Teraz się domyślam. – Przerwał mu Bernard. – Wdałeś się w romans z jedną z nich... Przyznaj.

– A wdałem – odparł rycerz. – Na moje nieszczęście, bo mi w głowie całkowicie zawróciła, a po dwóch tygodniach znudziła się mną. I teraz wystraszyłem się nie na żarty, że wy może z rodziny...

– To już wyjaśniliśmy – poganiał go Bernard. – Opowiadaj dalej.

– Dlatego na noc zamykano je w wieży – kontynuował rycerz. – Tej, która stoi za klasztorem. Ksieni twierdziła, że dla ich własnego bezpieczeństwa. Kiedyś kapelani Nakona, Mściwoja i Mściśława trzymali w dolnej partii wieży ich prywatne zbiory ksiąg i innych pergaminów. Dla panien uszykowano górne piętra, zlikwidowano połączenie z parterem i piwnicznymi lochami. Dlatego wieża nie ma normalnej bramy wejściowej, tylko niewielkie drzwi na wysokości, gdzie kończy się kamienna część. Wchodzi i wychodzi się po spuszczonej i zwijanej drabince ze sznurów i drewnianych klepek. Natomiast do parteru wieży, tam gdzie skrytki kapelanów były, prowadzi podziemny korytarz z terenu zabudowań klasztoru. Przed obrysem wieży korytarz blokuje masywna krata zamykana na klucz.

– Skąd ty znasz te wszystkie szczegóły? – spytał Gromosław.

– Bo do moich obowiązków należało pilnowanie porządku wokół wieży i zwracanie uwagi na bezpieczeństwo tych panienek. Niejednokrotnie też zachodziłem do pomieszczeń na parterze, miałem nawet klucz do kraty w korytarzu, zrobiliśmy tam sobie składzik na różne przedmioty, bo tam miejsca sporo, jedynie na regałach księgi zakurzone się walają i parę koszy z rulonami pergaminów...

– I ty masz ten klucz? – Randulf nie krył podniecenia. – Tam, gdzie te księgi?

– Nie mam...

– Dawaj ten klucz – zażądał Longobardczyk.

– Na co wam? – Rycerz spoglądał na nich ze zdziwieniem zmieszonym z podejrzliwością. – Przecież miasto zajęte przez zbuntowane masy, klasztor na terenie miasta, doszczętnie splądrowany i zniszczony, nikt z nas nie przedostanie się tam żywy. A w składziku i tak nic cennego nie pozostało.

– Klucz! – krzyknął groźnym tonem Randulf. – Albo Czambor pogładzi cię po karku.

– Nie mam klucza, dajcie mi spokój. – Rycerz zebrał się jednak na odwagę pomimo bliskości Czambora i nie krył poirytowania. – Naznosiło do Mechlina obcokrajowców, dziwaków przeróżnych... Każdy myśli, że najważniejszy...

– Srebro ukoi twoje wzburzenie? – powiedział Bernard, nie kryjąc ironii, i położył przed rycerzem trzy monety.

– Nie mam klucza, zgubiłem w zamieszaniu. Zresztą krata pewnie już zniszczona i buntownicy wszystko splądrowali.

– Powróćmy do spokojnej rozmowy – podjął po chwili Bernard. – Co z tą wieżą? Dostać do środka można się tylko podziemnym korytarzem, tym przegrodzonym kratą, do której mamy teraz klucz, lub drabiną, której nie ma, w górę do małych drzwiczek znajdujących się w połowie wysokości wieży. Dobrze zrozumiałem?

– Tak, dokładnie tak – odpowiedział rycerz.

– Teraz wiesz już wszystko? – rzekł do Randulfa Bernard.

– Czego? Odczep się, Benno – obruszył się Randulf. – Tam są księgi.

– A ja już prawie byłem przekonany, drogi Randulfie – rzekł słodkim głosem Bernard. – Że ty te nieznane panny ratować chciałeś... i listę skopiowałeś...

Randulf uderzył się otwartą dłonią po czole i wykrzyknął do rycerza:

– Skoro je pilnowałeś, czy dbałeś o bezpieczeństwo, nieważne teraz, to przecież musisz znać imiona! Tu. – Podsunął mu pergamin. – Przypatrz się, które z nich nie poszły z innymi do Wyszomira.

– Nie umiem czytać ani pisać.

– Nieważne. – Randulf przysunął listę w swoją stronę, wyjął sztylet. – Czytam ci kolejno imiona, potwierdzaj, jeżeli widziałeś w transporcie, wykreślę ostrzem.

Po odczytaniu na liście pozostały trzy imiona nieprzekreślone sztyletem Randulfa: Fryderuna, Suanhilda i Adelajda. Kolejno: siostrzenica margrabiego miśnieńskiego Hermana, córka namiestnika Łużyc Zygryda i bratanica biskupa Miśni – jak uzupełnił rycerz, gdy mu Randulf odczytał imiona.

– Te dwie, Fryderuna i Adelajda, jakieś dziwne – zakończył rycerz. – Zawsze trzymają się razem, na nasze zaloty wyśmiewały się jedynie, ale na uczyty często zachodziły i trunkami się raczyły.

– A może te trzy kobiety zostały w wieży? – zauważył Wojomir. – Do tego dążysz, Randulf? Błąkają ci się po głowie i księgi, i kobiety?

– Może Randulf ma rację? – sprzeciwił mu się Czambor.

– Przecież ja jeszcze nic nie zasugerowałem – oznajmił Randulf.

– Nie mogą być w wieży – wtrącił się rycerz. – Bo przecież widziałem wszystkie mieszkanki, i z klasztoru, i z wieży, jak kręciły się na dziedzińcu przy załadowanych wozach.

– A widziałeś je również, gdy doprowadziłeś transport do Wyszomira? – spytał Gromosław.

– Na to nie zwracałem uwagi – przyznał rycerz po zastanowieniu. – Nie było na to czasu, wszędzie chaos, pośpiech, panika. Rozładowywanie wozów, przechodzenie ludzi na pokłady okrętów, Duńczycy poganiali,

przeklinając nas wszystkich, bo im doniesiono obecność obcych okrętów. Nie wiem.

– Opowiedz jeszcze raz, po kolei, co działo się w klasztorze, zanim uciekliście – poprosił Gromosław.

Rycerz, uspokojony, że nic mu z ich strony nie grozi, opowiedział. W rozgardiaszu i zamęcie walk w mieście, przystąpiono do ewakuacji klasztoru. Ksieni kierowała pakowaniem dobytku, oni zaś bronili dostępu do zabudowań. W którymś momencie buntownicy przełamali w kilku miejscach linię obrony, wdarli się na teren klasztorny. Ksieni zginęła od oszczepu, walczone w chaotycznych pojedynkach w różnych miejscach. Oddział buntowników przedarł się do wirydarza, klasztornego ogródka otoczonego krążankiem zdobionym arkadami. Pośrodku niego stała chrzcielnica – półokrągła, wysoka po brodę dorosłego człowieka. Rozbiegli się w poszukiwaniu łupów. Część z nich oplątała chrzcielnicę linami, chcąc ją stoczyć z cokołu. Udało im się, chrzcielnica potoczyła się z grzmiotem po ziemi, roztrzaskała arkadową kolumnienkę na obrzeżu krążanka i walnęła pełnym rozpędem w kratę zagrządzającą dostęp do wspomnianego korytarzyka. Tam utknęła w powyginanych prętach. Na ten czas obrońcy otrzymali wsparcie z kasztelu, wyparli tymczasowo napastników z klasztoru. W panice i bezładzie kończono ewakuację, zanim buntownicy ruszą do ponownego natarcia. To wszystko.

Gromosław podziękował mu. Przyjaciele powrócili do własnego stołu.

– Rozwiążte te panny z zamożnych rodów – zauważył Bernard.

– Dlaczego? – Obruszył się Wojomir. – Według naszych, starych słowiańskich obyczajów, dziewczyna, dopóki nie zostanie wydana za mąż, sama sobie wybiera chłopaka do miłowania i sama decyduje, kiedy pójdzie z nim do łoża.

– A co na to mąż? Że nie jest dziewicą? – spytał otwarcie Bernard. – A poza tym te panny to w większości żadne Słowianki.

– Pochwali ją. W przeciwnym razie wyśmiej ją – wyjaśniał Wojomir. – I zarzuci jej, że jeżeli nikt jej dotąd nie chciał, to coś się nie zgadza.

Później udali się na spoczynek do wspólnej izby na piętrze wskazanej im przez księdza.

Po krótkim czasie większość chrapała już w swych posłaniach, tylko Randulf stał przy oknie na korytarzu, wpatrzony w majaczącą na terenie miasta wieżę. Powrócił do izby, zapalił niewielką świeczkę w kaganku i podszedł do łoża Czambora. Pochylił się nad nim ostrożnie. Gdańszczanin nie chrapał, ale z bliska Randulf dosłyszał ciche słowa:

– Fala ogromniasta i ciemna nadciągnęła, a zjawa na okręcie...

Randulf wpatrywał się w twarz mamroczącego z zamkniętymi oczyma przyjaciela. Bajki mu się śnią chyba, jak małemu dziecku, pomyślał z rozbawieniem. Położył prawą dłoń na ustach Czambora, ten przez chwilę sapał nosem, aż wąsiska z obu stron dłoni Randulfa do góry podniosło, otworzył oczy. Randulf natychmiast przystawił jak najbliżej kaganek, oświetlając swą twarz, odetkał Czamborowi usta i, przyłożywszy palec do swych ust, zasyczał jak najciszej:

– Ciii... ciii... chodź za mną.

Na korytarzu oznajmił Czamborowi, że ma zamiar udać się do miasta, do wieży, bo ma jakieś przedziwne przeczucia, a poza tym te księgi, które podobno tam ukryte, nie dają mu spokoju. Jak trzeba będzie, to pójdzie sam.

– Ty obłudniku – wyrzucił mu Czambor. – Przecież wiesz, że idę z tobą, po co byś mnie rozbudzał?

– Obudź jeszcze Chyżona – rzekł Randulf. – Ktoś musi stać na murze kasztelu przy bramie, żeby za nas poświadczyć, bo nas nie wpuszczą

z powrotem, gdy będziemy wracać.

– Za kogo się podamy? – spytał Czambor.

– Za kapłanów jakiegoś bóstwa z dalekich stron – odparł Randulf. – Najlepiej z plemion pomorskich, daleko na wschodzie za Odrą, twoja gwara do tutejszej podobna, będziesz przed nimi się wymądrzał. Ja jestem twoim pomocnikiem.

– Dadzą się oszukać? – zastanawiał się Czambor.

– W mieście sama dzicz się rozlazła – zawyrokował Randulf. – Mordują, rabują, gwałcą, chleją, świętują zwycięstwo.

– Nie tylko dzicz – sprzeciwił się Czambor. – Słyszałeś, wielu szlachetnie urodzonych do nich się przyłączyło, a i wśród mieszkańców wielu ze światem obeznanych.

– Dasz radę, Czambor – oznajmił Randulf. – Pasujesz idealnie na srogię, groźnego kapłana z tajemniczych, nieznanymi terenów.

– U nas wszyscy śpią – rzekł Czambor, spoglądając przez okno w kierunku rozświetlonego blaskiem ognisk miasta. – A tam świętują.

– Jutro, najpewniej po południu, gdy się wyśpią, przystąpią do szturmów na kasztel – rozważał Randulf. – Na pusty kasztel – dodał. – Ewakuacja zgodnie z planem z samego rana.

– Czyli mamy niecałą noc na wykonanie twojego szalonego pomysłu – rzekł Czambor.

Nie mieli trudności z wejściem do miasta. W ogólnym rozprężeniu, pijatyce i ucztowaniu nikt specjalnie nie zwracał na nich uwagi. Lawirując wokół licznych ognisk między domostwami, dotarli do zabudowań klasztoru. W środku, kapituła i refektarz wypełniała masa wojowników zajętych biesiadowaniem. Dopiero przechodząc przez oratorium, wzbudzili zainteresowanie grupy wojowników zajętych przeglądaniem zebranych na kupę łupów. Sądząc z uzbrojenia, dwóch z nich było rycerzami.

- Coście za jedni? – zapytano ich. – Czego tu szukacie?
- Kapłan – odparł poważnym, spokojnym głosem Czambor.
- Kapłan czego?
- Bóstwa z dalekich stron, na wschód od Odry wzdłuż morza.
- Z Wolina?
- O wiele dalej.

Jeden z rycerzy zbliżył się do Czambora, taksując go uważnie wzrokiem.

– I aż tutaj zaszliście? Po co? Mamy swoich kapłanów, a niedawno byli tu pobratymcy z Radogoszczy.

– Usłyszeliśmy o zrywaniu wśród Obodrytów więzów chrześcijaństwa, a że akurat przebywaliśmy na Rugii, więc szybko podążyliśmy tutaj.

W międzyczasie podszedł do nich jeden z wojowników.

– Przyrzeczenie przed naszym bogiem złożyłem, aby najwyższego kręgu wtajemniczenia dostąpić – oświadczył Czambor. – Że zniszczę dziewięć przeklętych naczyń, tyle co głów Skrętobrodego, w których chrześcijanie lud nasz wodą obmywają dla wyparcia się wiary naszych przodków. Tym toporem. – Czambor wskazał na zwisający mu na plecach wielki skandynawski topór. – Już trzy roztrzaskałem. Mam nadzieję znaleźć u was następne misy zła. To mój pomocnik – Wskazał na Randulfa.

– Jak zwie się wasz bóg? – zapytał rycerz.

– Skrętobrody – objaśniał Czambor. – Władca fal morskich, stwórca śledzi i opiekun sztormu.

– Skrętobrody? Brzmi okrutnie...

– Ma dziewięć głów osadzonych na ogromnym posągu wyciosanym z pradawnego dębu. – Głos Czambora nabrał głębokiej, przesiąkniętej

namaszczeniem tonacji. – Każda głowa z długą, bujną brodą, wszystkie brody wkoło posągu nawzajem splątane, jakby wichrem morskim skręcone.

– Jest naczynie chrześcijan, którego szukacie. Chrzcielnica – wtrącił wojownik. – Wielka, kamienna, stoczyliśmy ją niedawno z podestu i utknęła na ścianie z kratą, ale nawet nie pękła. Toporem nie roztrzaskasz.

– Spróbuję – odparł Czambor.

– On też kapłan, czy pomocnik? – zapytał wojownik.

– Mówiłem przecież, zwykły adept. – Czambor machnął lekceważąco ręką. – Przygłupi, rozum na zjawiska widoczne jeszcze przymknięty, dopiero wprowadzam go w pierwsze arkana.

– W naszym kraju było osiemnaście okręgów kościelnych – objaśniał rycerz. – Teraz je zniszczyliśmy, ale masz duże szanse na odnalezienie pozostałych chrzcielnic.

Wskazali im drogę na lewo od oratorium, w kierunku krużganka, i stracili dla nich zainteresowanie, powróciwszy do doglądania nagromadzonego dobra.

– Przygłupi? – rzekł z wyrzutem Randulf, gdy znaleźli się sami.

– Dałeś mi wolną rękę – wytłumaczył się Czambor.

– A mawiają, że uczeń nieraz prześcignie mistrza – wymruczał sam do siebie Randulf.

Doszli do krużganka. Chrzcielnica, zaprawdę wielka, przywalona dodatkowo pękniętymi kolumnienkami i resztkami drewnianych obić, wbiła się bokiem w ścianę, za którą powinna znajdować się krata i korytarz. U spodu uszkodzonego okratowania znajdował się niewielki otwór. Randulf przyklęknął, zajrzał.

– Nic nie widać, za ciemno, nie przecisniemy się.

– Co teraz? – Czambor rozglądał się wokół czujnie.

- Dźwignia.
- Dźwignia? – spytał zdziwiony gdańszczanin.
- Pomóż – rzucił niemal rozkazująco Randulf.

Przytargali wspólnie masywną belkę opadłą z okapu arkady krużganka. Koniec belki oparli o kant kamiennego gzymsu i wsunęli pod kolumnienkę z lewej strony otworu, po czym wspólnie całym ciężarem ciał natarli na jej drugi koniec. Kolumnienka uniosła się z wolna. Randulf zostawił poczerwieniałego z wysiłku Czambora na końcu belki, doskoczył do leżącej nieopodal złamanej na pół ławy i wsunął ją w powstałą lukę. Czambor przestał naciskać i kolumnienka oparła się na podsuniętej ławie. Otwór sięgał teraz bioder Randulfa. Ten przykucnął, wcisnął się do środka.

– Czambor! – zawołał z czeluści. – Krata zepchnięta ciężarem chrzcielnicy na ścianę, korytarz otwarty! Zapal jedno z łuczyw i wciskaj się za mną.

Korytarz był wąski, o kamiennym, wygiętym łukowato sklepieniu. Po dwudziestu krokach opadał stosunkowo spadziście w dół, musieli zważać, by się nie poślizgnąć. Następne siedemdziesiąt kroków po prostej, na końcu strome podejście w górę, ostatnie piętnaście kroków ponownie po prostej. Stanęli przed drewnianymi drzwiami pokrytymi mozaiką fantastycznych wzorów. Drzwi na szczęście nie miały zamknięcia. Za nimi pokonali jeszcze krótki przedsionek i weszli do obszernego pomieszczenia. Znajdowali się w piwnicach wieży, a może w jej przyziemnej kondygnacji. Brak okien czy jakichkolwiek szpar uniemożliwiał orientację.

W kilku miejscach tkwiły przymocowane do ściany w żelaznych koszach żagwie. Rozpalili wszystkie.

- I to ma być biblioteka? – rzucił z wielkim rozczarowaniem Randulf.

Na regale przy ścianie po przeciwnej stronie leżało zaledwie kilka ksiąg, oprócz tego kilkanaście zwiniętych pergaminowych rulonów. Obok

stał niewielki stół i krzesło, a na stole jedynie pusty kaganek. Żadnych przyborów do pisania.

Podeszli do regału.

– Zakurzone – zauważył Czambor.

– Ale nie od starości. – Randulf przeciągnął palcem po skórzanej oprawie. – Kurz zawsze się zbiera. – Łapczywie podniósł okładkę pierwszej książki. Mamrotał coś bezgłośnie, czytając. W końcu odezwał się: – Czamborze, mój najukochańszy, najwspanialszy, najserdeczniejszy przyjacielu wszystkich czasów, wiesz, co znaleźliśmy?

Czambor wzruszył ramionami, próbując spoza pleców Randulfa zerknąć na otwartą stronę.

– *Kronika Obodrytów*. – Randulf sprawdził drugą i trzecią księgę. – Część druga i trzecia, dopiero napoczęta.

– A te inne? – Czambor zajrzał w cieńszą od pozostałych książkę. – Nie mogę odczytać. Litery jakoś fantazyjnie wymalowane, zlewają się od ozdobiń.

Randulf spojrzał i przeczytał na głos:

– *Lista dynastyczna władców*.

– A ta? – Czambor wskazał na ostatnią. Sam otworzył. Oczy mu się rozszerzyły ze zdumienia. – Randulf, co to za pismo?

– Ach, pewnie greckie. Pokaż. – Zajrzał. – Nieee... – Przewrócił kilka kartek, coraz bardziej zaintrygowany. – Nie wiem. – Obracał książkę na wszystkie strony.

– Co robisz? – Zdziwił się Czambor. – Tak się nie czyta.

– Właśnie że nieraz tak się czyta – odburknął Randulf. – Są ludy i nacje, co z dołu do góry czytają, z prawa na lewo, ha! Księgi rabinów albo dzieła arabskie... ale... nic nie rozpoznaję. Nic – powiedział z rezygnacją w głosie. – Nie wiem. Do żadnego znanego mi pisma niepodobne.

Czambor tymczasem rozwinął jeden z rulonów.

– *Diecezje i okręgi biskupstwa na kraj Obodrytów.* – Zajrzał w kolejny. – *Wysokość i rodzaj dziesięciny, eee... kościelne.* – Odłożył rulony, zaczął rozglądać się po pomieszczeniu. Po prawej stronie od drzwi zauważył umocowane w ścianie szczelble. Podszedł. Szczelble prowadziły do góry, w wylot czegoś, jakby komina. Podświetlił żagwią, wysoko na końcu widoczna była chyba jakaś kłapa, trzeba by wspiąć się do góry, sprawdzić.

– Randulf, tutaj jest wąski szyb prowadzący na górę. Sprawdzimy? Może te trzy panny...

Przyjaciel zajęty pakowaniem książek i rulonów do worka zastygł w bezruchu.

– Przecież te panny! Zapomnieliśmy... Wspinaj się Czambor.

– U góry chyba jest kłapa, pewnie zamknięta.

– Skąd wiesz, że zamknięta?

– Bo inaczej to te kobiety nie siedziałyby u góry, jeżeli założymy, że tam były lub są.

– Wspinaj się powoli do góry po szczelblach, ja podświetlam ci drogę od dołu.

Pokonawszy parę szczelbli, Czambor zauważył w niewielkiej niszy wystający hebel. Pociągnął. Kłapa u góry opadła na dół na zawiasach, czyniąc wiele hałasu. Po chwili przez kwadratowy otwór coś zleciało na dół. Duży żelazny świecznik o kilku ramionach. Jedno z ramion spadającego świecznika zahaczyło o nogę Czambora. Gdańszczanin krzyknął z bólu, świecznik spadł z hukiem obok wystraszonego Randulfa. Jedna z długich białych świec wpadła mu w ręce. Zatańczył oszalałe płasy, myśląc w pierwszej chwili, że biała żmija oplata mu dłoń.

* * *

Suanhilda z przerażenia opuściła tobolek na ziemię, wpatrując się w ostrze oszczepu wychodzące z piersi stojącej przed nią o dwa kroki ksieni. Trafiona kobieta opadła na kolana, następnie na bok, z twarzą zastygłą w śmiertelnym bólu. Nie żyła. Obok głowy Suanhildy przeleciała z brzęczącym świstem strzała, zagłębiając się w otwartych ustach wojownika stojącego dziesięć kroków przed nią. Dwóch rycerzy minęło ją z prawej i lewej strony, biegnąc w kierunku otwartej na dziedziniec bramy. Pod bramą trwała zażarta walka. Wyparto napastników na zewnątrz, zatrzaśnięto wrota, u góry na grani murku zebrali się łucznicy, strzelając zapamiętale w skłębionych za bramą wojowników. Po chwili napięcie opadło, gromady buntowników poszły plądrować gdzie indziej. Jeden z rycerzy, chyba dowodzący, jak sądziła Suanhilda, pokrzykiwał, że niebezpieczeństwo zażegane jedynie czasowo, mają się spieszyć z pakowaniem, za pół godziny wyjazd drugą bramą. Zdziwiona zapytała go, o co chodzi, jaki wyjazd? Jak to, nie powiedzieli jej? Ewakuacja wszystkich z klasztoru! Za pół godziny ruszają na Wyszomir. Przecież ogłoszono przy śniadaniu! Panny świeckie jadały w oddzielnej salce, z dała od hali zakonnicy i reszty mieszkańców klasztoru, w zamieszaniu zapomniano je poinformować. Suanhilda rzekła mu, że musi natychmiast do wieży, by zabrać niezbędne rzeczy. Niech się spieszy! Zawołał za nią: Pół godziny!

U podnóża wieży pociągnęła za hebel, drabinka opadła, szybko wspięła się do góry, pobiegła do komnaty. Torba, kilka drobiazgów. Rozglądnęła się za książką, najważniejsza książka! Jest, na łożu przy poduszce, wrzuciła do worka, chyba wszystko. Nie! Przecież nie zostawi Bruma. Wybiegła z workiem do auli:

– Brum! Bruuum!

Kot siedział na obrębie powały ponad niszą, w której mieli latrynę. Wpatrywał się w nią wielkimi oczyma i mruczał. Podeszła, przystawiła zydelek, weszła nań, wspięła się na palce stóp. Nie sięgnie. Uparte kocisko. Przystanęła jedną nogą na występie deski latryny, uchwyciła się haka wbitego w belkę, przestawiła drugą nogę, teraz jest już wyżej. Sięgnęła ponownie lewą ręką w kierunku kota. W tym momencie obślizgnęła jej się stopa, straciła na moment równowagę, usiłowała panicznie czegoś się uchwycić. Nieświadomie stąpnęła drugą stopą w dziurę latryny, ręce obsunęły się po drewnie ścian. Zakrzyknęła i wpadła do latryny. Głowa zniknęła już całkowicie w otworze. Raptem stopy trafiły na jakieś oparcie, coś widocznie wystawało z dech obudowy. Jednocześnie ręce intuicyjnie uchwyciły się obrębu dziury. Drżała ze strachu, myśli kołatały jej się w głowie. Nie spadła, ale utrzymanie się nogami na występie i kurczowe zaciśnięcie dłoni wyprostowanych do góry rąk na śliskiej powierzchni obrębu dziury kosztowało ją wiele wysiłku. Spróbowała się podciągnąć, nic z tego. Spojrzała ze strachem w dół, pod siebie. Pod nią wysokość czterech kondygnacji wieży. Latryna, obita deskami przybudówka, przyczepiona była do ściany wieży. Wszystko, co w niej wydalano, lądowało w dole w wodach niewielkiej rzeczki łączącej dwa jeziora. Zginę, jeżeli spadnę, pomyślała i zaczęła krzyczeć na pomoc.

Fryderuna otworzyła jedno oko. Dochodzące z zewnątrz wrzaski, harmider i hałasy rozsadzały wewnątrz jej głowy, oczy pulsowały bólem. Jezuuu..., docierało do jej świadomości, przecież to dzisiaj ta ewakuacja.... Spojrzenie zatrzymało się na stojącym obok łoża gąsiorze. Prawie pusty. Wypiły przez noc plotkowania niemal całe wino. Spróbowała unieść głowę, lecz zaraz spuściła twarz na poduchę, za bardzo huczy pod czaszką. Odsapnęła, odwróciła się nieco w lewo. Adelajda spała w najlepsze, lekko pochrapując. Nagle Fryderuna posłyszała krzyk dolatujący gdzieś z pobliza,

niepasujący do zamętu dochodzącego spoza wieży. Ktoś wołał o pomoc, kobiecym głosem. Podniosła się, usiadła na brzegu łoża. Szarpnęła za ramię Adelajdę.

– Wstawaj, wiédźmo! – Podeszła chwiejnie do misy z wodą, zanurzyła twarz w wodzie, rozczochrała włosy. Tak, dobrze słyszała.

– Ratuunkuuu! – Głos dolatywał z drugiej strony auli, tam gdzie latryna. Przecież to Suanhilda wykrzykuje, dotarło do Fryderuny. Adelajda podniosła już lekko głowę, wpatrując się w nią mętnym wzrokiem.

– No wstawaj! – krzyknęła na nią Fryderuna. – Suanhilda woła o pomoc!

Dotarły do latryny w ostatniej chwili, Suanhilda przestała już krzyczeć, z palcami niemal wczepionymi w drewno. Chwyciły ją obie za ręce i wyciągnęły z dziury latryny. Leżały we trójkę na podłodze, ciężko dysząc.

– Wpadłaś do latryny? – spytała Adelajda.

– Goniałam za Brumem – odparła Suanhilda. – I poślizgnęłam się.

– Co tam się dzieje na zewnątrz? – Zdziwiła się Fryderuna.

– Rewolta w Mechlinie, lud opętało, wszędzie w mieście walki, mieliśmy uciec z konwojem do Wyszomira – relacjonowała Suanhilda. – Teraz już za późno, pół godziny dawno minęło.

– Masz szczęście, że nie dojrzeli z dołu twojego cudnego tyłeczka zwisającego z latryny. – Adelajda roześmiała się. – Obsiedliby więzę niczym mrówki padłego żubra.

– Zapomnieli o nas? – Zaniepokoiła się Fryderuna.

– Tam na dole krew się leje, chaos, walki – stwierdziła Suanhilda. – W zamieszaniu zapomnieli nas ponaglić, bo siedziałyśmy w małej jadalni.

– A co ty tu robisz? – spytała Fryderuna. – Skoro byłaś w jadalni?

– Wróciłam po książkę i po kota – wyjaśniła Suanhilda. – Ale dlaczego was nie było w jadalni?

– No, dlaczego? – zwróciła się do Adelajdy Fryderuna. – Moja droga, tym razem gąsior wina nas zgubił.

Adelajda podeszła do szczeliny w ścianie. Na każdym piętrze budowniczy wpasowali w ściany wąskie na grubość dłoni, wysokie otwory zamiast okien.

– Siedzimy w matni – relacjonowała. – Za horyzontem znikają wozy i eskorta.

Przeszła na drugą stronę auli i zbliżyła się ostrożnie do okienka. Były tak skonstruowane, że z dołu nie można było ich dojrzeć.

– Pod wieżą przy mostku zbiera się grupa wojowników – oznajmiła Adelajda. – Jedenastu. Pokazują sobie nawzajem wieżę. Niedobrze. Chyba planują tu się wdrzeć.

– Jak się wdrą? – spytała Fryderuna. – Mają długie drabiny?

– Drabinka sznurowa nadal zwisa. – Przypomniała sobie Suanhilda. – Zapomniałam ją wciągnąć. – Zerwała się w kierunku drzwi na zewnątrz.

– Zostaw. – Powstrzymała ją Adelajda. – Dwóch uchwyciło już za szczeble. Fryderuna! Na ostatnie piętro, tam w komórce leży stos starych włóczni, oszczepów i innej broni. Będziemy się bronić! Ty zostań tutaj, obserwuj przez szczelinę – rozkazała Suanhildzie.

Zniknęły obie na krętych schodkach prowadzących na wyższe kondygnacje. Suanhilda spojrzała przez szczelinę. Wojownicy stali pod sznurową drabinką i naradzali się. Zaczęła się intensywnie zastanawiać i rozglądać wokół. Zaświtała jej pewna myśl. Podbiegła do stołu, porwała tasak do mięsa i gruby nóż. Ponownie zerknęła na dół. Pierwszy wojownik wspinał się ostrożnie po rozchwianych jego ciężarem szczeblach. Suanhilda poczęła walić tasakiem po napiętej, splecionej z wielu sznurów linie

trzymającej drabinę i przywiązanej do przymocowanego pod drzwiami masywnego kołka. Nacięła już pierwsze sploty liny. Z zewnątrz doleciały pokrzykiwania. Pewnie zachęcali tego, co się wspinał. Objęła trzon tasaka obiema rękoma i trzaskała z całych sił po linie. Jeszcze kilka splotów. Ostatnie uderzenie, lina pękła. Prawem naprężenia porwała ze sobą poprzeczną belkę pod drzwiami, wywaliła drzwi z zawiasów, wszystko poleciało na dół. Spocona od wysiłku Suanhilda zerknęła w szczelinę. Na dole leżał rozłożony na brzuchu wojownik oplątany sznurami i szczeblami drabinki, nieco dalej wały się szczątki drzwi. Inni podbiegli do leżącego, coś pokrzykiwali, wskazywali w górę. Któryś wyciągnął miecz i wbił w plecy leżącemu. Suanhildą wzdrygnęło. Pewnie dobił śmiertelnie rannego, przeleciało jej przez głowę, Jezu, zabiłam człowieka.

Wyjrzała ponownie. Zbierali się na przerzuconym przez rzeczkę mostku. Wąski i niedługi, może na osiem kroków kamienny mostek, wygięty był w łuk. Kilku pobiegło w stronę zabudowań. Dosłyszała, że chcą przynieść drabiny. Gdzie Adelajda i Fryderuna, pomyślała panicznie, co teraz? Nie ważyła się na wołanie w kierunku piętra, gdzie obie zniknęły w poszukiwaniu broni. Nie chciała się zdradzić. Jak dotąd nic nie wskazywało na to, żeby wojownicy odkryli ich obecność w wieży. Inaczej już dawno by oszaleli z wściekłości. Pewnie chcą tu się wkraść i nagrabić dóbr, rozglądała się wokół, intensywnie skupiając myśli, jak ich powstrzymać?

Na zewnątrz, kilka kroków od mostku, stał oparty o wieżę potężny posąg z kamienia, wysokością sięgający drugiego piętra wieży. Świeżo obciosana figura świętego Wita. Niedokończona o tyle, że kamieniarze mieli ją osadzić na grubym kamiennym bolcu wmurowanym w cokół. Do tego czasu posąg chwiał się niebezpiecznie na wszystkie strony, stąd przymocowano go trzema linami do okiennych szczelin.

Suanhilda, nadal bezwiednie dzierżąc tasak w ręku, gorączkowo usiłowała skupić myśli. Wyrzała jeszcze raz przez szczelinę. Ośmiu wojowników skupiło się na mostku, czekali na tych z drabinami. Sikali do rzeczki. Trzy podtrzymujące liny, zaczęły od zewnętrznej, najbardziej na lewo, pomyślała, stając przed szczelinami na lewo od pozbawionego drzwi wejścia. Przecięła tasakiem pierwszą linę, zaraz po tym drugą. Posąg odchylił się lekko od ściany wieży, w kierunku mostku. Przecięła trzecią, ostatnią linę. Uchwyciła za opartą o ścianę dechę, wysunęła przez szczelinę i poczęła napierać na głowę posągu. Nie da rady, za słaba jest. Po schodach schodziły Fryderuna i Adelajda, każda u kilkoma starymi oszczepami. Fryderuna dzierżyła dodatkowo starą tarczę z nadgniłą na obrzeżach skórą.

– Pomóżcie, szybko – odezwała się przyciszonym głosem Suanhilda.

Doskoczyły do niej i napały na dechę w trójkę. Posąg przechylił się do przodu, ukosem na prawo, przez sekundę jakby się zatrzymał, po czym runął prosto na mostek. Huknęło potężnie, w powietrze wzbily się pyły i kurz. Po mostku nie został żaden ślad oprócz podstaw po obu stronach. Po wojownikach również ślad zaginął. Zabiła ich bryła posągu albo potonęli w rzece. Fryderuna chciała podejść do otworu po drzwiach.

– Zostań! – zawołała stojąca przy szczelinie Suanhilda. – Zaraz wrócą pozostali, poszli po drabiny.

Nikt jednak więcej się nie pojawił. Widocznie tych pozostałych zatrzymały w mieście bardziej interesujące wydarzenia.

Na tę chwilę były uratowane.

Suanhilda siedziała pod ścianą, obejmując ściśnięte kolana rękoma. Adelajda przysiadła obok, objęła ją za ramię i przytuliła.

– Nie rozpaczaj. To byli zbóje, gdyby tu weszli, pogwałciliby nas, a potem rozerwali na strzępy. Albo jeszcze gorzej.

– Mimo wszystko to byli ludzie.

– Święty Wit ich zabił – podsumowała Fryderuna.

Naradziły się, co czynić dalej. Najważniejsze, jak uciec z wieży, teraz, kiedy nie ma drabinki. A może uda im się podważyć klapę w auli, która zamyka zejście do parteru, zauważyła Fryderuna. Ciężko, próbowały wspólnie, klapa ani drgnęła, zaryglowana od spodu. Zniosły wszystkie noże i poczęły mozolnie ryć drewno w obrysach klapy. Może ją naruszają, poluźnią.

Tak przeminęły trzy dni i dwie noce. Zaczynało brakować im żywności i wody w cysternie.

Adelajda wpadła na pewien pomysł. Powiążą pościele i dostępne szmaty, spuszczą się po drugiej stronie wieży, przez otwór w latrynie. Zasiadły wieczorem w auli nad stertami. Raptem klapa opadła z hukiem. Suanhilda instynktownie porwała za świecznik i rzuciła nim w czelusć. Usłyszały okrzyki i przekleństwa. Fryderuna i Adelajda przystanąły naokoło otworu z oszczepami w rękach, mierząc ostrzami w dół.

– Na pomoc przyszliśmy! – Doleciało z dołu.

Dziewczyny spoglądały po sobie czujnie. Adelajda położyła palec na ustach.

– Rycerze z Polski! – zakrzyknął Czambor.

– Ja nie! – zaprotestował Randulf.

– Wystaw głowę! – zdecydowała Fryderuna. – Powoli!

Z otworu wyłoniła się głowa zaciekawionego, ale jednocześnie wystraszonego Czambora. Przyglądali się przez chwilę sobie nawzajem.

– Czambor jestem. Czambor z Gdańska. Na dole Randulf, z Włoch.

Zostały uratowane.

Randulf wspiął się również na górę. Suanhilda w tym czasie, siedząc na podłodze, grzebała w tobołku i porządkowała spakowane rzeczy. Do piersi przytulała niewielką książkę, zastanawiając się, czy zdoła jeszcze odnaleźć

kota. Naprzeciwko niej przysiadł zaciekawiony książką Randulf. Wyciągnął już rękę, chcąc zapytać o tytuł, spojrzał na nią przelotnie i... zamarł, wpatrzony w nią. Długie, brązowe, miejscami jaśniejsze włosy okalały przepiękną, pełną kobiecej urody twarz. I te oczy. Duże, ciemnozielone... Randulf przyklęknął mimowolnie, nie odrywając od niej wzroku, usta poruszyły mu się bezgłośnie, sprawiał wrażenie, jakby przestał oddychać. Uniósł nieznacznie prawą dłoń i powoli opuścił. Suanhilda, początkowo ogarnięta nieśmiałością z powodu bliskości obcego rycerza i jego bezpośredniością, odpowiedziała jednak wyzwaniu, wchłonęła wzrok Randulfa w głęboką zieleń jej oczu.

Czambor przykucnął przed nimi, kierując spojrzenie raz na Randulfa, raz na Suanhildę. Chciał już coś powiedzieć, lecz powstrzymała go Fryderuna, klepiąc lekko po ramieniu. Czambor odwrócił się do niej, a dziewczyna położyła palec na ustach, dając znak, by milczał, i skinęła głową, by za nią poszedł.

– Nie wchodzi między zalotników – rzekła mu przyciszonym głosem, gdy odeszli kilkanaście kroków.

– Zalotników? – Czambor nie krył zmieszania. – Randulf wygląda, jakby przestał oddychać.

– Po prostu zostaw ich – ucięła stanowczo Fryderuna. – Kim jesteście? Z Saksonii?

W międzyczasie dołączyła do nich Adelajda.

– Z Polski – odparł Czambor. – Przecież krzychałem. Rycerze władcy Polski, Bolesława zwanego Chrobrym i Wielkim.

– Co was tutaj zagnało? – dopytywała dalej Adelajda.

Czambor opowiedział w skrócie przebieg i splot wydarzeń.

– Mścislaw jest w kasztelu? – Fryderuna nie kryła zaskoczenia. – Nieszczęśnik, po co on tu wracał?

– Po rodzinę – odparł Czambor. – Jutro wyruszamy do Zwierzyna.

Randulf nadal nie mógł oderwać wzroku od Suanhildy. Przechodząca obok Adelajda rzekła do niego:

– Przedstawiłeś się chociaż naszej ślicznotce?

– Ja? – Wyrwany z transu Longobardczyk, zmieszał się. – Randulf... syn Pandulfa z Benewentu we Włoszech, jestem księżęcym synem na czasowym wygnaniu. A ty?

– Suanhilda.

– Córka Zygryda?

– Nieślubna, ojciec porwał moją matkę z klasztoru... – Wpatrywała się w Randulfa z narastającą ciekawością. Błada cera szlachetnych rysów twarzy, czupryna gęstych, ciemnych, roztrzepanych włosów, zadbane kilkunniowy zarost niczym cień, i te błękitne oczy tryskające humorem i mądrością...

– Znam Zygryda – rzekł Randulf. – Waleczny rycerz, w wielkich łaskach u Bolesława... i umieścił cię w klasztorze?

– Do czasu, aż mi męża znajdzie – odparła Suanhilda. – Skończyłam niedawno osiemnaście lat...

– No! – Obserwująca ich Adelajda podparła się pod boki. – Teraz do roboty, zgarniamy rzeczy i uciekamy.

Randulf podał rękę Suanhildzie, chcąc pomóc jej powstać. Dłonią nieświadomie dotknął jej łokcia, poczuł krótki dreszcz emocji przenikający go na wskroś.

– Co to za książeczka, którą przyciskasz do piersi? – zapytał.

– Umiesz czytać? – odpowiedziała pytaniem, z wesołymi ognikami w oczach.

Czambor wtrącił się bez żenady:

– Dziewczyno, Randulf to największy uczony jakiego znam. Mnie, prostego rycerza znad morza, nauczył czytać i pisać.

– Powiesz? – poprosił Randulf.

– Trzy *Eclogae* Wergiliusza: ósmy, dziewiąty i dziesiąty.

Randulfowi pojaśniało oblicze.

– *Omnia vincit Amor; et nos cedamus Amori** – zacytował z natchnieniem. – Dziesiąty *Eclogae*.

– Widzisz? – zauważył Czambor. – Mówiłem. On sam pisze, na oczekaniu potrafi poemat ułożyć...

Jakby podłechtany słowami Czambora, Randulf przyłożył lewą dłoń do serca, a prawą na wyciągniętej ręce wskazywał ponad głowę, zadeklamował:

*Błękit mojego spojrzenia zatopiony
w upojnej zieleni twych oczu,
Rozum emocjom oddany, dla piękna,
Kruchości tej chwili serce nie utrzyma, rozpęknie,
Nie! Powabem splecione dwa serca...*

Teraz Suanhilda wpatrywała się w niego bezgraniczną głębią spojrzenia, zagubiona w galopujących emocjach.

– Wydumane rymy plotę... – Randulf pokręcił z niezadowoleniem głową.

Fryderuna objęła Adelajdę w pasie, przyglądały się z uśmiechami na twarzach Suanhildzie i Randulfowi.

Czambor klasnął w dłonie.

– Czas na nas!

Z miasta wyszli bez większych przeszkód, wybawcy przebrali dziewczyny w znalezione po drodze zwykle poplamione i brudne odzienia. W mieście nadal świętowano i ucztowano, nikt nie zwracał na nich uwagi. Jedynie w ciemnym zaułku na obrzeżach rynku, gdy już niemal dochodzili do jednej z bram wyjściowych, powiało na chwilę grozą. Przed idącym przodem Czamborem wyrósł raptem wojownik z mieczem w ręku.

– Trzy dla dwóch? – Roześmiał się jowialnie. – Jedną musicie mi odstąpić...

Nie dokończył. Czambor rozejrzał się, nikogo w pobliżu, wojownik był sam. Polak wyszarpnął błyskawicznie topór zza pleców, obrócił się z rozpędem wokół własnej osi, zwiększając siłę uderzenia, trzymanym do ciosu toporem. Wojownik nawet nie zdążył podnieść ręki z mieczem. Ostrze obucha odrąbało mu gładko głowę i zazgrzytało iskrami na kamiennej ścianie budynku. Przerażone nagłością sytuacji dziewczyny nie wyjąkały ani jednego słowa.

– Poszedł do Skrętobrodego – stwierdził lakonicznie Randulf, ponaglając je do dalszego marszu.

W pobliże kasztelu dotarli grubo po północy, z powodu nadrobienia drogi. Obrali tę samą trasę, którą przybyli poprzednio, od strony trzęsawisk. Zgodnie z oczekiwaniami powitały ich straże pilnujące przejścia. Grupa wojowników wbijała w odstępach paliki maźnięte czerwoną farbą. Wyznaczali trasę na jutrzejsze przejście po trzęsawiskach.

Nad ranem, gdy wszyscy już się rozbudzili, nie było końca gratulacjom. Randulf i Czambor wyrosli na bohaterów. Nie dość, że brawurową akcją uratowali trzy kobiety, to na dodatek odzyskali księgi dla Mścisława.

Przy śniadaniu niekończące się komentarze. Bohaterzy nocnej eskapady do miasta zeszli do jadalni jako ostatni, mocno niewyspani. Randulf podjadał strawę, rozglądając się po obszernej sali. W drugim końcu

pomieszczenia dojrzał to, czego szukał – przy stole wspólnie z księdzem i jednym rycerzem siedziały trzy ocalałe damy i jeszcze jedna kobieta. Wpatrywał się w oddaloną Suanhildę, nie wykazując szczególnego zainteresowania dyskusjami przy własnym stole. Zachowanie Randulfa nie uszło uwadze Czambora.

– Przestań się w nią wpatrywać. – Czambor pchnął przyjaciela w bok.

Randulf przytaknął bezwiednie głową, ale nie zmienił zachowania.

– To teraz zostałem sam – oświadczył głośno z rezygnacją Czambor. Na pytające spojrzenia pozostałych wskazał Randulfa.

– On też już usidloni, tak jak wy.

– Czambor? – spytał zaniepokojony Gromosław. – Co masz na myśli?

– Ty z Matyldą, Bernard w udanych zalotach do Zwodzisławy – wyliczał Czambor – Wojomir szczęśliwy z Bożejka, a teraz temu włoskiemu piękniśowi ta najdrobniejsza dama całkowicie rozum odebrała. – Wskazał ręką. – Zostałem tylko ja bez panny. – Po zastanowieniu dodał: – No i Chyżon.

– Nieprawda, że tylko ty... – zaczął Gromosław, ale szybko się pomiarkował i zamilkł. O mało co nie zdradziłby, co mu w tajemnicy i zaufaniu wyjawiała Matylda pod Grabami, o śmierci Bożejki.

– Ja mam ukochaną – zaprzeczył Chyżon. – W Roztoczu.

– Jeszcze lepiej – ciągnął zawiedziony Czambor. – Jeszcze lepiej. Róbcie, co chcecie, co mnie to obchodzi.

– Która? – zapytał Randulfa Bernard, potrząsając go za ramię.

– Ta najpiękniejsza – wskazał Randulf. – Suanhilda.

– Ona wie, że ją miłujesz? – spytał lakonicznie Wojomir.

– Nie wiem – odparł niepewnie Randulf.

Po śniadaniu wyruszono w drogę. Zaraz po pokonaniu trzęsawisk od kolumny oddzielili się i uciekli zwykli szeregowi wojownicy. Krótco po tym w ich ślady poszło trzech rycerzy, następnie jeden, jeszcze jeden i tak dalej. Uciekali w swoje rodzinne strony, nie wierząc w podniesienie się Mścislawa z upadku. Ostatecznie, gdy już zbliżano się w okolice Zwierzyna, grupa uciekinierów z Mechlina zmniejszyła się do opłakanej garstki: sześciu przyjaciół, ksiądz, cztery kobiety i dwóch rycerzy.

* *Omnia...* (łac.) – Miłość wszystko zwycięża i my ulegnijmy miłości, Wergiliusz: Bukoliki X. 69.

Zwierzyn

Dzień pierwszy oblężenia, dziewiąty lutego.

Po godzinie jazdy, na długo przed południem, dotarli do Zwierzyna. Zgodnie z przewidywaniami gród nie różnił się od pozostałych, jakie dotąd poznali na Połabiu. Na podłużnym jeziorze, tak wielkim, że przeciwne brzegi ginęły za horyzontem, na południowym krańcu leżała niewielka wyspa w kształcie jakby dwóch połączonych elips, z rozczłonkowanymi odnogami nieregularnych kształtów. Na mniejszej wznosiły się wysokie wały z drewnianą zadaszoną palisadą. Tam mieściła się siedziba władcy. Natomiast na większej, dużo większej od tej z grodem, również otoczonej wałem, tyle że o wiele niższym, nie zauważyli żadnych budynków wskazujących na zamieszkanie jej przez typową ludność podgrodzi. Nic, poza rozrzuconymi tu i ówdzie barakami lub szopami, z daleka nie można było dokładnie ustalić. Poza tym w oczy rzucał się przemyślny system naturalnej obrony. Od północy, wschodu i południa wyspę otaczały głębokie i dalekie wody. Płynąca z grodu na wyspie łódź w stronę stałego lądu miała do przebycia ponad dwadzieścia mil na północ, sześć na wschód lub siedem na południe. Zaatakować gród z tych trzech stron można było tylko przy pomocy licznej floty łodzi transportujących. Na zachód wody jeziora wydłużały się długą, ale wąską odnogą. Na tyle wąską, że możliwy

był wzajemny ostrzał z łuków z obu brzegów. Odnoga przechodziła po kilku milach na zachodzie w rozległe trzęsawiska. Z obu brzegów tej odnogi, od północnego zachodu i południowego zachodu otwierały się dwie możliwości dostępu do grodu. Utworzonymi przez naturę naturalnymi groblami, wystarczająco szerokimi na pomieszczenie kilku, miejscami nawet kilkunastu wozów w szeregu, obok siebie. Północna grobla długa była na sto sześćdziesiąt kroków, południowa na trzysta pięćdziesiąt. Do południowej grobli, mniej więcej na pięćdziesiąt kroków przed bramą, dochodziła dodatkowa poprzeczna grobla, wąska i częściowo pod powierzchnią wody, ciągnąca się równoległe do wałów grodu i dalej wzdłuż odnogi jeziora na zachód, aż ginęła gdzieś w trzęsawiskach.

Tędy właśnie, od północnego zachodu, wjechali do Zwierzyna. Natychmiast udali się do Żelenty, oczekującego w hali narad. W pomieszczeniu zastali również Mścislawa, a także jego wnuka, Gotszalka, który przez cały czas obserwował wszystkich uważnie i przysłuchiwał się rozmowom, ale sam nie zabierał głosu. Pytali później Żelentę o zachowanie Gotszalka, że przecież skończył siedemnaście lat, mógłby wykazać więcej zainteresowania. Niech nie ulegają złudzeniom, ostrzegł ich Żelenta. Gotszalk wyrasta na ponadprzeciętnego władcę, polityka i dowódcę. Jeszcze o nim niejedno w przyszłości usłyszą. A trzyma się w cieniu, bo doszło do jakiejś różnicy zdań między nim a Mścislawem.

Zdali relację, przekazali Mścislawowi odnalezione księgi. Na pytanie Randulfa o dziwną książkę z nieznanym pismem, król Obodrytów obiecał, że wyjaśni mu tajemnicę, gdy nadarzy się okazja do spokojniejszej rozmowy.

W Zwierzynie panował niesamowity tłok. Nie żeby Obodryci tłumami ściągnęli pod sztandar Mścislawa, wręcz odwrotnie, pojawiła się bardzo znikoma ilość. Ale siedziba dynastii nie służyła nigdy za miejsce

zamieszkania dla zwykłych poddanych. Nie było tak typowego podgrodzia, rynku, punktów handlowych i kupieckich. Jedynie kasztel obronny, kościółek, kilka warsztatów i budynków gospodarczych. To wszystko. Stąd wyszedł ród dynastii Mścislawa, tu była ich pierwotna siedziba, matecznik. Coś na podobieństwo Gieczu w historii Piastów. Tu przechowywano skarbiec i insygnia dynastii. Tutaj odbywał się dwa razy w roku, na wiosnę i po letnich zbiorach, przegląd armii, czyli w praktyce obodryckiej jazdy. Stąd też wyruszano na wyprawy wojenne, co automatycznie odpowiadało przeglądowi armii. Wyjaśniło się znaczenie większej części wyspy, oddzielonej od siedziby własnym wałem i pozbawionej zabudowań mieszkalnych. Służyła dla zgromadzenia większej ilości koni i namiotów jazdy, dlatego znajdowały się tam tylko rozrzucone szopy z zapasami paszy.

Dla uratowanych z Mechlina kobiet przygotowano pomieszczenia w siedzibie Mścislawa, obok komnat jego małżonki i synowej.

Stan liczbowy popleczników Mścislawa przedstawiał się tragicznie. Z całej obodryckiej jazdy, rycerzy, pozostało przy nim zaledwie czterdziestu trzech. Z warstwy możnowładztwa, wysokich rodów – nikt. W tej sytuacji, zauważył Żelenta, polska odsiecz przewyższała liczebnie rodzimy kontyngent. Dwudziestu sześciu z jego osobistej drużyny, prawie osiemdziesięciu pod dowództwem grupy Gromosława. W sumie ponad stu ciężkozbrojnych jeźdźców, poddanych Bolesława Chrobrego. Chyżona nie wliczano. Gromosław zażartował, że należałoby zatknąć na szczycie wieży polski sztandar. Co jako żart było pomyślane, odebrane zostało przez Mścislawa z głęboką powagą. Zażądał wręcz, by obok sztandaru dynastii i państwa Obodrtytów przedstawiającego łeb tura w koronie zatknąć również polski sztandar, białego orła na czerwonym tle. Niech wiedzą wszyscy zdrajcy, którzy podejną pod gród, że potężny Bolesław stoi przy moim boku, tak umotywował decyzję Mścisław. Gromosław skomentował

to później, w gronie drużyny, że demonstracja może odnieść odwrotny skutek, że rebelianci tym bardziej dostaną szału, widząc polski znak na siedzibie rodowej Obodrytów.

Co dalej? Z siłą, jaką dysponują, nie przedrą się na zachód. Doniesienia zwiadowców potwierdziły nadciąganie pod Zwierzyn dużych rebelianckich zgrupowań, właśnie z zachodniego i północno-zachodniego kierunku. Szlaki na zachód od Zwierzyna były już zablokowane. Pozostało czekać na odsiecz z Saksonii. Jeżeli graf Lotar przyprowadzi, jak obiecano, około tysiąca ciężkozbrojnej saskiej jazdy, to bez trudu przebiją się pod Zwierzyn. Wtedy wyjdą z grodu, połączą się z Niemcami i uciekną do Saksonii. A do tego czasu muszą utrzymać się w grodzie.

Padały pytania. Dlaczego już teraz nie próbować przebicia się? W półtorej setki jazdy, licząc wspólnie Polaków i Obodrytów, może im się uda? Za duże ryzyko. W kolumnie muszą transportować cztery wozy. Jeden lekki, zaprzęgnięty w cztery konie, na którym umieści się małżonkę Mścisława, Gudrun. Trzy większe o cięższej konstrukcji, załadowane skarbcem, dokumentami i pozostałymi cennymi rzeczami dynastii. Pozostałe kobiety mogą podróżować konno. Co z Przybygniewem? Przed kilkoma dniami wysłano posłańców do miast nadmorskich, ośmioosobowy oddział ze Ścietoborem na czele, ostatnim z doradców Mścisława, który go jeszcze nie opuścił. Ścietobor powrócił wczoraj. Sam. Czterech posłańców zginęło w drodze w drobnych potyczkach, trzech uciekło przy nadarżających się okazjach. Wieści o Przybygniewie są jedynie na poły zadowalające. Dotarł z trzema duńskimi okrętami do Wołogoszczy, ale utknął w oblężeniu. Armia Lutyków oblega gród, wspomagana oddziałami i okrętami Wolinian. No tak, odwieczny konflikt i konkurencja pomiędzy Wołogoszczą a Wolinem nie wymagały specjalnych okazji. Przybygniew nie może się wyrwać z okrażonego miasta lądem. Czeka na przybycie

głównej siły duńskiej, pomocy obiecanej mu przez króla Haralda, jego szwagra. Harald nadal tłumi powstanie chłopów na Skanii, nie może przybyć osobiście. Ale już wydał dyspozycje do jarłów z południowych duńskich wysp, mających w pokojowych warunkach zwalczać pirackie najazdy Słowian, by wyekspediowali odpowiednio liczną flotę. Co nie oznacza automatycznie ratunku dla Przybygniewa. Nie wiadomo, jakie będą warunki pogodowe na Bałtyku, nie wiadomo, jaki będzie stan i poziom wód, a przecież ciężkie duńskie okręty muszą najpierw wpłynąć od morza w cieśninę Piany, by dotrzeć jej korytem pod Wołogoszcz. Wiele niewiadomych.

Bernard zaproponował, by nie czekać na nadejście odsieczy z Saksonii i próbować mimo to przebicia się na zachód posiadanymi siłami. Lepsze to niż dać się zamknąć w kotle na wyspie bez zapasów żywności i paszy. A co, dodał Bernard, gdy od południa nadejdzie armia Lutyków? Tak jak tego oczekiwano? Bronić grodu niewielką załogą przed natarciami z dwóch stron? Powoli zebrani przychylali się do pomysłu Sasa, z wyłączeniem Mścislawa. Do niego należała ostateczna decyzja. W końcu, po natarczywych przekonywaniach, zgodził się, ale pod jednym warunkiem. Najpierw duży podjazd dokona wypadu na tereny na zachód od grodu dla zbadania sytuacji, w tym czasie reszta przygotowuje się do wymarszu.

Na czele podjazdu złożonego z czterdziestu polskich i dziesięciu obodryckich jeźdźców stanęli Gromosław, Bernard i Wojomir. Gromosław wyprosił u Czambora, by odstąpił mu Chyżona na czas zwiadu.

Po minięciu grobli pokłusowali drogą wijącą się między zalesionymi wzniesieniami. Chyżon i Wojomir prowadzili przodem sześćosobowy zwiad. Niebawem Wojomir zawrócił i zaproponował, by poruszać się rzadkim lasem równoległe do drogi. Lepiej wykorzystać moment

zaskoczenia niż niespodziewanie natknąć się na nieprzyjaciela, sugerował. Rzadki las zezwala na zachowanie dobrego tempa. Zgodzili się.

Po półgodzinnym kłusie zatrzymali się na znak zwiadowcy od przodu. Droga skręcała na lewo, las kończył się i dochodził do rozległego pola schodzącego nad brzegi jeziora. Na polu widzieli kilkadziesiąt namiotów, około trzydziestu, i ogniska. Na obrzeżach stały strażę, a przy brzegu skupisko koni. Trafili na rebeliancki oddział jazdy. Ale nie ciężkozbrojnej, jak meldował dalej zwiadowca, no może oprócz kilku rycerzy, reszta lekkozbrojna, sądząc po oporządzeniu koni i uzbrojeniu strażników.

Po krótkiej naradzie postanowiono zaatakować obóz. Gromosław już wydawał dyspozycje. Przejechać szarżą po namiotach, nabić, ilu się da, zawrócić, ponownie natłuc zaskoczonych i odwrót.

– Nie rozpalaj się, Gromo – Wojomir zabrał głos. – Efekt zaskoczenia trzeba zwiększyć. Najpierw, na krótko przed natarciem, zdejmujemy z łuków czterech strażników i jednocześnie zasypujemy namioty płonącymi strzałami.

Większość przytaknęła mu z uznaniem głowami.

– Ile mamy łuków? – zapytał Gromosław.

Okazało się, że osiemnaście. Cztery strzały na strażników, jedna między konie, może w panice pozrywają uprzęże, reszta na namioty. Wojomir przywołał do siebie łuczników. Chyba nikogo nie zdziwiło, że w kulbace miał przygotowane na takie okazje pakuły nasiąknięte palnymi cieciami. Każdy owinął strzałę pod ostrzem strzędem pakuły, a następnie ją zapalił.

– Ty nie! – zawołał do Chyżona Wojomir. – Zostajesz tutaj, trzymaj pole pod obserwacją z napiętym łukiem.

– Ale... – usiłował protestować Chyżon.

– Zostajesz! – uciął Wojomir. – Nie znasz się na walce jazdy! Co, z oszczepem i łukiem między ciężkozbrojnych? Bez zbroi? Czambor by

mnie na pojedynek wyzwiał.

– Atak! – Gromosław spiął konia, wyciągając miecz.

W kierunku obozu poszybowały płonące strzały, jednocześnie atakujący wysunęli się z obrzeża lasu, poganiając konie do galopu. Strażnicy padli bez słowa przebici strzałami, uwiązane przy brzegu konie zarżały wystraszone ogniem, poczęły stawać dęba i rwać liny, po chwili trzynaście namiotów stanęło w płomieniach. Na zewnątrz wyskakiwali przerażeni wojownicy, wpadając pod miecze i włócznie szarżującej jazdy.

Jedna z buchających ogniem płacht zerwała się z przytrzymania, wleciała w powietrze niesiona pędem pędzących koni i oplotła jednego z polskich rycerzy. Znajdujący się nieopodal Gromosław bez namysłu, instynktownie, skierował konia na pechowca, zderzył się z jego wierzchowcem i z rozpędu obaj polecili na ziemię. Gromosław przeturlał się raz, zerwał się szybko na nogi i, zrzucając w biegu własny płaszcz, doskoczył do leżącego towarzysza. Zarzucił nań płaszcz i począł nim turlać po zmieszonym z błotem śniegu. Podziałało, płomienie na kaftanie rycerza zostały ugaszone.

Gromosław rozejrzał się za utraconym mieczem, dojrzał go wbitego nieopodal, doskoczył i wyrwał w samą porę. Już dobiegali doń wojownicy. Gromosław przyklęknął, uchylając się przed nadlatującą włócznią, i przejechał mieczem po kolanach nadbiegającego przeciwnika. Powstał, odparował uderzenie drugiego napastnika, wykonał krok w lewo, zamach z góry, rozłupał tarczę trzeciemu, wskoczył między nich. Zanim się zorientowali, przejechał im dwoma silnymi uderzeniami po głowach. Ich wina, że w zaskoczeniu nie zdążyli włożyć hełmów. Padli w śnieg z rozplatanymi czaszkami.

Gromosław doskoczył do tego, któremu nadciął kolano. Akurat podnosił się, opierając na toporze, lecz po chwili opadł na wznak przebity

śmiertelnie mieczem.

Gromosław rozejrzył się szybko. Niedobrze, nadbiegali następni, w dużej liczbie. Z tyłu, jak zauważył kątem oka, jazda polska właśnie zawracała i nabierała rozpędu do powrotu. Musi się utrzymać przez kilka chwil. Rycerz, któremu uratował życie, powstał, potrząsając głową, płomienie nic mu nie nadpaliły oprócz włosów wokół hełmu. Poderwał z ziemi jakąś włócznię i stanął obok Gromosława w bojowej pozycji. Przeciwnicy już dobiegali. Rycerz miotnął włócznią, jeden z atakujących przegiął się wpół z włócznią w brzuchu i przeokoziółkował do przodu, podcinając niemal Gromosława. Ten uskoczył w ostatniej chwili, odbił miecz następnego atakującego i wbił mu ostrze w oko. W tym momencie przetoczyła się wokół nich powracająca jazda. Wojomir i jeszcze jeden rycerz zatrzymali się, zabrali ich na konie i pognali w kierunku lasu, za pozostałymi. Rebelianci nawet nie próbowali ich ścigać. Ponieśli bardzo duże straty.

Polacy wracali upojeni zwycięstwem, chociaż można by to nazwać ucieczką po zwycięskim ataku. Nie ponieśli żadnych strat w ludziach. Jedynie rycerz, któremu spaliła się większość włosów na głowie oprócz kępy powyżej uszu, po zdjęciu hełmu wyglądał jak nowicjusz w klasztorze. Brakowało mu jeszcze tylko wygolonej na czubie głowy tonsury.

Gdy oddalili się na dobre od obozowiska, Gromosław zarządził krótki postój. Należy się naradzić, do wieczora jeszcze sporo czasu. Wtedy jeden z Polaków pokazał, że w trakcie szarży, przy nawrocie, porwał sztandar zatknięty przy którymś z nieobjętych płomieniami namiocie. Wśród Polaków zapanowało ogromne zdziwienie – głowa tura w koronie? Czyż nie jest godłem dynastii Mścislawa? Podniosły się głosy, że może najechali i przetrzebili oddział sojuszników obodryckiego króla. Wtrącił się jeden z obodryckich rycerzy. Zaczął ogólnikowo tłumaczyć jakies

skomplikowane historie, Bernard się zdenerwował i zaproponował, by przysiedli na chwilę, pokrzepili się trunkami ze skórzanych gąsiorów, a rycerz niech jeszcze raz, ale wolniej i bardziej zrozumiale, wytłumaczy im, w czym rzecz. Tak też zrobili.

Wyjaśnienia Obodryty rzuciły nowe światło na skomplikowaną sytuację w państwie Obodrytów. Gromosław, jego przyjaciele i towarzyszący im od początku misji polscy rycerze z każdym nowym zdarzeniem nabierali coraz więcej pojęcia o panujących tutaj stosunkach. Obodryta nakreślił pokrótce zarys początków dynastii, cofając się do starych, przebrzmiałych czasów. Było kiedyś kilka rodów na równi uprawnionych do sprawowania władzy zwierzchniej nad Obodrytami. Lud opowiedział się za rodem, którego przedstawiciel imieniem Wican wstąpił na tron. Znakiem Wicana była głowa tura z nałożoną koroną. Ale już w drugim pokoleniu, pomiędzy wnukami Wicana, doszło do wewnętrznego rozłamu między pretendencjami do tytułu królewskiego. Nie bez wydatnej pomocy cesarza Franków, Ludwika zwanego Pobożnym, który delectował się możliwością wpływania na politykę Obodrytów. Po śmierci Drożka, syna Wicana, władzę objął jego brat, Sławomir. Część możnych zbuntowała się, przy poparciu wieców ludu, poszli na skargi do cesarza, żądając ustąpienia Sławomira na rzecz syna Drożka, Czedroga. Sławomir wypowiedział dotychczasowy sojusz cesarstwu i tak rozpoczęły się tarcia wewnątrzdynastyczne.

Od tej pory nie ma pełnej zgody między członkami dynastii. Dziad Mścislawa, Nakon, tylko dlatego włożył na głowę koronę, ponieważ jego starszy brat Stojgniew, wyznaczony przez ich ojca na następcę tronu, zginął bohatersko w bitwie nad Reknica przeciwko cesarzowi Ottonowi i margrabiemu Geronowi. Tradycja dziedziczenia zachowała się do dzisiaj. Każdy członek dynastii ma prawo używać znaku rodowego – tura w koronie. To oznacza, że rozbili oddział przednich straży lub grupy

zwiadowczej któregoś z krewnych Mścislawa, zdążającego pod Zwierzyn, by unicestwić aktualnego króla. Być może siły zbrojne Grana lub Nikrota. To oznacza, że niebawem pod Zwierzynem pojawią się, na ten czas zjednoczone przeciwko Mścislawowi wrogie armie obodryckie.

Dla Księstwa Obodrytów nadeszły trudne czasy...

Wojna domowa trwała nadal, w której Mścislaw już teraz stał na przegranej, beznadziejnej pozycji.

Wojna domowa toczona równolegle do reakcji pogańskiej wywołanej agitacją kapłanów z Radogoszczy.

Przy okazji posłuszeństwa odmówiły udzielne prowincje, władane przez własne, lokalne dynastie – Sederyk na Wagrii i Racibor nad Połabianami.

Zbuntowali się kuzyni Mścislawa – Gniew w Łączynie, Anatrog w Liubicach.

Naprzeciwko siebie stanęły wrogie sobie armie obodryckie, pomiędzy nimi szalały po kraju kontyngenty federacji Lutyków.

Chyżańskie i czrezipieniańskie miasta nadmorskie broniły się przed naporem Lutyków chcących przymusić je do przystąpienia do federacji, a jednocześnie dążyły do uwolnienia się spod zwierzchniej kontroli Obodrytów.

Jedyna nadzieja Mścislawa, przynajmniej na formalne zachowanie ciągłości dynastii, jego syn Przybygniew-Uto w nieokreślonych bliżej opałach osaczony w Wołogoszczy.

– Teraz rozumiecie, w jaki chaos trafiliście? – zapytał ich na koniec opowieści Obodryta. – Czy potrzebujecie jeszcze więcej wyjaśnień?

Nie potrzebują, odpowiedzieli zgodnie, wystarczy. Chcą jak najszybciej zakończyć misję i powrócić do Polski.

Po odpoczynku Gromosław postanowił zapaść się na prawo od drogi. Jak podjazd, to podjazd, trzeba dokonać jak najszerzego rozpoznania

terenu. Mijali zalesione wzniesienia, rzeczki, jeziora. Gdzieniedzie widzieli osady i większe wsie. Po godzinie okolica stała się bardziej otwarta, więcej rozległych pól uprawnych pokrytych śniegiem rozciągało się przed nimi. Za polami ponownie pojawiły się gęste lasy i jeziora.

Wojomir doniósł od przodu, że zbliżają się do większego szlaku. W oddali zauważono gromady jeźdźców zdążających w ich kierunku. Gromosław zarządził odwrót, ale tak, by po kryjomu jednak nawiązać kontakt wzrokowy ze zbliżającymi się wojskami, muszą przecież rozpoznać, z kim mają do czynienia. To okazało się błędem, zdarza się to najlepszym dowódcom. Czego podjazd ani nawet zwiad Wojomira nie wykryli, to zbliżanie się do drogi od północnego wschodu kolejnych wrogich oddziałów, które parły na południe. Odcięto im powrót. To znaczy wygodniejszą możliwość powrotu, po ubitej drodze. Starali się zatem przebijać lasami, omijać bagna i jeziora, co oczywiście zabierało mnóstwo cennego czasu, potrzebnego na dodarcie pod gród przed obcymi siłami. Gdy w końcu wychynęli na obrzeże lasu nieopodal Zwierzyna, sytuacja przedstawiała się niemal beznadziejnie. Z różnych kierunków parły w stronę pól rozłożonych po drugiej stronie grobli masy wojsk, przeważnie jazdy. Mieszanej, zarówno ciężko- jak i lekkobroejnej. Pierwsza szpica złożona z kilkudziesięciu konnych wojowników zbliżała już się do grobli.

Gromosław podjął natychmiastową decyzję, jeżeli teraz się nie przebija, to zostaną odcięci na wrogim terenie otoczeni przez nieprzyjacielskie siły.

– Nacieramy! – zakrzyknął, wyjmując miecz i popędzając konia do pędu.

Początkowo zaskoczyli wojowników z obodryckiej szpicy, roznieśli pierwszą gromadę i wdarli się na wejście na groblę. Przed nimi jeszcze kilkunastu wrogów ustępujących pod naporem impetu natarcia. Za to za nimi zbierała się w pogoń coraz liczniejsza jazda. Posypały się strzały,

dwóch Polaków i jeden Obodryta z podjazdu spadli z koni martwi na ziemię.

– Do przodu! Nacierać! – nawoływał Bernard. – Bo nas wybija ostrzałem!

Kilku wrogów roznieśli w boju, reszta powpadała do jeziora. W końcu oczyścili przejście i poganiali teraz konie w kierunku bramy na końcu grobli. Na palisadzie i wieży nad bramą zauważono już wcześniej ich próbę przebicia się. Teraz na goniącą za nimi jazdę posypały się chmury strzał. Rebelianci odstąpili od pogoni. Podjazd wpadł przez otwartą bramę na dziedziniec. Na podwyższeniu między schodami stali Mścisław i Żelenta, obok nich Czambor i Randulf rwący się do przywitania przyjaciół. Gromosław podjechał pod schody i rzucił na ziemię przed Mścisławem sztandar zabrany przez polskiego rycerza w obozie nad jeziorem.

– W twoje ręce, królu – rzekł do Mścisława. – Zbieramy twoje chorągwie po okolicy.

– Czyja to? – zapytał Żelenta.

– Król wie doskonale. – Gromosław skinął głową w kierunku Mścisława. – Pretendenci do obodryckiego tronu nadchodzą. Dwoma armiami, Gran i Nikrot.

– My też mamy dla was niespodziankę – oznajmił Czambor. – Na pocieszenie i osłodę – dodał. – Chodźcie na drugą, południową stronę palisady.

Poszli i wyjrżeli na przedpole.

Cały południowy, przeciwny brzeg jeziora po obu stronach grobli roił się od mas wojska. Federacja Lutyków nadeszła.

– Jedno jest pewne – skomentował Bernard. – Na ucieczkę za późno. Wzięli nas w kleszcze.

– A ta odnoga odchodząca od południowej grobli? – Gromosław wskazał ręką.

– Wąska i niebezpieczna, ginie hen na zachodzie w mokradłach – odpowiedział mu stojący obok obodrycki rycerz.

– Jutro przystąpią do szturmów – zawyrokował Żelenta. – Z dwóch stron jednocześnie.

Wieczorem Gromosław z przyjaciółmi siedzieli w wielkiej hali, pojemnej na kilkanaście porozstawianych wszędzie długich stołów. Ogień buchał w kominie wmurowanym w ścianę, znoszono jadła i trunki. Atmosfera jak to przed bitwą.

Gromosław siedział naprzeciwko Bernarda, grali w szachy. Obok Czambor, Randulf i Wojomir zabawiali się turlaniem kości. Po przeciwległej stronie, przy ścianie z kominkiem, Fryderuna i Adelajda zagłębione w rozmowie raczyły się winem. Suanhilda siedziała samotnie przy niewielkim stole po drugiej stronie kominka, niby zatopiona w książce, niby rozglądająca się uważnie po hali, jakby błędząca myślami wokół oddalonych spraw. Na podwyższeniu naprzeciwko wejścia do hali rozsiedli się Mścisław, Gotszalk, Żelenta i Ściętobor. Przy pozostałych stołach rycerstwo polskie i obodryckie.

Randulf od czasu do czasu zerkał nieznacznie w stronę Suanhildy. Za którymś razem tak się zapatrzył, że nie pomiarkował, jak wyrzucone przezeń z kubka kości stoczyły się ze stołu na ziemię. Wojomir pchnął go ramieniem, rozzłoszczony jego nieuwagą.

– Hej, longobardzki uczone, kości sturlałeś na ziemię, jeszcze raz.

– On tylko udaje, że gra z nami – powiedział nie bez satysfakcji Czambor. – Zobacz, gdzie cały czas spoziera, tam, na tę cudowną damę samotnie siedzącą.

– Odczep się – burknął Randulf.

Bernard podniósł wzrok znad szachów i rzekł:

– Suanhilda zakręciła mu w głowie.

– Bardzo ładna panna – wtrącił Gromosław. – Czambor nam dokładnie opowiedział, co się działo w wieży. Nieprawdaż, Czambor?

– Zostawcie mnie w spokoju – rzucił Randulf.

Czambor nie odpowiedział Gromosławowi, ponieważ jego uwagę przykuła scena przy stole z Fryderuną i Adelajdą. Podszedł do nich polski rycerz i przysiadł naprzeciwko. Dziewczyny przestały chichotać i spojrzały na intruza z wystudiowaną powagą. Wdali się w jakąś niedosłyszalną z miejsca Czambora rozmowę, która z daleka sprawiała przyjazne wrażenie. Czambor opróżnił kwartę jednym łykiem, napełnił ją ponownie winem i obserwował dalej.

Rycerz wzniósł toast, dziewczyny odpowiedziały. Nagle Polak wychylił się do przodu przez stół i uchwycił Adelajdę pod ramię. Fryderuna trzymanym w dłoni glinianym dzbanuszkim na trunki trzasnęła go z całą mocą po głowie. Glina pękła z trzaskiem, ciemnoczerwone wino rozlało się na głowie intruza, sprawiając wrażenie, jakby mu po twarzy strugi krwi spływały. Adelajda wrzasnęła, uderzony zerwał się nogi... W tym momencie doskoczył do niego Czambor, który już nieco wcześniej poderwał się od stołu. Lewą ręką zablokował mu podniesione w kierunku dziewczyn dłonie, a prawą zdzielił z całych sił po karku. Rycerz padł na ziemię, przeturlał się trzy kroki od stołu i usiłował z trudem się podźwignąć. Kilku jego towarzyszy wyrosło raptem obok niego jak spod ziemi, jednocześnie obok Czambora stanęli już Gromosław i Randulf. Rycerz, powstając, położył rękę na głowicy miecza.

– Dość! – rozkazał Gromosław. – Druhami jesteście! Nie raz w boju ramię przy ramieniu walczyliście!

Rycerz spoglądał z wściekłością na Czambora, ale zdjął rękę z głowicy.

– Podajcie sobie prawice! – rozkazał Gromosław.

Czambor podszedł do rycerza, podał mu rękę. Będąc bardzo blisko, rzekł mu, tak by nikt inny nie usłyszał:

– Złość ci zaraz minie, dzielny wojaku. Uratuj swój honor w najlepszy z możliwych sposobów, przeproś te dwie damy.

Trwało jakiś czas, zanim rycerz przetrawił słowa Czambora. W tym czasie Gromosław i druhowie rycerza powrócili już do swych stołów, przy gdańszczaninie pozostał jedynie Randulf.

Rysy twarzy rycerza złagodniały. Wpatrzony w oblicze Czambora wyrzekł ze zmieszaniem:

– Masz rację, krew mi z winem zmieszana uderzyła do głowy na widok tych piękności. – Położył mu rękę na ramieniu. Podszedł do stołu i przeprosił Fryderunę i Adelajdę.

Czambor uchwycił Randulfa i pociągnął do stołu, przysiedli naprzeciwko Fryderuny i Adelajdy. Gdańszczanin przygarnął wolno stojącą kwartę, napełnił winem, wypił niemal duszkiem, napełnił ponowie.

– Tośmy was ponownie wyratowali – rzekł dumnie, ale mocno płaczącym się językiem. Popchnął wpatzonego w Suanhildę Randulfa łokciem. – Co nie, Randulf?

– Mhm.

– To za wasze zdrowie. – Fryderuna wzniosła toast z udawaną powagą.

– Zawsze i wszędzie jesteście razem? – Wypite wino przydało Czamborowi odwagi. – Nigdy tak z osobna?

– Z osobna? – Fryderuna z trudem powstrzymała parsknięcie.

– Z osobna. – Czambor brnął dalej, popił sążnięcie wina. – Bobym chętnie porozmawiał... pozartował...

– A z którą z nas chciałbyś porozmawiać? – zagadnęła Adelajda, nie kryjąc już rozweselenia. – Tak na osobności?

Czambor wpatrywał się w nie, powstrzymał czknięcie, podrapał po głowie, usiłował zapanować nad opadającymi powiekami.

– Randulf...

Randulf oderwał wzrok od Suanhildy, spojrzął z uwagą na obie dziewczyny. Fryderuna obejmowała Adelajdę w pasie, gładząc ją prawą dłonią poniżej łokcia. Obie wpatrywały się w Czambora z uśmiechami na twarzy. Randulf zmarszczył czoło, nad czymś się zastanawiał, spojrzął na nie ponownie, jeszcze uważniej taksując je wzrokiem. Odsapnął ze zrozumieniem, powstał, uchwycił Czambora:

– Chodź, przyjacielu, na dzisiaj dosyć ucztowania.

– Ale... prześliczne damy...

– Nie dla ciebie, chodź. – Ustawił go na nogach, przełożył mu prawą rękę przez własne ramię. – Miłego wieczoru, drogie panie – rzekł szarmancko na odchodnym i począł lawirować z uwieszonym nań Czamborem w stronę schodów prowadzących do pomieszczeń zamienionych na sypialnie.

Niemal u szczytu schodów Czamborowi załamały się kolana.

– Jezuu, nie padnij mi tutaj – narzekał Randulf. – Zaraz dojdziemy do sypialni.

Czambor w przebłysku rozbudzonej jaźni dopytywał:

– Dlaczego... nie dla mnie? Dlaczego?

– Dla żadnego z nas – odparł Randulf.

Zaciągnął go do sypialni, rzucił z ulgą na łożo. Zdjął mu obuwie, rozpiął i zdjął kaftan, ułożył wygodnie i przykrył pledem.

– Dla żadnego...? – bąknął jakby już z zaświatów Czambor.

– Czamborku, mój kochany pocziwcze – mamrotał do siebie Randulf. – Niech ci się przyśnią morza, okręty smagane falami, rozdęte od wiatru żagle, stworzenia bajeczne...

Randulf zszedł do jadalni. Wojomir przyglądał się z zainteresowaniem grającym dalej w szachy Gromosławowi i Bernardowi. Randulf podszedł do stołu Suanhildy, przysiadł, na jej spojrzenie rzekł:

– Samotność skrywana piękności przed światem nie skryje...

– Randulf. – Suanhilda z figlarnymi połyskami w źrenicach nie kryła rozweselenia. – Skończ chociaż na chwilę z tymi twoimi poezjami...

– Mam się obruszyć, gdy mnie za prawdę ganią? – Randulf udał powagę.

– Czambor to twój najlepszy przyjaciel, nieprawdaż? – zapytała niespodziewanie.

– O tak! Ale ci pozostali również...

– Czambor... – Zastanawiała się na doborem słów. – To chodząca dobroć.

– Czambor? – Randulf uderzył się w pierś. – Przysięgam, że ma serce większe od własnego wzrostu.

Zagłębili się w rozmowę. Nikt nie zwrócił uwagi, gdy po jakimś czasie Randulf siedział już obok Suanhildy, ani jak poczęli się obejmować i całować. Nikt nie zwrócił uwagi, gdy oboje zniknęli na schodach. Nikt oprócz Gromosława, który dyskretnie odprowadził ich wzrokiem i uśmiechnął się do własnych myśli.

* * *

Dzień drugi oblężenia, dziesiąty lutego.

Szturmy rozpoczęły się o poranku, jak zapowiedział Żelenta, na dwóch odcinkach jednocześnie, północnym i południowym. Na samym początku

Mścisław zdecydował, by Polacy bronili się przed natarciem obodryckich rebeliantów, natomiast Obodryci w Zwierzynie przed natarciem Lutyków. Jedynie Żelenta ze swoją drużyną zajął pozycje na południowej palisadzie, obok stanowiska Mścisława. Kierowanie obroną odcinka północnego przekazał Gromosławowi.

Nacierający nie mieli łatwego zadania. Podejście groblą pod wały grodu pod nieustannym ostrzałem obrońców kosztowało ich sporo ofiar. Podtaczali duże kwadratowe osłony, sklecone z pniaków ściętych drzew, chroniące ukryte za nimi oddziały szturmowe. Każda grupa po dotarciu pod wały wysuwała drabiny, przystawiała je do pochyłej ściany i zaczynała wspinać się ku szczytowi obwarowań.

Obrońcy siali śmierć pośród nacierających. Mimo to nie byli w stanie podołać przeważającej liczbie wrogów, nie byli w stanie zapobiec przystawianiu drabin we wszystkich miejscach jednocześnie. Poza tym sami byli narażeni na ostrzał przeciwnika. Nacierający rozchodzili się wzdłuż podnóża wału w obie strony, w końcu cały wał na sporej długości usiany był przystawionymi drabinami.

Z czasem walka przemieniła się w pojedynki na palisadzie. Kolejni wojownicy, wdrapując się po trupach towarzyszy i unikając spadających ciał, zdołali wyrąbać wolną przestrzeń na palisadzie, wskakiwali do wnętrza, a za nimi następni. Siła i nacisk szturm, szybkość, z jaką wojownicy wspinali się po licznych drabinach, nie zważając na własne straty, zaskoczył nieco obrońców.

Polacy byli wyczerpani. Od dziesięciu dni w nieustannej jeździe, stawali w ciągłych bitwach i potyczkach, bez możliwości regeneracji sił, wykurowania porażeń. W zaciętej walce udało się im wybić wszystkich, którzy wdarli się na palisadę, poodpychać drabiny i ponownie zarzucić spiętrzone u podnóża wału gromady atakujących pociskami. Szturm został

odparty, z niewielkimi stratami. Ze strategicznego punktu widzenia skazani byli po kilku, kilkunastu dniach na zagładę. Zabraknie żywności, zabraknie pocisków, a co najważniejsze – ludzi. Strat nie było jak uzupełniać.

Podobnie przedstawiała się sytuacja na południowym odcinku. Atak również odparto, pomimo że Lutycy rzucili do natarcia o wiele więcej wojowników niż obodryccy rebelianci na ich odcinku szturm na wały.

Gromosław pobiegł na drugą stronę palisady, napotkał spoconego od walki Żelentę.

– Jak myślisz, zaatakują ponownie jeszcze dzisiaj? – zapytał.

– Wątpię. Rebelianci i Lutycy wypróbowali tylko nasze możliwości. Prawdziwe niespodzianki zaczną się dopiero od jutra.

Wieczorem obrońcy zebrali się tradycyjnie w hali.

Tym razem Żelenta przywołał Gromosława z przyjaciółmi, by dosiedli się do stołu Mścislawa. Na ponowne zapytanie Randulfa Mścisław opowiedział historię uratowanej z Mechlina księgi, tej z tajemniczym pismem. Historia okazała się bardziej śmieszna, niż tego oczekiwali.

Przed wielu laty, jeszcze za rządów Mściwoja, doniesiono, że po osadach południowego obrzeża państwa Obodrytów krąży nieznany nikomu człowiek, twierdzący, że jest prorokiem prawdziwej religii. Wzniecił zamieszanie zarówno pośród kapłanów starych wierzeń, jak i wśród duchownych chrześcijańskich. Lud po wsiach zaczął się gromadzić na jego wystąpieniach i przemowach. Oczywiście, jakżeby oczekiwać czego innego, nawoływał do zerwania z wszelkimi dotychczasowymi wierzeniami i wymówienia posłuszeństwa księżom i pogańskim kapłanom. Odczytywał objawienia z tajemniczej księgi. Wysłany z Mechlina oddział dopadł go pod Łączynem i postawił przed oblicze Mściwoja. Ówczesny biskup Unwan zarządził przeprowadzenie procesu. Ale najwięcej trudności sprawiała owa księga, z której samozwańczy prorok czerpał swoje przemówienia. Nikt nie

potrafił jej odczytać. W trakcie procesu poddano go torturom, ciężkim, bolesnym torturom, na których wyjawiał całą prawdę. Księgę napisał sam, kreśląc i mażąc według własnego kaprysu dowolne znaki, tak by sprawiało wrażenie pisma. Podczas przemówień udawał jedynie, że z niej czyta. Powieszono go na rynku w Mechlinie. Księgę odesłał Mściwoj do schowka, by służyła jako namacalny dowód oszustwa. Cała tajemnica.

– Szaleniec – skomentował Randulf.

– Mało to szaleńców pałęta się po świecie? – spytał filozoficznie Mścisław.

Gromosław zmienił temat, odważywszy się zadać Mścisławowi pytanie, które dręczyło ich wszystkich po tych kilkunastu dniach pobytu na ziemi Obodrytów.

– Mścisławie, nurtują nas wątpliwości i nieдомówienia, widzieliśmy i przeżyliśmy w twoim państwie niewytłumaczalne zdarzenia, eee...

– Gromo, zapytaj krótko i zwięźle. – Bernard przyszedł mu w sukurs. – Jak doszło do takiego upadku?

– Przecież wasza siła militarna, gdybyście działali w zjednoczeniu, z powodzeniem oparłaby się zakusom wszystkich sąsiednich potęg... – podjął Czambor. – I ta ilość kościołów, no teraz już zniszczonych, ale jednak...

Mścisław przerwał mu, podnosząc rękę.

– Pozwólcie, że mój wnuk wam nieco wyjaśni.

Zdziwili się, cóż może im mądrego wyjawić osiemnastolatek. Niezależnie od tego, po raz pierwszy usłyszeli Gotszalka, który do tej pory ani razu nie zabierał głosu.

– Posłużę się ukazaniem różnic pomiędzy nami w porównaniu do waszego państwa i waszej dynastii – rozpoczął rozważnym, spokojnym głosem Gotszalk. – I nie trzeba tu niczego rozwlekle wyjaśniać. Piastowie,

gdy w poprzednich pokoleniach dochodzili do władzy i scalali tereny polskich plemion, wybili bezlitośnie wszystkie lokalne dynastie na zajmowanych terenach. Albo zniewolili je na tyle, że słuch o nich zagał. Na zawsze, wymazano z pamięci ich imiona. Zajęta ziemia należała do piastowskiego władcy państwa i to on decydował, kogo i z jakimi uprawnieniami posadzić na niej w roli namiestnika. Natomiast moja dynastia, Nakonidzi, jak ją teraz zwa, poszła innym śladem. Podbite tereny zostawiali dalej pod władaniem lokalnych dynastów, zadowolając się jedynie hołdem poddańczym. Do czego to doprowadziło, sami mieliście okazję zaobserwować. Kolejna, również istotna różnica dotyczy religii. Już pradziadek waszego Bolesława przeprowadził brutalną akcję wybicia kapłanów we wszystkich okręgach pogańskich kultów. Nie zniszczył wiary, nie, ale wyeliminował skutecznie kapłańskie kasty. Od tamtej pory o wszystkim decydował wyłącznie on sam, opierając się na wąskim gronie zaufanych doradców. Chciał iść na wojnę? To szedł, bez pytania o radę kapłanów. To był ten moment, w którym Lutycy w Radogoszczy wypowiedzieli wam śmiertelną wojnę po wsze czasy. Ta nienawiść trwa do dzisiaj. Później, gdy Mieszko, ojciec Bolesława, wprowadził do Polski chrześcijaństwo, miał o wiele łatwiejszą sytuację niż my. Lud przymusił do nowej wiary siłą lub perswazją i nie groziły mu mactwa kapłańskich sekt pogaństwa. U nas inaczej. Już Nakon postanowił nie wypleniać pogaństwa na siłę, nie niszczyć oligarchii kapłanów starej wiary, lecz usiłował lawirować między starym a nowym. Tak też czynił mój dziadek. – Gotszalk bez ceregieli wskazał na Mścislawa. – I tym to się skończyło.

Po jego ostatnich słowach siedzieli w milczeniu, nie waząc nawet słowem się odezwać. Ten młodzieniaszek niemal publicznie, w obecności swego dziadka, było nie było, nadal jeszcze oficjalnie króla Obodrytów, wypomniał mu bez żenady karygodne błędy. Niespotykane.

Mścisław nie reagował, zastygł we własnych rozmyślaniach. Dopiero, gdy się zorientował, że wszyscy w milczeniu oczekują jego odpowiedzi, wzruszył jedynie ramionami, mówiąc:

– No to będzie inaczej, może faktycznie lepiej, gdy Gotszalk dojdzie do władzy? Nie wiem, dużo w tym racji, co powiedział. Dla mnie teraz najważniejszym jest to, by zachować ciągłość dynastii. A jak poradzą sobie z problemami Przybysław, a po nim Gotszalk, na to nie mam wpływu.

Porozchodzili się na spoczynek. Przy stole pozostał jedynie Żelenta i Mścisław.

Randulf udał się do sypialni Suanhildy.

Bernard zagadnął Gromosława, nim skierowali się do swoich komnat:

– Nasz Randulf ma nową miłość. Zobaczymy na jak długo.

– Zostaw go na razie w spokoju – odrzekł Gromosław. – Żadnych uszczypliwych czy sprośnych przycinek. Poczekajmy, aż sam nam się pochwali.

– To się Zygfryd ucieszy. – Bernard nie powstrzymał się jednak przed ironiczną uwagą.

Po jakimś czasie Randulf powrócił do hali, zadowolony wielce, nucąc pod nosem jakąś melodię. Zauważywszy Mścisława i Żelentę nadal pochylonych i rozmawiających w skupieniu, podszedł i nonszalancko spytał:

– Nie przeszkadzam? – Po czym nie czekając na odpowiedź, nalał wina do pucharu, wzniosł sam bezgłośny toast i rzekł: – Sami jesteśmy, nie musicie cichaczem wielkich planów omawiać.

Mścisław roześmiał się.

– Udała się Bolesławowi ta specjalna drużyna, udała.

– Zapomniałeś już o naszych wyczynach w młodości? – spytał go Żelenta.

– To opowiedzcie coś zajmującego z tamtych czasów – poprosił Randulf. – Kiedyś, jak już miecza nie zdołam ze starości udźwignąć, będę spisywał historie.

Mścisław i Żelenta spojrzeli na siebie.

– Czemu nie, młodzieńcze – zgodził się Mścisław.

I opowiedzieli mu epizod z ich młodości.

* * *

Dzień trzeci oblężenia, jedenasty lutego.

Przepowiednia Żelenty sprawdziła się. Na obu odcinkach wałów.

Rebelianci ruszyli do szturmowania podobnie jak poprzedniego dnia, krótko po świtaniu. Tak to wyglądało na początku. Z czasem jednak Czambor zauważył, że coraz więcej wojowników, nie zaprzatając sobie głowy kotłowaniną pod bramą i dramatami na drabinach, podąża wąskim pasem wzdłuż wałów w kierunku niższych obwarowań większej części wyspy, tam gdzie nie było żadnych zabudowań oprócz szop. Gdy zdał sobie z tego sprawę, było już niemal za późno. W ferworze walki jakoś nikt inny nie zwrócił na to uwagi.

– Benno. – Czambor szarpnął Bernarda za ramię. – Tam, na tych mniejszych wałach, są jakieś załogi?

– Tylko patrole, bo... – Bernard nie zdążył nic więcej dodać, spoza palisady wyłoniło się naraz trzech wojowników.

Jeden próbował przebić go włócznią, ale chybił, drugi i trzeci wskoczyli na rampę. Czambor przepołowił pierwszemu toporem bark niemal po płuca i zdenerwowany utknięciem obucha złapał pod pachy drugiego, który już mierzył nań mieczem, i przechylił przez palisadę. Bernard temu, który zamierzał się na niego włócznią, wbił miecz w środek brzucha. Wyjął szybko ostrze z trupa i ciął z zamachem po nogach tego, co zmagął się

z Czamborem. Pozbawiony lewej nogi wojownik poleciał na dół za palisadę. Teraz dopiero Czambor podszedł do zabitego przed chwilą przeciwnika i wyrwał z trupa swój topór.

Bernard obtarł pot z czoła.

– Czego pytasz? Widzisz, co się dzieje.

– Tam będzie zaraz jeszcze gorzej się działo! – krzyczał Czambor. – Daj znać pozostałym, zbierajcie ludzi, ilu się da, ja już biegnę w stronę pustej części grodu!

Po drodze Czambor zdołał zgromadzić kilku rycerzy, pognali wspólnie. Na wały wdzierali już się pierwsi wojownicy, wybijając bezlitośnie zaskoczony kilkuosobowy patrol. Czambor wpadł pomiędzy nich podobny rozjuszonemu żubrowi. Walcząc toporem, zadawał ciosy to obuchem, to styliskiem niczym taranem. Nadbiegła z nim grupa rycerzy walczyła z nie mniejszą zaciętością, ale znajdowali w mniejszości i impet uderzenia z zaskoczenia powoli mijał. Rycerz obok Czambora padł z twarzą zalaną krwią, uderzenie miecza rozpołowiło mu hełm i niemal otworzyło czaszkę. Czambor, czyniąc krok do tyłu, potknął się o niego i padł na plecy. Przeturlał się na bok, w ostatniej chwili unikając dźgnięcia włócznią, przeturlał się jeszcze raz, chcąc umknąć z pola rażenia broni przeciwnika. Nie zdążył, ostrze przebiło mu wysoką rękawicę i zagłębiło się poniżej łokcia. Napastnik szykował się do wyszarpięcia włóczni, by zadać mu ostateczny cios, lecz nagle zamarł w bezruchu. Z płuc wystawał mu bełt strzały. Czambor zerwał się, rycząc z bólu. Za nim dobiegali Bernard i Randulf z kolejnymi wojownikami wsparcia. Na wspięciu wałów Wojomir, Chyżon i jeszcze kilku słali strzała za strzałą. Przedarcie przez palisadę załamało się, szturmujący zostali wyparci.

Czambor przysiadł, szarpiąc rękawicę zębami, odwijał z uwolnionej ręki rękaw. Rana nie była głęboka, na szczęście, ale piekła boleśnie.

Poruszył ostrożnie palcami, miał czucie. Chyba nie naruszył kości, przekłębik. Że też ja wczoraj tyle wina wychlałem, kołatało mu się w głowie, i jeszcze jakieś przedziwne sny mnie męczyły. Dobrze ci, Czambor, masz za swoje, teraz refleksu w bitwie zabrakło, tak? W dole, na pustym terenie dojrzał Gromosława w towarzystwie kilkunastu innych rycerzy popędzających konie w kierunku płonących szop. No tak, okazało się, że rebelianci nie bez powodu zaatakowali tutaj. Ich zamysłem było podpalenie składowanej w szopach paszy dla koni.

Gaszenie pożarów nie przyniosło sukcesu, spłonęły zapasy.

– Jak tu dłużej zostaniemy – komentował Wojomir – to możemy zacząć jeść konie. I tak zaczną niedługo padać z głodu.

Nadszedł Żelenta. Bernard zdziwił się, dlaczego opuścił południowy odcinek. Walka nie potrwała długo, relacjonował Żelenta, Lutyacy przygotowali niespodziankę, zresztą niech się sami przekonają naocznie. Zanim za nim podążyli, Gromosław nakazał jeszcze, by wąski pas między podstawą obrzeża wału a wodą jeziora zarzucić na kilku odcinkach zwałami ziemi zniesionej z grodu i niepotrzebnymi śmieciami. Następnym razem, jeśli napastnicy spróbują się tędy precyzyjnie, wystawieni będą na ostrzał z łuków podczas pokonywania przeszkód.

Żelenta miał rację, aż im szczęki opadły, gdy spojrzeli we wskazanym kierunku. Sponad korony lasu na obrzeżu grobli wystawała konstrukcja wieży oblężniczej. Wolno, bardzo wolno sunęła w kierunku grobli.

– Jak oni tego dokonali? – Randulf nie krył podziwu.

– Ty nadal uważasz Lutyków za bezrozumnych barbarzyńców? – W głosie Wojomira wyczuć można było lekką dumę.

– Przytargali wszystko ze sobą. – Żelenta nie krył podenerwowania. – Cały potrzebny materiał budowlany i akcesoria. Od początku planowali szturm na Zwierzyn, szturm jak się należy. Dlatego przypuścili dzisiaj

nietypowe natarcie. Zajęli nas na koronie głównie po to, by odciągnąć naszych łuczników. W międzyczasie gorączkowo ulepszali nawierzchnię grobli.

– Kiedy ruszą? – przerwał mu rzeczowo Gromosław.

– Niebawem – odparł Żelenta.

– Ściągnę naszych Polaków tutaj – oświadczył Gromosław. – Po północnej stronie rebelianci wycofali się po pierwszym szturmie. Zostawię jedynie patrole, powiadomią, gdyby zaszła potrzeba, ale powinni nam dać dzisiaj spokój, ponieśli duże straty.

Pojawił się Mścisław.

– Co na waszym odcinku?! – zawołał za Gromosławem.

– Straciliśmy całą paszę dla koni. Jak rzekł Wojomir, możemy zacząć jeść konie.

Czambor pobiegł za Gromosławem, oświadczając, że zaraz wróci, ranę chce opatrzyć przed dalszą walką.

Mścisław zbladł, zbliżył się do Żelenty i rzekł półgłosem:

– Wcześniej, niż myślałem.

– Nie ma wyjścia – odparł stary wojak. – Lotar nadejdzie czy nie, najpóźniej pojutrze nasz ostatni bój.

Obrońcy obserwowali z napięciem powoli sunącą wieżę. Niezwykle przemyślana konstrukcja. Sama wieża, kwadratowa, pojemna i wysoka, bardzo wysoka, przewyższała koronę palisady wałów. Zamocowana była na ośmiu wielkich kołach przykrytych ochronnymi klapami, po cztery na każdą stronę. Od tyłu dołączono do niej podłużną przybudówkę, tak samo szeroką, długą na ponad trzydzieści kroków, również na kołach, tyle że o wiele, wiele mniejszych. Obita była całkowicie dechami i pokryta warstwami namoczonych skór. W przybudówce szło czternaście turów z poganiaczami, po dwa tury w zaprzęgu, pchających monstrualną wieżę do

przodu. Może Lutyce zbudowaliby jeszcze dłuższą dobudówkę, na więcej turów, ale nie zezwalała na to szerokość grobli. Długość dobudówki została tak obliczona, by można ją było swobodnie obracać, głównie dla spędzania turów na ląd na noc. Bernard zażartował, że z daleka całość przypomina niewysoki, podłużny kościół z dużą wieżą.

Wieża dotarła do połowy grobli. Zatrzymała się, z lewej i prawej strony wyskoczyli wojownicy, przeglądając z uwagą drogę. Coś musiało ich zatrzymać, jakaś nierówność, wgłębienia. Natychmiast z palisady posypały się strzały w ich kierunku. Dwóch padło trupem, trzeci ześlizgnął się do jeziora. W odpowiedzi z obu stron wieży biegła do natarcia lutycka piechota. Zaczęło się na nowo, będą tak długo szturmować zacięcie na wały, aż nie poprawią drogi.

Czambor i Gromosław powrócili, przyprowadzając większość Polaków z północnego odcinka. Włączyli się spieszenie do walki. Wieża nadal stała w miejscu, na drodze przed nią pracowano pieczołowicie nad poprawą nawierzchni.

Gromosław wsparł się belką o wystającą ponad palisadę drabinę, począł z całych sił napierać. Doskoczył do niego Czambor, by mu pomóc.

– Łokieć już w porządku? – zapytał Gromosław.

– Trochę tylko piecze – odparł Czambor.

Zdołali odepchnąć czub drabiny na pół kroku od palisady. To wystarczyło, sama drabina nie straciła stabilności, ale chwiejąc się na wszystkie strony, postrącała wspinających się po niej wojowników jak potrząsane drzewo gruszki. Gromosław wsunął miecz do pochwy, doskoczył do palisady, chcąc ocenić efekt. Wychylił się zaciekawiony daleko poza obręb. Ręka z dołu uchwyciła go za pęk włosów rozwianych spod hełmu. Jednak któryś z upartych wojowników utrzymał się na samej górze drabiny. Wojownik pociągnął z całej siły za włosy, Gromosław

z rwącego głowę bólu wrzasnął przeraźliwie, impulsywnie zamachał rękoma, trafił wojownika pod brodę, ten stracił przytomność i runął bezwiednie w dół. Pociągając za sobą Gromosława.

– Nieee! – zakrzyknął tubalnie Czambor. – Gromo wypadł za palisadę!!! Benno!

Wsunął topór za plecy, doskoczył do drabiny, która ponownie dotykała palisady i skoczył na szczeble, zsuwając się niemal na dół. Prawie równocześnie Bernard odciął mieczem duży hak od liny, służący do zaczepiania drabin wzdłuż wałów, rzucił miecz za palisadę i wyskoczył. Ukośny spad wału zezwalał mu na zaczepianie haka i opadanie skokami w dół. Za Czamborem wyskoczył Randulf, wybierając tę samą drogę co gdańszczanin.

Gromosław na szczęście odbijał się kilkakrotnie o stosunkowo miękką nawierzchnię wału zanim spadł na ziemię. Zawył z bólu rozchodzącego się od lewej kostki albo łydki. Nie mógł się podnieść, z naprzeciwka od strony grobli biegło w jego kierunku dwóch wojowników. Gromosław przeturlał się na prawy bok, teraz zdołał wyszarpnąć miecz z pochwy. Przyklęknął na prawe kolano, lewą nogą wyprostowaną na bok starał się instynktownie nie opierać o ziemię. Pierwszy z wojowników już go niemal dopadał. Gromosław wychylił się jak najbardziej do przodu, zaciskając z bólu zęby, i ciął mieczem niewysoko nad ziemią. Przeciął mu obie łydki razem z cholewami wysokich butów. Drugi wojownik zatrzymał się przerażony na jedną, dwie sekundy, po czym z wściekłym okrzykiem doskoczył do Gromosława i zamierzył się mieczem od góry. Nagle padł obok ze strzałą wbitą od góry w spojenie szyi z barkiem. Wojomir na palisadzie naciągał ponownie cięciwę, krzycząc do Chyżona:

– Osłaniaj naszych na dole, strzelaj do tych z tyłu za nimi!

– Cięciwa pękła! – zawołał Chyżon, łapiąc się z bólem za ucho.

– Durniu! – wrzasnął Wojomir. – Mało tu łuków się wala?!

Czambor, Bernard i Randulf ustawili się w linii, gotując się na odparcie nadbiegających wojowników.

– Gromo! – krzyczał za siebie Bernard. – Co z tobą!?

– Kostkę chyba skręciłem, nie mogę powstać!

Obok Wojomira pojawił się Żelenta. Spojrzał w dół, oceniając błyskawicznie sytuację.

– Do mnie! Do mnie, jazda! – zakrzyknął, zbiegając rampą na dół w stronę bramy. Pobiegł do stajni, dosiadł konia i wyskoczył na zewnątrz na wierzgającym zwierzęciu. Przed bramą wrzasnął na wartownika: – Otwieraj! Natychmiast!

Za Żelentą zbierała już się konno polska jazda, około dwudziestu. Wartownik rozwarł jedną połowę bramy, ledwo zdążywszy uskoczyć przed rozpędzonymi końmi. Jeźdźcy z Żelentą na czele wypadli, nabierając tempa, na stłoczoną masę lutyckich wojowników zmierzających w kierunku grupy Gromosława.

– Polska! – zawołał donośnie Żelenta.

– Sława! – odkrzyknęli jeźdźcy.

Uderzenie było straszliwe. Tarcze, miecze, włócznie, odrąbane części ciał fruwały w powietrzu. Słynna piechota Redarów nie utraciła wprawdzie szyku, ale poczęła się nieubłaganie wycofywać powolnym krokiem, zostawiając przed sobą zmasakrowane trupy poległych.

Czambor z Randulfem podnieśli rannego Gromosława, wsparli mu ręce na własnych ramionach i pomagali skakać na jednej nodze w kierunku bramy. Bernard ubezpieczał ich z wyciągniętym mieczem, od góry na palisadzie czuwali Wojomir i Chyżon z napiętymi łukami. Prawie doszli do bramy, Gromosław uratowany.

Gromo stojący na jednej nodze i oparty o ramiona Czambora i Randulfa, obok Bernard, obserwowali amok Żelenty z na wpół otwartymi ustami.

Tymczasem Żelenta szalał. Napierał kopytami spienionego konia na tarcze Redarów, siekał mieczem. Co rusz któryś z Redarów padał martwy przed cofającym się wolno szeregiem. Niektórzy próbowali nakłuć konia Żelenty włóczniami, na nic. Pledy z grubej skóry pokrytej waciakiem chroniły zwierzę przed ostrzami. Niepohamowanego Żelentę asekurowali po obu stronach pozostali jeźdźcy. Raptem szeregi Redarów rozstały się nieco, a na środek wystąpił potężny wojownik, chyba o głowę wyższy od Czambora. Młody, tryskający siłą i mocą. W krótkim pancerzu do pól bioder, z głową wilka narzuconą na hełm. Uzbrojony jedynie w miecz, bez tarczy.

– Stań do pojedynku, starcze! – zakrzyknął.

Żelenta powstrzymał tańczącego konia, spojrzał na wojownika. Zsiadł, przekazał lejce rycerzowi obok.

– Odejdźcie na kilka kroków, ale napijcie łuki – rozkazał. – Starcze, rzekłeś? – zwrócił się do młodego Redara.

– Honorowo – odparł wojownik. – Nikt nie ma prawa się wmieszać.

Żelenta odrzucił płaszcz i tarczę. Stał w pozycji z mieczem przechylonym ostrzem ku ziemi.

– Waleczny jesteś?

– Najmężniejszy z wszystkich Redarów.

– A matka i ojciec wiedzą, że z kołyski uciekłeś? – pytał Żelenta.

– Będiesz się mieczem podpierał, by nie upaść, staruszku? – Wojownik nie skrywał pogardy.

– Nareszcie Bóg zesłał mi coś, co nie kuli się ze strachu na mój widok. – Polak skierował twarz ku niebu, z wdzięcznością.

– Pamiętajcie – zwrócił się do swoich wojownik – gdy go zabiję, reszta ma prawo wycofać się do bramy.

Skrzyżowali miecze. Początkowo wojownik napierał zapalczywie, pewien swojej przewagi. Po jakimś czasie pot wystąpił mu na czoło, obojętnie jakich uderzeń, jakich wybiegów próbował, przeciwnik parował go ze spokojem, cofając się krok po kroku. Wojownik zamarkował uderzenie z góry, obrócił się błyskawicznie wokół własnej osi i, schodząc w trakcie obrotu do przysiadu, ciął na wysokości kolan. Żelenta zawczasu odskoczył z lekkością w bok i ciął wojownika przez lewe ramię. Ale nie poszedł za ciosem, odczekał, aż wojownik powstanie i przyjmie ponownie pozycję. Z nadszarpniętego ramienia sączyła mu się strużka krwi. Nie bacząc na ranę, Redar ponownie przeszedł do ataku. Tym razem Żelenta odparował, nie cofając się. Raptem zmienił taktykę uderzeń. Mieczem oburącz zaczął rąbać wojownika z góry z niespotykaną prędkością, dając mu jedynie czas na osłonę. W końcu trafił go w bark po prawej stronie. Wojownik upuścił mimowolnie miecz i opadł na lewe kolano.

– Chcesz zginać szybko? – zapytał go Żelenta.

– Ktoś ty? – spytał wojownik.

– Żelenta Henryk, polski wojownik, którego nikt nigdy nie pokonał. – I wbił mu niemal pół ostrza od góry przez spojenie szyi do serca.

Wyszarpnął miecz, martwy Redar opadł na bok. Żelenta pochylił się, zdjął mu wilczy łeb z głowy i nałożył sobie na hełm. Z rozpostartymi ramionami, trzymając miecz w prawej ręce, zbliżył się do szeregu Redarów.

– To wszystko, co możecie mi wystawić? – kpił Żelenta. – Nie mówili wam wasi zapłuci kapłani, że dzisiaj wszyscy zginiecie?

Redarowie trwali w bezruchu, z zastygłymi twarzami.

Żelenta zawrócił w kierunku swoich. Przechodząc obok martwego wojownika, odwrócił się raz jeszcze do Redarów i rzekł:

– Sprawcie mu godny pochówek. Zasłużył na pamięć.

Żelenta kroczył wolno, spokojnie w kierunku bramy. Po obu stronach ustawił się szpaler polskiej jazdy. Wszyscy przyłożyli miecze w górę rękojeściami przy sercach.

Za bramą czekał na niego Mścisław.

– Nie rób takiej zatroskanej miny – rzekł mu Żelenta. – Pamiętasz, co nam kiedyś eremita w Kalabrii przepowiedział? Ja nie zginę we własnej obronie, ty na koniec będziesz służył królowi potężniejszemu od wszystkich razem wziętych.

Gromosława odprowadzono do medyka. Przyjrzał się urazowi, nakazał innym przytrzymać mocno rannego i jednym energicznym ruchem, jednym pociągnięciem za stopę ułożył na miejscu zwichnięcie. Jutro będzie już normalnie chodził, zawyrokował.

Obroncy zebrali się na koronie palisady, dyskutując o zaszłych wypadkach. Lutyicy nadal naprawiali drogę, osłoniwszy miejsca robót spiętrzonymi tarczami.

– Jeżeli nie dzisiaj, to najpóźniej jutro ruszą naprzód z tą wieżą – zauważył stojący między nimi Mścisław.

– Musi być jakiś sposób na zatrzymanie jej albo zniszczenie – rozważał Bernard.

– Jaki? – Mścisław nie krył sarkazmu.

Wojomir przyglądał się krzątaniu Lutyków, mocno zatopiony w rozmyślaniach. Rozglądał się po okolicy, mierzył na oko odległości... coś zaprzętało mu umysł.

– Pogoda ich zatrzyma – oświadczył wreszcie pewny siebie. – Jeszcze dzisiaj nadejdą potężne burze i wichury. Wody rzek podniosą się znacznie, tym samym wzrośnie poziom wód w jeziorach, przez które płyną. Ta grobla może na czas jakiś całkowicie zniknąć pod powierzchnią wody, rozmięknie,

miejscami pozapada się. Jeżeli będziemy mieli szczęście, to utkną na całe dni z popychaniem wieży.

– Całe dni – powtórzył Mścislaw. – To oznacza dla nas śmierć głodową i utratę koni.

Wkrótce poczęła się sprawdzać prognoza Wojomira. Zerwał się silny, porywisty wiatr, przybierający na sile. Fale na jeziorze podniosły się, plaskając z hukiem o groblę. Woda przelewała się przez wał. Lutycy natychmiast odcepili dobudówkę od wieży, obrócili do tyłu długi zaprzęg turów i poprowadzili je w kierunku stałego lądu. Dla obrońców oznaczało to, że mają spokój co najmniej do następnego dnia.

Obrońcy grodu zeszli do hali jadalnej wcześniej niż zwykle, późnym popołudniem, przed nadejściem wieczornego zmierzchu. Sala wypełniona była po brzegi, Gromo i przyjaciom musiano znieść dodatkowy stół. Nie zauważyli Mścislawa i Żelenty, ponieważ ci zamknęli się z Gotszalkiem w komnacie audiencyjnej.

– Niewątpliwie spiskują – zauważył Bernard. – Plany obmyślają.

– Wiele opcji nie mają. – Randulf nie krył sceptycyzmu.

– Gromo, jak noga? – zwrócił się do przyjaciela Bernard.

– Medyk naciągnął staw i zaleczył. Lekko boli, ale mogę chodzić.

– Skakanie poza palisadę, tego jeszcze nie było – stwierdził Czambor.

– Chyżon, co z twoim prawym uchem? – zapytał ze zdziwieniem Gromosław. – Wygląda jak duży płat czerwonej sałaty.

– Uważaj Chyżon na zające, bo ci ucho odgryzą – dogryzł Chyżonowi Bernard.

Roztoczanin nie reagował na zaczepki.

– Czambor, twój giermek ogłuchł. – Randulf podjął zaczepkę Bernarda.

– Nie ogłuchłem. Nie jestem niczym giermkim – odezwał się nagle Chyżon.

– Słyszysz – rzekł z udawanym zdumieniem Randulf.

– Może przeszedł na giermkowanie Wojomirowi? – rzucił Gromosław.

– Pęknięta cięciwa zraniła mu ucho – oznajmił Wojomir.

– Do wieczora jeszcze sporo czasu – orzekł fachowo Randulf. – Macie ochotę na dłuższą opowieść? O wyczynach Mścislawa i Żelenty z czasów, gdy byli jeszcze młodszy od nas?

Mieli ochotę. Rozsiedli się wygodniej i wsłuchali w opowieść Randulfa.

Przed wieloma, wieloma laty, w 982 roku, cesarz Otto zwany Drugim pociągnął przez Alpy do Włoch z wielką wyprawą wojenną przeciwko Saracenom, którzy z Sycylii najeżdżali ustawicznie księstwa Longobardzkie i tereny Bizantyjskie w Kalabrii i Apulii... Z całego cesarstwa ściągali kontyngenty jazdy, przeważnie ciężkozbrojnej. Kilkanaście tysięcy jazdy. Pierwszy punkt mobilizacyjny znajdował się pod Rzymem. Czekano nadal na ściągające przez Alpy kontyngenty. W otoczeniu Ottona przebywała jego małżonka, cesarzowa Theophanu. Tymczasem w Saksonii książę Bernhard głowił się nad zmobilizowaniem wymaganej przez cesarza liczby jazdy. Z pomocą przyszedł mu król Obodrytów, Mściwoj. W zamian za rękę córki księcia dla swojego syna, osiemnastoletniego Mścislawa, zaoferował wsparcie w postaci jednego tysiąca najprzedniejszej obodryckiej jazdy ciężkozbrojnej. Zawarli układ i Mścisław wyruszył na czele jazdy do Rzymu. Tam zaprzyjaźnił się ze starszym od niego o rok Żelentą. Żelenta należał do świty cesarza, przy jego boku zarówno pełnił rolę rycerza do specjalnych zadań, jak i reprezentował interesy polskiego władcy, Mieszka, na cesarskim dworze.

Z Rzymu armia cesarska wzmocniona kontyngentem Obodrytów podążyła na południe Włoch. Dotarli pod Tarent, znajdujący się w rękach

Bizancjum, otoczyli to wielkie i starodawne miasto portowe kręgiem oblężenia. Do armii ściągnęły kolejne posiłki, kontyngenty możnowładców świeckich i duchownych z południowych Niemiec. Oprócz nich pod Tarent zjechały posiłki longobardzkiego księstwa Benewentu, lennika cesarstwa. Przyprowadzone przez wdowę po Pandulfie Żelazna Głowa, Aloarę, i jej trzech synów, książąt: Landulfa, Atenulfa i Landenulfa. (W tym miejscu Randulf uzupełnił z dumą, że Landulf był jego dziadkiem). Aloara i Landenulf po odnowieniu przed cesarzem hołdu lennego powrócili do Benewentu. Landulf i Atenulf pozostali w obozie, dowodząc longobardzką jazdą. Po dwóch miesiącach Tarent poddał się cesarzowi.

Stamtąd ruszyli dalej na południe. Pod Rossano Mścisław i Żelenta rozbili kompletnie obodrycką jazdą trzykrotnie silniejszą armię elitarniej muzułmańskiej piechoty. Dowodzący Saracenami emir Sycylii Abu al-Kasim wycofał garnizony z zajętych uprzednio warowni pod Crotone, gdzie sam na czele wielkiej armii oczekiwał na nadejście cesarza. Piętnastego lipca armia Ottona doszła pod Crotone. Osiemnaście tysięcy ciężkozbrojnej jazdy chrześcijańskiej Europy przeciwko prawie dwudziestu pięciu tysiącom Saracenów. Emir rozstawił armię w bloki obronne, w wąwozach niedalekich wzniesień schodzących do morza ukrył pięciotysięczną rezerwę doborowej jazdy. Cesarz dał sygnał do natarcia, lawina żelaza ruszyła, rozpędzając konie, na pozycje przeciwnika. Impet uderzenia nacierających był straszliwy, rozerwano pierwsze linie obronne, jazda wdarła się głęboko w centrum, w pobliże stanowiska emira. Mścisław i Żelenta walczyli u boku cesarza. W krwawym i okrutnie zaciętym boju zabito emira. Wtedy poczęły się kruszyć saraceńskie formacje, oddziały porzucały pole walki, uciekając w kierunku wspomnianych wzniesień. Zwycięstwo było pełne, pole bitwy usiane tysiącami poległych lub poranionych Saracenów. Rycerze

poczęli zsiadać z koni, zdejmować zbroje nieznośnie ciężące w panującym skwarze, wielu przystąpiło do rozstawiania namiotów.

Cesarz wysłał Żelentę nad pobliski brzeg morza oddalony zaledwie o kilkaset metrów, gdzie w jednej z zatoczek cumowały opłacone przez cesarza trzy duże bizantyjskie galery wojenne, chelandiony. Żelenta miał sprowadzić galery w pobliże miejsca bitwy dla załadowania zdobyczy i rannych, których zamierzano przetransportować jak najszybciej do Rossano, gdzie pod opieką biskupa oczekiwała Theophanu z dwuletnim następcą tronu, maleńkim Ottonem.

Ledwo Żelenta zniknął nad zatoczką, stała się rzecz przez cesarskich strategów nieprzewidziana. Zza wzgórz wyskoczyła w pełnym galopie saraceńska rezerwa, owych pięć tysięcy jeźdźców, nacierając na zdeorientowanych i zupełnie nieprzygotowanych chrześcijan. Wraz z jazdą do natarcia parli również uciekinierzy z poprzedniego starcia, na nowo zmotywowani do walki. Zaskoczenie dla armii cesarskiej było okrutne. Większość nie zdążyła na czas dobyć oręża. Panika, chaos.

Saraceński oręż zbierał krwawe żniwo, zanim część rycerzy chwyciła za broń i poczęła organizować się w formacje obronne. Wtedy to z osłaniającego życie cesarza kontyngentu Obodrytów nie zachował się prawie nikt oprócz kilkunastu jeźdźców z Mścisławem na czele. To była prawdziwa masakra. Unicestwiona została większość cesarskiej armii. Kto mógł, ratował się ucieczką, przeważnie w kierunku Rossano. Tam też podążył Mścisław.

Tymczasem cesarz dotarł do brzegu z garstką rycerzy. Odesłał ich brzegiem w północnym kierunku, sam zaś oczekiwał na brzegu w towarzystwie Kalonymosa, kupca z szanowanej i od dawna osiadłej żydowskiej rodziny z Moguncji.

Na horyzoncie pojawił się chelandion, jeden z tych, które miał sprowadzić Żelenta, poruszany wiosłami zbliżał się wolno w kierunku brzegu. Musiał przystanąć w sporej odległości od brzegu ze względu na niskie wody. Cesarz rozebrał się i rzucił do morza, płynął w kierunku galer. Dotarł w pobliże, ale kapitan odmówił wzięcia go na pokład. Cesarz zawrócił do brzegu. Wtedy dojrzał drugą galerę. Chciał ponownie rzucić się do morza, lecz powstrzymał go Kalonymos, który ofiarował mu własnego konia, by jak najszybciej i jak najdalej od brzegu popędził nim w kierunku galery. Na równinie pojawili się już jeźdźcy saraceńscy wypatrujący uciekinierów. Dostrzegli ich i skierowali konie w ich kierunku. Cesarz pędził na koniu najdalej, jak tylko mógł, aż głębia zmusiła go do porzucenia wierzchowca i pokonanie drogi do galery wpływ. W tym czasie Saraceni dopadli Kalonymosa na brzegu i ścięli mu głowę. Cesarz dopływał do galery. Znajdujący się na niej Żelenta przekonał kapitana do wzięcia rozbitka na pokład. Przebiegły bizantyjski kapitan domyślił się, kogo ma na pokładzie, i zamiast do Rossano postanowił dostarczyć cenną zdobycz do Konstantynopola, licząc na sowite wynagrodzenie z bizantyjskiej kasy. Żelenta obmyślił przebiegły plan uratowania cesarza i omówił go z Ottonem. Cesarz zaproponował kapitanowi, by dobili jednak najpierw do Rossano, gdzie zdeponował na brzegu wiele skrzyń ze skarbami, wypełnionych złotem i klejnotami, poza tym czekała tam na niego młoda i piękna małżonka z dwuletnim synkiem. Czyżby kapitan nie zrezygnuje z takiej zdobyczy, tak łatwo osiągalnej? Kapitan uległ pokusom. Galera zmieniła kurs na niedalekie Rossano. Gdy dopłynęli do miasta, cumując w stosownej odległości od portu, Żelenta został wysłany do cesarzowej dla przygotowania skrzyń ze skarbami do przeładunku. Tutaj nakreślił Theophanu zaistniałą sytuację i wprowadził w tajniki swojego planu. Służba zniosła nad brzeg dwanaście wielkich skrzyń i otworzyła wieka.

Zgromadzonym na galerze marynarzom i kapitanowi o mało co oczy nie wyskoczyły z orbit na widok tyłu bogactw. Dodatkowo obok skrzyń przystanęła Theophanu, kokietując obserwujących zwiewnymi szatami. Żelenta wraz z dwoma rycerzami udali się na galerę, niby w celu przyniesienia cesarzowi odpowiednich szat. Cesarz, udając, że chce się przebrać, poszedł na reling, wskoczył niespodziewanie do wody i dopłynął szczęśliwie do brzegu. Jednocześnie Żelenta i dwaj rycerze rzucili się z mieczami na załogę, powstrzymując ją przed strzelaniem z łuków do płynącego cesarza. Bronili się mężnie, spychani coraz bardziej ku dziobowi galery. Na koniec wszyscy trzej wskoczyli do wody i dopłynęli szczęśliwie do brzegu. Kapitan nie mógł powstrzymać ogarniającej go wściekłości, ale nie pozostało mu nic innego, jak podnieść kotwicę i popłynąć do Bizancjum...

– Tym sposobem Żelenta uratował cesarzowi życie – zakończył opowieść Randulf.

– Podobno – zagaił po dłuższej chwili milczenia Bernard. – Ten Żelenta, jak mawiali pokątnie na dworze cesarskim, miał romans z cesarzową Theophanu, gdy została wdową.

– Cóż w tym złego – zauważył Czambor. – Miłość nie wybiera między stanami urodzenia.

– Ale z cesarzową... – Obruszył się Bernard.

– Gdybym się zakochał w księżniczce, królowej czy cesarzowej odwzajemnioną miłością – oświadczył z przekonaniem Czambor – obojętna by mi była reszta świata z wszystkimi zakazami i nakazami.

* * *

Dzień czwarty oblężenia, dwunasty lutego.

Przez noc rozszalała się wichura. Minął poranek, a okolica nadal otulona była w ciemnościach zwalistych gęstych chmur przysłaniających niebo. O szturmach na wały nie było mowy, rozszalałe wody jeziora przewalały się przez groblę. Wieża chwiała się lekko na wszystkie strony, pozostawiona w tym samym miejscu od wczoraj.

Godzinę po śniadaniu straż na południowej palisadzie uderżyły na alarm. Chwymano za oręż, dopinano uzbrojenia, szybko wbiegano na rampy. Czyżby jednak Lutyacy poważyli się na natarcie? W tych warunkach?

Zebrani na wałach pokazywali sobie nawzajem coś na południowym zachodzie. Początkowo nieśmiałe okrzyki zamieniły się w ogólną wrzawę i wiwaty. Nieuczęszczaną groblą podążała w kierunku grodu jazda. Liczna, ciężkozbrojna, z powiewającymi nad nimi sztandarami. Saksonia. Nadchodził Lotar z odsieczą!

Rozwarto bramę, na palisadzie zebrali się wszyscy łucznicy, na wypadek gdyby Lutykom przyszło do głowy zapobiec dotarciu Saskończyków do grodu. Lutyacy jednak nawet nie wychynęli nosa z namiotów. Jedyne przy wieży wystawiono kilka tarcz.

Lotar przyprowadził sześciuset trzydziestu saskich ciężkozbrojnych jeźdźców. Natychmiast zwołano naradę. Randulfowi graf przekazał osobiste polecenie od cesarza. Przed ponad tygodniem Henryk rozesłał licznych gońców po marchiach, Połabiu i do Polski. Randulf ma natychmiast stawić się w Magdeburgu. Bezzwłocznie. Zmarł jego ojciec, Pandulf, księstwo objął we władanie jego brat Landulf, część władzy przekazana zostanie Randulfowi. Powstanie Melesa przeciwko panowaniu Bizancjum w południowych Włoszech, tak początkowo naznaczone sukcesami, popadło w impas. Nowy dowódca sił bizantyjskich, katepano Bazyli Boioannes, zaczął zadawać powstańcom dotkliwe klęski, wypierając ich z terenów Bari. Księstwo Benewentu i papież wspierali Melesa.

W Magdeburgu czekają na Randulfa dalsze instrukcje i listy oraz papieski wysłannik, a także przywódca normańskich najemników imieniem Rainulf Drengot, wynajęty na służbę przez papieża.

Niezależnie od wieści dla Randulfa, co teraz z Mścisławem w Zwierzynie?

Po przybyciu tylu konnych paszy nie wystarczy na wykarmienie wszystkich zwierząt, ostatnia słomka pożarta zostanie w południe.

Czyli przebijają się. Jeszcze dzisiaj, po krótkim odpoczynku dla świeżo przybyłych. Uderzą północną groblą, na stanowiska rebeliantów, a następnie prosto na zachód, do Saksonii. Rebelianci dysponują kilkoma tysiącami wojska, w tym prawie półtora tysiąca jazdy. Próba przebicia się jest zatem szaleńczym pomysłem, ale innego rozwiązania nie mają.

Łącznie z przybyłymi Sasami dysponują teraz jazdą w liczbie nieco ponad siedemset trzydzieści. Oprócz tego w grodzie przebywało kilka kobiet, dwóch księży i nieco służby. Prawie siedemset pięćdziesiąt ludzi, który należy wyprowadzić z grodu. Nie zapomniawszy czterdziestu rezerwowych koni i czterech wozów. Na jednym, lżejszym w konstrukcji, zaprzężonym w sześć koni małżonka i synowa Mścisława, jeden ksiądz, Fryderuna, Adelajda i Suanhilda. Na trzech pozostałych wozach, przystosowanych do ciężkiego transportu, skarbiec, dokumenty, precjoza i pamiątki dynastii, bagaże.

Fryderuna, Adelajda i Suanhilda uparły się, że dosiądą koni i chcą przy przebijaniu się pozostać w pobliżu grupy Gromosława.

Na krótko przed południem przygotowano wszystko do ewakuacji.

Rozwarto bramę i jazda ruszyła wzdłuż grobli do natarcia, licząc przede wszystkim na efekt zaskoczenia.

Szpicę natarcia prowadzili Mścisław i Żelenta, na czele resztek obodryckiej jazdy i drużyny Żelenty. Za nimi pięciuset saskich jeźdźców

z Lotarem. Środkiem wozy w otoczeniu jazdy polskiej dowodzonej przez grupę Gromosława. Kolumnę zamykało stu trzydziestu Sasów.

Przód natarcia dotarł prawie do końca grobli, zanim rebelianci zdążyli się połączyć. Jazda wpadła z rozpędem na zdeorientowane szeregi, sunęła bezlitośnie wzdłuż brzegu jeziora, rozpraszając namioty, gromady wojowników i tabuny oszalałych koni. Jednak impet uderzenia osłabł niebawem za sprawą bloków obronnych formowanych przez rebeliantów. Rozpędzone pierwsze zastępy jazdy zwalniały tempa, grzęznąc w gęstych szeregach tarcz i oszczepów. Rozgorzała bitwa. Krwawa i brutalna, w końcu uciekinierzy utknęli, sami przyjmując pozycje obronne. Spomiędzy przerw piechoty rebeliantów wychynęły oddziały konne, przypuszczając natarcie.

Gromosław i przyjaciele potracili w zgiełku konie, walczyli pieszo, ustawivszy kordon wokół wozów. Przed nimi i po bokach kłębiły się tłumy wrogiej piechoty i jazdy, z tyłu szumiało jezioro. Znowu znaleźli się w potrzasku, jak pod Grabami. Tyle że tym razem żadna Matylda nie nadciągnie z odsieczą.

Szpica przebijającej się jazdy również ugrzęzła w mrowiu przeciwnika. Grupa wojowników powystawiała z boków oszczepy i włócznie, celując w kopyta i boki pędzących koni. Koń Żelenty zapadł się przednimi kopytami, wyrzucając jeźdźca w górę do przodu, niczym z katapulty. Koń Mścisława padł z nadrażaną toporem głową, król Obodrytów zerwał się szybko na nogi, broniąc się zaciekle mieczem. Żelenta wylądował w tłumie wojowników, rozpraszając ich na wszystkie strony. Nie doznawszy żadnej szkody, wyrąbywał sobie drogę mieczem w kierunku Mścisława. W końcu się przebił. Stanęli obaj plecami do siebie, gotowi walczyć do końca. Celnie rzucona włócznia przebiła Mścisławowi na wylot prawe udo, przykleknął mimowolnie, nadal machając mieczem. Żelenta odwrócił się, sparował

uderzenie topora celującego w ramię Mścislawa, przejechał przeciwnikowi mieczem po gardle. Odwrócił się ponownie, uderzenie miecza z boku przebiło mu biodro. Żelenta jakby z niedowierzaniem, nie czując jeszcze bólu, spojrzął w dół na ranę, w tym momencie inny miecz nadrażał mu kark. Żelenta opadł na oba kolana, przeciwnik wbił mu miecz w płuca, niemal do połowy ostrza. Żelenta padł trupem obok leżącego Mścislawa, podpierającego się na lewym ramieniu. W tym momencie gdzieś całkiem blisko zabrzmiał potężnie dźwięk rogu. Wokół leżącego Mścislawa i ciała Żelenty począł się tworzyć coraz większy krąg. Walczący rozstępowali się. Rebelianci opuścili oręż, na ten widok również uciekinierzy zaprzestali walki. Bój zamierał gwałtownie. W krąg wstąpili Nikrot i Gran. Podeszli do Mścislawa. Gran przyklęknął, przyglądając się ranie leżącego.

– Abdykuj! – rozkazał Nikrot.

– Abdykuj! – powtórzył Gran.

– Abdykuję – wyrzekł Mścisław uroczystym tonem, spoglądając z nieskrywaną żalością na ciało Żelenty.

Ustalono procedurę. Mścislawowi opatrzono ranę, która okazała się ciężka, ale nie śmiertelna, i dano mu godzinę na uporządkowanie wszelkich spraw. Po tym czasie na zebranych na miejscu wiecu miała nastąpić ceremonia abdykacji. Mścisław zrzekał się tronu i korony, opuszczał ziemie Obodrytów, zamierzał wstąpić do klasztoru w Lüneburgu. Sprawa następstwa tronu pozostawała otwarta. Pretendenci to: Nikrot i Gran oraz przebywający prawdopodobnie w Wołogoszczy Przybygniew. Wszystkim z otoczenia Mścislawa zapewniono bezpieczną drogę do Saksonii. Mścislawowi zezwolono za zabranie całego wleczonego na wozach dobytku.

W końcu pokonani musieli ruszyć w drogę.

Gromosław i przyjaciele z trudem zmusili się do naradzenia, śmierć tylu dobrych wojowników tamowała im całą energię.

– Nie idziemy z wszystkimi do Saksonii – zaproponował przyjaciołom Gromosław. – Za długa i niepewna droga. Musimy jak najszybciej do Polski, niedługo wyprawa na Kijów, wypocząć musimy. A zanim dotrzemy do Lüneburga, stamtąd do Magdeburga, następnie wskroś Stodoranii do Lubusza, a z Lubusza do Gdańska, to Bolesław będzie już w Kijowie. Przez Połabie się nie przebijemy. Ale zaświtała mi pewna myśl, po rozmowie z Chyżonem i Lotarem. Port w Roztoczu pod kontrolą miasta, u ujścia rzeki stoją duńskie okręty broniące dostępu przed rebeliantami. Nikrot i Gran dadzą nam glejty i zezwolenia. Pójdziemy do Roztocza, zaokrętujemy się wraz z resztą naszej jazdy i pożeglujemy do Gdańska.

Przyjaciele przytaknęli na zgodę.

Zostali przywołani przed oblicze leżącego na wozie Mścisława.

– Nie rozjedziemy się, zanim wam nie podziękuję. – Z trudem skrywał cierpienie od otrzymanych ran. – Utraciłem wszystko, ale uratowałem rodzinę. Przekażcie to Bolesławowi, by nie męczyły go niepewności. Mam dla was podarunki...

Zaczęli protestować.

– ...nie ma dyskusji! – przerwał im Mścisław. – Zasłużyliście na więcej, niż wam się wydaje. Mój służący przygotował dla was worek ze złotem i klejnotami. Podzielcie między siebie. To nie wszystko! – Podniósł głos, widząc, że ponownie chcą oponować. – Przed bojem ustaliliśmy z Żelentą podział naszych osobistych rzeczy, gdyby przyszło nam zginąć. Podejdź bliżej, Randulfie.

Gdy Randulf się zbliżył, Mścisław wręczył mu hełm Żelenty, świetnie wykonany, przepysznie zdobiony.

– Jest twój, longobardzki książę. Należał do twojego dziadka Landulfa, który zginął w bitwie pod Crotone, Żelenta otrzymał go na życzenie twojej prababki Aleary. Oprócz tego Aleara wręczyła mu miecz brata Landulfa, Atenulfa, który zginął w tej samej bitwie. Czambor! Teraz ty, zbliż się do mnie.

Zdumiony Czambor podszedł niepewnie.

– Na wyraźne życzenie Żelenty przekazuję ci ten miecz, dzielny rycerzu z Gdańska. – Mściśław wręczył mu miecz wraz z pochwą. – Długi longobardzki miecz z najlepszej hiszpańskiej stali. Od tamtego czasu, od bitwy pod Crotone, Żelenta nie rozstawał się z nim, podobno, jak mawiał, można nim kowadło przepołować bez najmniejszego uszczerbku dla ostrza. Książę Bolesław mu strasznie tego miecza zazdrościł.

– Gdzie pochowacie Żelentę? – zapytał Gromosław. – Nie wypada, by tu na miejscu, z wszystkimi...

– Ciało Żelenty zabieram do Lüneburga, pochowany zostanie w kościelnej krypcie z wszystkimi należnymi honorami – odparł Mściśław.

Najtrudniejsze było pożegnanie z Randulfem. Przyjaciele ściskali się z nim długo i wylewnie, każdy miał świadomość, że prawdopodobnie nie spotkają się już nigdy w życiu. Chociaż kto wie, jak oznajmił ostatnimi słowami Randulf, gdy z Suanhildą przyłączali się do kolumny saskiej jazdy, kto wie, czy jakiś nieznany gracz ponownie nie uderzy na ich strunach i wygra nieprzewidywalną melodię? Na pożegnanie Randulf wręczył Czamborowi znaną w Czarnotynie księgę z opowiadaniem, z nakazem, że ma czytać i cierpliwie utrwać arkana pisania. Zaś Gromosława i Bernarda poprosił, by przedstawili Zygfydowi zaistniałą sytuację z jego córką. Randulf zamierzał zabrać Suanhildę do Benewentu i tam ją poślubić. Dla Zygfyda przekazał dwa listy, od siebie i od Suanhildy.

Wołogoszcz

Do Roztocza mieli spory kawał drogi, ze Zwierzyna prawie sto mil. Przy niekorzystnych warunkach pogodowych, smagającym mroźnym wicherze i wzmagających się opadach śniegu. Czterdziestu sześciu polskich ciężkozbrojnych jeźdźców, do tego Gromosław, Bernard, Czambor, Wojomir i Chyżon. Po oblężeniu Zwierzyna i końcowej bitwie pozostało dużo bezpańskich koni, Nikrot i Gran przekazali im łaskawie i nieodpłatnie trzydzieści koni w rezerwę.

– Na pewno nie dotrzemy do Roztocza przed zapadnięciem zmroku – zawyrokował Gromosław. – Nawet Chyżon i jego znajomość terenu niewiele tu pomogą. Rozglądajcie się po drodze za jakimś zdatnym miejscem na nocleg.

– Może dla odmiany nie w namiotach pod lasami? – zaproponował Bernard.

– Czambor? – zwrócił się do gdańszczanina Gromosław. – Rozpytaj twój giermka, ma przecież rozeznanie w okolicznych wioskach i osadach.

– Czambor? – powołał pytanie Gromosław, podprowadzając konia w kłusie bliżej Czambora. – Nie słyszysz?

– Co mi tam – odburknął pomarkotniały Czambor. – Obojętne, gdzie przenocujemy.

– Zostaw go, Gromo – wtrącił się Wojomir – nadal rozpacza, że być może na zawsze pożegnał się z Randulfem. Sam spytam Chyżona.

Chyżon znał jedną osadę, jakieś piętnaście mil stąd. Niewielka wioska na wysepce średniej wielkości jeziora, otoczona prymitywną palisadą zbudowaną bezpośrednio na ziemi, bez wału. Do osady prowadził z lądu jeden drewniany pomost. Ruszyli we wskazanym przez Chyżona kierunku. Skończyły się urozmaicenia terenu w postaci rozległych pól poprzegradzanych lasami. Zagłębili się teraz wąskimi szlakami w gęste puszcze, mijając dużo jezior i rzeczek na pofalowanych wzniesieniach.

Jadący przodem Chyżon dał znak, by się zatrzymali:

– Tam.– Wskazał ręką. – Za skrzyżowaniem drogi zaczyna się przerzedzona przesieka schodząca do brzegów jeziora. Wyjdziemy dokładnie przed wejściem na pomost.

Znaleźli i jezioro, i pomost. Stosunkowo długi pomost, na jakieś sto dwadzieścia kroków. Na jego drugim końcu wznosiła się brama wbudowana w wysoką palisadę otaczającą osadę na wyspie. Chyżon wjechał na pomost w towarzystwie Wojomira, powoli zbliżali się do bramy, kopyta stukały hałaśliwie po drewnianej konstrukcji. Byli już jakieś czterdzieści kroków od bramy, gdy raptem na palisadzie pojawiło się kilkunastu wojowników, którzy bez ostrzeżenia wystrzelili z łuków w ich kierunku. Na szczęście niecelnie, jedynie jedna ze strzał naderwała ucho koniowi Wojomira. Zwierzę spięło się z bólu, Wojomir z trudem je opanował, zakręcił i pognął z powrotem. Chyżon za nim.

– Co oni zrobili mojemu koniowi! – rozpaczał. – Kmiecie bezrozumne. Nawet z łuków nie umieją porządnie strzelać!

Wojomir opatrzył koniowi ucho i przeniósł cały ekwipunek na rezerwowego.

– Atakujemy – rozkazał Gromosław. – Ale nie konno, ten pomost nie wygląda solidnie, jak wjedziemy całą jazdą, to się zawali.

– Tarcze i formować szereg! – zakrzyknął Bernard. – Po czterech obok siebie!

– Ty nie, Benno. – Gromosław powstrzymał Saksończyka. – Zostań z Wojomirem, Chyżonem i połową oddziału na brzegu i starajcie się zrobić użytek z łuków, pomimo sporej odległości. Ja poprowadzę natarcie. Chodź, Czambor. – Trącił gdańszczanina. – Przewietrzysz nieco smutki.

Zbliżali się pomostem, powoli, pod osłoną tarcz. Na czterdzieści kroków przed bramą na palisadzie pojawili się ponownie łucznicy. Poleciały strzały, nie czyniąc im żadnej szkody, tarcze spełniły swoje role. Zanim doszli do bramy, na jakieś dziesięć kroków przed nią, ta rozwarła się i na zewnątrz wybiegła grupa około trzydziestu wojowników. Ze względu na wąskość pomostu i niewielki placzyk przed bramą, walczyć mogła tylko przednia ściana tarcz, po obu stronach. Miejscowi bronili się zażarcie i uparcie, pomimo że starli się z wyborowymi polskimi wojownikami. Dwóch z miejscowych padło już trupem, lecz natychmiast w wolne miejsca wskakiwali następni.

Gromosław wycofał się na chwilę dla oceny sytuacji. To do niczego nie doprowadzi, rozważał na szybko. Jeden z naszych już poważnie raniony, zanim ich wybijemy, zginie niepotrzebnie kilku moich doborowych ludzi, oceniał w myślach.

W tym momencie Czambor, dla odmiany walczący mieczem a nie toporem, roztrzaskał tarczę przeciwnika i wbił mu ostrze w ramię, niechronione żadnym uzbrojeniem. Wojownik zachwiał się, stracił równowagę i spadł z pomostu do jeziora. Gromosław wpatrywał się

z niedowierzaniem jak ranny, brocząc jedynie po pas w wodzie, dobrnął do brzegu i począł z trudem wdrapywać się na obrzeże palisady. Gromosław zeskoczył z pomostu. Faktycznie, po pas, woda niesamowicie lodowata, na co nie zwracał uwagi. Dobrnął do rannego i sieknął go mieczem po plecach.

– Do wody! Do wody przy brzegu! – pokrzykiwał Gromosław. – Płytko!

Sam, nie zwracając uwagi na efekt komendy i nie oglądając się, czy ktoś za nim podążył, wdrapał się na brzeg – wąski na trzy–cztery kroki pas łądu między wodą a obrzeżem palisady. Podbiegł wzdłuż palisady pod bok szeregu wojowników, zdzielił mieczem pierwszego z rzędu przez kark. Wojownik padł na ziemię, drugi obok niego odwrócił się, Gromosław kopnął w jego tarczę, ten zachwiał się, potknął, wpadł pod nogi pozostałym, szereg zaczął się rozpryskiwać.

W tym czasie pozostali Polacy powskakiwali również do wody po obu stronach pomostu i wtargnęli na brzeg. Atakowali teraz gromadę obrońców z trzech stron. W końcu broniący osady rozproszyli się, popychając nawzajem, i uciekali przez otwartą bramę do wnętrza grodu. Napastnicy podążyli za nimi.

Od strony łądu na pomost wjeżdżała grupa na koniach z Bernardem na czele, w stosownych odstępach ze względu na kruchość i chwiejność konstrukcji.

Czambor jako pierwszy wpadł przez bramę do wnętrza, rozejrzał się szybko na wszystkie strony. Za nim przybiegli kolejni Polacy, formowali wokół niego ścianę tarcz.

Wnętrze było puste, żadnych mieszkańców. Na drugim krańcu grodu, w miejscu pozbawionym fragmentu palisady i otwartym na wody jeziora, znikali ostatni obrońcy.

– Zatrzymać się! – rozkazał Gromosław. – Co tu się dzieje? Gdzie oni są?

– Tam. – Czambor wskazał ręką kierunek. – Na drugim końcu, chyba powskakiwali do wody.

– Zabezpieczać teren. – Rozdawał dyspozycje Gromosław. – Przeszukać chaty.

Razem z Czamborem i kilkoma wojownikami pobiegli na drugi koniec wyspy. Przed nimi, daleko na wodach jeziora, ujrzeli masę niewielkich łodzi płynących gdzieś na krańce odległych brzegów. Łodzie wypełnione były mieszkańcami. Nieco bliżej osady płynęło kilka łodzi z wojownikami, którzy stawili im opór przed bramą.

– Uciekli. – Gromosław przystanął, sapał ciężko z wysiłku. – Uciekli wszyscy.

Podjechał do nich Wojomir na koniu.

– Uciekają do im tylko znanych kryjówek, każda osada ma takie tajemne miejsca, gdzie chronią się na wypadek niebezpieczeństwa.

– Przecież nie chcieliśmy z nimi walczyć! – Gromosław nie ukrywał złości i poirytowania. – Nawet rozmawiać nie chcieli, od razu strzałami sypnęli.

– Może już nikomu nie ufają? – Wojomir wzruszył ramionami. – Skąd wiesz, czego dotąd doświadczyli?

– I niepotrzebnie wojowników natracili – narzekał Gromosław. – Zamiast się z nami wprzódy rozmówić.

Zginęło pięciu obrońców i jeden Polak.

Gromosław porozstawiał strażę na palisadzie, zmiana warty co dwie godziny. Zostają w środku na nocleg. Osada miała zapasy paszy i jedzenia. W niektórych chatach na piecach stały jeszcze ciepłe sagany ze strawą.

Zatrzymali się na miejscu na dłużej. Czas na porządny wypoczynek, zdecydowano wspólnie, a wokół wszystkiego w bród. Po trudach walk w Zwierzynie, a szczególnie po ostatniej bitwie, nareszcie mają czas i spokój na zaleczenie pomniejszych ran. Wojomir zauważył, że mieszkańcy na pewno ich nieustannie obserwują ze skrytek na brzegach i powrócą, jak tylko osada zostanie opuszczona.

W dalszą drogę wyruszyli dopiero piętnastego lutego. Wypoczęci, najedzeni, opatrzeni.

Pod wieczór dotarli pod Roztocze. Gród mógł się pochwalić imponującymi wałami, ale był o wiele mniejszy od Zwierzyna czy Mechlina, średniej wielkości. W oddali majaczyły połyskujące w słońcu morskie fale, co po raz pierwszy wprowadziło Czambora w lepszy nastrój, od czasu jak pożegnał się z Randulfem.

Chyżon udał się pod bramę w wale, coś tam tłumaczył, wyjaśniał, z daleka nie mogli dosłyszeć, ale po chwili machał do nich obiema rękoma, by nadjechali. Znaleźli się w Roztoczu.

– Niestety – wyjaśniał Chyżon po drodze. – Złe wieści co do duńskich okrętów. Zostały niedawno przegnane atakiem z dwóch stron naraz przez silne eskadry Ranów i Wagrów. Duńczycy stracili dwa okręty w bitwie i wycofali się, żeglując pewnie z powrotem na ich wyspy.

Czyli ponownie znaleźli się w matni, zawyrokował Bernard. Jak teraz wydobiją się z tego przeklętego Połabia? Jak dotrą do Polski?

Na miejscu spotkała ich prawdziwa niespodzianka. Okazało się, że Chyżon nie jest zwykłym sobie kmieciem, lecz synem członka rady miejskiej. Bogatego kupca dysponującego majątkiem, własną siłą zbrojną na żołdzie i kilkoma statkami kupieckimi. Czambor nawet nie próbował namawiać Chyżona, by towarzyszył im w dalszej podróży.

Postanowili, nie mając właściwie innego wyjścia, przebić się drogą lądową do Wołogoszczy, która nadal broniła się przed oblegającymi Lutykami. Tam jest, według wszelkiego prawdopodobieństwa, Przybygniew, tam mają szansę zaokrętować się na jednostki duńskie, które podobno czyhają w pobliżu ujścia Piany. A po drodze przecież mogą zahaczyć o Bartę, którą poznali przed dwoma laty. Może Barta jest wolna od blokady i tam wynajmą transport morski do Gdańska?

Na pożegnanie Chyżon udzielił im kilku cennych porad i wskazówek. Niech spróbują najpierw trasy wzdłuż wybrzeża, automatycznie dotrą wtedy do Barty. Na dobrą sprawę, gdyby cały czas trzymali się wybrzeża, to muszą dojść na koniec do ujścia Piany. Ale to niewykonalne, ostrzegł ich Chyżon. To tylko w głowie wydaje się, że najprościej maszerować morskim brzegiem. Po pierwsze, ich podróż trwałaby tygodniami, a może nawet miesiącami, pełna trudności i uciążliwych przeszkód, nieustannych dalekich obejść wokół trzęsawisk, jezior, ujść rzeczek. Po drugie, po drodze musieliby ciągle walczyć z ukrytymi w lagunach i zatoczkach gniazdami piratów. Nie mają szans. Lepiej udać się traktami i drogami lądowymi. Co prawda, tam czają się inne niebezpieczeństwa, ale przynajmniej konno mogą szybko się poruszać.

Wyruszyli osiemnastego lutego. Ojciec Chyżona, z wdzięczności za odzyskanie syna, wyposażył ich obficie i nieodpłatnie w nowe konie, zapasy prowiantu i paszy. Do Barty, według Chyżona, mieli do przebycia prawie siedemdziesiąt mil. Posłuchali jego rady, zrezygnowali z przebijania się wzdłuż wybrzeża i obrali wygodny szlak lądowy.

Na trzy mile przed Bartą napotkali niewielką karawanę kupiecką, zdążającą w przeciwnym kierunku. Zasięgnięte informacje wprawiły ich w przygnębienie. Barta zajęta została przez Ranów, przed tygodniem. Podobnie jak znajdująca się dalej na wschód Strzała.

Na spotkanie z Ranami nie mieli najmniejszej ochoty. Na samą myśl o bliskości Rugii wstrząsały nimi nieprzyjemne wspomnienia z niedawnej przeszłości.

Ruszyli więc dalej drogą lądową. Bez znajomości terenu, niemal na oślep, byle na wschód, w kierunku Wołogoszczy. Jediną wskazówką dla nich była rada udzielona przez Chyżona, by dotrzeć do Piany, a z jej biegiem dojdą do Wołogoszczy, która wzniesiona jest u ujścia rzeki do cieśniny o tej samej nazwie, łączącej wody Zalewu Szczecińskiego z Bałtykiem.

Poblądzili.

Dzień, noc, dzień, noc, ponownie świt kolejnego dnia. Zadyma śnieżna, zimno, konie cierpiące bardziej od ludzi. Doszli nad brzeg Bałtyku. Pomimo zimy wody nadal były wolne od kry, nadające się do żeglugi. Podążyli wzdłuż brzegu, obrzeżami wysokiej skarpy porośniętej gęstym lasem. Liczyli na znalezienie jakiejś choćby najmniejszej dróżki, która wyprowadziłaby ich w głąb lądu. Wieczorem musieli zatrzymać się na nocleg u podnóża obszernej wnęki wrzynającej się w skarpe. Konie były na krawędzi wyczerpania z powodu mrozu. Poczęli mieczami, toporami i włóczniami wyrąbywać dziury w skarpie, głębokie i wysokie jamy, w które podprowadzali konie dla chociaż minimalnego schronienia przed mrozem. Od ścian jam promieniowały resztki zachowanego w piachu ciepła. W tych warunkach przenocowali i o poranku ruszyli dalej.

Doszli do ujścia niewielkiej, bystrej rzeczki. Całe szczęście, teraz podążą w górę z jej biegiem. W południe dotarli do dużej, szerokiej rzeki, z której wypływał ów strumyk. Rzeka płynęła z zachodu na wschód.

– O ile mnie intuicja nie myli, to doszliśmy do Piany. – Wojomir spoglądał na rzekę. – Teraz tylko na wschód z jej biegiem.

Nie omylił się. Potrzebowali jeszcze trzech dni i noclegów w lasach, aby przed południem dwudziestego szóstego lutego dotrzeć na przedpola Wołogoszczy.

Całe szczęście, że nieświadomie poruszali się lewym, północnym brzegiem Piany. Po prawej, południowej stronie rzeki przedpole grodu usiane było licznymi namiotami. Wojsko federacji Lutyków, ale nie tylko, jak stwierdził obserwujący z ukrycia Wojomir. Widać również znaki pomorskich plemion z ujścia Odry. Zapowiadało się na przewlekłe i okupione ciężkimi stratami po obu stronach oblężenie.

* * *

Podeszli pod jedną z bram w północno-zachodniej części wałów, niezagrożonej przez oblegających, którzy nie mieli jak tu podejść od południa. Po przeciągającej się dyskusji z wartownikami, gdy powołali się na Przybygniewa i pokazali polski sztandar, wpuszczono ich do środka.

Natychmiast poszli na spotkanie z Przybygniewem. Wyjaśnieniom nie było końca, zarówno oni chcieli znać aktualny stan rzeczy, jak i obodrzycki książę łaknął wieści o ojcu. Teraz on jest królem po abdykacji Mścislawa, ale królem nad niczym, najpierw musi zdobyć swoje królestwo, wyeliminować pozostałych pretendentów i uśmierzyć pogańską reakcję.

Zamierzenie malujące się w czarnych barwach. Przybygniew nie miał ani wojska, ani poparcia wśród obodrzyckich możnych. Najpierw musiał się wyrwać z okrążenia w Wołogoszczy i rozpocząć w Danii przygotowania do powrotu.

Tylko jak wydostać się z Wołogoszczy? Przed tygodniem przyszła mu na pomoc silna flota duńska. Osiemnaście długich okrętów bojowych dowodzonych przez Ulfa Torgilssona, zarządzającego Danią pod nieobecność swego szwagra, Kanuta. Okręty wpłynęły na Zalew

Szczeciński i dały się zapędzić w pułapkę. Lutycy i Pomorzanie, przede wszystkim Wolinianie i obrońcy grodu Uznam, wzniesli sztuczną zaporę wodną u złączenia Piany i wód zalewu, blokując znacznie przepływ wody cieśniną do morza. Woda w cieśninie opadła na tyle, że ciężkie i głęboko zanurzone okręty duńskie nie mogły na nią wpłynąć, nie mówiąc już o wyjściu na otwarte morze. Znalazły się w pułapce. Od tego czasu trwały skupione na głębszej wodzie zalewu. Od czasu do czasu opędyły się przed próbami ataków o wiele mniejszych jednostek pomorskich. Wraz z nimi utknął oczywiście Przybysław w Wołogoszczy. Prowiantu na okrętach starczy jeszcze na maksymalnie dwa dni. Po tym nie wiadomo, co nastąpi.

Gromo i przyjaciele poszli z Przybygniewem na wały grodu, rozejrzeć się z wysokości na sytuację. Przybygniew wskazał ręką na południowy wschód.

– Tam, widzicie tę wąską groblę wychodzącą z wałów miasta poprzez załomy Piany? Za groblą są mechanizmy, grube łańcuchy nawinięte na masywne pachołki, które przytrzymują konstrukcję zapory. Gdyby je przerwać, zapora się rozchyli, puści wezbrane wody w cieśninę, poziom gwałtownie się podniesie i okręty Duńczyków przepłyną wtedy swobodnie ramieniem cieśniny w stronę morza, na głębokie wody.

– Próbowaliście wypadu na groblę? – Gromosław wpatrywał się we wskazanym przez Obodrytę kierunku.

– Kilkakrotnie. – Przybygniew pokręcił z rezygnacją głową. – Bez sukcesu. Za każdym razem ponosiliśmy bardzo dotkliwe straty, oni obstawili tę groblę, znaczy jej drugi koniec, nieprzebraną masą piechoty. Węgorz się nie prześlizgnie.

– A przy samych mocowaniach łańcucha? – rozważał Czambor. – Też masa piechoty?

– Nie wiem – odparł Przybygniew. – Nikt z naszych nie zdołał dotrzeć tak daleko.

– Piana powyżej grobli mało rwąca, nieprawdaż? – zapytał Wojomir. – Skoro wstrzymali nurt wody?

– Pewnie tak. – Przybygniew wzruszył ramionami.

– Gdyby tu był Randulf... – Czambor nie krył żalości w głosie. – Znalazłby sposób...

Wieczorem przy kolacji nie dopisywał nastrój. Wojomir orzekł, że dość ma smętnego siedzenia, i udał się do swojej komnaty.

Gdy Bernard z Gromosławem przechodzili korytarzem do swoich sypialni, zatrzymali się u rozwidlenia schodów.

– Może w nocy przyśni nam się jakieś rozwiązanie – zażartował Bernard.

– Ja już prawie nie mam sił – poskarżył się Gromosław. – Za dużo tego wszystkiego naraz, w ciągu tak krótkiego czasu... Za dużo.

– Masz na myśli śmierć Srogosza, Żelenty, pożegnanie z Randulfem?

– Też, też... – Gromosław kiwał głową z namysłem. – A jak ja powiem Wojomirowi. – Tutaj rozejrzał się po pustym korytarzu i schodach. – Bo ty jeszcze nie wiesz, jak ja mam mu powiedzieć, że Bożejka nie żyje?

– Co takiego? – Bernard zaniemówił z wrażenia.

– Nie żyje biedna, powiedziała mi Matylda pod Grabami... Jak mu mam o tym powiedzieć...?

– Chodź, idziemy się wyspać. – Bernard po chwili namysłu pociągnął go za ramię.

O krok od nich, za lekko uchylonymi drzwiami swojej sypialni stał Wojomir. Zamierzając udać do latryny, przystanął, usłyszawszy ich głosy. Gdy Gromosław i Bernard zniknęli za załomem, Wojomir powrócił do

swoich pakunków, ubrał się, zebrał oręż, wyslizgnął się na korytarz i podążył w kierunku komnat syna Mścisława.

Nakazał obudzenie kanclerza Przybygniewa. Przekazał mu coś zawiniętego w skórzany zwój i podyktował dwa pisma. Z nakazem przekazania pism i pakunku Gromosławowidokładnie za trzy godziny.

– Za trzy godziny – powtórzył z naciskiem Wojomir. I położył przed kanclerzem woreczek ze srebrem. – Jak nie spełnisz żądania, utnę ci obie dłonie, powoli, tęnym nożem.

Bez pożegnania skierował się na zewnątrz grodu, w stronę wałów.

Kanclerz o umówionym czasie podążył do sypialni Gromosława i Bernarda. Nie zdążył zapukać. Na całym grodzie rozdzwiewały się dzwony i alarmy. Z wałów przybiegł Przybygniew.

– Wody puściły! – krzyczał jak opętany. – Cud się stał! Piana wezbranymi falami zalewa cieśninę! Na okręty!

Zamieszanie, chaos, pośpiech. Gromosław niemal stratował w drzwiach ogłupiałego kanclerza, ale dał się powstrzymać i przyjął przesyłkę.

– Bernard, szybko! – krzyczał Gromosław, gorączkowo odczytując pisma. – Ludzi zbieramy, na okręty! Wychodzimy z... – Głos mu się załamał, odpakował szybko pakunek. Pośrodku skór leżał duży krzyż z łańcuchem podarowany Wojomirowi w Budziszynie przez Tuniego. – Czytaj! – Podsunął Bernardowi pisma. – Czytaj! – poganiał go głosem pełnym rozpacz.

W pierwszym piśmie stało:

Byliście wspaniałymi przyjaciółmi. Dziękuję Wam za wszystko.

Proszę, Gromosławie, zaadoptujcie z Matyldą moją córeczkę. Ona jest wszystkim, co pozostało po mnie, Bożejce i Srogoszu.

Żegnajcie.

Wojomir.

W drugim piśmie stało:

Zwracam Ci Twój krzyż. Staraj się, tak jak ja, służyć przybranej Ojczyźnie.

Wojomir.

Będąc już na okrętach, dojrzeli spoza burt pośród szalejących z wściekłości na brzegach zatoki mas lutyckich wojowników podniesiony wysoko w górę oszczep. Na ostrzu tkwiła zatknięta głowa Wojomira.

Wojomir w nocy przepłynął wpław Pianę, zaszedł od tyłu stanowisko Lutyków przy konstrukcji tamy, zabił ich i uwolnił łańcuchy. Wody puściły. Wtedy otoczyła go chmara wojowników. Wojomir bronił się mężnie, zdołał zabić kilku przeciwników. W którymś jednak momencie tąpnął nieopatrznie w zdradziecki dół wypełniony mułem i został wciągnięty po pas. Wojownicy otoczyli go i zadźgali włóczniami. Jeden z nich, imieniem Jawor, odciął trupowi głowę.

Magdeburg, Gdansk

Jego świętobliwość, pasterz stolicy apostolskiej Benedykt VII do cesarza Henryka II.

Wielce Pobożny Władco...

Henryk uniósłszy nieznacznie prawą rękę, potrząsał niecierpliwie dłonią.

– Dalej, dalej!

...doszły nas bardzo niepokojące wieści z Apulii. Książęta longobardzcy, wiernie wobec Was z obowiązku lennego się wywiązujący, a naszej woli powolni i o pomyślność Kościoła pod pasterskim okiem Stolicy Apostolskiej dbający, proszą błagalnie i pokornie o wsparcie przeciwko wrogim poczynaniom Cesarstwa Bizantyjskiego. O czym Wam już od dawna wiadomo, administracja i zbrojne ramię Greków mieniących się spadkobiercami Cesarstwa Rzymskiego uciskają naszych poddanych w południowych Włoszech, nasilili najazdy na obszary księstw longobardzkich, biskupów z podległych nam diecezji na stronę Konstantynopola przeciągają...

– Dalej! – Przerwał czytającemu Henryk. – Sprawy to nam doskonale znane, przejdź, czcigodny Geronie, do zasadniczej treści.

Skonfundowany arcybiskup Gero rozbieganymi oczyma przebiegał linijki papieskiego listu. Poruszając bezgłośnie ustami, szukał z narastającą nerwowością odpowiedniego fragmentu.

– Tu! – zakrzyknął raptownie i podjął na głos odczytywanie.

...przez szpiegów wywieźli się o nadciąganiu dużych posiłków...

– Kto się dowiedział? Przez jakich szpiegów? – Henryk nie krył irytacji.

– Wasza cesarska mość raczy wybaczyć – zaproponował Gero – ale przez poganianie to i najlepszemu pasterzowi liczenie owiec się pomiesza.

...Meles z Bari potrzebuje pomocy i wsparcia, nowy katepan zadaje mu klęski. Z papieskich środków opłaciłem normańskich najemników, ale to nie wystarczy. Cesarzu, przyjdź nam na pomoc...

– List kończy się słowami – kontynuował Gero – „Spal ten list w ogniu natychmiast po jego przeczytaniu, żeby nikt inny nie poznał jego treści”.

– Najbardziej podoba mi się zakończenie – stwierdził Henryk. Zwrócił się do Randulfa: – Teraz wiecie, czcigodny książę, w czym rzecz. Wracacie w wasze rodzinne strony, tym razem ponownie jako mój poddany, z racji lennej wierności waszego księstwa cesarstwu. Starajcie się jak najdłużej utrzymać. Mam nadzieję, że wyprawa Bolesława na Rusów powstrzyma ich przed sianiem posiłków dla Bizancjum, a to was powinno odciążyć. Za dwa, trzy lata planuję poprowadzenie osobiście wyprawy wojennej do południowych Włoch. Wielkiej wyprawy z armią zebraną z całego cesarstwa, a i Bolesław użyczy mi kontyngentu polskiej jazdy, tym razem

nie poważy się na niedotrzymanie słowa. Wypędzimy Bizantyjczyków z waszej ojczyzny.

– Podobno niektórzy Longobardowie przystali do Bizantyjczyków – zauważył cierpko Randulf. – Wasza interwencja, cesarski majestacie, za dwa lata, może okazać się spóźnioną.

– Nie mogę teraz wyruszyć! – Zimne oczy Henryka nadal nie wyrażały emocji, pomimo wzniesionego głosu. – Burgundia i inne sprawy na razie ważniejsze. Liczę na powodzenie wyprawy Bolesława, a tym samym powstrzymanie zapędów Bułgarobójcy we Włoszech. Wiecie, ilu zbrojnych ten przepelniony chytrą Jarosław wysyła nieustannie na pomoc Bizantyjczykom? Tysiące! Za moimi plecami i wbrew wcześniejszym układom. Niech go Bolesław zniszczy, wygna za morze do Szwecji.

– A nie obawiacie się, szlachetny cesarzu, że Bolesław urośnie wtedy ponad miarę w siłę? – Randulf nie mógł się powstrzymać od złośliwości. – Kto powiedział, że świat się kończy na cesarstwie wschodnim i zachodnim? Dlaczego Bolesław nie miałby przywdziać korony cesarstwa, powiedzmy, Słowian? Polska, Połabie, może Ruś, pod jego berłem... Czechy już miał...

– Dłuuugo przebywaliście na jego służbie... oj długo... – Henryk nadal nie tracił spokoju. – Najpierw musi się postarać o królewską koronę. Teraz nie czas na dysputy! – przerwał raptownie. – Reszty dowiedcie się od normańskiego rycerza, co przybył do Magdeburga z papieskim poselstwem.

* * *

Stali w trójkę, oparci o reling okrętu, wpatrzeni w bezmiar morza i mijane od południa zarysy lądu.

– To była okrutna wyprawa. – Gromosław przerwał milczenie. – Krótka, bez wytchnienia, śmiertelna i deprymująca. Straciliśmy tylu dobrych ludzi, z naszym przyjacielem Wojomirem na czele. I na co to było?

– Randulfa już nie ma z nami. – Od rozstania z przyjacielem Czambora nie opuszczało przygnębienie. – Tak go polubiłem.

– Masz jeszcze nas. – Bernard trącił go łokciem.

– Mam – wyrzekł stojący pośrodku Czambor. Objął ich obu za ramiona, wpatrzony dalekim, rozmarzonym wzrokiem w sine, zimowe fale. – Mam i nie chcę was stracić. – Raptem ożywił się, wskazując prawicą w kierunku lądu. – O, tam! Tam gdzie ten cypelek w morze wychodzi! Tam stoczyłem kiedyś moją pierwszą bitwę morską! Ha, z piratami z Wolina! Zbliżamy się do Gdańska.

Dziesiątego marca wpłynęli do portu w Gdańsku. Bolesław przebywał w mieście od ponad tygodnia, ale akurat wyruszył na czele oddziału jazdy poza Wisłę, w puszcze pruskich plemion.

– Ojciec za każdym pobytem w Gdańsku nie może się oprzeć, by chociaż podjazdem nie najechać pruskich plemion – wyjaśniał im po powitaniu Mieszko. – On im nie daruje zabicia świętego Wojciecha, a później Brunona. Cały czas chodzi mu po głowie odnalezienie pastorału Wojciecha. Zobaczycie, jak tylko powrócimy z wyprawy kijowskiej, zacznie snuć plany wielkiego najazdu na Prusy.

Przed wieczorem Bolesław powrócił z podjazdu na Prusów. Natychmiast zostali wezwani do komnaty książęcej gdańskiego kasztelu. Władca wysłuchał ich relacji. Przygnębiającej relacji, wypełnionej smutkiem, bólem i beznadziejnością. Stracili niemal dwie trzecie polskiej jazdy. Zginął Wojomir, zginął Żelenta. Mścisław abdykował, księstwo Obodrytów pochłonięte bezdennym zamętem.

Władca nawet nie zadawał im dokładniejszych pytań. Natomiast na wieść o powrocie Randulfa przez Magdeburg do Włoch jakby się nieco ożywił, wskazując, że szkoda, bo chętnie przekazałby mu ważne listy do Rzymu.

Pozostawili Bolesława zatopionego w przygnębiających myślach. Mieszko opuścił wraz z nimi komnatę władcy.

Nareszcie mogli się rozjechać w rodzinne strony. Czambor pozostał w Gdańsku, Gromosław z Bernardem pognali do Lubusza. Gromosław nareszcie do ukochanych Matyldy i dzieci. Bernard zamierzał w Lubuszu oficjalnie starać się o rękę Zwodziśławy i jak najszybciej ją poślubić, jeszcze przed wyprawą na Ruś. Mobilizację wojska zapowiedziano na początek lata pod Gnieznem, pierwsze oddziały zaczną ściągać już w drugiej połowie czerwca. Do tego czasu mają ponad trzy miesiące.

Czambor miał czas, by w długie zimowe wieczory zagłębić się w lekturę książki podarowanej mu przez Randulfa.

KONIEC

Robert F. Barkowski, Berlin/Vetralla

EPILOG HISTORYCZNY

Mściśław wraz z małżonką, synową i wnukiem Gotszalkiem zdołali uciec ze Zwierzyna do Saksonii. Najprawdopodobniej do Lüneburga. W państwie Obodrytów zapanował chaos. Cesarz Henryk II postanowił przeciągnąć podjęcie decyzji do świąt Wielkanocnych, które spędzał w Nimwegen (dziewiątego kwietnia). Nie podjął żadnych działań.

Co do dalszych losów Mściśława zdania historyków są podzielone. Albo wstąpił do klasztoru i dokończył żywota z dala od wydarzeń politycznych i historycznych, albo zmarł niebawem po przybyciu do Saksonii, na skutek ran odniesionych podczas oblężenia Zwierzyna.

Księżę Saksonii Bernhard II z rodu Billungów wzniecił na przełomie 1019 i 1020 roku powstanie przeciwko cesarzowi. Bez wątplenia tłem między innymi była postawa Henryka wobec upadku Mściśława. Bernhard wymusił na cesarzu uznanie wszystkich praw Saksonii.

W tym samym czasie, gdy Bernhard wzniecił powstanie przeciwko cesarzowi, z Anglii powrócił król duński Kanut Wielki (siostrzeniec Bolesława Chrobrego, krewny Mściśława w drugim pokoleniu), i na czele wojsk duńskich i angielskich najechał ogarnięte buntem ziemie Obodrytów. Pokonał ich, zdobył największy gród Obodrytów (Mechlin lub Zwierzyn – zapiski historyczne nie są zgodne co do konkretnej nazwy) i osadził na tronie syna Mściśława, Przybygniewa-Uto. Przybygniew panował do 1028 roku, zginął zamordowany przez rycerza nasłanego z Saksonii.

PODŁOŻE HISTORYCZNE

Faktami historycznymi są: podpisywanie układów pokojowych między Polską a Niemcami w Budziszynie 30 stycznia 1018 roku, wzniecone w tym samym czasie powstanie możnych obodryckich przeciwko panowaniu dynastii Mściława połączone z reakcją pogańską rozpętaną przez agitatorów lutyckich z Radogoszczy, ucieczka Mściława wraz z rodziną z oblężonego Zwierzyna do Saksonii, postawa cesarza manifestująca niechęć i opieszałość w kwestii zajęcia oficjalnego stanowiska w tej sprawie, przygotowania Polski do wyprawy wojennej przeciwko Rusi Kijowskiej, powstanie Longobardów pod wodzą Melesa z Bari przeciwko panowaniu Bizancjum w południowych Włoszech. Faktami historycznymi są również: stosunki dyplomatyczne pomiędzy dynastią Obodrytów (Mściwoj i Mściław) oraz dynastią Piastów (Mieszko I i Bolesław Chrobry). Ostatnim potwierdzonym źródłowo faktem historycznym było osobiste spotkanie Bolesława Chrobrego z Mściławem w stolicy obodryckiej Mechlinie w 995 roku.

Na tym historycznym tle oparta jest fikcja literacka powieści. Na uwagę zasługuje postać Żelenty (który po chrzcie otrzymał dodatkowo imię Henryk), według faktów historycznych: słowiański możny w randze rycerza, w otoczeniu cesarza Ottona II, udział w bitwie pod Crotone 15 lipca 982 roku, uratowanie cesarza po klęsce. Główny motyw przewodni powieści – odsiecz ze strony Bolesława Chrobrego dla Mściława – jest wprawdzie fikcją literacką, jednak Czytelnik może wyjść z założenia, że po

pierwsze, nie wszystko zostawało utrwalane na kartach źródeł pisemnych, a po drugie, osobowości, polityczne dążenia i osobiste powiązania Chrobrego i Mścisława nie wykluczają takiego przebiegu wydarzeń.

Nakładem wydawnictwa Novae Res ukazało się również:



Spis treści:

Okładka

Karta tytułowa

Postacie historyczne

Postacie fikcyjne

Obecne niemieckie nazwy miejsc słowiańskich na Połabiu

Budziszyn

Łączyn

Racibórz

Mechlin

Zwierzyn

Wołogoszcz

Magdeburg, Gdansk

Epilog historyczny.

Podłoże historyczne

Karta redakcyjna

Odsiecz. Powieść historyczna z czasów piastowskich

ISBN: 978-83-8219-798-3

© Robert F. Barkowski i Wydawnictwo Novae Res 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

Redakcja: Joanna Rychter

Korekta: Anna Jakubek

Okładka: Julia Wądołowska



Wydawnictwo Novae Res należy do grupy wydawniczej Zaczytani.

Zaczytani sp. z o.o. sp. k.

ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia

tel.: 58 716 78 59, e-mail: sekretariat@novaeres.pl

<http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek